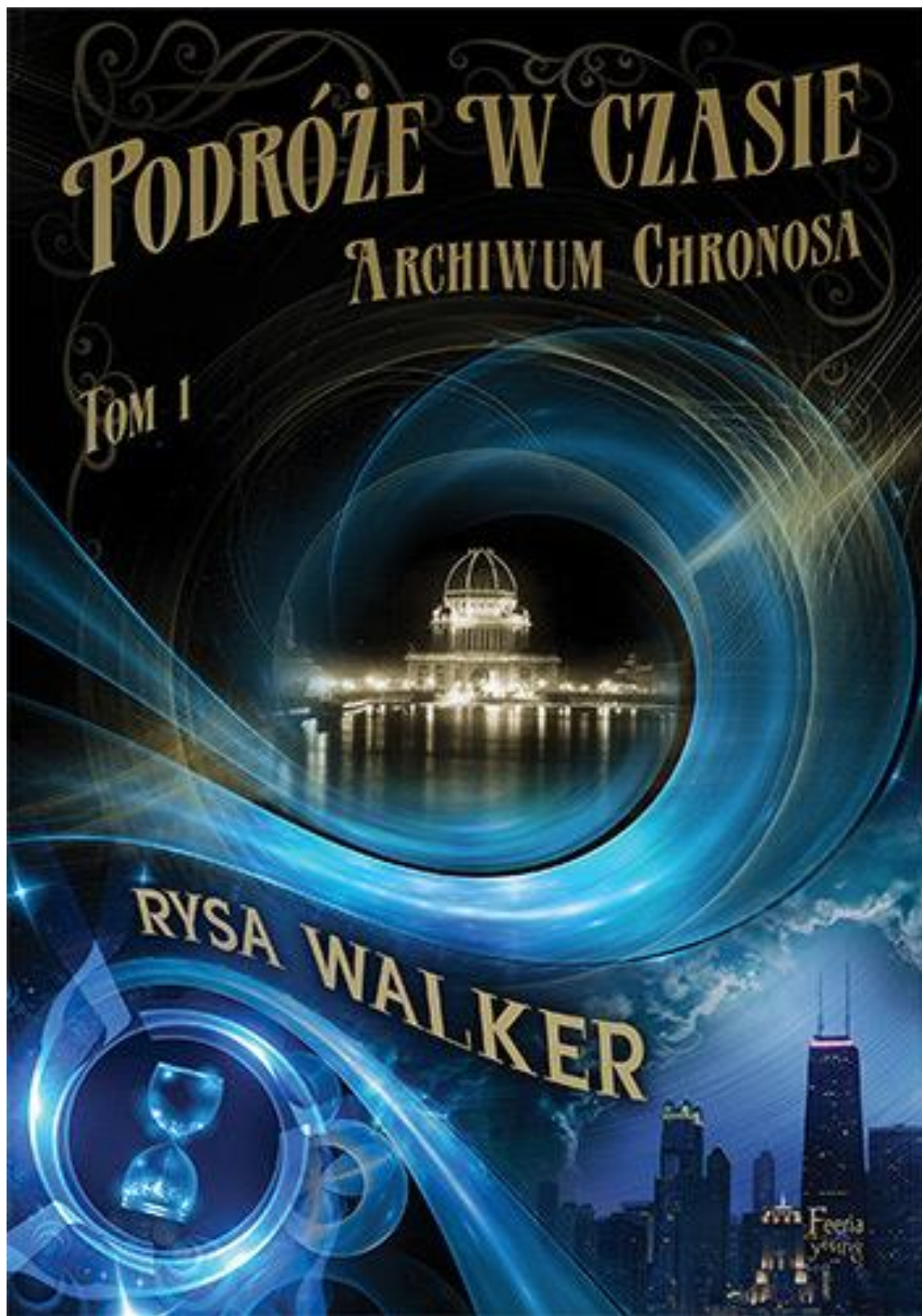


# PODRÓŻE W CZASIE

## ARCHIWUM CHRONOSA

TOM 1

RYSA WALKER



# **PODRÓŻE W CZASIE**

## **ARCHIWUM CHRONOSA**

**RYSA WALKER**

PRZEKŁAD:  
JAROSŁAW IRZYKOWSKI

Feeria  
young

## Spis treści

Dedykacja	PROLOG	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	PODZIĘKOWANIA O AUTORCE
-----------	--------	---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	-------------------------

Tytuł oryginału: *Timebound*

Przekład: Jarosław Irzykowski  
Redakcja: Elżbieta Derelkowska  
Korekta: Maria Zalas  
Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania : Norbert Młyńczak

Projekt okładki: The Book Designers  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Getty i Shutterstock

Text Copyright © 2013 Rysa Walker  
Published in the United States by Amazon Publishing, 2014.  
This edition made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, [www.apub.com](http://www.apub.com).  
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-492-0

Wydanie I, Łódź 2015

Wydawnictwo JK,

ul. Krokusowa 1-3 92-101 Łódź  
tel. 42 676 49 69  
fax 42 646 49 69 w. 44  
[www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Książkę tę dedykuję  
ELEANOR I WUJKOM

## PROLOG

### Chicago – październik 1893

Gdy śmigałam za róg, obcas mojego trzewika z białej kozłęczą skórki rozpruł mi rąbek spódnicy na długości prawie dwudziestu centymetrów. Odgłos kroków za mną na chwilę ucichł, zaraz jednak usłyszałam je znowu, i to szybsze niż przedtem. Dałam nura w kolejny korytarz, w duchu przeklinając bogów mody lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Gdybym miała na sobie swojskie szorty i bluzeczkę, dawno pożegnałabym się z tym przeklętym hotelem. Solidny kop w głowę pozbawiłby zacnego doktora przytomności, a moja szyja nie wyłaby z bólu.

Pognałam w głąb korytarza i na najbliższej krzyżówce skręciłam w lewo, w nadziei, że doktor uzna, iż wybrałam szybszy, wygodniejszy skręt w prawo. Troje drzwi dalej szarpnęłam za klamkę, łudząc się, że będzie otwarte. Nie miałam szczęścia. Wcisnęłam się w te drzwi najmocniej, jak się dało, i wyjęłam medalion. Jego środek się rozjarzył, oblewając mnie łagodnym, błękitnym światłem. I choć wiedziałam, że tamten nie jest w stanie dostrzec tej poświaty, czułam się jak na widelcu. Jak wiele kobiet zwabił w ciągu minionego roku do tego obłąkańczego labiryntu korytarzy? Czy któraś z nich zdołała przeżyć?

Bladożółty poblask jego kaganka na krótko zniknął w przeciwnym korytarzu, potem znów się pojawił, gdy tamten zmienił kierunek, zmierzając prosto ku mnie. Staralam się opanować drżenie rąk, tak żeby móc się skupić na wykorzystaniu medalionu do wywołania interfejsu, ciężko się jednak skoncentrować, gdy serce łomocze, a szyja pali po zetknięciu z kwasem.

Wyświetlacz pokazał się na chwilę, zaraz jednak zgasł. Zdusiłam w sobie przypływ paniki i właśnie miałam podjąć kolejną próbę, gdy drzwi za mną się otwarły i wpadłam do pokoju. Czyjaś dłoń zatkała mi usta, dławiąc krzyk, nim się z nich wyrwał. Druga ręka przysuwała do mojej twarzy ciasno złożoną białą szmatkę.

Wtedy zajarzyłam. Koszmary, które krył ten hotel, nie były dziełem jednego tylko szaleńca. Doktor Henry Holmes musiał mieć współnika. A ja, dzięki CHRONOSOWI i temu durnemu medalionowi, weszłam im w drogę.

Nie oczekuję od życia, by było grzeczne i poukładane. Ktokolwiek w to wątpi, niech pogrzebie w moim plecaku, gdzie pewnie natrafi na niedojedzony baton jeszcze z Iowy – stanu, który opuściliśmy przed rokiem. Od czasów zerówki pięć razy zmieniałam szkołę. Pół tygodnia spędzam z mamą, a drugie pół z tatą, sypiając na kanapie i korzystając ze wspólnej, absurdalnie małej łazienki. Do wymagających nie należę. Umiem sobie radzić z chaosem.

Pewne sprawy jednak powinny podlegać określonemu porządkowi. Buty nakłada się na skarpetki. Masło orzechowe trafia na kanapki po wyjęciu ich z tosterka, nie zaś przedtem. A wnuczka rodzą się znacznie później niż ich dziadkowie.

Tą ostatnią kwestią większość ludzi nie zaprzęta sobie uwagi. Ja też się do nich zaliczałam – przynajmniej do kwietnia, kiedy to pojawiła się u nas moja babka. Przez taki właśnie drobiazg, który zakłócił porządek rzeczy, zmieniło się całe moje życie. Nie, wcale nie dramatyzuję. Każdy przecież przyzna, że całkowite wymazanie czyjegoś istnienia trzeba uznać za życiową zmianę.

Babki, do czasu jej nagłego pojawienia się, nie widziałam od dziesięciu z górą lat. W starym albumie znalazłoby się kilka pożółkłych fotografii, przedstawiających nas razem, dla mnie jednak była ona jedynie kimś, kto przysyła pieniądze z okazji urodzin czy świąt Bożego Narodzenia – i kogo moja mama nie lubi.

– Ależ to dla niej typowe – zżymała się mama, gdy wychodziłyśmy z metra.  
– Wpada jak burza do miasta i wyznacza audiencję. Nieważne, że mogłyśmy mieć inne plany.

Ja innych planów nie miałam i mogłabym dać głowę, że mama również nie. Wiedziałam jednak też, że raczej nie o to chodziło.

Gdy ruchome schody osiągnęły poziom ulicy i wyszłyśmy na Wisconsin, powitała nas cokolwiek mroźna bryza. Mama podniosła rękę, by przywołać taksówkę, ta jednak zatrzymała się tylko po to, by zabrać innego pasażera.

– Ta restauracja jest tylko kilka przecznic dalej – zauważyłam. – Zdążyłybyśmy dojść...

– Szpilki mnie cisną. – Rozejrzała się, ale nie mając w zasięgu wzroku żadnej innej taksówki, ustąpiła. – Niech będzie, Kate, przejdziemy się.

– Czemu w ogóle kupiłaś sobie te szpilki? Wydawało mi się, że nie obchodzi cię jej zdanie.

Spojrzała na mnie wilkiem i ruszyła wzdłuż chodnika.

– Może już pójdziemy? Nie mam ochoty się spóźnić.

Naprawdę nie chciałam jej denerwować. Zazwyczaj bardzo dobrze się

dogadujemy. We wszelkich jednak sprawach, które dotyczą jej matki, moja mama zachowuje się nedorzecznie. Wspomniałam już o czekach na urodziny i święta? Od razu są odkładane na college, choć mama zwykle mawia, że powinnam sama decydować o wydatkach i mierzyć się z konsekwencjami.

Poprzedniej nocy rozmawiała ze swoją matką przeszło pięć minut – rekordowo długo, odkąd sięgam pamięcią. Słyszałam jedynie głos mamy, ale resztę potrafiłam sobie dopowiedzieć. Babka wróciła z Europy, była chora i chciała się z nami zobaczyć. Mama oponowała, lecz w końcu uległa. Negocjacje przeszły więc na grunt logistyki – dotycząc miejsca (teren neutralny), kuchni (wegetariańska), pory spotkania (dziewiętnasta trzydzieści) i takich tam uzgodnień.

Do restauracji dotarliśmy dobre dziesięć minut przed czasem. Lokal był modny, głównie wegetariański, z ogromnymi podobiznami warzyw na zewnętrznych ścianach, kojarzącymi mi się z jedną ze sfatygowanych książek kucharskich taty. Gdy już tam weszliśmy i mama mogła się upewnić, że rzeczywiście zdążyliśmy przed babką, odetchnęła z ulgą.

Zajęłam krzesło z widokiem na bar. Młodzian za ladą, mieszający drinki z alkoholem i bez, był na swój artystyczny sposób, ciachowaty, o długich włosach związanych w kucyk. Jeśli nawet był dla mnie odrobinę za stary, miałam przynajmniej na czym zawiesić oko, gdy one będą się spierać.

Babka, która się pojawiła kilka minut później, nie pasowała do moich oczekiwań. Choćby dlatego, że była drobniejsza, niż się wydawała na fotografiach – mojego wzrostu, może nawet niższa. Siwe włosy miała ścięte na krótkiego języka i ubrana była swobodnie, w śmiałą drukowaną tunikę i czarne legginsy, o wiele wygodniejsze, jak stwierdziłam z zazdrością, od tego, co ja zmuszona byłam włożyć. I nie wyglądała na chorą. Na odrobinę zmęczoną, owszem. Na schorowaną... w żadnym razie.

Mama najwidoczniej też była tego zdania.

– Witaj, mamó. Zaskakująco dobrze wyglądasz.

– Daruj sobie, Deborah. Nie zapowiadałam, że z końcem tygodnia zejdem z tego świata. – Słowa kierowała do mamy, ale to ze mnie nie spuszczała wzroku, mówiąc. – Musiałam się z tobą zobaczyć i musiałam się też zobaczyć z moją wnuczką, całkiem już dorosłą i bardzo ładną. Szkolne zdjęcia nie oddają twojej urody, skarbie. – Wysunęła krzesło, by usiąść. – Zgłodniałam, Kate. Dobrze tu karmią?

Tak byłam pewna, że będzie mówić do mnie Prudence, iż dopiero po chwili pojęłam, że pytanie było do mnie.

– Nie jest źle – odpowiedziałam. – Mają przyzwoite kanapki, i to nie tylko wegetariańskie. Trochę niezłych ryb. Dobre są desery.

Uśmiechnęła się, kładąc na wolnym krześle obok siebie torebkę, z której uprzednio wyjęła Klucze. Leżały teraz na stoliku, koło jej serwety. Do tego samego



kółka oprócz bardzo pospolitych kluczy przypięty był nader niepospolity, błękitny medalion. Cienki jak opłatek, o mniej więcej siedmiu centymetrach średnicy, roztaczał wokół siebie poświatę, zaskakująco jasną w tej ciemnej sali. Podświetliła ona tył trzymanego przez mamę menu, refleksy tego błękitu widziałam też w sztukach. Światło skojarzyło mi się ze świecącym naszyjnikiem, który kilka miesięcy wcześniej wygrałam na jarmarku hrabstwa Montgomery, to tutaj było jednak o wiele jaśniejsze i bardziej szlachetne. W samym środku tego kręgu umieszczona została klepsydra. Mimo iż medalion leżał płasko na stole, piasek w niej nadal się przesywał.

Mama albo nie zauważyła tej dziwnej ozdoby, co wydawało się niemożliwe, albo też ją zignorowała. Jeżeli zignorowała, nie miałam najmniejszej ochoty wkładać kija w usypywane przez nie obie mrowisko, zwracając jej uwagę na ten przedmiot. Postanowiłam – przynajmniej na jakiś czas – pójść za jej przykładem. Wracając do menu zauważyłam jednak, że babka, zauważywszy moją reakcję na poświatę, nieznacznie się uśmiechnęła. Wyraz jej oczu trudno byłoby określić, odniosłam jednak wrażenie, że odczuła... ulgę.

Przez pierwszą część posiłku wszystkie starałyśmy się, by rozmowa płynęła jak najbardziej gładko. Bezpiecznymi obszarami okazały się pogoda i jedzenie, toteż przez całe dziesięć minut penetrowaliśmy je pod każdym możliwym kątem.

– Jak ci się podoba w Briar Hill? – zapytała mnie babka.

Ochoczo podchwyciłam ten nowy temat, wyczuwając w nim kolejną strefę bezpieczeństwa.

– Uwielbiam tę szkołę. Zajęcia stawiają więcej wyzwań niż wszędzie tam, gdzie przedtem chodziłam. Cieszę się, że tato wziął tę pracę.

Moja nowa szkoła w swej szczodrości zwalnia z chesnego dzieci członków kadry nauczycielskiej. Co więcej, tym z nauczycieli, którzy wyrażają chęć mieszkania na kampusie, oferuje nieduże domki, dzięki czemu trzy lub cztery noce w tygodniu walę się u taty na rozkładaną kanapę. Materac na niej jest gruzłowaty i jeśli przetoczyć się na środek, wyczuwa się żelazny pręt, ale uważam, że to godziwa zapłata za dodatkową godzinę snu w dni szkolne.

– Zdecydowanie wygląda na to, że dobrze trafiłaś... I Harry mówi, że świetnie sobie radzisz.

– Nie wiedziałam, że ty i tata... tak ze sobą rozmawiacie – zaciekawiałam się, choć podejrzewałam, że może to sprowadzić rozmowę na niebezpieczne tory. – To stąd wiedziałas, że wszyscy mówią na mnie Kate?

– Owszem – potwierdziła. – A także dzięki temu, że od kilku lat podpisujesz tym imieniem kartki z podziękowaniami za prezenty urodzinowe i świąteczne.

Wtopa. O tym nie pamiętałam.

– Przepraszam, jeśli to ciebie zabolalo. Naprawdę mi przykro, ale...

– Czemu, u licha, miałoby zaboląć? Prudence było okropnym imieniem

i czterdzieści lat temu, ale skoro ja wybrałam imię dla twojej mamy, wydawało się uczciwe, by nazwanie jej bliźniaczki powierzyć Jimowi. Dał jej na imię Prudence po swojej matce. Słodka była z niej dama, nadal jednak uważam, że dla małego, bezbronnego dzieciaczka takie imię to straszny ciężar.

Mama, która, rzecz jasna, obarczyła tym samym ciężarem małą, bezbronną mnie, w milczeniu zniosła ten niebezpośredni przytyk, babka kontynuowała więc:

– Jestem najzupełniej pewna, że imię Prudence trudno uznać za dostatecznie odjazdowe dla szesnastolatki. I muszę przyznać, że schlebia mi, iż wybrałaś, zamiast niego, moje.

To mnie do reszty skołowało.

– Ale myślałam... To nie masz na imię Prudence, jak ona?

Obie się roześmiały i wyczułam, że napięcie wokół tego stolika odrobinę zelżało.

– Nie, na imię ma Katherine, jak ty – odparła mama. – Prudence nadaliśmy ci na cześć matki mojego ojca, a na drugie imię dostałaś Katherine, po mojej matce. To dlatego jesteś Prudence Katherine. Myślałam, że o tym wiesz.

Co za ulga. Cały dzień się martwiłam, czy to, że obstaję przy nazywaniu mnie Kate zamiast Prudence, nie urazi uczuć babki. To imię było stałym punktem moich sporów z mamą. Zanim w styczniu przeszłam do szkoły w Briar Hill, chciałam je nawet legalnie zmienić, żeby zapobiec ewentualnemu przeciekowi tak kompromitującej informacji do moich potencjalnych wrogów. Jednak ledwie zasugerowałam ten temat, oczy mamy tak zwilgotniały, że sobie odpuściłam. Jeśli nosisz imię po ciotce, która umarła tak młodo, opcje masz ograniczone.

Zepchnęłam na bok talerza zanadto papkowaty kawałek cukinii i znacząco popatrzyłam na mamę, po czym odpowiedziałam:

– Skoro nigdy nie słyszałam z twoich ust jej imienia, to skąd miałam wiedzieć? Mówisz tylko „twoja babka”.

Babka skrzywiła się z niesmakiem.

– Ty pewnie wolałabyś babcię? – podpuściłam ją. – Czy może babunię?

Wzdrygnęła się.

– W żadnym wypadku, zwłaszcza nie to ostatnie. A może tak Katherine? Nigdy nie przepadałam za formalnymi tytułami, a dla wszystkich jestem właśnie Katherine.

Skinęłam głową na znak aprobaty, mama zaś zganiła mnie spojrzeniem sugerującym, że za bardzo zacieśniam więzi z wrogiem.

Kelnerka przyniosła mamie kolejnego merlota i dopełniła nasze szklanki wodą. Zdumiało mnie, że podchodząc do naszego stolika, nawet nie zerknęła na medalion – przecież czegoś takiego nie widuje się co dzień. Poświata nasyciała lejącą się z dzbanka wodę migotliwym, delikatnym błękitem. Myślałam, że odchodząc, kelnerka przynajmniej obejrzy się przez ramię, jak robią to osoby, które

mimo zaciekawienia nie chcą okazać się nachalne, lub jak w tym przypadku, nie chcą się narazić na utratę napiwku. Poszła jednak prosto do kuchni, zatrzymując się tylko na krótką wymianę zdań z Ciachem z Kucykiem.

Przebrnęliśmy już przez większość uczty, gdy niechcący weszłam w tę rozmowę na kolejną minę.

– Blisko masz do swojego hotelu? – spytałam, myśląc, że może załatwię sobie wizytę w miejscu z jakimś fajnym basenem i sauną.

– Nie zatrzymałam się w hotelu – stwierdziła Katherine. – Kupiłam dom. Zresztą, niedaleko twojej szkoły.

Mama zastygła z widelcem pełnym risotta w połowie drogi do ust.

– Kupiłaś... sobie... dom.

– Owszem. Od kilku dni koczujemy tam z Connorem, a ludzie od przeprowadzki wreszcie skończyli swoje i zostało nam tylko uporządkowanie wszystkiego. Harry polecił mi bardzo sympatycznego agenta nieruchomości.

– Harry. – Mama zacisnęła usta, a ja odniosłam wrażenie, że tata na jakiś czas trafi na jej czarną listę. Podjęła temat, bardzo precyzyjnie podkreślając każde słowo tonem, który dla mnie zawsze kończył się szlabanem. – Jesteś więc w mieście od kilku tygodni i przez ten czas nie raczyłaś do mnie zadzwonić, za to skontaktowałaś się z moim byłym mężem, który okazał się tak miły, że znalazł ci agenta nieruchomości. I zachował to w tajemnicy.

– Nie byłam pewna, jak przyjmiesz moją decyzję – powiedziała Katherine.

– Harry natomiast mnie lubi. I poprosiłam go, w ramach specjalnej przysługi, żeby tych spraw nie nagłaśniał. Pewna jestem, że ciężko mu to przyszło. Skrytość nie leży w jego naturze. – Z tym się w duchu zgodziłam: tato pod wieloma względami stanowił otwartą księgę.

– W porządku. A zatem kupiłaś dom. – Mama odłożyła widelec z nietkniętym wciąż risottem na talerz i odsunęła się z krzesłem od stolika. Obawiałam się, że czeka nas teraz dramatyczne wyjście, ona jednak stwierdziła tylko: – Muszę teraz iść do toalety. Kiedy wrócę, może opowiesz mi dokładniej, co to za Connor.

Jak tylko mama znalazła się poza zasięgiem słuchu, Katherine nachyliła się do mnie, podsuwając ów jarzący się błękitem krążek.

– Oni tego nie widzą, skarbie. Nie... to nie całkiem tak. Widzą brelok, ale inaczej niż my. Jaką barwę ma dla ciebie to światło? Błękitną, prawda?

Uniosłam brew.

– Oczywiście, że to błękit.

– Nie dla mnie. Ja widzę wdzięczny oranż. Coś jak lody pomarańczowe.

– To błękit – powtórzyłam. – W życiu nie widziałam nic bardziej błękitnego. Wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem rządzącej nim fizyki. Poznałam jednak dotąd może z kilka

tuzinów ludzi rzeczywiście umiejących dostrzec to światło i każde z nas widzi je odrobinę inaczej.

Katherine umilkła i zerknąwszy przez ramię, czy mam nie wraca, wsunęła medalion do torebki.

– Nie możemy teraz tego szczegółowo omawiać, tak wiele musisz się dowiedzieć.

Ton ponaglenia, wyczuwalny w głosie Katherine, uruchomił mi w głowie dzwonki alarmowe. Zanim jednak zdołałam poprosić o uściślenie, czego to według niej powinnam się dowiedzieć, złapała mnie za rękę i przytrzymała ją oburącz.

– Chcę, żebyś teraz wiedziała jedno, Kate. To nie były ataki paniki.

Zamrugałam, zaskoczona, że wiedziała o dwóch zdarzeniach, które tak okropnie mną wstrząsnęły. „Psycholog”, do którego zabrała mnie mama w lutym, tuż po drugim z nich, nazwał je atakami paniki, związanymi najprawdopodobniej z przeniesieniem do nowej szkoły w środku roku szkolnego. Nie miało to sensu. Gdybym miała przeżywać ataki paniki, działoby się to już podczas pięciu miesięcy u Roosevelta, gdzie po dwóch latach na kompletnym odludziu w sennym stanie Iowa, musiałam się oswajać z wykrywaczami metali i strażnikami szkolnymi. To nie wyjaśniało też zdarzenia, które miało miejsce, gdy jeszcze mieszkaliśmy w stanie Iowa, choć akurat ono, jak przypuszczam, mogło zostać wywołane przez totalne znudzenie.

W obu przypadkach owładnęło mną nagłe i potężne poczucie, że jest totalnie inaczej, niż powinno być, choć nie umiałabym wskazać, o co konkretnie chodziło. Moje ciało gwałtownie przechodziło w stan typu „łać i wiać” – gdy serce łomocę, a ręce się trzęsą – i nic wokół mnie nie wydawało się rzeczywiste. Podczas ostatniego ataku wybiegłam z klasy, prosto do mojej szafki. Zadzwoiłam do mamy, przerywając jej zebranie. Zachowała się w porządku. Potem poszłam do gabinetu taty. Tam go nie było, a że nie byłam pewna rozkładu jego zajęć, ganiałam wte i wewte po korytarzach, przystając tylko po to, by zaglądać do klas przez prostokątne okienka w drzwiach. Znalazłam go trochę uniesionych ze zdziwienia brwi i kilka gniewnych spojrzeń później. Też się zachował w porządku. Puściłam esemesa do mojej najlepszej przyjaciółki, Charlayne, mimo iż wiedziałam, że też ma lekcje i mi nie odpowie.

Potem poszłam do łazienki dla dziewcząt i zwróciłam cały obiad. Wrażenie, że coś jest nie tak, utrzymywało się jeszcze przez szereg dni.

Już otwierałam usta, żeby zapytać Katherine, skąd wie o moich atakach paniki, gdy do stolika wróciła mama, z lekkim uśmiechem na zaciśniętych wargach. Dobrze znałam ten uśmiech – nazywaliśmy go z tatą wyrazem typu „Zobaczmy, jak się z tego wytłumaczysz” – nie zapowiadający nigdy niczego przyjemnego.

– W porządku więc, kupiłaś dom. W Bethesdzie. Z jakimś Connorem.

– Nie, Deborah. Dom w Bethesdzie kupiłam sama. Connor to mój podwładny i przyjaciel. Jest wspaniałym archiwistą i specem od komputerów i ogromnie mi pomaga od śmierci Phillipa.

– Cóż, chyba mogło być gorzej. Myślałam, że może pocieszyłaś się po śmierci Phillipa równie szybko, jak po tacie.

Auć! Mój wzrok przeniósł się na bar, w nadziei, że Ciacho z Kucykiem pomoże mi odwrócić od nich uwagę, nigdzie go jednak nie wypatrzyłam. Popatrzyłam więc na krzesło obok mnie – byle tylko uniknąć spotkania z którymkolwiek ze spojrzeń znad naszego stolika. Przez otworki w tkaninie, z której uszyta była torebka Katherine, wydobywały się ostre smużki światła medalionu. Wyglądało to tak, jakby na krześle usiadł jeżozwierz o barwie zimnego błękitu, musiałam więc zrobić wszystko, by pomimo tej głupiej wizji i nadszarpniętych już wcześniej nerwów zachować stosowną powagę.

Przez chwilę wydawało się, że Katherine puści mimo uszu kąśliwy komentarz mamy, ona jednak w końcu przeciągle westchnęła.

– Deborah, wolałabym nie wyciągać z tobą starych historii, ale nie pozwolę ci na złośliwe uwagi w obecności Kate, nie przedstawiając jej tej sprawy od mojej strony. – Odwróciła się do mnie i powiedziała: – Za Phillipa wyszłam trzy lata po śmierci twojego dziadka. Twoja matka najwyraźniej uważa, że zbyt wcześnie. Phil jednak przez całe lata był moim przyjacielem i współpracownikiem, a ja czułam się samotna. Przeżyliśmy piętnaście dobrych lat i bardzo mi go brakuje.

Uznałam, że najbezpieczniej będzie zdobyć się na miły uśmiech. Z mojej perspektywy trzy lata wyglądały jak stulecie.

– Czemu zatem nie skupimy się na samym domu? Po co kupować dom, skoro jesteś taka chora? Nie rozsądniej byłoby przenieść się do jakiegoś domu opieki?

Uznałam tę sugestię za dość paskudną, ale siedziałam cicho. Katherine tylko pokręciła głową, po czym sięgnęła po torebkę.

– Muszę brać pod uwagę swój księgozbiór, Deborah. W domach starców nie zapewniają aż tyle miejsca na książki. Wolę też cieszyć się czasem, jaki mi pozostał. Gry zespołowe i pokerek na zapałki jakoś nie figurują na liście rzeczy, które muszę zrobić przed śmiercią.

Otworzyła torebkę i stolik skąpał się w błękitnym świetle. Uważnie przyglądałam się мамie. Widziałam, że choć ten poblask odbija się w jej oczach, ani na jotę nie zmieniła wyrazu twarzy. Nie pojmowałam, jak to możliwe, ale niewątpliwie nie dostrzegała światła z medalionu.

– Powiem więc krótko. Mam guza mózgu. Jest nieoperowalny. – Katherine, nie czekając na naszą reakcję, mówiła dalej: – Próbowaliśmy chemioterapii i naświetlania, co powinno wytłumaczyć brak włosów. – Przejechała dłonią po głowie. – Powiedziano mi, że kilka lat temu uznano by to za szczyt mody. Zła

wiadomość jest taka, że został mi prawdopodobnie tylko rok – nieco więcej, jeżeli mi się poszczęści, lub trochę krócej, jeśli nie. Dobrą nowinę zaś stanowi fakt, że według mojego lekarza w ciągu tego okresu, jaki mi pozostał, będę w stanie robić większość tego, co bym chciała, poza małymi wyjątkami.

Wyjęła z torebki podłużną kopertę i wyłożyła jej zawartość – kilka kartek, wyglądających bardzo urzędowo.

– To mój testament. Po Phillipie odziedziczyłam znaczną sumę pieniędzy. Wszystko przejdzie na Kate, łącznie z domem. Jeżeli umrę, zanim osiągnie pełnoletność, proszę ciebie, Deborah, byś wzięła na siebie rolę jej powiernika, dopóki nie ukończy osiemnastu lat. Zastrzeżenie jest tylko jedno. Musicie nadal zatrudniać Connora, żeby kontynuował moje prace. Kate, gdy dorośnie, będzie miała pełne prawo to zmienić, ufam jednak, że pozwoli mu zostać tak długo, jak będzie chciał. Jeżeli nie podejmiesz się roli powiernika, poproszę Harry’ego.

– Mam też jedną prośbę – dodała. – Nie chciałam zamieniać jej w warunek. Nowy dom jest duży i stoi niecały kilometr od szkoły Kate. Mam nadzieję, że obie zechcecie zamieszkać ze mną. – Tu Katherine przypatrywała się mamie, która na tę sugestię wyraźnie się wzdrygnęła, podjęła więc przerwany wątek dopiero po chwili. – Deborah, jeżeli wolisz pozostać bliżej uniwersytetu, poproszę o to samo Harry’ego. Tak czy inaczej, Kate będzie spędzać ze mną część każdego tygodnia, co da nam czas na bliższe poznanie.

Pchnęła papiery w stronę mamy.

– Ten egzemplarz jest dla ciebie. – Uścisnęła mi dłoń, potem wstała i podniosła torebkę. – Wiem, że potrzeba wam czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Dokończcie, proszę, kolację i, jeśli macie ochotę, zamówcie deser. Wychodząc, zajmę się rachunkiem.

I rzeczywiście wyszła, zanim mama czy ja zdążyłyśmy cokolwiek powiedzieć.

– Cóż, poczucia dramatyzmu nie zatraciła. – Mama podniosła dokument za jeden z rogów, jakby obawiała się, że ją ugryzie. – Ja nie chcę się do niej przeprowadzać, Kate. I nie patrz na mnie jak na zło wcielone. Jeżeli chcesz spełnić zawarty w testamencie twojej babki warunek i przetrwać rok w nawiedzonym domu, będziesz musiała przekonać do tego swojego tatę.

– I kto tutaj dramatyzuje? Mój pobyt tam nie jest wpisany w testament. Powiedziała, że to tylko prośba. I nie uważam ciebie za „złą”. Rany, mamo, przecież ona umiera. Nie jest potworem i wydaje się bardzo... – Przerwałam, szukając odpowiedniego słowa. – Należałoby chyba powiedzieć: niebanalna. I może gdybyś spędziła z nią więcej czasu, popracowałybyście nad dzielącymi was różnicami, żeby ci oszczędzić poczucia winy po jej śmierci.

Zapracowałam tym sobie na krzywe spojrzenie.

– Kate, nie jestem teraz w nastroju na amatorską psychoanalizę. Wielu

rzeczy nie rozumiesz i zapewne nie zrozumiesz, dopóki sama nie będziesz miała dzieci. Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewna, czy chciałabym, żebyś się z nią widywała, a co dopiero tam zamieszkała. Jest samolubną manipulatką i nie chciałabym, żeby cię skrzywdziła.

– Nie rozumiem, jak możesz nazywać ją samolubną, skoro zapisuje nam takie mnóstwo pieniędzy. Zakładam przynajmniej, że jest ich mnóstwo.

Mama zerknęła na kopertę.

– Sądzę, że takie założenie możesz bezpiecznie przyjąć. Mam jednak nadzieję, że nauczyłam cię, Kate, iż pieniądze to nie wszystko. Jest jeszcze coś takiego, jak oddawanie siebie, gdy ktoś cię potrzebuje. Twojego czasu, uwagi, współczucia...

Pociągnęła ten wątek, gdy uporowała się z resztkami wina w kieliszku.

– Zawsze bliżej mi było do mojego taty niż do matki, ale po wypadku rozpaczliwie jej potrzebowałam. Straciłam ojca i siostrę bliźniaczkę. Z tatą ledwie zdążyłam się pożegnać... a Prudence po prostu odeszła. Żadnego pożegnania, nic z tych rzeczy. Czułam się taka osamotniona. Obie cierpiałymy z powodu tej samej straty, ale matka zamknęła się w swojej sypialni i prawie jej nie widywałam. Wyszła tylko na pogrzeb, a zaraz potem wróciła do tej sypialni.

Mama w zadumie przejechała palcem po krawędzi pustego kieliszka.

– Może to właśnie przyciągnęło mnie do twojego taty. Harry był pierwszą znaną mi osobą, która rozumiała ten rodzaj straty.

Rodzice mojego taty zginęli w wypadku samochodowym, gdy miał zaledwie pięć lat; on sam cudem przeżył tamto zderzenie. Z tych, których ja kochałam, nikt jeszcze nie umarł i oboje, mama i tato, byli zawsze pod ręką, kiedy ich naprawdę potrzebowałam. Niewątpliwie jednak potrafiłam wczuć się w takie osamotnienie. Po każdym z „ataków paniki” odnosiłam wrażenie, że nikt nie potrafi zrozumieć, przez co przeszłam. Wściekałam się, gdy mama i tato usiłowali je bagatelizować, uznając za stany normalne i wytłumaczalne, podczas gdy ja wiedziałam, że na pewno takie nie są.

– Wierzyłam zawsze – mówiła dalej mama – że matka powinna się przejmować przede wszystkim swoim dzieckiem, a dopiero potem własnymi potrzebami. Mnie samej prawdopodobnie nie zawsze wychodziło to tak dobrze, jak powinno. I... nie chciałabym, żebyś za dwadzieścia lat spojrziała w przeszłość i była taka wściekła na mnie, jak ja na nią.

– Ja nie chcę mieszkać z moją matką i nie chcę jej pieniędzy. Ale – dodała – ty wkrótce będziesz dorosła i już teraz masz dość lat, by decydować o sobie. Nie będę ci blokowała widywania się z nią, jeśli tego chcesz. Tobie i tacie pozostaje dopracować resztę. Uczciwie stawiam sprawę?

Przytaknęłam. Spodziewałam się, że będzie wałkowała ten problem całymi dniami, a nawet tygodniami, zaskoczyło mnie więc, że już podjęła decyzję.

– Chcesz, żebyśmy podzieliły się deserem?

Uśmiechnęła się.

– Nie, dzieciaku. Chcę mieć swój własny. Potrzebuję czegoś dużego i megasłodkiego, z całym mnóstwem czekolady.



Spóźniłaś się, młoda damo. – Ledwie weszłam w drzwi, tato wepchnął mi w ręce miskę warzyw. – Musimy się sprężyć, żeby przygotować jambalayę przed przyjściem Sary. Nóż jest na stole. Ciach, ciach.

Przewróciłam oczami, że marny kawał, choć w sumie nic przeciwko takim nie mam. Jeśli tata rzuca sucharami, znaczy humor mu dopisuje.

Oboje lubimy gotować, ale w dni szkolne zwykle brakuje czasu na coś więcej niż zupa i kanapki. W niedziele za to idziemy na całość. Zwykle dołącza do nas dziewczyna taty, Sara, by kosztować eksperymentów kulinarnych stanowiących gwóźdź tygodnia. Niestety, kuchni nie zaprojektowano z myślą o czymś śmielszym niż pizza z mikrofali. Przy blacie ledwo starcza miejsca dla jednej osoby, o dwóch można zapomnieć. Dlatego siedziałam przy stole, krojąc „świętą trójcę” kuchni kreolskiej – paprykę, seler naciowy i cebulę – podczas gdy tato stał przy zlewie ze swoją partią prac przygotowawczych.

Koperta z testamentem Katherine leżała na drugim końcu niewielkiego stołu, na tyle daleko, bym jej nie opryskała przy krojeniu. Wrzucając ostatnie kawałki selera do miski, zerknęłam na tatę.

– Masz pozdrowienia od mamy. I od Katherine.

Tacie lekko zrzędła mina.

– Auć. Jak głęboko tym razem jestem umoczony?

Uśmiechnęłam się i zaczęłam ciąć paprykę na wąskie paseczki.

– Według mnie po szyję. Katherine powiedziała, że pomogłeś jej znaleźć agenta nieruchomości.

– Dałem adres strony znajomego Sary, który jej zdaniem mógł się nadać. Trudno byłoby to nazwać wspieraniem wroga i kolaboracją. – Wrócił do siekania szynki. – I co, zamierza kupić tutaj dom?

– Już go kupiła. Podobno trzy kroki od Briar Hill, musi więc być naprawdę blisko. Myślałam, że wiesz.

Roześmiał się.

– Nie wiedziałem. Katherine chyba uznała, że tym łatwiej będzie mi się żyło, im mniej będę wiedział o jej planach. Ale powiem ci, cieszę się, że wróciła. – Jego oczy, zielone jak moje, posmutniały. – Jak się czuje?

– Więc wiesz, że jest chora?

– Tak. Wyjawiała mi to w ostatnim mailu. Niewesoło. Zawsze lubiłem Katherine, mimo tego, co twoja mama do niej czuła.

Zebrałam paseczki zielonej papryki w stosik i przekręciłam go, by zacząć siekać.

– Patrząc na nią, nie pomyślałoby się, że umiera. Ma superkrótkie włosy,

mówiła, że to po leczeniu. Nie pamiętam, jak wyglądała dawniej, choć ją znam, oczywiście, z paru naprawdę starych fotografii. – Przez moment się wahałam. – Opowiadałaś jej o moich... atakach paniki... czy może to mama?

– Hm... To ja. Źle zrobiłem? Zamałowała do mnie jakiś czas temu, pytając, co u ciebie. Ja się o ciebie niepokoiłem i pomyślałam, że może mama, będąc w twoim wieku, też coś takiego przechodziła. Sądzę, że mógłbym bezpośrednio zapytać o to twoją mamę, ale wyciąganie z Deborah tego typu informacji przypomina wyrywanie zębów...

– W porządku – zapewniłam go. – Po prostu, byłam ciekawa. Mówiła ci o testamencie?

– Nie – odpowiedział. – Pojęcia nie miałem, że jest jakiś testament. Znów próbuje nakłonić twoją mamę, by przyjęła pieniądze?

– No, nie całkiem tak. – Odwrotną stroną noża zsunęłam paprykę do miski i zabrałam się za cebulę. – Katherine mówi, że to mnie wszystko zapisała, łącznie z dużym domem, który kupiła. I z masą innych rzeczy. I jeśli mamie coś się nie odmieni, obawiam się, że ty będziesz musiał stać się powiernikiem czy wykonawcą testamentu, czy kimś tam w tym guście.

Tato o mało nie zaciął się w palec. Ostrożnie odłożył nóż na deskę i przysunął sobie drugie krzesło, wytarłszy ręce w ściereczkę do naczyń.

– Powiernikiem?

Podałam mu kopertę i przez chwilę przeglądał w milczeniu dokumenty.

– Nie miałem pojęcia, że Katherine stać na kupno takiego domu, tym bardziej w tej okolicy. Myślałem, że może szuka domu w mieście lub czegoś podobnego. Ten znajomy Sary wisi mi piwo, a nawet sześciopak za podesłanie mu takiej prowizji.

– Jest coś jeszcze – powiedziałam. – Katherine chce, żebym się do niej wprowadziła. No, znaczy razem z mamą, ale jej odpowiedź chyba z góry znała. Wiedząc, że jedną część tygodnia spędzam tutaj, a drugą z mamą, powiedziała, że w razie odmowy mamy zwróci się do ciebie.

– To warunek zapisany w testamencie?

– Nie. Ale ja chcę to zrobić.

Tato przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

– Na pewno, Katie? Wątpię, czy najbliższe miesiące będą dla twojej babki łatwe. I choć może to zabrzmieć odrobinę bezdusznie, im bardziej się z nią zbliżysz, tym większy będzie ból po jej odejściu. Wiesz, przejmuję się Katherine, ale przede wszystkim chodzi mi o ciebie.

– Wiem, tato. Myślę jednak, że jest samotna. – Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu o medalionie, nie byłam jednak pewna, czy mi uwierzy. Nie uznaliby, że kłamię, mógłby się jednak zaniepokoić, czy mi nie odbija. I chociaż nie musiałam przysięgać, że dochowam tajemnicy, rozmowa o tym z kimś innym, nim

Katherine będzie miała okazję powiedzieć mi coś więcej, wydawała się nadużyciem zaufania. – Chcę ją lepiej poznać. Zanim będzie za późno...

Westchnął i wyprostował się na swym krześle.

– Co mówi twoja mama?

– Mama nie wprowadzi się do niej, nawet na krótko. Jednak co do reszty, sprawę zostawia nam. Byłbyś tutaj w te dni, gdy ja jestem z mamą, tak żebyś mógł te parę nocy spędzać z Sarą... – Twarz taty pokrył ciemny rumieniec, a ja w myślach wymierzyłam sobie kopa. Już parę miesięcy temu wyczytałam, że gdy przebywam u mamy, Sara nocuje tutaj, ale chyba nie najlepszy wybrałam sposób, by dać mu do zrozumienia, że to wiem.

– Hm. Racja. – Wstał i wrócił do swej deski. – Myślę, że zanim do końca to omówimy, powinienem pogawędzić z twoją mamą. Skoro już jestem umoczony po szyję, wolałbym uniknąć pogorszenia sprawy. Ale jeśli ona naprawdę nie ma nic przeciwko, a ty jesteś pewna, że tego chcesz...

Kiedy jambalaya, wspaniale pachnąc, bulgotała na małym ogniu, tato zabrał swoją komórkę i testament i przeszedł do sypialni. Ja wyjęłam z plecaka książkę do astronomii i spróbowałam przeczytać to, co mi zadano, niełatwo jednak było się skupić. Spodziewałam się, że z sypialni dobiegną zaraz podniesione głosy – co zresztą było dość głupie, bo tato nigdy nie krzyczał, a mamę przez jego komórkę raczej trudno byłoby mi usłyszeć, gdyby nawet zdzierła sobie gardło.

Właśnie wstałam, by zamieszać w garnku, gdy tato wrócił. Wręczył mi testament oraz skrawek papieru, na którym zapisał jakiś numer telefonu.

– Poszło lepiej, niż się spodziewałem. Twoja mama wydaje się chyba... już z tym pogodzona. I mówi, że decyzja należy do nas... Tylko żeby ją możliwie jak najbardziej z tego wyłączyć. Rozzłościła się tylko, gdy napomknąłem, że mogłaby pomyśleć o poświęceniu odrobiny czasu Katherine. Powiedziała, że bym się nie mieszał w jej sprawy. No, nie tak grzecznie.

Wyjął z jednej z wiszących szafek talerze – co stanowiło czynność skomplikowaną, wymagało bowiem uprzedniego przesunięcia miski do płatków i niewielkiego cedzaka.

– Sara będzie lada moment. Czemu nie mielibyśmy zjeść razem kolacji, po której będziesz mogła zadzwonić do swojej babki z dobrą nowiną? Mam tylko nadzieję, że kupiła dom z fajną, dużą kuchnią.

∞

W poniedziałek wstałam dobrze przed świtem, mając tak wczesnym rankiem więcej energii niż zazwyczaj. Wzięłam prysznic, ubrałam się i zastukałam do drzwi taty. Już nie spał, ale nie wyglądał na uszczęśliwionego tym faktem.

– Musisz się pośpieszyć, tato, inaczej się spóźnimy.

Ziewnął i pokolebał się pod prysznic.

– Cierpliwości, pasikoniku. To pięć minut spacerkiem.

Poprzedniego wieczoru, kiedy zadzwoniłam do Katherine z nowinami, powiedziała mi, jak trafić do jej domu, i zapytała, czy nie wpadlibyśmy przed szkołą na szybkie śniadanie.

– Wiem, że nie będzie zbyt dużo czasu na rozmowę, na prawdziwą rozmowę. Po prostu chciałabym się z tobą zobaczyć. Taka jestem szczęśliwa, że się tu zatrzymacie. I chcę, żebyś poznała Connora, no i Daphne, oczywiście.

Zanim się rozłączyła, nie miałam okazji zapytać, kto to jest Daphne, dowiedziałam się tego jednak, jak tylko razem z tatą przestąpiliśmy próg tego wielkiego domu z szarego kamienia. Rosła seterka irlandzka wyskoczyła nie wiadomo skąd, oparła mi łapy na ramionach i potraktowała bok mojej twarzy długim, mokrym liźnięciem. Miała wielkie ciemne oczy i punkciki siwizny na kasztanowym nosie.

– Daphne, ty bestio, złaż no! Bo przewrócisz Kate! – Katherine ze śmiechem pociągnęła sukę za obrozę. – Mam nadzieję, skarbie, że nie boisz się psów. Jest naprawdę kochana, tyle że najpierw skacze, potem myśli. Coś ci zrobiła?

– Nie, jest piękna. I lekka, jak na tak dużego psa.

– Cóż, składa się głównie z sierści. I obawiam się, że trochę przesadza z podekscytowaniem. Gdy się wprowadzaliśmy, musiała siedzieć zamknięta w budzie. To, że ma do zbadania cały nowy dom i podwórko, tak ją uszczęśliwiło, że znów broi jak szczeniak.

Katherine zamknęła za nami drzwi.

– Harry, cudownie cię widzieć. Wejdźcie, zostawcie tu swoje rzeczy i chodźmy już do kuchni, żebyście oboje zdążyli na zajęcia.

Kuchnia była duża, otwarta na pokój. Przez rozsuwane drzwi, prowadzące na małe patio, prześwitywały pierwsze, nieśmiałe promienie słońca. Na odległym krańcu pokoju widać było wielkie okno wykuszowe, a pod nim tapicerowany fotel, wyglądający na idealne miejsce, by w deszczowy dzień skulić się tam z dobrą książką.

– Harry zapewne pamięta, że nie ma na świecie gorszej kucharki ode mnie – powiedziała Katherine. – Postanowiłam więc, że lepiej podać wam bajgle, niż dręczyć babcinym wykonaniem muffinek z jagodami. Oto serek śmietankowy, owoce, sok pomarańczowy i kawa. I owszem, Harry, nastawiłam wodę na herbatę. Earl Grey czy English Breakfast?

Spojrzałam w stronę blatu, który wskazywała, i w pierwszej chwili myślałam, że za wielkim pudłem z bajglami świeci się lampka. Potem uświadomiłam sobie, że to medalion, rozsiewający taki blask, jak w restauracji.

Zaskoczyło mnie, że tato, przerywając nagle wybór bajgli, sięgnął po niego.

– Wciąż jeszcze go masz!

– O, tak – potwierdziła Katherine. – Wszędzie ze mną wędruje. To, można powiedzieć, mój talizman.

– Ile wspomnień się z nim wiąże. Na pewno nie pamiętasz, Katie, ale jako maluch byłaś nim totalnie zafascynowana. Ilekroć Katherine przyjeżdżała w odwiedziny, wdrapywałaś się jej na kolana, żeby się w niego wpatrywać. Chyba niczego innego bardziej nie lubiłaś. Uśmiechałaś się i śmiałaś, jakby to była najlepsza zabawka na świecie. Nazywałaś ją...

– Niebieskim Światłem – podpowiedziała cicho Katherine.

– Właśnie – powiedział tato. – Początkowo nie byliśmy pewni, co mówisz, brzmiało to jak „bieś-kie”. Nawet kiedy już znałaś wszystkie kolory, ten nadal nazywałaś „niebieskim światłem”. Gdy twoja mama albo ja próbowaliśmy cię poprawiać, poważniałaś i mówiłaś: „Nie, tato, to jest NIEBIESKIE ŚWIATŁO”. W końcu się poddaliśmy. – Zmierzwił mi włosy, jak robił to, gdy byłam mała. – Byłaś taka słodziutka.

Odłożył medalion na blat, więc ja go wzięłam, by się lepiej przyjrzeć. Jak na swoje rozmiary, był zaskakująco lekki. Ledwie go czułam na dłoni. Zaciekawiona, palcami drugiej ręki musnęłam jarzący się środek i poczułam nagłe, intensywne uderzenie energii. Z krążka na wszystkie strony rozprysnęły się, pod najróżniejszymi kątami, wąskie promyki światła i pokój jakby zginął w tle. Słyszałam rozmowę taty z Katherine, ale tak jakby dobiegała z radia lub telewizora, stojącego gdzieś w odleglejszej części domu.

Kuchnię zastąpił wir obrazów, dźwięków i zapachów, jeden po drugim raptownie przepływających mi przez głowę: pole pszenicy, falującej na wietrze, ogromne białe budynki, przepełnione cichym brzęczeniem, stojące chyba blisko oceanu, ciemna dziura, która mogła być jakąś jaskinią, czyjeś – może dziecięce – łkanie.

Potem znów się znalazłam na polu pszenicy i było ono tak rzeczywiste, że czułam zapach zboża, widziałam małe owady i drobiny kurzu, unoszące się w powietrzu. Zobaczyłam swoje dłonie, wyciągające się ku twarzy młodego mężczyzny – ciemne oczy, intensywnie wpatrujące się we mnie spod długich rzęs, czarne włosy, przesuwane pod moimi palcami, gdy wyczuwałam zarysy jego opalonego, umięśnionego karku. Czułam uścisk wokół mojej talii, siłę przyciągającą mnie ku jego ciału, ciepły oddech na mojej twarzy, jego wargi niemal dotykające moich...

– Kate? – Głos taty przebił mgłę, spowijającą mi mózg, gdy złapał mnie za rękę, trzymającą medalion. – Katie? Dobrze się czujesz?

Nabrałam głęboko tchu i odłożyłam medalion, przytrzymując się blatu, żeby nie upaść.

– Hm... Tak. – Czułam rumieniec wypływający mi na policzki. Nie miałam

wątpliwości, że tak właśnie bym się czuła, gdyby tato pierwszy raz przyłapał mnie na całowaniu się z kimś, co byłoby chyba bardzo bliskie doświadczeniu, jakiego właśnie doznałam. – Trochę mi się tylko... kręci w głowie.

Katherine przesunęła medalion na tył kuchennego blatu. Pobladła i kiedy spotkałam się z nią wzrokiem, niemal niezauważalnie potrząsnęła głową.

– Odnoszę wrażenie, że po prostu potrzebne jej jest śniadanie, Harry. – Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do kącika śniadaniowego.

Dobrze zrobiła. Szło mi się bardzo chwiejnie. Nigdy nie miałam takich halucynacji, a te odgłosy i obrazy wydawały się tak rzeczywiste, jakbym naprawdę tego doświadczała.

Tato uparł się, żebym siedziała, a sam przyniesie mi bajgla i trochę soku. Właśnie wrócił z nimi do stołu i zaczął kolejną opowieść z serii „A pamiętasz...”, gdy w drzwiach pojawił się wysoki, rudowłosy mężczyzna w trudnym do określenia wieku.

– Dzień dobry, Katherine.

– Connor! – zawołała Katherine. – Już miałam po ciebie dzwonić, żeby powiedzieć, że zjawili się nasi nowi domownicy. Ten dżentelmen to Harry Keller. A to moja wnuczka, Kate.

– Connor Dunne. Miło mi pana poznać. – Żwawo potrząsnął dłonią taty, potem odwrócił się do mnie. – I Kate... Cieszę się, że tu jesteście. Mamy mnóstwo do zrobienia.

– Potrzebujecie pomocy przy rozpakowywaniu? – spytałam.

Connor obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem, potem popatrzył na moją babkę.

– Spokojnie, Connor – powiedziała. – Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozplanowanie biblioteki, gdy Kate i Harry się zadomowią. Weź sobie bajgla i ciesz się porannym słońcem. Uszczęśliwi cię pewnie, że tym razem mamy też pumpernikiel.

Odwróciła się do taty.

– Connor pracuje ze mną od dwóch lat i bez niego bym sobie po prostu nie poradziła. Pomagał digitalizować moje zbiory, ale doszliśmy dopiero do połowy, zanim... – Urwała, jakby szukała odpowiedniego słowa. – Zanim zapadła decyzja o przeprowadzce.

– Dużo masz książek? – spytałam.

Tato, nakładający właśnie na bajgla serek śmietankowy, parsknął.

– Zbiory Katherine mogą zawstydzić Amazon.

Katherine roześmiała się i pokręciła głową.

– Aż tylu książek to nie mam! Posiadam jednak wiele woluminów, których nie znajdzie się tam ani raczej nigdzie indziej.

– Jakiego to rodzaju książki? – zapytałam. – Na dobrą sprawę, nie wiem,

czym się zajmujesz...

– Jestem historykiem, jak twoja matka. – Zawahała się. – Zaskoczyło cię, że Deborah poszła w moje ślady, prawda? – Owszem, zaskoczyło, uznałam jednak, że nieuprzejmie byłoby to podkreślać. – Broniła się, ale obawiam się, że mamy to w genach. Nie miała wyboru. Zajmuje się jednak historią najnowszą. Większość moich badań dotyczy odleglejszych epok...

Connor zaśmiał się pod nosem, choć nie bardzo wiedziałam z czego, potem porwał z pudła parę bajgli i ruszył ku jednemu z dwóch ciągów schodów, wiodących na górę. Był najwyraźniej małomównym człowiekiem o wielkim apetycie.

– I w większym stopniu jestem badaczką, niż nauczycielką – dodała Katherine. – Po śmierci twojego dziadka przestałam uczyć.

– Dziadka i Prudence? – Zaraz jednak zawstydziłam się za te słowa: na pewno trudno się musiało mówić o śmierci dziecka, nawet po wielu latach.

Jeśli jednak dotknęło to Katherine, nie dała nic po sobie poznać.

– Tak, oczywiście. I Prudence.

Po śniadaniu oprowadziła nas w towarzystwie Daphne, drepcącej za nami po schodach. Dom był bardzo duży, z jednym ciągiem kręconych schodów prowadzącym na piętro po prawej i drugim, po których wyszedł Connor, po lewej.

– Pomieszczenia mieszkalne są po tej stronie. Każde z was otrzyma kilkupokojowy apartament, który przemeblujemy, jeśli nie będzie wam odpowiadał. – Przeszliśmy kawałek dalej i wskazała mi apartament mniej więcej tej wielkości, co cały nasz domek w Briar Hill. Potem, gawędząc z tatą, znikła w dalszej części korytarza.

Weszłam do głównego pomieszczenia w tym apartamencie, pomalowanego na bardzo blady błękit. Stożące na środku łóżko z baldachimem było z białego kutego żelaza, ozdobione rollwerkiem i przykryte kołdrą w biało-niebieską kratę. Wyglądało na znacznie wygodniejsze od kanapy u taty. Usiadłam na skraju materaca i rozejrzałam się. Po prawej miałam osobistą łazienkę i garderobę, po lewej kącik wypoczynkowy z sofą, biureczkiem i dwoma wysokimi oknami, wychodzącymi na ogród za domem. Pięknie tu było i przestronnie, cieszyłam się jednak też, że nie całkiem porzucam mój ciasny kącik w mieszkaniu w mieście. Lubiłam moje gwiazdy, świecące po ciemku, moje graty i świetlik, nie byłam też do końca przekonana, że uznam pokój w tej rezydencji za własny.

– I jak, może być? – Lekko drgnęłam, zobaczywszy Katherine w drzwiach. Wyraz mojej twarzy zastąpił jej chyba odpowiedź, bo mówiła dalej: – Wysłałam twojego ojca na strych, żeby coś dla mnie sprawdził. Mam nadzieję, że panujący tam rozgardiasz troszkę go zajmie i będziemy miały kilka minut na rozmowę. W ciągu najbliższych miesięcy czeka nas więcej pracy, niż możesz sobie wyobrazić, skarbie. – Też usiadła na krawędzi łóżka, kładąc między nami woreczek

strunowy z jakąś brązową książeczką w środku. – Od ciebie i od twoich zdolności tyle zależy, a jeszcze nawet nie zaczęliśmy ich sprawdzać. Myślałam, że będziemy miały więcej czasu...

– Od moich zdolności? Czy to się jakoś wiąże z medalionem?

Katherine przytaknęła.

– Wiąże się. I z twoimi tak zwanymi atakami paniki. Przykro mi, że musiałaś samotnie przez to przechodzić... Wiem, że to straszne.

Skrzywiłam się boleśnie.

– Było okropnie. Miałam wrażenie, że coś jest nie tak... potwornie nie tak. I nie wiedziałam, i dotąd nie wiem, co takiego. Wszystko we mnie... Sama nie wiem... wrzeszczało, że coś się pozmieniało, że jest jakoś nienaturalnie. I nie jest tak, że to minęło. Raczej, jakby przygasło. To coś, co było nie tak, jeszcze nie... wróciło do normy, ale może się z tym oswoiłam? To też nie tak. – Potrząsnęłam głową. – Nie potrafię tego wyjaśnić.

Katherine wzięła mnie za rękę.

– Pierwszy raz miał miejsce w zeszłym roku, drugiego maja, prawda? A drugi zaczął się piętnastego stycznia, po południu?

Otworzyłam szeroko oczy.

– Tak. Tato podał ci te daty? – Nie spodziewałam się, że je zapamięta.

– Nie musiał. Ja też to odczułam. Miałam jednak tę przewagę, że od razu pojęłam, że mam do czynienia z odchyleniem temporalnym.

Czułam, że brwi mi podjeżdżają do góry, starałam się jednak zachować neutralny wyraz twarzy. Miłe było, że ktoś wreszcie uwierzył, że to nie były ataki paniki, ale co, u licha, Katherine nazywała *odchyleniem temporalnym*?

– I w odróżnieniu od ciebie – dodała Katherine – ja miałam medalion. Musiało cię to niemal śmiertelnie wystraszyć. – Spojrzenie jej błękitnych oczu nabrało ciepła. – Wiesz, wyglądasz zupełnie jak ona.

– Jak moja mama?

– No tak, trochę bardziej jednak jak Prudence. Nie są identycznymi bliźniaczkami. Ale oczy to masz po ojcu. Tej zieleni nie sposób z niczym pomylić. – Wątku dłoń Katherine sięgnęła, by poskromić jeden z moich niesfornych, ciemnych loków, wечно uciekających spod opasek i klamerek.

– Włosy Deborah są wersją bardziej uładzoną... Ty masz taką burzę włosów, jak Pru. Nigdy nie udało mi się jej w pełni rozczesać...

Po dłuższej chwili uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, wracając do terażniejszości.

– Marnuję czas. – Zniżyła głos i zaczęła mówić szybciej. – Kate, to znowu nastąpi. Nie jestem pewna, kiedy dojdzie do kolejnej zmiany temporalnej, podejrzewam jednak, że wkrótce. Nie chcę cię straszyć, ale jesteś jedyną osobą, która jest w stanie to naprawić. I musisz naprawić. Inaczej wszystko przepadnie.



A mam na myśli dosłownie *wszystko*.

Katherine wcisnęła mi w dłoń książkę i podniosła się.

– Dostarczy ci więcej pytań niż odpowiedzi, myślę jednak, że to najszybszy sposób, by cię przekonać, jak bardzo jest to prawdziwe.

Sięgnęła do klamki i obejrzała się, mierząc mnie surowym spojrzeniem.

– I absolutnie nie wolno ci dotykać medalionu, dopóki nie będziesz gotowa. Nieostrożnością z mojej strony było, że tak go zostawiłam na blacie, nie przypuszczałam jednak, że będziesz w stanie go uaktywnić. – Gwałtownie pokręciła głową. – O mało nas nie opuściłaś, młoda damo, obawiam się też, że nie odnalazłabyś drogi powrotnej.

∞

Tata i ja trafiliśmy na swoje zajęcia za ledwie na kilka minut przed czasem. Po drodze rozprawiał o teleskopie zamontowanym na strychu Katherine przez poprzednich właścicieli domu. W obrębie Dystryktu Kolumbii było obecnie zbyt jasno, by był z niego jakiś pożytek, jednak – jak stwierdził – w czasach, gdy ten dom budowano, wyglądało to zgoła inaczej. Przynajmniej w odpowiednich miejscach, ale jego słowa ledwie do mnie docierały.

Tego dnia ciężko mi było się skupić na lekcjach. Zbyt wiele myśli galopowało mi przez głowę, bym mogła poświęcić więcej uwagi trygonometrii czy literaturze angielskiej. W jednej chwili upominałam siebie, że Katherine ma guza mózgu i jej wypowiedzi mogą być spowodowane zbyt dużym uciskiem na hipokamp lub czymś podobnym. Potem przypominałam sobie wrażenia związane z dotknięciem medalionu – warkot, zapach pola i ciepło *jego* skóry pod moją dłońią – i wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że moja babka powiedziała prawdę, co z kolei wiodło mnie ku pytaniu, jak u licha mam dokonać tej naprawy, której ode mnie oczekuje. I po dwóch minutach na nowo ogarniały mnie wątpliwości co do całej tej historii.

Po ostatnim dzwonku zajrzałam do gabinetu taty, żeby go ekspresowo uściskać, po czym poszłam na oddaloną o prawie kilometr stację metra.

W wagonie osunęłam się na wolne siedzenie i automatycznie położyłam swój plecak na sąsiednim, by, zgodnie z radami mamy co do samotnych przejazdów, zniechęcić ewentualnego niechcianego towarzysza podróży. Przedział i tak był raczej pusty – jeśli nie liczyć dziewczyny pilującej paznokcie i wsłuchanej w iPod a oraz mężczyzny w średnim wieku, z teczką pełną urzędowych papierów.

O tej porze dnia podróż rzadko zabierała więcej niż piętnaście minut, a ja zwykle zakładałam słuchawki i wyłączałam się z otoczenia, przypatrując się graffiti na mijanych budynkach przez pierwsze półtora kilometra, zanim pociąg zjechał

pod ziemię. Część tych dzieł sztuki widniała tam od lat, na starszych, wyblakłych już obrazach piętrzyły się nowe warstwy farb. Czasem któryś z właścicieli domów odmalowywał ścianę, artyści jednak rychło wracali, zwabieni nowymi, czystymi podkładami. Na dłużej uchowało się bez uszczerbku może z pół tuzina budynków. Niektóre, jak skład opon, otaczało od strony torów ogrodzenie zwieńczone drutem ostrym jak brzytwa. Nieskalana pozostała także świątynia cyrystów, którą mijaliśmy – nieskazitelnie czysta, oślepiająca bielą, jak wszystkie inne ich budowle, regularnie odmalowywane przez członków tego kościoła i – jak głosiła plotka – strzeżone przez rosłe, agresywne dobermany.

Dziś jednak zbyt wiele miałam na głowie, żeby zwracać uwagę na przejawy sztuki miejskiej. Ostrożnie wydobyłam z woreczka strunowego książkę, która wręczyła mi Katherine. Okładka, co najmniej raz ratowana przy pomocy taśmy introligatorskiej, podobnie jak co starsze książki w szkolnej bibliotece, miała już swoje najlepsze czasy za sobą. Książka wyglądała mi na jakiś pamiętnik i to się potwierdziło, gdy po otwarciu zobaczyłam odręcznie zapisane strony.

W odróżnieniu od okładki, papier był w zaskakująco dobrym stanie. Ani trochę nie żółkł. W pierwszej chwili pomyślałam, że z jakiegoś powodu do starej oprawy włożono nowsze kartki, ale gdy przesunęłam po nich palcami, wydało się to tak nieprawdopodobne, że bliżej się przyjrzałam liniowanemu papierowi. Kartki były, na przykład, trochę za grube – grubsze od kartonu. Waga książki wskazywała, że może być ich przynajmniej ze sto, na szybko jednak doliczyłam się jedynie około czterdziestu pojedynczych kartek.

Na próbę zgięłam róg jednej z nich i, ku memu zaskoczeniu, ten dziwny papier się rozprostował bez śladu załamania. Spróbowałam oderwać jego skrawek bezskutecznie. Po kilku dalszych improwizowanych eksperymentach wiedziałam już, że nie da się na tym papierze pisać długopisem, ołówkiem ani markerem. Woda po nim spływała, choć powierzchnia nie sprawiała wrażenia laminowanej. Guma do żucia momentalnie przywierała, równie szybko się jednak odklejała, nie pozostawiając żadnych śladów. W ciągu kilku minut doszłam do tego, że ten materiał jest po prostu niezniszczalny – ewentualnie może łatwopalny, tego bowiem w metrze nie mogłam sprawdzić.

Przeszłam do badania zapisków na tych stronach i przekonałam się, że wykorzystano tylko jedną czwartą pamiętnika. Tekst na każdej z zapisanych stron, za wyjątkiem pierwszej, wydawał się zaczynać w środku zdania. Wyglądało też na to, że pomiędzy poszczególnymi stronami nie ma żadnej ciągłości. Zdecydowanie dziwna to była książeczka. Jedyne, co w tym pamiętniku wydawało się normalne, widniało po wewnętrznej stronie okładki, zapisane bardzo już wyblakłym atramentem.

*Katherine Shaw,*

## *Chicago, 1890*

Pociąg zbliżał się do mojego przystanku. Wsunęłam książkę na powrót do plastikowego woreczka i zamarłam, czując, że ktoś mnie obserwuje. Trudno zresztą było się temu dziwić, zważywszy na to, że od pewnego czasu systematycznie złączałam się nad książką – co było dziwnym zachowaniem nawet jak na standardy rządzące metrem.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam dwóch gości, siedzących teraz trzy rzędy dalej, na samym, końcu wagonu. Nie przypominałam sobie, by na ostatnim przystanku ktoś wsiadał i choć przyznaję, że byłam zaabsorbowana czymś innym, nie mogłam się uwolnić od wrażenia, że ci dwaj pojawili się nie wiadomo skąd. Siedzieli twarzami do mnie, mogłam się więc im dobrze przyjrzeć. Jeden z nich, z lekką nadwagą i mniej więcej w moim wieku, był ciemnym blondynem o ziemistej cerze kogoś, kto rzadko opuszcza dom. Wzór na jego mocno znoszonym T-shircie skojarzył mi się z okładką jakiejś płyty, nie mogłam sobie jednak przypomnieć nazwy kapeli. Jak tylko spojrzałam w ich stronę, szybko spuścił wzrok i zaczął coś pisać w małym notesiku.

Drugi facet był wysoki, kilka lat starszy i bardzo przystojny, o długawych czarnych włosach. Poczułam, jak moje policzki z wolna się rumienia, bo oto rozpoznałam te same ciemne oczy, które ujrzałam, dotknąwszy medalionu. Czulałam lekkie mrowienie w dłoniach, dotykających wtedy jego ciepłej skóry, wróciło wspomnienie jego rąk na mojej talii i ciepła, jakim przeppełnił mnie jego dotyk. Nie miałam pojęcia, jakim cudem jedno z moich urojeń mogło przenieść się do metra, absolutnie jednak byłam pewna, że to ten sam facet.

Wyglądał na starszego ode mnie, a w jego spojrzeniu dziwnie mieszały się teraz smutek, strach i ta sama tęsknota, którą pamiętałam z mojej wizji. Mocno chwycił siedzenie i nie odwracał wzroku, nawet gdy tamten drugi ostro szturchnął go łokciem. Sama w końcu przerwałam to spotkanie spojrzeń.

Jak tylko zerknęłam w bok, pociąg niemal natychmiast zwolnił, a ja szybko podniosłam wzrok. Drzwi jeszcze się nie otwarły, upłynęła zaledwie sekunda, ale tamtych dwóch już nie było. Podeszłam do miejsca, na którym siedzieli, i wyciągnęłam rękę, na poły spodziewając się, że wyczuję niewidzialne kształty – lub stracę palec – było tam jednak pusto. Mogłabym uwierzyć, że ich sobie po prostu uroiłam, gdyby nie dwa wgłębienia w pomarańczowej wyściółce siedzeń, powoli zanikające, jak zawsze, gdy pasażer się podniesie. Przesunęłam palcami po skraju poduszki, tak mocno ściskanej przez owego wysokiego chłopaka, i przekonałam się, że jeszcze można wyczuć ciepło jego dłoni.

Na kurs karate przyszedłam kilka minut spóźniona i wsunęłam się na moje stałe miejsce obok Charlayne. Przez następną godzinę ćwiczyłyśmy i ten wysiłek fizyczny wypchnął mi z głowy rozpamiętywanie kilku ostatnich dni – choć nie do końca. Zazwyczaj radziłam sobie z Charlayne, zapewne dlatego, że na kurs chodziłam rok dłużej od niej, tego popołudnia jednak dwukrotnie mnie powaliła i mogłam się spodziewać, że na prawym udzie dorobię się pięknego, malowniczego siniaka po dość paskudnym podcięciu.

Ćwiczyłyśmy pełną parą aż do końca zajęć. Gdy wychodziłyśmy, Charlayne odwróciła się do mnie.

– Co tam? Co się dzieje? Nie odpowiadasz na moje esemesy...

Wciąż jeszcze nie miałam pewności, jak wiele mogłabym wyjaśnić Charlayne, żeby nie posądziła mnie o postradanie zmysłów. Uciekłam się więc do naszego prywatnego, kiepskiego żartu:

– Pozwól, że wyjaśnię... Nie, zbyt wiele tego. Pozwól, że zreasumuję.

Charlayne przewróciła oczami. Teksty z *Narzeczonej dla księcia*<sup>1</sup> mogłabym cytować na wrywki.

– Dobrze więc, Inigo Montoya. Zreasumuj to. Co się dzieje?

Znałam Charlayne dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że i tak z czasem wszystko ze mnie wyciągnie. Gdy uzna, że ukrywam przed nią choć skrawek sekretu, nie spocznie, dopóki nie wyciągnie ze mnie wszystkich co smaczniejszych szczegółów.

– Niech ci będzie, lecimy. Moja babka umiera i zapisała mi wielki dom i kupę pieniędzy, a my z moim tatą na rok się do niej przeprowadzamy. Odziedzyczyłam po niej specjalną zdolność, której wykorzystywania chce mnie nauczyć, tak bym mogła uratować znany nam świat. Czy coś w ten deseń. I o mało się nie całowałam z kimś, kto może być jakimś duchem, bo w metrze rozwiął się w powietrzu.

– O mało się w metrze z kimś nie całowałaś? Fajny był?

Trzeba darować Charlayne, że skupiła się wyłącznie na pocałunku. Z uwagi na trzech starszych braci przez jej dom stale przewijali się faceci, z których kilku zawsze miała na podorędziu. Postawiła sobie za życiowy cel zadbanie, bym rozbudziła w sobie potencjał romantyczny, na razie jednak jej wysiłki w dziedzinie swatania okazywały się kompletną katastrofą.

– Tak, był fajny – przyznałam. – I nie w metrze się z nim o mało nie całowałam. To było u mojej babki w kuchni... a raczej na jakimś polu pszenicy. Chyba w obu tych miejscach naraz.

Zapadła dłuższa cisza, podczas gdy Charlayne wyłącznie się mi przyglądała.

– W porządku. Znam cię na tyle długo, Kate, by wiedzieć, że mnie nie okłamiesz. Pozostaje więc obłąd, twarde narkotyki... – Zawahała się. – Albo mówisz prawdę. Potrzebne mi coś więcej niż „zreasumowanie”, żeby to rozstrzygnąć.

– Rozpracujmy więc to razem, bo sama już nie wiem, w co wierzyć. – Wyjęłam z plecaka pamiętnik. – Mam szczerą nadzieję, że to nam pomoże.

∞

Mamy ani trochę nie zaskoczyło, że pochłonęłyśmy pizzę, złapałyśmy wodę sodową i poszłyśmy na górę, do mojego pokoju. Zawsze tak się dzieje, gdy odwiedza mnie Charlayne. Nie byłaby też zbyt zdziwiona, widząc nas pochylone nad książkami, bo często wspólnie odrabiamy lekcje. Odrobinę by ją jednak chyba zbulwersowało, gdyby podejrzawszy nas z boku, zobaczyła, jak przytykamy zapaloną zapałkę do kartki czegoś, co wyglądało na bardzo stary pamiętnik.

Zdmuchnęłam zapałkę.

– Okej. Spalić też się nie da.

– Ale ogień sprawia, że jakoś śmiesznie pachnie – zauważyła Charlayne. – I ta okładka... Okładkę można przypalić, pisać na niej, cokolwiek z nią robić. To jakiś obłąd. Czemu nie dali okładki co najmniej tak odpornej, jak te kartki w środku? Okładka powinna chronić książkę.

– Fakt. – Chwilę się nad tym zastanawiałam. – Ale... Zdarzyło ci się kiedykolwiek nałożyć obwolotę z innej książki na coś, co akurat chciałaś czytać, tak by mama czy nauczyciel uznali, że czytasz to, co powinnaś?

– No, owszem. Ale...

– Może ktoś, kto tu pisał, chciał przekonać innych, że to tylko zwykły pamiętnik? Popatrz na datę wewnątrz okładki. 1890. To nie wygląda mi na coś często spotykanego w roku 1890.

– Moim zdaniem, nie wygląda na coś często spotykanego nawet dzisiaj – powiedziała Charlayne. – Nie możesz po prostu zadzwonić do babki i ją zapytać?

– Mogłabym. Powiedziała jednak, że to tutaj dostarczy mi więcej pytań, niż odpowiedzi. Wydaje mi się, że chce, żebym sama pokombinowała i przekonała się, czy do czegoś dojdę.

Charlayne wyciągnęła rękę i poskrobała jakiś guzek sterczący z płótna, u góry grzbietu.

– Co to takiego? Coś w tę okładkę wetknięto. – Musiała się trochę wysilić, ale w końcu wyciągnęła jasnożółty patyczek, ze dwa razy grubszy od wykałaczkii i zakończony czarnym szpicem. – To jakiś ołówceczek.

Wzięłam go od niej, by się dokładniej przyjrzeć.

– Owszem, wygląda na ołówek, ale... Spójrz, grafitu nie da się zadrapać. Sądzę, że to rysik. Podobny do tego od starego palmtopa mojej mamy. Widziałas takie. Po prostu dotyka się ekranu, o tak...

Wzięłam książkę i stuknęłam koniuszkiem w pierwszą stronę. Odręczny zapis zaczął powoli zjeżdżać w dół.

– Aha! To nie jest książka. Raczej jakiś rodzaj podręcznego komputera.

Charlayne chyba się pogubiła.

– Ale po co? – spytała. – Skoro można mieć laptop lub iPada? Za wiele sensu w tym nie ma...

– Chyba że jest 1890 rok i nie chcesz zwracać na siebie uwagi. – Zamknęłam okładkę i znów wyglądało na to, że trzymam stary pamiętnik. – Możesz nie chcieć, żeby ludzie wiedzieli, że nie jesteś taka, jak oni.

– Niesamowite. Z taką technologią jeszcze się nie spotkałam. Skąd twoja babka mogłaby mieć coś takiego? Powiedziałaś, że jest historykiem, jak twoja mama, tak?

Ponownie otworzyłam pamiętnik i przesunęłam palcem po nazwisku zapisanym po wewnętrznej stronie okładki:

*Katherine Shaw*

*Chicago, 1890*

– Może to tylko zbieg okoliczności, że moja babka też ma na imię Katherine, ale nie sądzą. Owszem, jest historykiem, zaczynam jednak podejrzewać, że dla niej zajmowanie się historią oznacza coś całkiem innego niż dla mojej mamy.

Otworzyłam na jakiejś przypadkowej stronie i stuknęłam tym dziwnym rysikiem w jej górny skraj, po czym patrzyłam, jak tekst przewijał się w dół, by wreszcie się zatrzymać na początku wpisu.

15 maja, 1893

Chicago, Illinois

Przybyliśmy około wschodu słońca i wmieszaliśmy się w tłum wychodzący ze stacji kolejowej. Wyliczenia się sprawdziły, choć okolica nie była tak odludna, jak się spodziewaliśmy. Miasto jest przepełnione, my zaś wylądowaliśmy w pobliżu wejścia do najpopularniejszej atrakcji, doradzilibyśmy więc skorzystanie w przyszłości z innego punktu wejścia.

Do Chicago zjechali ludzie z całego świata, by zobaczyć nowy dziw nad dziwy – olbrzymie koło z wagonami na obrzeżach, mające podczas obrotu wynieść ich pasażerów wysoko w górę. Otwarcie nastąpi dopiero w przyszłym miesiącu, ale już teraz stale widać tłumy podziwiające to gigantyczne Koło<sup>2</sup>, stworzone przez

pana Charlesa Ferrisa. Jest nadzieja, że okaże się na tyle wspaniałe, iż przyćmi sensację poprzedniej, paryskiej Wystawy Światowej – bajeczną więź Monsieur Eiffela.

Dziś rano przedłożyłam Damskiej Radzie Wystawy moje listy polecające i zostały one przyjęte bez zastrzeżeń. Wniosek o udostępnienie danych o „Infantce”. Kilka kobiet omawiało zapowiadaną przez nią wizytę na Wystawie.

– Co to takiego? – Charleyne wskazała małą gwiazdkę na marginesie. Wzruszyłam ramionami i stuknęłam rysikiem w ten symbol. Nic. Uderzyłam dwukrotnie i u góry wypełnionej odręcznym pismem strony pojawiło się małe okienko z informacją:

Infantka Eulalia (1864–1958): córka królowej hiszpańskiej Izabeli i księcia Kadyksu, Franciszka. Wszystkie imiona: Maria Eulalia Francisca de Asis Margarita Roberta Isabel Francisca de Paula Cristina Maria de la Piedad. W późniejszych pismach dawała wyraz postępowemu spojrzeniu na kwestie praw kobiet. Uwaga: wizyta infantki dla chicagowskich wyższych sfer równać się będzie wsadzeniu kija w mrowisko. Często widywano ją spożywającą kiełbaski z rusztu w Wiosce Niemieckiej lub palącą papierosy, podczas gdy powinna była uczestniczyć w oficjalnych spotkaniach. Małżonek większość wieczorów spędzał na bulwarze Midway.

– To nie ma sensu – stwierdziła Charlayne, gdy już przeczytałyśmy tę notkę. – Jeśli Katherine odpowiedź miała tutaj, po co by wnioskowała o udostępnienie danych?

– Nie wiem. Może później ją dodała? – Zamknęłam okienko i wróciłam do studiowania wpisu w pamiętniku.

Popołudnie spędzam w Budynku Kobiet, gdzie obradować będzie Światowy Kongres Kobiet. Budynek Kobiet sam w sobie jest postrzegany jako coś niezwykłego – zaprojektowany został przez architektkę, Sopię Hayden. Saul może dołączy później, jako że przewidziane są mowy na temat kapłaństwa kobiet, większość dnia jednak spędzi na drugim krańcu terenów wystawowych, uczestnicząc w spotkaniu przygotowawczym przed wrześnieowym Kongresem Religii Świata.

#### POPOŁUDNIE

Widziałam tylko kilka aktywistek: albo nie przyjechały, albo postanowiły (roztropnie) darować sobie to posiedzenie. Mowy powitalne były w rzeczywistości dłuższe, niż może się to wydawać na podstawie zapisów. Myślałam, że przedstawianie najróżniejszych osobistości nigdy się nie skończy.

Wygłoszone mowy oraz sonda przeprowadzona na Midway:  
Akta CHRONOSA KS04012305\_05151893\_1 załadowane.  
Akta CHRONOSA KS04012305\_05151893\_2 załadowane.  
Akta własne KS04012305\_1 zapisane.

Na każdym z tych odnośników wypróbowałam rysik, ale reakcji nie było żadnej, na marginesie nie pojawiły się też żadne symbole.

– Jeśli to odsyłacze do akt, to nie wiem, jak je otworzyć. Chyba będę musiała później zapytać Katherine.

– Ten drugi zestaw cyfr... – Charlayne wskazała sygnatury akt.  
– Odpowiada dacie wpisu, prawda? 15 maja 1893.

Przerzuciłam kilka kartek, klikając w nie u góry, a potem szybko przewijając wpisy. Każda z wykorzystanych stron zawierała wpisy dotyczące całego roku. Większość z nich zaopatrzona była w załączniki w postaci Akt CHRONOSA, a ostatni ciąg liczb zawsze odpowiadał dacie. Przeważnie po kilku zestawach codziennych wpisów następował co najmniej miesiąc przerwy. Większość sporządzono w Chicago. Dwa ostatnie pochodziły z Nowego Jorku, z 21 kwietnia 1899 roku, i z San Francisco, z 24 kwietnia 1899.

– To KS musi oznaczać jej inicjały – stwierdziła Charlayne. – Natomiast... Pierwszy zestaw cyfr też zawsze odpowiada formatowi przewidzianemu dla daty, tylko... – Wyciągnęła rękę po pamiętnik, więc go jej podałam, razem z rysikiem.

Po chwili się jednak zasepiła.

– Nie działa.

Tak samo jak ja, przeciągała rysikiem wzdłuż krawędzi strony, ale tekst się nie przesunął. Jakby miała do czynienia ze statyczną, odręcznie zapisaną stroną.

– Może bateria padła albo coś? – zasugerowała. Wzięłam od niej tę książeczkę, przejechałam rysikiem po marginesie i tekst od razu ruszył.

Charlayne trochę chyba zirytowało, że nie zdołała uruchomić pamiętnika, zaraz jednak wzruszyła ramionami.

– Może po prostu jest czuły inaczej, jak touchpad w laptopie mojego brata. Tamten też na mnie nie reaguje.

Jeszcze raz przejrzałam wpisy i stwierdziłam, że Charlayne miała rację co do dat. Pierwsze dwie cyfry zawsze mieściły się w ciągu od 01 do 12, dwie następne, pomiędzy 01 a 31.

– Wygląda więc na to, że mamy do czynienia z kimś, kto w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia usiłował wtopić się w tłum, maskując wytwór wysokiej technologii jako ręcznie zapisywany pamiętnik. I mamy dwa typy dat, jeden odnosi się do przeszłości, drugi dotyczy przyszłości. Jeśli prawidłowo je odczytujemy i nie jest to jakaś wyrafinowana fałszywka, sugerowałoby to, że wpisy na temat lat dziewięćdziesiątych rejestrowane były przez kogoś w latach 2304



i 2305.

Charlayne zgodziła się ze mną.

– O ile to nie jest wyrafinowana fałszywka, to tak. Wyrafinowanej fałszywki jednakże nie wykluczam.

Posłałam jej krzywy uśmiech.

– Nie ty byłaś dzisiaj w metrze. Tamci dwaj goście po prostu zniknęli.

– Pewna jesteś, że nie odstraszyłaś ich swoim spojrzeniem Lodowej Księżniczki, tak jak Nolana?

Cisnęłam jej w głowę poduszką, ale się ze śmiechem uchyliła. Nolan, przyjaciel jednego z braci Charlayne, padł ofiarą jej ostatniej próby uregulowania mojego życia uczuciowego. Miły koleś, całkiem fajny, tyle że w głowie nie miał nic poza piłką nożną. Właściwie mogłam być dla niego miłsza, nie widziałam jednak powodu, by to ciągnąć, zwłaszcza że już pod koniec pizzy było wiadomo, że ja i Nolan to totalne nieporozumienie.

Ponownie włożyłam pamiętnik do woreczka strunowego i wepchnęłam do plecaka.

– Trzeba się przespać. Już teraz mam co najmniej tysiąc pytań do zadania Katherine jutro po szkole, a gdybyśmy dalej siedziały nad tym pamiętnikiem, lista jeszcze bardziej by się wydłużyła. No, i jeśli jutro będziesz mieć wory pod oczami, twoja mama da ci szlaban na przesiadywanie u mnie w dni szkolne.

Sama jednak nieprędko zasnąłam. Ilekroć próbowałam, wracały tak sugestywne wrażenia, wywołane przez medalion, a para pełnych niepokojącej pasji, ciemnych oczu nie odstępowała mnie nawet wtedy, gdy wreszcie pogrążyłam się we śnie.

∞

Ranek nadszedł szybciej, niż marzyłoby się to Charlayne lub mnie samej. Pożywiwszy się wyziewami z baru śniadaniowego, wpadłam do metra tak zatłoczonego, że musiałam stać. Poza centrum tłum się jednak przerzedził. Klapnęłam na najbliższe wolne miejsce, zatykając uszy dźwiękami z mojego iPod'a, żeby przytłumić kolejowe pogaduchy.

Nie od razu zauważyłam tego pękatego bladziocha, zapewne dlatego, że trzymał się za mną. Dopiero kilka minut po tym, jak usiadłam, mignął mi w lustrze bezpieczeństwa jego lewy profil. Lekko się przechyliłam, by go lepiej widzieć. Miał tę samą koszulkę, co poprzednio, i zdawał się nie zwracać uwagi ani na lustro, ani na fakt, że go namierzyłam. Rozejrzałam się za jego wysokim, czarnowłosym kompanem, pod pretekstem poprawiania włosów wyjęłam nawet podręczne lusterko, nigdzie go jednak nie wypatrzyłam. Pękaty za to ewidentnie mnie

obserwował.

Najbliższy przystanek nie był tym, na którym miałam wysiąść, mimo to wstałam, gdy wychodzili ostatni pasażerowie, by podejść do najbliższych drzwi. Zanim doszłam do wyjścia, Pękaty znalazł się tuż za mną. Gdy tamci przepychali się koło mnie, poczułam jego dłoń na swoim ramieniu i coś zimnego, a zarazem twardego, dźgającego mnie boleśnie w żebra.

– Oddaj mi plecak i możesz iść – wyszeptał cicho. – Nie chcę kłopotów. Tylko go ściągnij z ramion i daj mi.

Normalnie, zaraz bym tak postąpiła, bez pytań, bez wahania. W samoobronie lekcja numer jeden głosi, że nie należy się spierać z człowiekiem uzbrojonym w broń palną. Tyle tylko, że w plecaku miałam pamiętnik.

Twarz Pękatego znalazła się nagle o kilkanaście centymetrów od mojej, jednocześnie też poczułam miazdzący ból, gdy nadepnął mi obcasem na palce u nogi. Szepnął mi do ucha:

– Mogę cię kropnąć i zniknąć, nim ktokolwiek się tutaj połapie.

– Uwaga, drzwi się zamykają – oznajmił mechaniczny głos. Mój własny puls zatętnił mi w uszach, gdy Pękaty pociągnął mnie ku tym drzwiom, blokując je przed zamknięciem stopą, którą jeszcze przed chwilą deptał moje palce. Spojrzałam na niego ze złością, zsunęłam z ramion plecak i podałam mu. Przecisnął tę swoją tuszę przez drzwi, mocno pchnąwszy mnie w głąb wagonu, i zniknął w błysku błękitnego światła.

Poleciałam na dwoje innych pasażerów. Facet ze słuchawkami w uszach raczej przegapił całe to zdarzenie – wyglądał bowiem na oburzonego moją niezdarnością. Kobieta niewątpliwie wszystko widziała.

– Nic ci nie jest? – zapytała. – Mam wezwać ochronę?

– Kate! – Głos, który doleciał zza mych pleców, był niski i z lekka naznaczony obcym akcentem, wiedziałam jednak, kogo się spodziewać, jeszcze zanim się odwróciłam, Pierwszy odruch nakazał mi ucieczkę – jakby można było gdzieś uciec w zamkniętym wagonie metra – ale gdy tamten się zbliżył, zobaczyłam prześwitujące przez jego koszulę znajome, błękitne światło. Wziął mnie za rękę i pociągnął ku oddalonym o kilka rzędów siedzeniom, gdzie skora do pomocy kobieta nie mogłaby nas usłyszeć.

Usiadłam i zaraz na niego napadłam:

– Coś ty, u licha, za jeden? Czemu mnie śledzisz i dlaczego twój przyjaciel skroił mi plecak? I jak wyciągnąłeś *to* od mojej babki? – Wskazałam miejsce, gdzie przez jego koszulę przebijał blask medalionu.

Przez chwilę milczał, przetwarzając tę lawinę pytań, potem obdarzył mnie nieco krzywym uśmiechem.

– No dobrze... Odpowiem po kolei. Nazywam się Kiernan Dunne – powiedział. – Nie śledziłem ciebie. Śledziłem Simona. Nie powinno mnie tutaj

być. Simon, ten człowiek, który zabrał ci torbę, nie jest moim przyjacielem, Kate. A ten klucz – dokończył, wskazując wiszący mu na piersi medalion – nie pochodzi ze zbiorów twojej babki. Należał do mojego ojca.

Podniósł rękę, a ja aż się wzdrygnęłam. Oczy mu posmutniały, a uśmiech zniknął, gdy już znacznie wolniej przesuwał końcami palców po moim prawym policzku.

– Nigdy nie widziałem ciebie tak młodej.

Sięgnął mi za głowę i zdjął z włosów gumkę, tak że rozsypały mi się na ramiona. – Teraz bardziej wyglądasz na moją Kate.

Otwarłam usta, żeby zaprotestować, ale uniósł dłoń i znów zaczął mówić, teraz już szybciej:

– Jesteśmy blisko twojego wyjścia. Idź prosto do domu babki i powiedz jej, co się stało. Przynajmniej masz jeszcze to. – Dotknął czarnego paska na mojej szyi.

– Klucz CHRONOSA zawsze miej na sobie.

– Klucz CHRONOSA? Ja nie mam...

– Medalion – wyjaśnił Kiernan, znów dotykając tego paska.

– Ja nie mam medalionu. – Wyciągnęłam pasek zza bluzki – podtrzymywał plastikowe etui, zawierające moją legitymację szkolną, miesięczny na metro, kilka zdjęć i dwa komplety kluczy, jeden do domku taty, drugi do mieszkania w mieście. Odwróciłam to etui tak, żeby mógł zobaczyć widoczne w środku, zwyczajne srebrne klucze. – A to są jedyne klucze, jakie mam. Możesz przestać mówić zagadkami?

Z twarzy Kiernana odplynęły wszelkie kolory, a w oczach pojawiła się panika.

– Był w torbie? Powinnaś mieć go na sobie...

– Nie. Ja nie mam medalionu – powtórzyłam. – Do tej pory myślałam, że istnieje tylko jeden, ten, który, o ile mi wiadomo, znajduje się w domu mojej babki.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego, do czarnego czarta, miałyby cię wysyłać bez żadnej ochrony?

– Nie wiedziałabym, jak się nim posłużyć! Wczoraj, o mało... – Zarumieniłam się, przypominając sobie scenę w kuchni. – Kiedy go trzymałam, zobaczyłam ciebie. Dlaczego? Kim ty jesteś?

Pociąg zaczął zwalniać. Kiernan zamknął oczy i przez chwilę tarł dwoma palcami skronie, potem podniósł wzrok i potrząsnął głową.

– Nie tak to planowałam, Kate. Musisz uciekać. Weź taksówkę. Ukradnij samochód. Zrób cokolwiek, byleś tylko jak najszybciej dostała się do jej domu i już go nie opuszczała.

Podprowadził mnie do drzwi, potem się odwrócił, przyciągając mnie do siebie.

– Postaram się ich opóźnić... Nie wiem jednak dokładnie, co planują,

dlatego nie mam pojęcia, ile masz jeszcze czasu.

– Ile czasu, zanim co... – Pytanie wygasło, gdy jego wargi dotknęły moich, łagodnie, zarazem nagłaco. Owładnęły mną te same odczucia, których doznałam, trzymając medalion: łomotanie serca, brak oddechu, niezdolność do ruchu, niemożność myślenia.

Po chwili się odsunął, a nieznaczny uśmiech leciutko uniósł kąciki jego ust.

– Nie tak miał wyglądać nasz pierwszy pocałunek, Kate. A jeśli się nie pośpieszysz, będzie też ostatnim. Uciekaj już. Uciekaj NATYCHMIAST.

Gdy pociąg na dobre zwolnił, Kiernan sięgnął pod koszulę i zacisnął dłoń na medalionie. Miał teraz na przegubie zieloną gumkę, którą zdjął mi z włosów. I zaraz zniknął.

Melodyjka oznajmiła otwarcie drzwi metra. Wybiegłam.

Przed stacją oczywiście nie było żadnej taksówki. Spojrzenie na rozkład uświadomiło mi, że autobus będzie za dwadzieścia minut, do tego nie byłam pewna, czy w obecnym stanie zdołam przebiec cztery i pół kilometra. Na domiar złego, jak diabli bolały mnie palce u nogi, stratowane przez Pękatego. Przekuśtykałam trzy przecznice w przeciwną stronę, pod Marriota, i z przerażeniem ogarnąwszy wzrokiem pusty postój, odczułam ulgę na widok taksówki zatrzymującej się właśnie przy krawężniku.

Wsiadłam do niej i podałam adres.

– Pieniądze masz gdzieś schowane, dzieciaku? Bo jakoś nie widzę torebki ani portfela, a to godzina szczytu...

– Chodzi o nagły wypadek. To tuż obok Old Georgetown, w North Bethesda, i muszę się tam dostać jak najszybciej. Moja babka panu zapłaci.

Wyglądało na to, że protestowałyby dalej, ale coś w mojej postawie musiało go przekonać, bo odpalił silnik i wrócił na główny pas. Jechał tak szybko, jak pozwalał na to ruch uliczny, czyli częstokroć niewiele szybciej, niż bym biegła. Ze zdenerwowania zacisnęłam zęby.

– Na pewno nie uciekasz przed glinami lub kimś takim? – zapytał, zerkając na mnie w lusterku wstecznym. – Bo coś mi się wydaje, że tak...

– Złapałam taksówkę po to, żeby dojechać do domu mojej babki. Ona... jest chora, starczy?

– Niech ci będzie. – Na następnym rogu skręcił w lewo, a potem oświadczył: – Dobra jest, Czerwony Kapturku. Dowiozę cię do domku babci przed Wielkim Złym Wilkiem. Ale lepiej, żeby miała w swoim koszyczku jakieś pieniądze, bo inaczej sam zadzwonię po gliny.

Przewróciłam oczami, tak marny był ten dowcipas, i usadowiłam się wygodniej. Nie bardzo wiedziałam, czemu Kiernan uznał, że coś mi zagraża, nie sposób jednak było nie dojrzeć w jego oczach lęku. Dotknęłam dłonią warg, wspominając nasz pocałunek. A był on nie tylko naszym pierwszym, ale

i pierwszym moim. Nawet przy kompletnym braku doświadczenia mogłam stwierdzić, że kryły się za nim silne emocje. Kiernan w jakiś sposób mnie znał, skądś, a może z kiedyś, i się o mnie troszczył. Chociaż niełatwo było przyjąć, że istnieje w moim życiu przeszłość (czy może przyszłość?), której sobie nie przypominam, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że rozpaczliwie się o mnie bał. Ścisnęłam z nerwów rąbek mej spódniczki w szkocką kratę, a taksówka wiozła mnie ku domowi Katherine i oby także ku jakimś wyjaśnieniom.

∞

Wyskoczyłam z taksówki, zanim się na dobre zatrzymała. Pognałam do drzwi i gorączkowo w nie zabębniłam. Chwilę później pojawiła się tam twarz Connora.

– Gdzie jest Katherine? Musi mnie pan wpuścić.

– Ależ oczywiście!

– Może pan zapłacić taksówkarzowi? Ukradł mi torbę.

Connor chyba się pogubił.

– Taksówkarz?

– Nie... Facet w metrze. – Daphne głośno ujadła, a Connor trzymał ją za obrozę, by nie wyskoczyła za drzwi.

– Tak, tak. Zapłacę mu. Weź Daphne.

Z szafy w przedpokoju wyjął buty. Taksówkarz zaczął trąbić, prowokując Daphne, by też podkręciła poziom hałasu.

– Katherine! Zejdź tutaj! – zawołał Connor, kierując się ku drzwiom. – Przyszła Kate.

Katherine niedługo potem pojawiła się u szczytu schodów; spiesząc mi na powitanie, na koszulę nocną naciągała szlafrok.

– Kate! Skarbie, czemu nie jesteś w szkole? Wyglądasz na przerażoną. Co się dzieje? Usiądź, proszę. – Machnęła ręką w kierunku sofy, po czym uderzyła dłonią o udo. – Daphne! Na dwór!

Wyprowadziła Daphne przez kuchenne drzwi, a ja usiadłam i starałam się złapać oddech. Ściągnęłam but, by zbadać palce zdeptane przez ... Simona, tak nazwał go Kiernan, choć ja nadal w myślach nazywałam go Pękatym. Dwa palce były wściekle czerwone, jeden paznokieć paskudnie zmiżdżony, do żywego mięsa. Zacisnęłam zęby i wyrwałam kawałek paznokcia, żeby nie zaczepiał o dywan.

Connor wrócił do domu akurat, gdy Katherine wychodziła z kuchni. Zauważyłam, że przez szwy w kieszeni jego dżinsów sączy się delikatnie błękitna poświata, i ulżyło mi, że on również ma medalion. Nie przyszło mi do głowy, że

i on mógł być zagrożony.

Usiadł w fotelu z poręczami naprzeciw sofy.

– Dowiedziałas się już, kto ją ograbił?

– Ograbił? – wykrzyknęła Katherine. – Kate, co się stało? Nic ci nie jest?

– Dobrze się czuję – odpowiedziałam, ostrożnie wciągając skarpetkę.

Zsunęłam drugi but i wepchnęłam oba pod stół do kawy. – Tylko jakiś facet w metrze ma teraz twój pamiętnik... a także mojego iPod'a i podręczniki. Przepraszam, Katherine. Powinnam była się bronić, ale metro było zatłoczone, a on... miał pistolet. Albo przynajmniej coś, co wydawało się pistoletem i co wbijał mi w bok.

– Daj spokój – powiedziała. – Dobrze zrobiłaś. Mam tu jeszcze kilka innych pamiętników, a kopia zapasowa tamtego tomu jest w systemie komputera.

Connor potwierdził.

– Możemy też namierzyć tamten oryginał. Ale i tak wątpię, czy bandziora zainteresuje jakiś stary pamiętnik. Nie zdoła przecież go uaktywnić.

– Czy w metrze to się często zdarza? – spytała Katherine.

– Co? – Potrząsnęłam głową. – Nie... To znaczy, tak, zdarzają się napady. Ale mnie nigdy... Metro właściwie jest bezpieczne. Ale to nie tak, że tamtemu chodziło o jakikolwiek plecak. On wiedział, co robi. Zależało mu na pamiętniku. Widział go u mnie wczoraj. I wydaje mi się, że miał medalion, jak te wasze.

Katherine popatrzyła sceptycznie na Connora, potem znów na mnie.

– Pewna jesteś? Ja nie sądzę...

– Nie, co do tego bandziora, to pewności nie mam. Chociaż rozwiął się w powietrzu – już dwukrotnie. Ale widziałam medalion u Kiernana, pod koszulą...

– Umilkłam, bo Connorowi i Katherine jednocześnie zapało dech.

– Na imię miał Kiernan? – spytał Connor. – Skąd to wiesz?

– Tak, Kiernan... chyba Dunn albo Duncan. Ale to nie on mnie obrabował. On powiedział mi, że muszę uciekać. Ciemnooki, ciemnowłosa, wysoki i... – Urwałam, czując, że się rumienię. – A co? Znać go? Chciał wiedzieć, czemu nie noszę medalionu. Powiedział, żebym jak najszybciej przyjechała tutaj, do ciebie do domu, i że coś ma się stać, ale on postara się to opóźnić, żeby dać mi czas.

Connor i Katherine znów wymienili spojrzenia.

– Kiernan Dunne był moim pradziadkiem – oznajmił po chwili Connor. – I wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, że zrobiłby cokolwiek, by nam pomóc.

Zapomniałam, że Connor ma na nazwisko Dunne, nie powiedziałabym też, że łączyło ich jakieś podobieństwo, no, może pod względem nosów. I Connor był ze trzydzieści lat starszy od Kiernana – przynajmniej od tego Kiernana, który całował mnie w metrze. Jeszcze bardziej wcisnęłam się w kanapę.

– Może powinnaś zacząć od początku – zasugerowała Katherine.

Zreferowałam swoje kroki od poniedziałkowego ranka, kiedy to opuściłam dom Katherine, do momentu, gdy taksówka przywiozła mnie pod jego próg. Trochę podretuszowałam – nie byłam pewna, jak przyjęłaby to, że Charlayne czytała jej pamiętnik, a także nasze eksperymenty służące określeniu, z jakim materiałem mamy do czynienia, a już szczególnie nie byłam gotowa poruszać sprawy pocałunku. Czymś takim nie zamierzałam się dzielić ani z moją babką, ani tym bardziej z kimś, kto się podawał za praprawnuka faceta, który się ze mną całował. Sprawy i tak wyglądały zbyt dziwacznie, by jeszcze je komplikować.

Kiedy zakończyłam tę moją relację, zwróciłam się do Katherine:

– Czy wierzycie w ostrzeżenia Kiernana, czy nie, dzieje się tu coś, o czym powinnam wiedzieć. I myślę, że może powinno się w to włączyć mojego tatę. Albo mamę...

Czułam się trochę jak oskarżona, domagająca się prawa do adwokata, ale może nie było to takie bezzasadne. Ani Katherine, ani Connora nie znałam na tyle dobrze, by czuć, że mogę całkowicie im zaufać, za to tatę... Cóż, był przecież moim tatą i wiedziałam, czyje interesy miałby przede wszystkim na względzie. I mimo że moje relacje z mamą są nieco bardziej złożone, ona też tak by się zachowała.

– Kate... – Katherine się zawahała, wyraźnie szukając odpowiednich słów. – Doceniam to, że chcesz powiadomić swoich rodziców. Owszem, Harry zapewne przyjąłby to znacznie lepiej niż Deborah, ale może jednak powinnaś poczekać, aż opowiem ci coś o sobie. Jeśli potem będziesz chciała porozmawiać z Harrym... proszę bardzo.

Sięgnęła do łańcuszka na szyi, wykładając medalion na swój ciemnoczerwony szlafrok. Błękitne światło zmieniło jego barwę w szczególny odcień purpury.

– Musisz mieć jednak na uwadze, Kate, że twoi rodzice postrzegają ten wisiołek jedynie jako nietypową biżuterię. Gdyby któreś z nich potrzyმაło go przez dłuższą chwilę, mogłoby doznać jakiegoś dziwnego wrażenia, podobnie jak Connor i wszyscy inni z recesywną odmianą pewnego genu. Mogliby też dostrzec nieznaczną zmianę barwy. Żadne z nich jednak nigdy nie zobaczy go w taki sposób jak ty czy ja. I trzeba będzie czasu, by ich przekonać o tym, co widzimy i czego bezpośrednio doświadczamy.

Coś w tym stwierdzeniu mnie zaniepokoiło, skupiłam się jednak na jej kluczowym argumencie, że wciągnięcie taty w te sprawy będzie wymagać czasu. Nie mogłam się uwolnić od poczucia, że czasu jest mało – jasno o tym świadczył nagły ton Kiernana – nie mogłam więc być pewna, czy możemy sobie pozwolić na czekanie, aż tato tu się zjawi i zostanie we wszystko wprowadzony. A podczas gdy Katherine i Connor zdawali się wątpić w szczerść ostrzeżenia Kiernana, ja wiedziałam swoje. Może i był to mój pierwszy pocałunek, ale ufałam intuicji, ona

zaś mówiła mi, że Kiernan stoi po mojej stronie – cokolwiek to miało oznaczać.

Komedia romantyczna fantasy 1987 r., w reżyserii Roba Reinerja; ekranizacja powieści Williama Goldmana z 1973 r., wydanej w Polsce w 1995 r. nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka, pt. *Narzęczona księcia*. Film nie gościł na ekranach polskich kin (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)

Koło Ferrisa to pierwszy nowoczesny diabelski młyn, po dziś dzień mogący imponować rozmiarami: 75 m wysokości, 2200 t. wagi, zdolny zabrać jednorazowo 2160 osób w 36 wagonach przyjmujących po 60 pasażerów. Jedną z głównych atrakcji Światowej Wystawy Kolumbijskiej, zorganizowanej w Chicago w 1893 r. Zdemontowany w 1906 r., metodą pirotechniczną. [\[wróć\]](#)



Urodziłam się w roku 2282 – zaczęła Katherine. Na mojej twarzy musiało się odmalować powątpiewanie, bo szybko dodała: – Nie będę tracić czasu na przekonywanie ciebie, Kate, do tego, co i tak wiesz.

– Przed moimi narodzinami – mówiła dalej – zdecydowano, że zostanę historyczką. Moi rodzice co nieco odłożyli i o ile wiem, moi dziadkowie oraz bezdzielna ciotka też przeznaczyci na to jakieś fundusze, do dyspozycji było więc kilka specjalnych darów, spośród których rodzice mogli wybierać. Każdemu przysługuje jeden – i tylko jeden – specjalny dar. Początkowo rozprowadzono je na zasadzie loterii, ale pieniądze to sposób na otwarcie drzwi w każdym społeczeństwie. Zważywszy wszystko, nie unieszczęśliwił mnie ten ich nabytek.

Connor wrócił z kuchni z trzema kubkami czarnej kawy, wyglądającej na o wiele za mocną jak na ludzkie możliwości, i z pudłem ciasteczek korzennych, które najwyraźniej sam by chętnie zjadł, gdyby Katherine nie skinęła głową w moim kierunku. Wydzielił mi trzy ciasteczka – jak się wydawało niezbyt chętnie – i oparł stopy na niskim stoliku między jego krzesłem a kanapą.

Katherine podjęła wątek:

– Gdyby mojej rodzinie gorzej się wiodło lub byłaby mniej skłonna do zainwestowania w moją przyszłość, mogłabym otrzymać szczególne uzdolnienia w dziedzinie leczenia, muzyki lub jakiejś innej profesji bądź sztuki. Specjalnym darem, który wybrano dla mojego taty, była chemia, mamę obdarzono logiką, i wiele lat przepracowała w CHRONOSIE – programując komputery, wykorzystywane do monitorowania misji historycznych oraz analizowania zebranych danych.

Wypiłam łyk kawy, marząc o mleku, które złagodziłoby mocną gorycz.

– Czym tak dokładnie jest CHRONOS? Natrafiłam na tę nazwę w kilku wpisach w pamiętniku.

– Centrum Historii i Retroobserwacji Naukowej Obiektów Społecznych – powiedział Connor z ustami pełnymi ciastek. – Dowód na to, że przyszli Amerykanie są nie mniej od ich przodków skorzy do poświęcania sensu nazwy na rzecz zgrabnego akronimu.

– W każdym razie moja mama – powiedziała Katherine, zgromiwszy go wzrokiem – uwielbiała pracę w CHRONOSIE. Nie powinno to zresztą dziwić, bo w moich czasach wszyscy dosłownie rodzą się do wymarzonej dla nich pracy. Sądzę jednak, że w duszy zagrało jej też umiłowanie wędrówek. Specjalny dar, który dla mnie wybrała, oznaczał, że ujrzę najróżniejsze epoki i miejsca...

– A co z wolnością wyboru? – przerwałam jej z lekkim wahaniem. – Gdyby marzyło ci się zostanie chemikiem, jak twój tato? Albo piekarzem? Albo...

Katherine uśmiechnęła się, był to jednak dość zmęczony uśmiech. Widać było, że nie pierwszy raz ma do czynienia z tego rodzaju pytaniami.

– Owszem. Wiele jednak przemawia za regulacjami, poprzedzającymi narodziny. Ile się dzisiaj marnuje czasu na wpajanie dzieciom wielu umiejętności, których nie tylko nigdy nie wykorzystają, ale nawet nie zapragną wykorzystać! Pamiętam, jak twoja matka się skarżyła, że musi się uczyć wyliczania pierwiastka kwadratowego, które nigdy się jej nie przyda, i choć zmuszałam ją do odrabiania matematyki, obie wiedziałyśmy, że to ona ma rację.

– Nie zrozum mnie źle: ludzie nadal uczyli się rzeczy niezwiązanych z ich profesją. Mieliśmy swoje hobby i inne zajęcia. Wszyscy jednak już w chwili rozpoczęcia podróży znaleźliśmy w ogólnym zarysie szlak, wiodący ku naszemu głównemu przeznaczeniu, i tego losu nie żałowaliśmy ani nie próbowaliśmy zmieniać. Ostatecznie, nasz genetyczny makijaż gwarantuje, że w przeznaczony nam pracy sprawdzimy się lepiej niż w czymkolwiek innym, czego byśmy się podjęli, no i o wiele lepiej, niż sprawdzą się kiedykolwiek inni, którzy nie otrzymali takiego specjalnego daru.

– A zatem wszystko, co sobą reprezentujesz, zostało przed twoimi narodzinami zdeterminowane przez to... ulepszenie?

– Nie. Jedyną zmianą przed moimi narodzinami był ten specjalny dar. Po moich rodzicach też odziedziczyłam pewne dary: moja matka pięknie śpiewała i ja również całkiem dobrze trzymam tonację. Podobnie jak ty, oczy mam po ojcu, choć ty masz więcej szczęścia, bo oczy Harry'ego o wiele bardziej się zauważa.

Connor wychylił się w przód i mrużąc powieki, popatrzył mi prosto w oczy.

– Bardzo... zielone.

Niepewna, czy miał to być komplement i czy Connora w ogóle stać na tego rodzaju uprzejmości, po prostu przytaknęłam.

– Noszę też w sobie pozostałości specjalnych darów, które otrzymali moi rodzice... Tak jak moja matka, dobrze sobie radzę z komputerami. – Tu Connor drwiąco parsknął i Katherine zaraz skorygowała to stwierdzenie. – To znaczy dobrze sobie radzę z komputerami z czasów, z których się wywodzę. Mam to ogromne szczęście, że Connorowi mogę powierzać zajmowanie się archaicznymi kłopotami, które on uważa za komputery.

Katherine przerwała, by łyknąć sobie kawy, a potem znów zwróciła się do mnie:

– Rozumiem twoją... troskę... o wolność wyboru, ale odłóżmy ją na razie na bok, dobrze? Na kształt społeczeństwa, w którym przyszłam na świat, wpływ miałam nie większy niż ty na to tutaj i absolutnie chętnie przyznam, że ma ono swoje wady. Chciałam tylko zwrócić uwagę na fakt, że dziecku przekazywane są dary rodzica: wszystkie dary, i ten specjalny, i naturalne. Ja odziedziczyłam trochę po ojcu, trochę po matce, otrzymałam też ten jeden szczególny, wybrany dla mnie

dar, który przekazałam twojej matce, ona zaś najwyraźniej przekazała go tobie, jak można się domyślić po twojej reakcji na medalion.

Coraz bardziej mi się to gmatwało.

– Ale mama nie dostrzega światła medalionu.

– To nie oznacza, że nie ma w sobie tej cechy. Tyle tylko, że jest ona recesywna. Może nawet nie to jest powodem, dla którego zainteresowała się historią najnowszej Ameryki. Dostatecznie wiele miała z nią do czynienia za sprawą Jima. Był on jednym z tych profesorów, którzy zawsze mają na podorędziu jakieś anegdoty historyczne. W twoim jednak przypadku ta cecha jest dominująca.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytałam. – Tylko dlatego, że widzę to błękitne światło? Owszem, lubię historię, ale ja wiele rzeczy lubię. Jeszcze nie zdecydowałam, co chcę robić w życiu. Wiesz, równie dobrze mogłabym postawić na matematykę albo na język obcy. Albo na prawo.

– Kate, to nie jest tylko kwestia zainteresowań. W przypadku wielu kunsztów i profesji, wymagających specjalistycznych umiejętności, specjalny dar, czyli to genetyczne „ulepszenie”, jak je nazwałaś, niesie w sobie umiejętność obsługi specjalistycznego sprzętu, stosowanego w tego typu pracy. Widziałam cię wczoraj w kuchni. Czy tego chcesz, czy nie, tak jak ja urodziłaś się na historyczkę CHRONOSA.

– Nie będę cię zanudzać całą codziennością mojej pracy – kontynuowała – ale w odróżnieniu od twojej matki, zmuszonej badać swoje poletko poprzez dokumenty i artefakty, ja podróżowałam w miejsca, gdzie akurat tworzone historię. Wspecjalizowałam się w kobiecych ruchach politycznych, z wyróżnieniem amerykańskich, w większości dziewiętnastowiecznych, choć zrobiłam też kilka wycieczek w wiek XX, śledząc długofalowe trendy. Poznawałam historię, obserwując spory Susan B. Anthony, Fredericka Douglassa i Lucy Stone<sup>1</sup>, tak publiczne, jak i prywatne, uchodząc za kogoś z ich epoki.

– Ażeby zagwarantować... – tu posłała Connorowi nieco kwaśną minę – a przynajmniej postarać się zagwarantować nienaruszalność osi czasowej, CHRONOS dopuszcza do pracy ograniczoną liczbę historyków. W 2298 roku, kiedy do nich dołączyłam, aktywnych historyków było trzydzieścioro pięcioro. Ja zajęłam miejsce po trzydziestym szóstym, który odszedł na emeryturę. Ten klucz to przenośne urządzenie, umożliwiające powrót do centrali po zakończeniu badań. Pamiętniki zaś mają zapewnić łączność w terenie: szybki sposób na uzyskanie odpowiedzi na każde pytanie, na jakie nie odpowiadały badania wstępne.

– Co teraz jest ważne – oznajmiła – to fakt, że zmieniona struktura genu umożliwiła mnie – a za sprawą dziedziczenia także tobie – aktywowanie klucza CHRONOSA. Czyli medalionu, bo tak go nazywasz. Podczas treningu trzymałam ten klucz i w efekcie „dostrzegałam” scenerię, odpowiadającą określonym koordynatom miejsca, w które się miałam przenieść. Na każdym kontynencie

istnieje pewna liczba punktów docelowych, ustanowionych w miejscach, które według naszej wiedzy były w badanym okresie całkowicie stabilne. Na przykład jednym ze stabilnych punktów, właściwych dla tego terenu, jest korytarz w senackim skrzydle Kapitolu, które uniknęło zburzenia podczas wojny roku 1812. On właśnie stanowi geograficzny stabilny punkt dla okresu od 1800 do 2092.

– Co się stanie w 2092? – spytałam.

Usta Katherine zmieniły się w wąską kreskę.

– Ten korytarz przestanie stanowić stabilny punkt.

– Nawet nie próbuj dociekać – wtrącił Connor. – Ona przekaze ci wyłącznie wszystko to, co jest potrzebne.

– Wracając do medalionu – powiedziała Katherine – umożliwi on użytkownikowi rozpoznanie terenu, w razie potrzeby drobniejsze dostrojenie temporalne i określenie pory najlepszej na skok.

– To jakim cudem skończyłaś tu i teraz? Postanowiłaś już pozostać w przeszłości? Czy może nastąpił jakiś wypadek?

– Wypadek to na pewno nie był – stwierdziła Katherine. – Choć miał na taki wyglądać. Twój dziadek, znaczy twój biologiczny dziadek, Saul, dokonał w CHRONOSIE sabotażu i porzucił bez wsparcia nasze zespoły w ich nader różnych lokacjach. Ja miałam w planach skok do roku 1853 w Bostonie, ale... powiedzmy, że zmuszona byłam w ostatniej chwili nanieść pewne poprawki. Saul zaś...

Tu Katherine na chwilę przerwała, by starannie dobrać słowa.

– Saul związał się z pewnymi bardzo nieciekawymi środowiskami i jestem przekonana, że zamierzał mnie ścigać. Zawsze wszystko postrzegał w kategoriach bieli i czerni. Było się albo jego przyjacielem, albo wrogiem, szara strefa pomiędzy nie istniała. Mnie uznał za zdrajczynię i prawdopodobnie by zabił. A wraz ze mną, choć tego nie wiedział, twoją matkę i Prudence. Na szczęście w ostatniej chwili uskoczyłam w rok 1969.

∞

W ciągu kolejnej godziny dowiedziałam się, jak to Katherine w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku rozpoczęła nowe życie. Wylądowała w opuszczonej stodole, półtora kilometra od Woodstock w stanie Nowy Jork, w połowie sierpnia 1969 roku, zamieniwszy się ze specjalizującym się w historii muzyki przyjacielem, który miał nadzieję zobaczyć na odbywającym się tam festiwalu Janis Joplin i Jimiego Hendrixa. Katherine, ubrana w coś, co w roku 1853 stanowiło szczyt mody, na koncert rockowy była cokolwiek za bardzo wystrojona. Mając nadzieję zebrać choćby trochę danych, użytecznych dla przyjaciela, którego

przydział przejęła, wyjęła z włosów szpilki, wyszukaną, XIX-wieczną suknię, rękawiczki i buty zapinane na guziki upchnęła w swojej dywanikowej torbie i ruszyła na koncert jedynie w pantalonach, jedwabnej koszuli, i naszyjniku z czarnej koronki. Wciąż była zakryta szczelniej niż wiele młodych dam na tym festiwalu, ale po kilku godzinach w błocie i spiekocie udało się jej, jak stwierdziła, wmieszać w tłum.

– W ciągu następnych kilku tygodni kilka razy wracałam do stabilnego punktu, czyli do owej stodoły, by spróbować nawiązać kontakt z centralą. Nic jednak nie udało mi się zobaczyć, jedynie czarny odmęt, sporadycznie wstrząsany wyładowaniami elektrycznymi. Pomyślałam o przesłaniu do niej wiadomości przy pomocy jednego z pamiętników, które zabrałam, ale zniknęły. Tak jakby nie w moich czasach już nie istniało.

– To dlaczego nie wróciłaś do dnia poprzedzającego ten, w którym wyruszyłaś?

Connor pokiwał głową.

– Też o to zapytałem.

– Obawiam się, że oboje naoglądaliście się zbyt wiele filmów. Nie mogłabym tak sobie przeskoczyć z jednej lokacji do innego punktu w czasie. Klucz CHRONOSA pozwalał mi tylko na pojawienie się w uprzednio do niego wprowadzonym stabilnym punkcie i na powrót do centrali CHRONOSA, gdy praca dobiegnie końca. Żadnych skoków w bok nie przewidziano.

– Na szczęście – dalej opowiadała Katherine – historycy CHRONOSA przyjęli za swoje motto skautów „Bądź gotów”. W razie braku kontaktu z centralą mieliśmy znaleźć sposób na wtopienie się w tłum i przyciąć się na rok lub dwa. Gdyby po tym czasie nadal nie było szans na kontakt, pozostawałoby nam dać sobie z tym spokój i spróbować wieść normalne życie w tym nowym miejscu i czasie.

Skorzystawszy z zaszytego w jej bieliźnie klucza do sejfów depozytowych, Katherine odzyskała zawartość pudełka, złożonego przez nią w Banku Nowojorskim w roku 1823. Z zestawu przygotowanych dla niej tożsamości wybrała najodpowiedniejszą opcję, wymyśliła sobie męża, który zginął w Wietnamie i w ciągu kilku miesięcy zapewniła sobie stanowisko na uniwersytecie.

Spróbowała odszukać informacje o kilku innych historykach, których celem była stosunkowo niedawna przeszłość, między innymi o Richardzie, tym przyjacielu, który zamieniwszy się z nią, wyładował w 1853 roku.

– Wiele bym dała, żeby się dowiedzieć, jak udało mu się wtopić w tłum, skoro przybył ubrany w dżinsowe dzwony i dość krzykliwą koszulkę, bo to właśnie miał wtedy na sobie. Na Woodstock ubrany byłby idealnie – w 1853 roku jednak niewątpliwie wyglądał dość niedorzecznie. Richard jednakże zawsze miał łeb na

karku. Z czasem dowiedziałam się, że przez następne czterdzieści lat wydawał w Ohio gazetę, ożenił się, dorobił się dzieci i wnuków. To było nieprzepisowe – wpajano nam, byśmy za wszelką cenę wystrzegali się tego, by mieć dzieci, mogę sobie jednak wyobrazić, jak ciężko było komuś, kto utknął w 1850 roku i marzył o normalnym życiu.

Westchnęła.

– Zmarł w 1913. Dziwnie było czytać, że się zestarzał i umarł tak dawno temu, skoro widziałam się z nim zaledwie kilka tygodni wcześniej. Dobry był z niego przyjaciel, choć jak mi się zdaje, marzyło mu się coś więcej. Gdybym nie była tak zafiksowana na punkcie Saula...

– Mniejsza z tym – stwierdziła, potrząsając głową, jakby chciała zrobić w niej porządek. – Napisałam do wnuczki Richarda, która opiekowała się nim przed śmiercią. Powiadomiłam ją, że pracuję nad książką o dziewiętnastowiecznych dziennikarzach i moje badania obejmują także jej dziadka, ona zaś, ku memu zaskoczeniu, zaprosiła mnie do siebie. Gdy ją odwiedziłam, zaraz podeszła do serwantki i wyjęła z niej klucz CHRONOSA. Powiedziała, że jej dziadek zawsze miał w sobie coś z jasnowidza i przepowiedział jej, że gdy będzie po siedemdziesiątce, pewnego dnia może skontaktować się z nią kobieta imieniem Katherine, która będzie zadawać pytania. Gdyby do tego doszło, powiedział Richard, powinna przekazać mi ten stary medalion i jego pamiętnik, będę bowiem wiedziała, co z nimi zrobić. Klucz Richarda kilka miesięcy później spakowałam wraz z innymi moimi rzeczami, bo wychodziłam za Jimmy’ego. Był młodym wykładowcą historii, a ja świeżo owdowiałą asystentką, od sześciu miesięcy w ciąży, noszącą w sobie twoją matkę i Prudence.

Lekko się uśmiechnęła.

– Jim powinien być się urodzić w czasach, gdy błędni rycerze nieśli pomoc damom w opałach: poznawszy mnie, odkrył swoje powołanie. Ja miałam opory przed tak szybkim zamążpójściem. Członkom CHRONOSA wpaja się, by odczekali przynajmniej rok, zanim podejmą decyzję, jak najlepiej się zasymilować. Lepiej jednak niż inni wiedziałam, że to, z czym mamy do czynienia, najprawdopodobniej oznacza coś znacznie gorszego od jakiejś tam awarii. Wysłałam za Jima, zanim dziewczynki przyszły na świat i pod każdym względem, poza biologicznym, naprawdę były jego dziećmi. Nie potrafiłabym sobie wymarzyć bardziej oddanego męża i ojca.

– To mama nie wie? – spytałam. – To znaczy, że nawet po wypadku nie powiedziałaś jej, że Jim nie był jej ojcem?

Katherine sprawiała wrażenie nieco zdziwionej tą sugestią.

– Naprawdę sądzisz, że powinnam jej była powiedzieć? I tak już była na mnie wściekła za tamto! Podsuniecie jej innego kłamstwa, o ojcu zabitym w Wietnamie, nie miałoby sensu. A wyjawienie prawdy tylko utwierdziłoby ją

w przekonaniu, że jestem obłąkana. Zrobiłam jedyną rzecz, jaką po śmierci Jima mogłam zrobić: spróbowałam odebrać Saulowi jej siostrę. I zawiodłam.

∞

Jej opowieść wyjaśniała tak wiele rzeczy, że nawet mnie nie zaskoczyło, iż Prudence żyje – a przynajmniej, że Katherine uważa, iż Prudence przeżyła wypadek.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że któraś z dziewczynek byłaby w stanie uaktywnić klucz... – powiedziała Katherine. – Istniało zaledwie kilka pokoleń historyków CHRONOSA i... cóż, nie można powiedzieć, że się obnosiliśmy ze specjalistycznym sprzętem. Jeśli nawet jakieś dzieci historyków wykazywały zdolność aktywowania tego sprzętu, o tym się nie mówiło. Swój klucz trzymałam w kasetce na biżuterię. Właściwie nie wiem, po co. Nawet gdyby się nagle uaktywnił, nie zostawiłabym przecież rodziny, wydaje mi się więc, że miał dla mnie raczej wartość pamiątkową, jako wspomnienie świata, który w owym czasie wydawał mi się już całkiem nierealny. – Na chwilę umilkła. – No i wiedziałam, że Saul dokonał skoku. On też utknął bez wsparcia. Myślał, że zniszczenie stabilnego punktu po stronie CHRONOSA zapewni mu pełną kontrolę, że pozwoli mu przenosić się z jednego stabilnego punktu do następnego, z jednej epoki do innej, bez żadnych ograniczeń. Mogłoby to nawet zadziałać, ale... wciąż jeszcze nie wiem, co się tamtego dnia stało. Gdziekolwiek jednak i kiedykolwiek Saul wyładował, jestem prawie pewna, że to mnie obwinia o pokrzyżowanie mu planów.

Katherine bawiła się teraz łańcuszkiem na szyi.

– Nigdy nie przypuszczałam, że ten klucz może okazać się dla dziewczynek zagrożeniem. Prudence odkryła go na kilka miesięcy przed swym zniknięciem. Szukały z Deborah staroci, które mogłyby wykorzystać do kostiumów na szkolne przedstawienie. Nie mam pojęcia, jak długo Prudence go trzymała ani co zobaczyła. Wiem tylko, że kiedy wróciłam do domu, dość paskudnie się z twoją matką biły, gdyż Prudence upierała się, że medalion świeci na zielono, a twoja matka tego nie widziała – i zarzucała siostrze, że to jeden z jej kawałów.

Na dłuższą chwilę zamilkła.

– I co zrobiłaś? – nacisnęłam.

– Postąpiłam tak, jak postąpiłaby większość matek: zabrałam im go, skrzyczałam obie i powiedziałam, że mam dość ich głupich kłótni. Nie opowiedziałam się po żadnej ze stron. Odmówiłam też rozmowy, gdy Prudence później wróciła do tego tematu. – Jej niebieskie oczy odrobinę przygasały i spuściła wzrok na swoje dłonie. – To był błąd. Teraz to wiem. Myślę, że zobaczyła coś, co ją... potem dręczyło. Możliwe, że tę czarną otchłań, którą ja ciągle widuję, ilekroć

usiłuję go uaktywnić, choć w to raczej wątpię. Zaczęła mieć złe sny i była marudna. Właściwie trochę marudna była zawsze, ale... znacznie bardziej... po tamtym.

Po twarzy Katherine spłynęła łza, spadła na rękaw.

– Myślałam, że jej to przejdzie. Potem, kilka tygodni później, miałam iść z Deborah do Georgetown, kupić jej nowe buty. Była sobota i Jim miał zawieźć Prudence do kampusu, na lekcję skrzypiec. Gdy Prudence wsiadała do samochodu, wydawało mi się, że ma dość wredną minę, uznałam jednak, że to dlatego, iż umalowała się bardziej, niż jej zazwyczaj pozwalałam. Zdaniem Deborah, Prudence kochała się w nauczycielu skrzypiec. Kiedy wyjeżdżali z podjazdu, Prudence posłała mi paskudny uśmiech i wyciągnęła coś, co wyglądało jak mój klucz CHRONOSA, rozjarzony bladopomarańczowym światłem... Mieliśmy tylko ten jeden samochód – nie mogłam więc za nimi pogonić. Gdyby to było dekadę później, mielibyśmy już telefony komórkowe. Zadzwoiłabym do niego i zawróciła, żeby odebrać jej to cholerstwo. Zamiast tego pobiegłam do sypialni, przekopałam tę szufladę w toalecie, gdzie schowałam klucz i ku memu zdumieniu, znalazłam go tam, gdzie zostawiłam. Uznałam więc, że Prudence musiała gdzieś sobie wyszukać podobną ozdobę, i poszłam z Deborah na zaplanowane zakupy. Coś mnie jednak wciąż gryzło: czy Prudence nie mówiła, że medalion, według niej, świeci zielonym światłem? Czemu więc miałyby sobie kupić do tego kostiumu ozdobę pomarańczową? Mimo to inaczej nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć. A potem przypomniałam sobie o pudle na strychu – opowiadała dalej Catherine. – Pognałyśmy z powrotem do domu. Deborah była, oczywiście, wściekła, że po kilometrowym spacerze się rozmyśliłam. Tak czy inaczej, odszukałam stary kufer z moimi rzeczami sprzed ślubu z Jimem. Jak się można było spodziewać, stał otwarty, a klucz Richarda, ten, który dała mi jego wnuczka, przepadł.

Katherine ciężko westchnęła, a potem podniosła się i przeszła do kuchni. Po kilku minutach usłyszałam, że wpuszcza Daphne. Suka wyraźnie wyczuwała nastrój właścicielki, tak bowiem przygaszonej jeszcze jej nie widziałam. Miętko podreptała do kanapy i zaczęła obwąchiwać okolice kolan Connora, zapewne w poszukiwaniu okruchów ciasteczek. Wyłowił jedno z dna pudełka i cisnął w powietrze. Daphne złapała je jednym kłapnięciem szczęk i wyciągnęła się u moich stóp, trzymając łup w łapach i skubiąc jego krawędzie.

Gotowa byłam pójść do kuchni za Katherine, ale Connor pokręcił głową.

– Niedługo wróci – powiedział. – Ciężko jej o tym mówić.

Zgodziłam się z nim.

– Mojej mamie też. Wydaje mi się jednak, że znam dalszy ciąg. Mama mówiła, że Prudence nigdy nie odnaleziono, a jej tato zmarł w szpitalu jeszcze tamtego wieczoru. Nie dowiedzieli się, dlaczego stracił panowanie nad samochodem. A skoro mama nigdy nie wspominała, że miała okazję z nim



porozmawiać, to raczej już nie odzyskał przytomności?

– Rozmawiał z Katherine. To odzyskiwał, to tracił przytomność i...

Umilkł w pół zdania, bo w drzwiach pojawiła się Katherine. Wyglądała na zmęczoną i kruchą.

– Jim mówił do mnie zaledwie przez chwilę. Powiedział: „Była tam, a potem jej nie było. Samochód... straciłem panowanie”. Potem złapał mnie za rękę, tak jakoś mocno, i spytał: „Katherine, gdzie ją zabrało?” A potem Jimmy’ego też już nie było. Nie tak dosłownie, jak Prudence, ale...

Przeczesała dłonią swego siwego języka i oparła się o ścianę.

– W pokoju wtedy były też Deborah i pielęgniarka. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że uznały, iż Prudence zabrała rzeka, i że pomyliła mu się kolejność zdarzeń. Ale ja widziałam w jego oczach to niedowierzanie, Kate. Rozumiałam, co to oznacza. Ona zniknęła, a zobaczyć, jak nagle znika ktoś siedzący obok ciebie, gdy wcześniej nie miało się z czymś takim do czynienia... Cóż, trudno się dziwić, że Jim zapomniał o obserwowaniu drogi.

Potem Katherine umilkła. Nie wiedziałam, co powiedzieć, i odczułam ulgę, gdy Connor zmienił temat rozmowy.

– Może powinniśmy się skupić na tym, co się dziś rano przytrafiło Kate. Powiesz nam coś więcej o tym typie, który ukradł ci torbę?

– W moim wieku, może starszy. Kiernan powiedział, że na imię mu Simon. Miał czarną koszulkę z czymś, co wyglądało na logo jakiejś kapeli, tylko nie wiem, jakiej. Taki grubszy... Wyglądał na hardkorowego gracza.

– Hardkorowego? – spytała Katherine.

– Nadwaga, blady, rzadko wychodzi na słońce – doprecyzował Connor.

– Właśnie – potwierdziłam. – Coś pisał i patrzył w te swoje notatki. Właściwie to lepiej przyjrzałam się temu drugiemu. Kiernanowi. Wysoki...

– Zaczekaj – powiedział Connor. Podniósł rękę i ruszył w kierunku schodów.

– Może uda mi się oszczędzić ci tutaj trochę wysiłku. – Wrócił chwilę później, niosąc dwie bardzo stare fotografie w jednakowych czarnych ramkach. Jedną z nich mi podał: – Zrobiono ją w 1921 roku.

To było pozowane zdjęcie rodziny z czworgiem dzieci. Najmłodszy chłopaczek siedział u matki na kolanach. Mężczyzna był w średnim wieku, wysoki i ciemnowłosy, ze starannie przystrzyżoną brodą. Patrzył prosto w obiektyw i od razu poznałam te oczy. Zerknęłam na siedzącą przed nim kobietę i poczułam nagle, irracjonalne ukłucie zazdrości, że to na jej ramieniu spoczywa jego dłoń. W drugim ręku mocno trzymał dużą, zdobioną księgę, może rodzinną Biblię, ze zwisającą spomiędzy kart wstążką.

Zwróciłam fotografię Connorowi.

– To on. Jestem tego pewna.

– Widzisz drugiego chłopca od prawej – zapytał – stojącego obok matki? To

prawdopodobnie był mój dziadek, Anson. Myślę, że miał wtedy jedenaście, dwanaście lat. Mężczyzna to, jak zaznaczyłem wcześniej, Kiernan Dunne, mój pradziad. Z badań genealogicznych, które ostatnio przeprowadziłem, wynika, że Kiernan aż do śmierci pod koniec lat czterdziestych minionego wieku był prominentnym członkiem świątyni cyrystów w Chicago. Jako dziecko przyjechał wraz z rodzicami do pracy w jednym z tych gospodarstw kolektywnych, które za sprawą cyrystów tak się rozprzestrzeniały na Środkowym Zachodzie od połowy dziewiętnastego wieku.

Ponownie przyjrzałam się trzymanej przez Connora fotografii, niepewna, co zaniepokoiło mnie bardziej: czy fakt, że całowałam się z żonatym kaznodzieją, czy że umarł on ponad pół wieku przed moim urodzeniem. Nadal czułam na wargach dotyk jego warg i jego dłoń na mojej twarzy, widziałam uśmiech, z jakim uwalniał mi włosy.

Potrząsnęłam głową, by uporządkować myśli, a Connor wepchnął mi w dłoń drugie zdjęcie.

– Rzecz w tym, że zawsze wierzyłem, że ten młody człowiek to mój dziadek Anson. – Wskazał mi odrobinę młodszego chłopca, na innym zdjęciu rodzinnym. Na tym dzieci było troje, a matka całkiem inna. Ubrani mniej oficjalnie, siedzieli przed wielkim wiejskim domem. Mężczyzna, wysoki i ciemnowłosy, z nieco dłuższą brodą, wyglądał mniej poważnie, widziało się cień uśmiechu. Oczy były identyczne.

– Kiernan miał brata bliźniaka? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała Katherine. – I na pewnym etapie były to dwie odbitki tego samego zdjęcia. Ta druga cały czas była u mnie i pod osłoną pola CHRONOSA od 1995 roku, kiedy to matka Connora zgodziła się, bym skopiowała oryginał do moich badań nad potomkami różnych historyków CHRONOSA. Ta pierwsza, bardziej upozowana fotografia jest właśnie tym oryginałem, który w 1995 roku kopiowałam. Przesłała go Connorowi w maju jego siostra. Choć właściwie chyba nie można jej określać mianem jego siostry, skoro...

– Czekaj, bo nie nadążam. – Pojęcia nie miałam, czym jest to pole CHRONOSA, te fotografie jednak nijak nie mogły pochodzić z jednego oryginału. – To wcale nie jest to samo zdjęcie. Różni ludzie i różne tło... Jak ta druga mogłaby być kopią pierwszej?

– Według tego, co mi opowiadano, mój dziadek był farmerem – oznajmił Connor – nie żadnym duchownym, a już na pewno nie członkiem Świątyni. – Zauważyłam w jego głosie wzgardę i chciałam podrażnić temat, ale już mówił dalej, podkreślając inne różnice na fotografiach. – Matka na tym zdjęciu jest inna. U dzieci też widać lekkie różnice. – Machnął ręką w stronę schodów. – Nadal mogę śledzić męską linię mego rodu na stronach poświęconych genealogii, ale imiona się pozmiały. Moja matka nigdy nie wyszła za ojca. To zdjęcie udało mi

się uzyskać tylko dlatego, że podszyciłem się pod mojego.... jak należałoby go nazwać? Wydaje się on jakąś wersją mnie, właściwą dla tej osi czasu. Moim przyrodnim bratem? Przyrodnim mną? – Popatrzył na Katherine, unosząc brwi pytająco.

Katherine jedynie wzruszyła ramionami.

– Przekroczyliśmy już mój poziom zrozumienia. Jestem tylko historyczką. Posługiwałam się tym sprzętem, ale go nie wynalazłam. Mówiono nam, że system jest zabezpieczony przed tego rodzaju... aberracjami... a jednak Saul...

– Saul – powtórzył drwiąco Connor. – Cały mój czas trawię teraz na jak najdokładniejsze rozpoznanie, co ten drań pozmieniał i jak moglibyśmy to odkręcić. – Zgniół pudełko po ciastkach z nieco większą siłą, niż było to konieczne. – I z każdym dniem widzę coraz więcej tych jego cholernych świątyń, psujących krajobraz.

Susan Brownell Anthony (1820–1906), amerykańska aktywistka ruchów na rzecz prawa wyborczego kobiet, współzałożycielka Krajowego Amerykańskiego Stowarzyszenia Sufrażystek i założycielka Międzynarodowego Związku Sufrażystek. Frederick Douglass (1818–1895), amerykański działacz społeczny, początkowo niewolnik, potem przywódca ruchów abolicjonistów, doszedł do wysokich urzędów w administracji państwowej. Edytor, mówca, pisarz, mąż stanu. Lucy Stone (1818–1893), działaczka ruchów na rzecz praw kobiet i zniesienia niewolnictwa. [\[wróć\]](#)

Tato mówił prawdę, zapewniając, że Katherine ma mnóstwo książek. Trzy ściany ogromnej biblioteki, zajmującej większość lewego skrzydła domu, były ich pełne. Pod większością względów sprawiało to wrażenie normalnej biblioteki, a raczej takiej, jakie oglądałam wyłącznie w filmach, z przesuwными drabinami przy każdej ścianie i książkami, piętrzącymi się od podłogi po sam sufit.

Widać było też wyraźne różnice. Wzdłuż pionowych krawędzi regałów biegły od dołu do góry jasnoniebieskie rury – odcieniem idealnie odpowiadające kluczowi CHRONOSA – ciągnące się dalej przez sufit, by spotkać się na jego środku, tworząc przy tym wielki błękitny iks.

Powędrowałam wzrokiem ku komputerom. Na metalowych półkach piętrzyły się tuziny twardych dysków. Stacje robocze były trzy, z ogromnymi podwójnymi monitorami. Po prawej stało dziwne urządzenie, którego nie potrafiłam zidentyfikować – w odróżnieniu od przedmiotów w samym jego środku. Wewnątrz swoistej osłony, z którą wydawały się łączyć je ciągi przewodów, spoczywały dwa medaliony CHRONOSA. Wieko tej gabloty wykonano z barwionego szkła, które częściowo tłumilo błękitny blask. Podczepiona do gabloty gruba wiązka splecionych kabli biegła z półtora metra od stanowiska komputerowego do regałów i łączyła się tam z jedną z tych jasnoniebieskich rur.

– Co to... takiego jest?

– To właśnie, Kate, czyni ten dom bezpiecznym – odpowiedziała moja babka. – Nie masz pojęcia, jak trudno było to wszystko przenieść pod ten nowy adres, zważywszy, że w trakcie podróży musiało być należycie zabezpieczone. Znacznie prościej byłoby ciebie sprowadzić do Włoch, podejrzewałam jednak, że nie porozumiałabym się w tej kwestii z twoją matką.

– Connor opracował tu nader pomysłowy system. Poprzez wzmocnienie sygnału z tych kluczy CHRONOSA osłona rozciąga się na mniej więcej sześć metrów wokół domu.

– Teraz, jeśli zechcemy wyjść poza ten obręb, po prostu bierzemy ze sobą jeden z pozostałych kluczy – dodał Connor. – Chętnie objąłbym bezpieczną strefą cały teren, ale to wymagałoby użycia trzeciego klucza – a obawiam się, że takie rozciągnięcie ochrony mogłoby przeciążyć system.

– Jak to: ochrony? – Wróciłam nagle myślą do pytania, które w metrze zadał mi Kiernan. *Dlaczego miałaby cię wysyłać bez żadnej ochrony?*

– Przed odkształceniami temporalnymi – odparł Connor. – Na nikogo i nic w granicach tych ścian zmiana temporalna nie ma żadnego wpływu. Nie ma też wpływu na kogokolwiek noszącego jeden z kluczy. Katherine i ja, na przykład, doskonale pamiętamy, że druga z pokazanych ci fotografii jest tą właściwą.

Uchowała się pod osłoną, jak większość rzeczy w tym domu. Natomiast to pierwsze zdjęcie, które widziałaś... a także ludzie i cała reszta poza strefą ochronną... to wszystko uległo zmianie.

– To dlaczego tamto pierwsze zdjęcie ponownie się nie zmieniło, po sprowadzeniu tutaj? – rzuciłam zaczepnie. – Jeśli to rzeczywiście taka... strefa bezpieczeństwa... Czy nie powinno ukazywać rzeczywistości, jaką znacie?

Katherine potrząsnęła głową.

– To nie tak działa, Kate. Gdy doszło do zmiany temporalnej, nie było ono chronione. Pomyśl o tym... jak o ołowianym fartuchu, jaki wkładają ci przed rentgenem zęba. Osłania cię, gdy masz go na sobie, ale nie usunie skutków wcześniejszego napromieniowania. Dokumenty, które tutaj mamy, zawsze przez nas chronione, wszystkie, łącznie z tymi zdigitalizowanymi, znajdującymi się na tych oto serwerach, one wszystkie się uchowały. Wszystko, co sprowadzamy z zewnątrz, mogło natomiast ulec zmianie. Albo tej zmianie ulegnie, o ile nie będzie pozostawało w ciągłym kontakcie fizycznym z kimś, kto nosi medalion. Ale gdy już tu trafi, bardziej się nie zmieni.

– To chyba... brzmi sensownie. W porządku... Widziałam.... – Urwałam, żeby policzyć. – Pięć medalionów, łącznie z tym, który miał Kiernan. Zakładam, że Simon... gość, który mnie napadł... też musiał taki mieć. Skąd się one biorą? Nauczyliście się je powielać?

– Nie, dodatkowe klucze i dzienniki to wyłącznie te, które pozbierałam – powiedziała Katherine, siadając przed jednym ze stanowisk komputerowych. – Przed zniknięciem Prudence nie bardzo się przykładałam do sprawdzania, co też stało się z moimi dawnymi współpracownikami z przyszłości. Pilnowałam jedynie Saula, on bowiem mógł wylądować gdziekolwiek i kiedykolwiek. A kiedy Prudence przepadła, zamknęłam się w pokoju i przez kilka tygodni desperacko próbowałam wydobyć z klucza CHRONOSA jakiś sygnał. Chyba niewiele brakowało, a zniknęłabym w tamtej otchłani. Czarna dziura to jedyne, co umiem dojrzeć w medalionie.

– Myślisz, że tam właśnie trafiła Prudence? – spytałam z wahaniem. – Do tamtej... czarnej dziury?

– Początkowo uważałam to za prawdopodobne, choć sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać. Inną możliwością było to, że Saul nas znalazł i uprowadził Prudence. W każdym razie zdecydowałam potem, że zbiorę wszystkie pozostałe klucze, żeby nikt już w ten sposób nie zniknął. Pogubiło się dwadzieścioro troje historyków CHRONOSA i każdy z nich miał klucz. Większość, na szczęście, zmierzała w czasy względnie nowożytne – tylko cztery osoby wybrały się przed XV wiek. Kilkoro pracowało zespołowo, podobnie jak często robiliśmy to ja i Saul. Dwanaścioro zajmowało się historią Ameryki Północnej – takie ukierunkowanie lokalne było w przypadku

północnoamerykańskiej instytucji dość uzasadnione. Szóstoro było w Europie, reszta rozproszyła się po świecie. Do tej pory zlokalizowałam dziesięć kluczy i kilka pamiątek, nie licząc tych, które zabrałam przy okazji swego ostatniego skoku. Wiele kluczy przekazywano sobie w rodzinie jako swoiste dziedzictwo, dziwną biżuterię. Większość ludzi ochoczo się ich pozbywała, uważając za nawiedzone: albo oni sami, albo ktoś inny mówił, że się jarzą albo poruszają, albo po prostu mają zły wpływ. Jeden z naukowców, badający nazistowskie Niemcy, dosłownie zniszczył swój klucz CHRONOSA i posiadane pamiątki. Rozmawiałam z nim chwilę, na krótko przed jego śmiercią, i wyjaśnił, że choć wydawało się to wysoce nieprawdopodobne, wolał nie ryzykować rozpracowania i odtworzenia ich przez nazistów. Jeśli spojrzeć wstecz, dokonał mądrego wyboru. Gdybym wiedziała, że Saul, gdziekolwiek i kiedykolwiek się kryje, nie będzie miał żadnych oporów przed niecnym wykorzystaniem tej technologii, zniszczyłabym wszystko, co znalazłam. Cieszę się jednak, że niczego nie zniszczyłam, bo mniej więcej w trzy lata po wypadku, odkryłam pierwszą zmianę.

Katherine odwróciła się do komputera i kliknęła w jedną z teczek, potem w plik i na monitorze otwarł się obraz. Był to skan pożółkłego dokumentu z listą nazwisk, uszeregowanych w kilku kolumnach, oznaczonych jako *Panie* i *Panowie*. Wyżej wydrukowano słowa: *Konwencja na temat praw kobiet, Seneca Falls, stan Nowy Jork, 1848.*

– Oprawiona w ramki kopia tego dokumentu wisiała na ścianie mego gabinetu na uniwersytecie od czasu, gdy Prudence i Deborah miały dwa lub trzy lata, i obie widziały ją wielokrotnie. Deklarację Zapatrywań i Postanowień podpisało na tej konwencji sto osób, 68 kobiet i 32 mężczyzn. Jeśli się jednak uważnie przyjrzyysz, doliczysz się 101 nazwisk. Przybyło to tutaj, niemal u spodu środkowej kolumny: Prudence K. Rand. Zaczęło się ono pojawiać również w innych dokumentach.

– Ale... czemu Prudence Rand? Nazwisko panińskie mamy to Pierce.

– Mogę jedynie przypuszczać, że Prudence na podpisanie tego dokumentu zdecydowała się po spotkaniu ze swym ojcem, Saulem Randem. Najwidoczniej usiłowała przesłać mi wiadomość, choć wciąż nie jestem pewna, co pragnęła przekazać. Czy chciała, żebym jej przyszła z odsieczą, czy po prostu... dała do zrozumienia, że zna mój sekret? Najbardziej boli to, że nie wiem... Czy miała świadomość, że nie udaje mi się do niej dotrzeć? Czy wiedziała, że próbuję?

∞

Wróciłyśmy z Katherine na parter, zostawiając Connora w bibliotece, przy komputerach, gdzie sprawdzał, czy na zewnątrz dzieje się coś na tyle niezwykłego,

że mogłoby potwierdzić ostrzeżenie, jakiego udzielił mi Kiernan. Niemal od początku wcześniejszej rozmowy coś mnie gryzło, ale nie potrafiłam określić, o co chodzi. Kilka minut później, gdy już siedziałyśmy w kuchni, wreszcie zaskoczyłam.

– Czekaj, czekaj... tego ranka, ale wcześniej, mówiąc o wszystkich innych z recesywną wersją genu CHRONOSA, zasugerowałam, że mają ją nie tylko Connor i moja mama, ale też... tato?

Katherine przytaknęła.

– U twojego ojca jest, według mnie, nawet silniejsza niż u Deborah. Jedna z najokropniejszych kłótni między nimi, jaką zdarzyło mi się widzieć, miała miejsce tuż po twoich drugich urodzinach. Przyjechałam do was z wizytą i miałam na sobie medalion. Deborah nigdy on zbytnio nie obchodził, ale chciałam zobaczyć twoją reakcję. Jak powiedział wczoraj Harry, byłaś nim zafascynowana i uparcie nazywałaś „niebieskim światłem”. Harry, ot tak, napomknął, że medalion raczej wydaje się jarzyć różowawo. Deborah wpadła w furję. Myśląc, że opowiedziałam mu o tamtej kłótni z Prudence sprzed lat, uznała, że się świetnie bawimy jej kosztem. Biedny Harry. Najmniejszego pojęcia nie miał, o co jej chodzi, i nie rozumiał, czemu tak się upiera, że to zwyczajny brązowy wisiołek, nie żaden różowy, zielony czy niebieski.

Westchnęła ciężko.

– Choć Harry tak bardzo kochał twoją matkę, i może nadal kocha, zawsze się zastanawiam, czy nie byłoby lepiej, gdybym go na nią nie nakierowała. Deborah ma swoje zalety i kocham ją z całego serca, wydaje mi się jednak, że temperament ma trochę po ojcu i...

– Czekaj – przerwałam. – Mama i tato poznali się na jakiejś imprezie historycznej. Na Jarmarku Renesansowym czy czymś takim. On sprzedawał biżuterię. Zastąpił koleżankę, która się rozchorowała.

– Coś w tym stylu – stwierdziła z lekkim uśmiechem. – Harry zajął miejsce młodej damy, która z niemalą radością przyjęła sto dolarów oraz to, że ktoś inny spędzi za nią osiem godzin w spiekocie i duchocie. Nie sądzę jednak, by Harry się kiedykolwiek dowiedział, że ją opłaciłam. Zrobił to jako przysługę dla mnie. A ja mu powiedziałam, że jeśli natrafi na Deborah, niemądrze będzie dawać jej do zrozumienia, że się znamy. Zobaczył jej zdjęcie i rzekł, że jest ładna, a ja wyjaśniłam mu, że jeśli ona dowie się o naszej znajomości lub zauważy choć cień prawdopodobieństwa, iż mogłabym go zaakceptować, już na starcie będzie miał tyły.

Dłuższą chwilę przyglądałam się mojej babce, potem wstałam i podeszłam do okna, przenosząc uwagę na dwie wiewiórki bawiące się w berka na wielkiej wierzbie za domem.

– Katherine... czy jeszcze coś z tego, co wydaje mi się, że wiem o moim

życiu i o moich rodzicach, rozmija się z prawdą? Z tego, co mi wiadomo, mama przedstawiła ci tatę dopiero po ślubie.

– Cóż, to zasadniczo prawda, tyle że nie cała. Poznaliśmy się nie dzięki twojej matce; z Harrym zetknęłam się pierwszy raz, gdy miał około osiemnastki. Przybrani rodzice zawsze mówili mu, że jeśli będzie miał pytania, zawsze pomogą mu dowiedzieć się czegoś na temat jego rodziców biologicznych. Najbardziej oczywiste było skierowanie go do mnie. Evelyn i Timothy, też historycy CHRONOSA, utknęli w 1963 roku – studiowali zdarzenia powiązane z zamachem na Kennedy’ego. Skontaktowałam się z nimi po moim pojawieniu się w roku 1969. Mieszkali w Delaware. Mieli przyjaciela, który szepnąwszy dobre słowo, pomógł mi zdobyć etat naukowy w Nowym Jorku, gdzie potem zetknęłam się z Jimmym.

Kilka razy wysyłaliśmy sobie życzenia świąteczne. Pamiętam, że raz dołączyli zdjęcie chłopczyka, być może twojego ojca. Potem nie miałam już od nich wiadomości. Ludzie czasem tracą kontakt, a przed waszym Facebookiem i mailami zdarzało się to nawet znacznie częściej, toteż...

Katherine dołała sobie kawy, z małą domieszką śmietanki z porcelanowego dzbaneczka, stojącego na stoliku.

– Jak już powiedziałam, po śmierci Jima zabrałam się za poszukiwanie kluczy CHRONOSA. Szukając kluczy Evelyn i Timothy’ego, dowiedziałam się o ich śmierci, z czasem też odkryłam, że Harry’ego adoptowało małżeństwo spod Mitford. Przedstawiłam się tym Kellerom jako przyjaciółka matki Harry’ego, która właśnie dowiedziała się o ich śmierci, co zresztą odpowiadało prawdzie. Powiedziałam, że klucze były pamiątkami z żeńskiego stowarzyszenia, do którego razem z Evelyn należałyśmy w college’u. Kellerowie nie widzieli ich, mimo to zostawiłam im wizytówkę, na wypadek gdyby coś sobie przypomnieli. Później, gdy Harry rozpoczął naukę w szkole w Dystrykcie Kolumbii, zasugerowali mu, żeby mnie odwiedził. Chciał się dowiedzieć więcej o swoich rodzicach biologicznych i o tym, jacy byli. Wspomnienia o nich zacierały się w jego pamięci, a ja... cóż, znałam ich, toteż się z nim spotkałam i porozmawiałam. Nie mogłam mu, oczywiście, przedstawić pełnej prawdy, jemu jednak zależało na tym, by się dowiedzieć, jakimi ludźmi byli jego rodzice. Pracowałam z nimi przez kilka lat, mogłam więc coś mu przekazać: anegdoty, skrawki tego, czym się zajmowali.

Katherine usiadła pod oknem, poprawiwszy trochę poduszkę.

– Czas mijał nam całkiem miło, gdy... no, zauważyłam, że jego uwagę zwraca medalion, który włożyłam. Barwa nie jest dla niego intensywna, światło wydaje się blade, nie neonowe ani prawie oślepiające, jak w naszym odczuciu. To jednak wystarczyło, żeby skłonić mnie do myślenia o Deborah i o nim... Gdyby ich skojarzyć i...

Zawiesiła głos, a ja się jej przypatrywałam, niepewna, co myśleć.

– Napuściłaś moich rodziców na siebie w nadziei, że dorobią się dziecka,



czyli mnie, żebym mogła... co? Wyruszyć na poszukiwanie mojej zaginionej ciotki? – Do pewnego stopnia mogłam to zrozumieć, zaczynała też jednak zbierać we mnie złość, nawet poczucie, że mnie się wykorzystuje. – Nie rozumiałaś, że to niewiarygodnie daleki strzał?

Katherine wstała i położyła mi ręce na ramionach, patrząc prosto w oczy.

– Oczywiście, Kate, że strzał był daleki. Musiałam się jednak na niego zdobyć. Czyżbyś tego nie dostrzegała? I nie ulega wątpliwości, że się udało: jesteś tutaj i do tego... Cóż, w życiu nie widziałam nikogo, kto umiałby tak z miejsca dostroić się do sprzętu CHRONOSA, jak ty wczoraj. Ja potrzebowałam trzech miesięcy, żeby zacząć widzieć coś innego niż zamazane obrazy, a ty... Z tego, co mówiłaś, wynika, że właściwie się tam znalazłaś w pięć sekund po tym, jak chwyciłaś medalion. Nieważne, gdzie to było.

Strząsnęłam jej dłonie. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mama miała rację, gdy mnie ostrzegała. *Jest samolubną manipulatorką.*

– Nie pomyślałaś, że mają prawo sami o sobie decydować, zdać się na los? Moim rodzicom niewątpliwie nie było pisane być razem, inaczej nadal by byli. Może byliby szczęśliwsi, gdybyś się nie wtrąciła. Nie byli żadnymi pionkami ani marionetkami!

– Może i byliby szczęśliwsi, Kate. Ale tutaj naprawdę nie chodziło o ich uczucia, tak ważne dla ciebie i zresztą dla mnie również.

– Oczywiście – stwierdziłam. – Prudence. Wiem, chodzi właśnie o Prudence. Tyle że ona przepadła bardzo dawno temu. Współczuję ci z powodu tej straty, tak samo jak mojej mamie, naprawdę jednak nie wiem, jak według ciebie miałabym to naprawić. Zresztą wcale nie jestem pewna, czy mam ochotę ci pomóc. Może trochę wyłazi ze mnie samolub, ale w metrze ktoś wepchnął mi w żebra cholerną spluwę... I wydawałoby się, że powinnaś się odrobinę bardziej przejąć tym, co dzieje się tu i teraz niż...

Katherine walnęła dłonią w blat.

– Umyka ci cały sens, Kate! Tak, uszczęśliwiłoby mnie, gdybym się dowiedziała, co spotkało Prudence. Uszczęśliwiłoby mnie, gdyby wiedziała, ile serca włożyłam, by ją odnaleźć, by ją odzyskać. To nie dlatego jednak spróbowałam skojarzyć twoich rodziców i nie dlatego cię tu sprowadziłam. Chodzi o fakt, że Prudence była w stanie zmienić dokument, który widziałaś – nie tylko tę moją kopię, ale wszystkie, jak również pół tuzina innych okrucich historii – i tym właśnie powinniśmy się martwić. Te zmiany temporalne: ty je odczuwałaś, wiedziałaś, że coś jest nie tak, podczas gdy wszyscy wokół ciebie nadal żyli tak, jakby nic się nie zmieniło, Jakby problem tkwił gdzieś w tobie, prawda?

Kiwnęłam głową, wciąż jeszcze wkurzona.

– Tyle tylko, że nie w tobie tkwił ten problem. Zmiany następują od dwudziestu lat, a te dwie, które odczułaś, były z tych... większych. – Katherine

kilkakroć odetchnęła głęboko, z trudem się uspokajając. – Pomimo ukierunkowania specjalnym darem i pomimo najlepszych intencji trenerów w CHRONOSIE, Saulowi świetnie się udało zataić przekonania. I on, i grupa jego przyjaciół, z których dwoje było powiązanych z CHRONOSEM, uważali, że tę technologię wykorzystuje się nie tak, jak by należało... Że trafiła w ręce jednostek słabych, którym brakuje wizji. Dlaczego tylko badamy historię, pytali. Czemu nie tworzyć historii – nie pisać jej na nowo? Nie wiem, gdzie Saul wylądował, Kate, ale doszedł, do tego, co ja: że rodzice z genem CHRONOSA mogą wydać na świat dzieci zdolne do ominięcia zabezpieczeń. Tak, jak ominęła je Prudence. Ty również, wczoraj, omal tego nie dokonałaś. I wnosząc z tego, co widzimy, Saulowi udało się stworzyć małą armię ludzi, zdolnych na jego rozkaz przenosić się w czasie. Ja do walki z nimi mam tylko ciebie, Kate.

Katherine wyraźnie liczyła na to, że dzięki temu oświadczeniu ją zrozumie, i do pewnego stopnia się to jej udało. Jednak potworność tego, co mówiła – to, że nieledwie poprosiła mnie, bym w pojedynkę zmierzyła się z osobnikiem, którego przedstawiła jako szaleńca – przeraziła mnie.

– Chcę włączyć w to tatę. Porozmawiasz z nim, podejmiemy te decyzje razem. Albo wychodzę i zostajesz zdana na siebie.

– Zgoda. Zadzwonimy do niego po szkole i...

Zegar na kuchence mikrofalowej wskazywał 12:22.

– Nie – powiedziałam. – Za jakieś dziesięć minut mam z nim lekcję. Zaniepokoi się, że mnie nie ma, ale jeśli zaraz wyjdę, zdążę. – Jakiś głosik w mojej głowie nalegał, bym nie wychodziła, ale go wyłączyłam. Wiedziałam tylko, że muszę się zaraz stąd wynieść, opuścić ten dom, bo tylko tak zdołam uporządkować myśli.

Ruszyłam ku frontowym drzwiom, wyciągnawszy buty spod stolika i wsunawszy na stopy. Katherine szła za mną, wciąż coś mówiąc, ale już nie słuchałam. Rozejrzałam się za plecami i dopiero potem przypomniałam sobie, że – razem z moimi książkami – zniknął w jakiejś przeszłości czy przyszłości albo niesamowitej, alternatywnej wersji teraźniejszości.

– Zobaczmy się, gdy porozmawiam z tatą.

Zamknęłam już drzwi i byłam w połowie drogi do furki, gdy usłyszałam, że Katherine biegnie za mną.

– Kate, zaczekaj!

Odwróciłam się, akurat żeby zobaczyć, jak zatrzymuje się kilka metrów od domu, tak nagle, jak pies w jednej z tych obroży elektrycznych, który wyczuł sygnał i się przestraszył, że potraktują go prądem.

W wyciągniętej ręce trzymała medalion.

– Weź go. Ja mam drugi. Po prostu nie zdążyłam go zabrać, bo wyszłaś tak nagle... a ja prawie zapomniałam o linii granicznej. Sygnał nieco faluje, ale nigdy

nie sięga poza ten klon. – Ruchem głowy wskazała drzewo o jakiś metr na lewo od niej.

– Nie zdejmuj go pod żadnym pretekstem – dodała. – Trzymaj na sobie. I zachowaj czujność. Nie wiem, o co chodziło z tą sprawą w pociągu, i nie mam pojęcia, jakimi motywami kieruje się Kiernan, ale odczuję ulgę dopiero, kiedy wrócisz.

Katherine wyglądała blado i była niespokojna. Widziałam, jakie piętno odcisnął na niej ten pełen emocji poranek. Wzięłam medalion, założyłam łańcuszek na szyję i wsunęłam pod bluzkę. Wciąż jeszcze czułam złość, ale dla niej zdobyłam się na uśmiech.

– Spokojnie, dobrze? Po południu wrócę. Z tatą – dodałam, idąc do furki. – Jeśli masz rację i mam przeciwko sobie całą armię, będziemy potrzebować każdej możliwej pomocy.

Szłam szybko, prawie biegłam. Czekало mnie zameldowanie się w sekretariacie i jakieś wytłumaczenie porannej nieobecności, zapewne więc także i spóźnienie na zajęcia z tatą. Stopa mnie jeszcze bolała, ale wysiłek dobrze mi zrobił i nawet napięcie, które odczuwałam, zaczęło opadać.

Po chłodnym jak na połowę kwietnia poranku wyraźnie się ociepliło i wchodząc do budynku, czułam, jak włosy grzeją mnie w kark. To mi przypomniało, że wbrew regulaminowi Briar Hill mam je rozpuszczone, i przywołało na myśl Kiernana. Wciąż miałam w oczach gumkę, wyraźnie odcinającą się zielenią od skóry jego przegubu w chwili, gdy zniknął, unosząc ją niczym rycerz dar damy serca – szarfę lub wstążkę – gdzieś w bój. Czym prędzej wymazałam z wyobraźni to niedorzeczne skojarzenie i otworzyłam drzwi do sekretariatu.

– Kate Pierce-Keller. Zgłaszam spóźnienie – powiadomiłam dość surowo wyglądającą panią w sile wieku, jedną z trzech prowadzących sekretariat Briar Hill. Obie pozostałe, najczęściej obsługujące recepcję, były o wiele serdeczniejsze, ale chyba wyszły na obiad. Zaczekałam, aż kobieta otworzy w komputerze listę obecności. – Nie mam usprawiedliwienia. Rano miałyśmy urwanie głowy i zapomniałam przed wyjściem poprosić mamę, by mi je wypisała... Przyniosę jutro. I... zapomniałam związać włosy. Ma pani może zbędną frotkę?

Kobieta zrobiła zdziwioną minę i pogrzebała w jednej z szuflad biurka. Po chwili znalazła szeroką szarą gumkę i bez słowa podsunęła mi ją wraz z różową przepustką.

– Dziękuję.

Już na korytarzu, związałam włosy w luźny węzeł. Pod klasę dotarłam kilka minut spóźniona i zajrzałam przez okienko w drzwiach, w nadziei, że uda mi się wejść i zająć swoje miejsce bez zbędnego zamieszania, nie przerywając tacie w pół zdania i zwracając uwagę jedynie nielicznych. Tato stał przy tablicy, wskazując jakieś równanie... a mnie nagle dopadło, trzeci raz w życiu, znajome wrażenie, że wszystko się we mnie przewraca.

Poleciałam w przód, nieopatrznie naciskając przy tym klamkę. Drzwi otworzyły się z impetem. Gdyby nie mój całkiem przyzwoity zmysł równowagi, wylądowałabym jak jakiś tobół na ławce przede mną, ale wyhamowałam, podnosząc wzrok ku miejscu, gdzie widziałam ojca.

Bo taty już tam nie było. Nie było go nigdzie w klasie. Jego biurko zajmowała jakaś pulchna kobieta w średnim wieku. Nigdy przedtem jej nie widziałam. Inny obcy, niezłe się prezentujący ciemny blondyn, siedział nad otwartą książką do trygonometrii na miejscu zwykle należącym do mnie. Nie miałam

wątpliwości, że też jest tutaj nowy. Resztę twarzy w tej klasie znałam. Choć przyznać trzeba, dziwnie na mnie teraz popatrywały. Wychwyciłam spojrzenie Carleigh Devins, dziewczyny, z którą się lubiłyśmy, choć do przyjaźni jeszcze trochę brakowało, i spróbowałam posłać jej wątyły uśmiech – by w odpowiedzi doczekać się zdziwienia.

Brakowało mi tchu. Popatrzyłam na kobietę za biurkiem, niczym nie przypominającą taty, i znów na koleśka siedzącego na moim zazwyczaj miejscu. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć „Pomyliłam klasy...”, ale wydobył się z nich jedynie chrapliwy szept. Potem wszystko zawirowało i osunęłam się na podłogę.

∞

Gdy doszłam do siebie, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, była grubawa blada ręka z wyblakłym różowym tatuażem, przedstawiającym kwiat lotosu, poklepująca mnie po ramieniu. Jak tylko udało mi się skupić wzrok, powędrowałam nim w górę tej ręki, ku twarzy jej właścicielki, jak się okazało, owej nauczycielki. I ona, i wysoki blondyn, który zajął moje miejsce, nachylali się nade mną z niepokojem. Ponownie rozejrzałam się po klasie. Zdecydowanie była to ta sama, w której uczył tato, i jeśli nie liczyć blondasa, pełna ludzi, z którymi chodziłam na trygonometrię.

– Już dobrze? – spytała nauczycielka.

Dobrze nie było. Zamęt w głowie miałam podobny, jak przy obu poprzednich zaburzeniach czasu, choć tym razem jakby mniej dokuczliwy. Czyżbym zawdzięczała to kluczowi CHRONOSA? Skręcało mnie za to znacznie gorzej i to niewątpliwie za sprawą faktu, że na własne oczy widziałam zniknięcie taty.

– Pomyliłam klasy. Nic mi nie jest, naprawdę. Przepraszam za zamieszanie.

A... jeśli tato tylko źle się poczuł? Ona zaś wzięła za niego zastępstwo? Pomimo świadomości, że to jedynie tęskne marzenia, zapragnęłam pobiec do domku i to sprawdzić.

Siadłam wyprostowana, a blondas pomógł mi wstać.

– Jestem Trey. A ty jesteś tu nowa, tak? Ostrożnie... odrobinę niepewnie trzymasz się na nogach. Może lepiej będzie usiąść?

– Przepraszam – powtórzyłam. – Muszę już iść. – Nadal trochę kręciło mi się w głowie, mimo to się pozbierałam i ruszyłam do wyjścia.

– Zaczekaj! – zawołała nauczycielka. – Nie powinnaś tak szybko wstawać. Trey, idź za nią. Dopilnuj, żeby obejrzała ją pielęgniarka.

Gdy przemierzałam korytarz, Wysoki Blond Przystojniak nie odstępował mnie dalej niż na kilka kroków.

– Czekał, dokąd to? Do gabinetu pielęgniarki idzie się tamtędy.

– Nic mi nie jest.

Wychodziłam z budynku, wciąż z tym gościem na karku. Chwycił mnie pod rękę.

– Hej, ostrożnie. Źle byłoby znów zemdleć tu na schodach.

– Posłuchaj. Trey, tak? Dość miły z ciebie chłopak, ale idź już, proszę. Muszę odszukać tatę.

– Twojego tatę?

Szliśmy przez parking, w stronę boiska do piłki nożnej.

– Uczy tutaj – wyjaśniłam. – Kojarzysz Harry’ego Kellera? Mieszkamy po drugiej stronie kampusu, blisko skraju. W jednym z domków dla kadry. Tam właśnie idę. Puść mnie, proszę.

Uwolnił moją rękę.

– Okej, skoro chcesz, możemy pójść do tego domku, ale potem do pielęgniarki.

– Nie... wystarczy, że poleżę. Czuję się dobrze. Powinnam była zjeść obiad.

Cały czas szłam, ale on też.

– Przykro mi, ale to odpada. Obiecałem pani Dees, że odwiedzisz pielęgniarkę. Nie mogę się pokazać na lekcji, dopóki... – Odwróciłam się, żeby zobaczyć złość w moich oczach, i ujrzałam, że się uśmiecha, szeroko i przyjaźnie.

– Słuchaj – powiedział. – Nie wiem, w co pogrywasz, ale jeśli nie zapisałaś się dzisiaj, nie chodzisz tu do szkoły. Zdecydowanie bym ciebie zapamiętał. Sam uczyć się tu od niedawna, mam więc oko na nowych. Trochę trudno przecież wpasować się między tych, co są tu od siódmej klasy. I jakoś jestem pewien, że wśród tutejszych nauczycieli nie ma żadnego Harry’ego Kellera.

Potrząsnęłam głową.

– Na pewno jest... a skoro uważasz, że nie jestem tym, za kogo się podaję, to czemu nie polecisz do nauczycielki, poprosić, żeby powiadomiła ochronę? – spytałam, przyspieszając kroku. – Jeśli nie jestem z tej szkoły, nie powinno mnie tutaj być.

– Racja – przyznał. – Ale nie byłoby wtedy frajdy, prawda? Nie wyglądasz na groźną terrorystkę, a poza tym przecież tam zemdlałaś. Czemu więc nie powiesz, co cię gryzie? Może zdołam pomóc.

– Nie zdołasz. Wracaj na lekcję.

– Chyba jednak nie. Pomyśl sobie: mam do wyboru powrót na trygonometrię albo spacer po terenach szkoły z piękną dziewczyną w ciepły wiosenny dzień. Powiedz szczerze: co wybiorę?

Patrzyłam na niego zdumiona. Naprawdę usiłował ze mną flirtować, gdy ja byłam bliska obłędu. Ni stąd, ni zowąd, do oczu napłynęły mi łzy i zebrało mi się zarazem na histeryczny śmiech i na płacz. Usiadłam na środku boiska i ukryłam

twarz w dłoniach.

– Och, hej! Nie, przepraszam cię – powiedział. – Nie... nie płacz. Naprawdę...

Jeszcze przez chwilę nie podnosiłam głowy, oddychając głęboko i starając się pozbierać.

– Już dobrze – oznajmiłam. – Po prostu miałam bardzo, ale to bardzo niedobry dzień. – Kiedy podniosłam wzrok, siedział przede mną na murawie, z twarzą na poziomie mojej. W jego oczach, szarych z maleńkimi cętkami błękitu, malowała się troska, obdarzył mnie też ostrożnym, niepewnym uśmiechem. Przywiódł mi na myśl wielkiego przyjaznego szczeniaka i nie byłam już pewna, czy mam się od niego uwolnić.

Przypomniałam sobie o legitymacji szkolnej i poszukałam pod bluzką sznurka od etui. Była na miejscu, pod miesięcznym na metro. Wyciągnęłam ją, trzymając tak, żeby zobaczyć.

– Widzisz, naprawdę tu chodzę. Oto dowód.

Nachylił się, żeby przeczytać.

– Prudence Katherine Pierce-Keller. Czaderski monogram: PKPK. Cześć, Prudence. Ja jestem Trey.

Skrzywiłam się.

– Kate, jeśli łaska.

Śmiejąc się, wyciągnął swoją legitymację z szarej listonoszki, wiszącej mu na ramieniu, i podał mi ją.

– Lawrence A. Coleman, III – przeczytałam. – Co się kryje pod tym A?

– Alma. Nazwisko panieńskie mojej prababki.

– No proszę.

– Tak... Na dziadka mówimy Larry, a na tatę Lars. Mama więc wylansowała Treya, bo więcej porządných zdrobnień nie było, zwłaszcza że tamte dwa też nie zachwycają. – Wystawił trzy palce. – Wiesz, skoro jestem numer trzy.

Skinęłam głową i podniosłam się, oddając mu legitymację. Swoją schowałam do etui, wyciągnęłam za to jeden z kluczy. Dołączono do niego małą białą zawieszkę, na której ktoś z administracji szkoły zapisał numer 117 i nazwisko Keller.

– Ten klucz, Trey, otwiera frontowe drzwi tamtego małego domku. Mieszka w nim mój tato, Harry Keller, zresztą ja także, przez większą część każdego tygodnia.

Znowu siedł obok mnie.

– Jeśli ten klucz będzie pasował – mówiłam dalej – wrócisz i powiesz pani... Dees? – Trey potwierdził to ruchem głowy. – Powiesz pani Dees, że nic mi nie jest. Że niemądra dziewczynka nie zjadła obiadu, i tyle. Umowa stoi?

– Stoi. Ale dopiero, jak już będziesz w domu.

– Zgoda – przystałam na to. – Otworzę sobie drzwi, podgrzeję resztkę jambalayi, czekającą na mnie w lodówce, a potem strzelę sobie bardzo długą drzemkę.

Podchodząc do schodków prowadzących do wejścia, westchnęłam, świadoma, że mówię to wszystko po to, by przekonać nie tylko Treya, ale i siebie. Bardzo potrzebowałam tego, żeby naprawdę otworzyć drzwi i zobaczyć tam tatę, żeby pani Dees okazała się zastępstwem, bo jego zagoniło do domu jakieś przeziębienie czy coś podobnego, a mnie się tylko zdawało, że widziałam go wtedy w klasie. Powtarzałam sobie, że może Katherine i Connor powariowali, a może wszystko, co z kilku ostatnich dni pamiętam, było jedynie rozbudowanym koszmarnym snem. Drżącymi rękami podniosłam klucz i w końcu, na oczach Treya, zdołałam umieścić go w zamku.

Ogromnie mi ulżyło, gdy się przekręcił. Odwróciłam się do Treya, szeroko uśmiechnięta.

– Widzisz! Mówiłam ci, że to mój... – Umilkłam w pół słowa, widząc jego twarz i w ślad za jego wzrokiem spojrzałam w otwarte właśnie drzwi.

W domku wszystko było nie tak. Kanapę, na której sypiałam, zastąpiły dwa wyściełane krzesła. Podłogę przykrywał sznurkowy dywan. Zobaczyłam też to, na co patrzył Trey – oprawioną w ramki fotografię pani Dees z dwójką małych dzieci tuż obok dużego białego kubka z długopisami i ołówkami. Czerwony napis na tym kubku głosił: *Babuni*.

– Nie! – Wycofałam się z wejścia. – Klucz pasował! Widziałeś, prawda? Pasował!

Trey zamknął drzwi, upewniając się, że także na zamek. Osunęłam się na schodki, a po chwili on też usiadł obok mnie.

– To może... może mi powiesz, co według ciebie jest grane?

Popatrzyłam na niego. Co za różnica? I tak mi nie uwierzy. Wyjęłam spod bluzki klucz CHRONOSA.

– Jakiego jest koloru?

Jego wzrok przesunął się ze mnie na medalion.

– Brązowy, brunatny, nie jestem pewien, jak ty byś to nazwała. Wygląda na stary.

– A dla mnie to jasny błękit. Tam w środku jest klepsydra...

– Błękit. Serio? Widzę tę klepsydrę, ale...

Uniosłam brwi.

– Naprawdę widzisz klepsydrę w środku i przesypujący się w niej piasek?

– Trey pokręcił głową przecząco. – Tak myślałam. Według mojej babki, jeśli będę zbyt długo trzymała ją w dłoni, zniknę, przenosząc się w przeszłość. Lub może w przyszłość. Wczoraj prawie przytrafiło mi się coś takiego.

Wyraz jego twarzy nie uległ żadnej zmianie, mówiłam więc dalej:



– Ktoś przeinacza rzeczywistość... zmieniając to i owo. Tego ranka, gdy zajrzałam do klasy, przy tablicy stał mój ojciec, Harry Keller. Moja ławka, obecnie twoja, stała pusta, bo właśnie weszłam do szkoły. A potem, w ułamku sekundy, zobaczyłam, że to wszystko się zmienia.

Jego szare oczy pełne były współczucia, ale widziałam też, że mi nie uwierzył. Bo czemu miałby? Tylko wariat uwierzyłby w to, co powiedziałam. Zapewne doszukał się u mnie zaburzeń umysłowych i nie byłam pewna, czy miałabym podstawy, by się z nim skutecznie spierać.

– Ktoś zmienia historię. Zapewne mój dziadek. Moja babka twierdzi, że tylko ja mogę go powstrzymać, gdyż odziedziczyłam zdolność posługiwania się tym oto urządzeniem. Jacyś inni ludzie też wprawdzie ją odziedziczyli, ale najwyraźniej wszyscy stoją po ciemnej stronie mocy. – Wsadziłam klucz od domku z powrotem do etui i wraz z medalionem ponownie schowałam pod bluzką. – Przeszłam tu, do szkoły, by wciągnąć w ten koszmar mojego tatę... Nie chcę sama decydować, jak się z tym uporać. Wcześniej dwukrotnie odczuwałam takie zakłócenia czasu, ale było inaczej: było tylko samo wrażenie, że coś jest nie tak. Nikt wówczas nie zniknął.

Westchnęłam, spuściwszy wzrok na buty.

– I ten klucz, a niech to, pasował. Taka już byłam pewna...

– Ale... czy klucz nie pasowałby tak czy inaczej? – zapytał cicho Trey, mówiąc to tak, jakby zwracał się do kogoś niezrównoważonego. Rozpoznałam ten z lekka protekcyjny ton i aż mną rzuciło, ale przecież nie mogłam go winić. – Chodzi mi o to, że gdyby wszystko, co powiedziałaś, jakimś cudem było prawdą i gdyby na miejsce twojego taty zatrudnili panią Dees... to nadal byłby ten sam klucz do domku. Racja?

Zamknęłam oczy, ale nie spieszyłam się z odpowiedzią. Też coś – pewnie, że klucz byłby ten sam.

Po dłuższej chwili podniosłam się i obdarzyłam Treya wątlym uśmiechem.

– Wiem, że musisz teraz zaalarmować ochronę, ale czy dasz mi kilkuminutowe fory, bym spróbowała dojść do metra? Proszę.

– Dokąd się wybierasz?

– Spróbuję znaleźć moją mamę. Mieszka w Waszyngtonie. A potem...

– Okej. – Wstał i strzepnął ze spodni kurz. – Jedziemy.

– Co takiego? Nie! – oświadczyłam, zbierając się do odejścia. – Nie, nie i jeszcze raz nie. To ja jadę, Trey. Ty wracasz na lekcje.

Stanowczo pokręcił głową.

– To byłaby z mojej strony zbyt wielka nieodpowiedzialność. Albo masz kłopoty, z którymi być może pomogę ci się uporać, albo ci odbiło i ktoś powinien mieć cię na oku. Ja zgłaszam się na ochotnika, przynajmniej na resztę tego popołudnia.

Przebiegam kampus najprostszą drogą wiodącą do metra.

– Masz szkołę. Nie możesz się tak po prostu wymknąć. Czy ty nie masz rodziców?

Wzruszył ramionami, zrównując swój krok z moim.

– Mój tato prawdopodobnie powiedziałby, że dokonuję właściwego wyboru. Tak czy inaczej, nie narzekałby. Moja mama mogłaby się nie zgodzić, ale jeszcze przez kilka miesięcy będzie na kontrakcie na Haiti, a nie sądzę, by szkoła zadała sobie trud powiadomienia jej. Estella, która z nami mieszka, za takie wagary zmyłaby mi głowę, ale szkoła powiadomienia przekazuje jedynie rodzicom. Tak więc jesteś na mnie skazana.

Złość walczyła we mnie o lepsze z rozbawieniem. Trey był fajny i niewątpliwie wyglądał na niezłe ciacho, ale ja powinnam się skupić na czyhających na mnie problemach. Może uda się go zgubić na stacji, w tłumie?

Myśl o metrze wywołała jednak falę niepokoju. Po moim porannym doświadczeniu pomyśl, by mieć tam przy sobie kogoś, wydał się nawet niezły.

– Okej – powiedziałam – możesz jechać. Ale dla pełnej jasności, powinieneś wiedzieć, że dziś rano okradli mnie w metrze.

Znów obdarzył mnie tym swoim szelmowskim uśmiechem.

– A niech to, dziewczyno, naprawdę miałaś niedobry dzień.

∞

Na pociąg musieliśmy czekać około kwadransa, ale sama jazda do Waszyngtonu trwała krótko. Trey usiłował podtrzymać rozmowę. Mój mózg działał na autopilocie: przynajmniej w odpowiednich momentach kiwałam głową. Matka Treya była związana z Departamentem Stanu i wiele podróżowała. Ojciec pracował dla jakiejś międzynarodowej firmy – na moje oko, mającej coś wspólnego z finansami – i byli świeżo po dwuletnim pobycie w Peru, gdzie chłopak uczęszczał do szkoły dla dzieci dyplomatów. Gdy zapytałam o rodzeństwo, Trey się roześmiał i powiedział, że jego rodzice zbyt rzadko bywają jednocześnie na tym samym kontynencie, by się postarać o dziecko. Postanowili, że zostanie z tatą w Waszyngtonie, żeby skończyć szkołę Briar Hill, do której wcześniej chodzili jego ojciec i dziadek. O porządek wokół nich oraz posiłki dbała Estella, pracująca dla ich rodziny od czasów dzieciństwa taty Treya.

Gdy w grudniu wrócili z Peru, Briar Hill powiadomiło tatę, że jesienią Trey zostanie przyjęty do ostatniej klasy, a do tego czasu powinien przejść w domu kurs korespondencyjny. W styczniu jednak niespodziewanie zwolniło się miejsce i mógł załapać się jeszcze na semestr wiosenny. Wyglądało więc na to, że wpasował się w tę samą lukę, co ja, gdy tato przyjął tam pracę.

W dwie minuty przedstawiłam mu swój życiorys – a przynajmniej tę jego wersję, która jeszcze przed godziną odpowiadała prawdzie – a potem przez jakiś czas gawędziliśmy o muzyce i filmach. A raczej Trey gawędził, podczas gdy ja słuchałam i kiwałam głową.

Gdy ruchome schody wywiozły nas w słoneczny blask, zatrzymałam się i zamknęłam oczy, głęboko nabierając powietrza, by się uspokoić.

– Dobrze się czujesz? – spytał Trey.

Potrząsnęłam głową.

– Od jej domu dzieli nas tylko kilka przecznic, ale nie... nie wydaje mi się, że ją zastaniemy. I boję się. – Dziwnie było mówić coś takiego komuś, kogo się ledwie znało, ale Trey był tak serdeczny, że zachowanie dystansu stanowiłoby problem.

– Wiesz – powiedział – nie ma co się martwić na zapas.

Gdy dotarliśmy na miejsce, nie musiałam nawet sprawdzać klucza. Przyglądałam się oknom domu, podczas gdy Trey otworzył skrzynkę pocztową i przejrzał jej zawartość – adresatem całej korespondencji był ktoś, kto nazywał się Sudhira Singh. Ale o tym, że mama tu nie mieszka, przekonałam się wcześniej, ledwie wyszliśmy zza rogu. W domu Deborah Pierce nie byłoby miejsca dla różowych marszczonych zasłonek, związanych wstążkami. Gdyby trafiły się jej takie wraz z domem, wylądowałyby w koszu na śmieci jeszcze przed wypakowaniem z meblowozu pierwszego kartonu.

Uszły ze mnie chyba resztki energii i byłam w stanie jedynie zejść ze schodów prowadzących do tego domu. Trey przejął stery i pokierował nas na Massachusetts Avenue, gdzie znaleźliśmy kawiarenkę. Posadził mnie w boksie przy oknie i wrócił z dwiema kawami i jagodowymi muffinkami. Obiecałam, że mu za nie zwrócę, ale się tylko roześmiał, podkreślając, że kawa i muffinki czynią randkę ze mną względnie taną.

– Dlaczego przypuszczasz, że to zakłócenie czasu sprawiło, że twoja mama i tato... zniknęli? – zapytał. – Mówiłaś, że przedtem już dwa razy zdarzyło się coś takiego i nikt nie zniknął. Czemu tym razem?

– Nie wiem. Nie miałam jeszcze czasu tego przemyśleć. – Umilkłam na chwilę, porządkując w głowie wszystko, co o tym wiedziałam. – U mojej babki widziałam dwie fotografie. Jej przyjaciel Connor powiedział, że kiedyś były to identyczne odbitki tego samego portretu rodzinnego. Jedną z nich przechowywano w miejscu zabezpieczonym – osłoniętym przed zakłóceniami czasu przez jeden z takich medalionów. Drugiej nie. Kiedy je dzisiaj oglądałam, przedstawiały tego samego mężczyznę w otoczeniu dwóch różnych rodzin.

Zanim podjęłam ten wątek, łyknęłam sobie kawy.

– Coś musiało zmienić bieg życia mężczyzny z tej fotografii, bo to były dwie zupełnie różne ścieżki. Owszem, Katherine i Connor mogli się mylić lub mnie okłamywali, na przykład jedno ze zdjęć mogło być obrobione w Photoshopie, albo ci mężczyźni byli bliźniakami, sama nie wiem... Pewna jestem za to, że mężczyzna z tych zdjęć był tym samym, którego dziś rano spotkałam w metrze tuż po tym, jak mnie obrabowano. Tyle że rano był ze dwadzieścia lat młodszy niż w latach dwudziestych zeszłego stulecia, gdy wykonano to zdjęcie.

– Czekaj – wtrącił Trey. – Spotkałaś faceta z tamtej fotografii? Dziś rano?

Potwierdziłam.

– Ostrzegł mnie przed czymś, co ma się stać. I widziałam, jak zniknął, trzymając medalion podobny do tego tutaj.

Niepewnie się uśmiechnęłam.

– Mnie również, tak jak tobie, wydaje się to wariactwem. A co do tego, czemu moja mama i tato zniknęli, to wydaje mi się, że uległo zmianie coś w przeszłości. Coś, co miało wpływ na moją rodzinę.

Zrelacjonowałam mu to, co opowiedziała mi babka, już w czasie tej opowieści uświadamiając sobie wielkie luki w tym, co wiedziałam. Wyjaśniłam sprawę CHRONOSA i tego, jak Katherine uciekła do roku 1969.

– Gdybym miała snuć domysły – oświadczyłam na koniec – powiedziałabym, że Saul w tej przeszłości dopadł moją babkę. Gdyby nie

urodziła mojej matki, nie byłoby też mnie, a mój ojciec... – Wzruszyłam ramionami. – Nie byłoby powodu, dla którego miałby uczyć w Briar Hill. A może zmieniło się jeszcze coś innego i mama z tatą... możliwe, że ja także...? Nie wiem jeszcze, jak to działa. Może wszyscy nadal siedzimy jeszcze w stanie Iowa?

Trey opuścił swoją stronę boksu i dał mi znać, bym się przesunęła. Wpasował swoją długą sylwetkę w miejsce obok mnie i wyciągnął z listonoszki mały laptop.

– Wygląda więc na to, że mamy od czego zacząć – znajdziemy twoich rodziców. To będzie Debra czy Deborah? I jak należy przeliterować Pierce?

Przyjrzałam mu się sceptycznie.

– Uwierzyłeś mi? Rzeczywiście wierzysz w to wszystko?

Odgryzł kęs muffinki i żuł ją powoli, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie – oznajmił. – Nie obraż się, proszę. Sama powiedziałaś, że to wariactwo. Nie wierzę, że rzeczywistość uległa zmianie i że medalion, który nosisz na szyi, może spowodować, iż znikniesz. Choć muszę przyznać, że kiedy trzymałaś go w ręku, poczułem się trochę nieswojo, może więc nie do końca ci nie wierzę.

– Czemu więc mi pomagasz? – Podejrzywałam, że częściowo dlatego, iż wpadłam mu w oko. Trey był w porządku, nie ulegało jednak wątpliwości, że gdyby nie wspomniany drobny fakt, uznaliby, że jego uczynność nie musi sięgać poza stację metra.

Uporał się z muffinką i dopiero wtedy odpowiedział:

– Ważne jest, że uważam, iż ty wierzysz w to, co mi opowiedziałaś. I pewien jestem, że gdzieś tam są twoi rodzice, a ja mogę spróbować pomóc ci ich znaleźć. Proszę jednak, zjedz coś, inaczej będę zmuszony nieść cię podczas powrotu do metra.

– Czemu po prostu nie odprowadzisz mnie do mojej babki? – spytałam nieco ustępliwie, nadgryzając swoją muffinkę. Czułam się jak zabłąkany kociak, którego on dokarmił i otaczał opieką, szukając jego właściciela.

– Po pierwsze, dlatego że nie podałaś mi jej nazwiska ani adresu – odparł Trey. – A po drugie, nie tego przecież chcesz, prawda?

Pokręciłam głową.

– Nie. To znaczy... nie, póki jeszcze nic nie wiem.

– Okej, w takim razie... poszukajmy twoich rodziców. Na początek zajrzyjmy do Google'a.

Dwadzieścia minut później doszliśmy do tego, że Deborah Pierce nie istnieje – a przynajmniej nie uczy historii w żadnej ze szkół, w których pracowała. Znałam jej login i hasło dostępu do jej konta na stronie uniwersytetu, bo mama wszędzie posługiwała się jednym i tym samym hasłem. Nie miało ono jednak żadnego znaczenia, gdyż system nie rozpoznał użytkownika dpierce42. Spróbowaliśmy też poszukać kilku artykułów naukowych, które napisała, ale nie było po nich żadnego

śladu.

Ciężko mi było wyobrazić sobie świat, w którym moja matka nie istnieje – i nigdy nie istniała. Zagryzłam wargi i wzięłam kilka głębokich wdechów, tłumiąc narastający we mnie lęk, żeby móc się skupić na poszukiwaniu taty. To, że na liście kadry nauczycielskiej, na stronie Briar Hill, nie figurował, żadnego z nas już nie zaskoczyło. Zabraliśmy się do przeszukiwania sieci. Harrych Kellerów było mnóstwo, w tym nawet reżyser filmowy z lat 50. ubiegłego wieku. Poprosiłam Treya o ograniczenie poszukiwań do stanu Delaware i uwzględnienie moich dziadków, Teresy i Johna Kellerów. Ich adres pozostał ten sam, poczułam więc przypływ nadziei.

– Spróbuj dodać coś o olimpiadzie matematycznej. Mój tato w szkole startował w czymś takim i zawsze podaje to w życiorysie. Pewnie po to, by uwiarygodnić swoje zainteresowanie matematyką.

– Albo żeby zainspirować uczniów, którzy się nią interesują – stwierdził Trey z uśmiechem. Doprecyzował kryteria wyszukiwania i po chwili przyglądałam się zdjęciu taty. Nosił wprawdzie brodę, z którą widziałam go jedynie na kilku fotkach z czasów studenckich, ale to niewątpliwie był on. Uczył w szkole z internatem o godzinę drogi od domu dziadków w Delaware.

Chwyciłam Treya za rękę i mocno ją uściśnęłam.

– Znaleźliśmy go. To mój tato!

Przerzuciłam trzy fotografie, które nosiłam w swoim etui na legitymację. Jedna przedstawiała mamę, odrobinę zirytowaną tym, że robią jej to zdjęcie. Na drugiej byłam ja z Charlayne podczas ceremonii wręczenia pasów karate. Na ostatniej, zrobionej podczas zeszłorocznego Bożego Narodzenia widniał tato z wokiem, który dostał ode mnie. Pokazałam to zdjęcie Treyowi.

Kiwnął głową.

– Tak, to ten sam facet. I nawet na zdjęciu w sieci wyraźnie widać, że jesteście spokrewnieni: masz po nim oczy. I taki sam uśmiech.

Sięgnęłam przez Treya, by przewinąć i przeczytać resztę biogramu, kładąc zdjęcie na stoliku, tuż obok laptopa. Jak tylko wypuściłam je z ręki, zniknęło.

Odruchowo próbowałam jeszcze je chwycić, choć widziałam, że nic to nie zmieni, bo przestało istnieć. Jeszcze przed sekundą to zdjęcie tam było – barwna plama na polerowanym czarnym marmurze blatu. Ułamek chwili później przepadło.

– Co do... – Trey rozdziawił usta i odsunął się na skraj boksu. – Kate, ty to widziałaś?

Obojgu nam na chwilę głos odebrało.

– Chyba nie utrzymam w sobie tej muffinki – wymamrotał Trey.

Bez namysłu wyciągnęłam spod bluzki klucz CHRONOSA i przycisnęłam jego rękę do mojej piersi, żebyśmy oboje pozostawali w pełnym kontakcie

z medalionem. Po dłuższej chwili twarz Treya odzyskała kolor.

– Pamiętasz, co się właśnie stało? – spytałam.

Trey przytaknął.

– Tak. Odnaleźliśmy twojego tatę. A potem jego zdjęcie. Leżało tam, koło solniczki. I nagle zniknęło. – Przyjrzał się swojej ręce, którą wciąż przyciskałam do piersi. – Nie żebym narzekał, wcale nie, ale czemu trzymasz moją rękę... właśnie tam?

Zarumieniłam się, ale jej nie odsunęłam.

– Zaczynam się obawiać, Trey, że utrata kontaktu z medalionem, choćby chwilowa, mogłaby okazać się... dla mnie... dość niebezpieczna. Jeśli w tym... czasie... nie ma miejsca dla mojej matki, to i dla mnie też nie, prawda? Ale pamiętam też, co odczuwałam, gdy dochodziło do zakłóceń czasu, a ja jeszcze nie miałam medalionu. Czułam się tak... jak chyba ty parę minut temu. Bliski zemdlenia, o krok od mdłości, spanikowany?

– Tak... już jest lepiej. Ale część mnie upiera się, że tego zdjęcia wcale nie było. I nie chodzi o to, że uważam takie zniknięcie za niemożliwe, ale raczej że jednocześnie pamiętam dwa całkiem odmienne zdarzenia, o ile to w ogóle ma sens?

– Nic z tego nie ma sensu – powiedziałam. – Mnie natomiast zdumiewa to, że widziałeś zniknięcie tego zdjęcia. Nie wydaje się, żebyś nosił w sobie gen CHRONOSA, skoro nie dopatrzyłeś się w medalionie niczego niezwykłego... ale Connor, przyjaciel mojej babki, mówi, że w przypadku zakłócenia czasu nikt, kto nie nosiłby wówczas medalionu, nie dostrzegłby żadnej zmiany.

– Może wystarczy dotykać kogoś, kto nosi medalion? – zasugerował Trey. Nieznacznie przesunął ramię i kolano, które z uwagi na panującą w boksie ciasnotę dotąd się o mnie ocierały.

– Może – przyznałam. – Ale... teraz mi wierzysz, prawda? Że to, co mówię, jest prawdą?

Mina Treya była z lekka zboląta.

– Tak. Muszę tu przyznać rację Sherlockowi Holmesowi: „Kiedy wyeliminuje się niemożliwe wówczas to, co zostanie, bez względu na to, jak byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą”. – Przyglądał się miejscu, w którym uprzednio leżało zdjęcie. – Uznałbym to, o czym opowiadałaś, za niemożliwe, gdyby nie to, że na własne oczy widziałem przykład takich zjawisk. Mógłbym udawać, że to nie miało miejsca... Może nawet wmówiłbym to sobie... ale wiem, że było inaczej.

– I dlatego trzymam twoją rękę na medalionie – wyjaśniłam. – Boję się, że jeśli ją cofniesz, zapomnisz... i przestaniesz mi wierzyć. – Mruganiem odpędziłam łzy, które napłynęły mi do oczu. – Wiem, że brzmi to strasznie egoistycznie, ale naprawdę potrzebuję teraz kogoś, kto mi wierzy.

Na jego twarz wrócił uśmiech, odrobinę jeszcze niepewny.

– Okej, obawiam się jednak, że z takim ułożeniem rąk trudno nam będzie dokończyć poszukiwania. A jeśli pokażemy się tak na ulicy, ludzie zaczną się gapić. Może wystarczy... jeśli po prostu usiądziemy bardzo blisko siebie?

Otoczył mnie lewym ramieniem i bardzo powoli cofnął prawą rękę, podczas gdy ja wypatrywałam jakichkolwiek zmian wyrazu jego twarzy.

– Wiesz? Nadal pamiętam – powiedział. – Obojgu nam nic nie jest. – Nadal mnie obejmując, stuknął w touchpad, by wydobyć dalszą część biogramu taty. – I na pewno dałoby się przywyknąć do takiego korzystania z wyszukiwarki.

Spojrzałam na niego z ukosa, ale nie zaprzeczyłam. Kiedy Nolan, ostatni kandydat na chłopaka, podsunęty mi przez Charlayne, objął mnie w kinie, cała zeszytniałam. Z Treyem jakoś wydawało się to naturalne.

– Czy na dole jest adres? – spytałam.

– Tak mi się zdaje. Ale, Kate... może przeczytaj ten biogram do końca.

Szybko przejrzałam te trzy akapity. Zawierały to, co tato zwykle podawał, wzmianki o olimpiadzie matematycznej, o szkołach i zainteresowaniach. Pewne dodatkowe fakty jednak natychmiast przywołały mnie do porządku – do nowego porządku. „Harry mieszka wraz ze swą żoną Emily i dwojgiem dzieci w domku dla kadry, z widokiem na staw Eastwick”.

∞

Gdy w końcu opuściliśmy tę kawiarenkę i wyszliśmy na Massachusetts Avenue, dochodziła szesnasta i ruch uliczny zaczynał się wzmaczać. Chociaż Trey już złożył laptop i schował do swojej torby, trzymaliśmy się za ręce, wyglądając zapewne jak para zakochanych nastolatków, niezdolnych rozstać się choćby na chwilę. W ciągu kilku minut zmieniliśmy się jednak w parę cokolwiek skłóconych zakochanych nastolatków.

– On i tak mnie rozpozna, Trey. Na pewno. To mój tato, jak więc mógłby mnie nie rozpoznać? – Powtórzyłam to już kilka razy, ale wciąż jeszcze nie przekonałam Treya. Co gorsza, siebie też nie do końca, ale nie dopuszczałam innej możliwości.

Czekaliśmy na światłach i Trey pociągnął mnie ku ławce, okalającej niewielki park na środku Dupont Circle. Przy kamiennych szachownicach nieopodal siedziało kilkoro ludzi – w tym, sądząc po śpiworach i kocach, bezdomni – skupionych na grze.

– Ja takiej pewności nie mam, Kate. Wiem, że chcesz się z nim zobaczyć, i będę cały szczęśliwy, mogąc cię do niego zabrać, jeśli naprawdę uważasz, że tak będzie najlepiej – Trey dotknął palcem mojego podbródka i przesunął głowę, zmuszając, bym patrzyła na niego. – Posłuchaj. Do mojego domu idzie się stąd



dziesięć, może piętnaście minut. Mieszkamy blisko Kalorama Heights. A to oznacza mniej więcej dwie godziny jazdy od Delaware. Jeśli teraz ruszymy, wydostaniemy się z miasta przed godziną szczytu i prawdopodobnie dotrzemy tam przed zmrokiem.

Gdy wstawałam, podniósł jeszcze palec.

– Ale... wysłuchaj mnie do końca. Nie wątpię, że na twojej linii czasu ojciec bardzo cię kocha. Temu Harry'emu Kellerowi możesz jednak wydać się kimś obcym. Może powinniśmy udać się do twojej babki? A przynajmniej powiadomić ją, że do niego jedziemy. Powiedziałaś, że ona wierzy, że ty możesz to jakoś... naprawić, tak? Nie na tym powinniśmy się skupić?

Westchnęłam. Mówił logicznie i wiedziałam, że w pewnym stopniu ma rację, ale...

– Nie mogę zadzwonić do Katherine. Nie mam do niej numeru. Miałam go w telefonie, w plecaku, który mi skradziono. Ten numer był nowiutki i dam głowę, że nigdzie nie figuruje, obawiała się przecież namierzenia przez mojego dziadka.

Mówiąc to, spychałam gdzieś w niebyt dokuczliwą obawę, że klucze CHRONOSA mogą, z jakiejś przyczyny, okazać się dla Katherine i Connora zbyt słabą osłoną. Przede wszystkim musiałam się skoncentrować na odnalezieniu taty.

– Może i powinniśmy najpierw pojechać do niej, obawiam się jednak, że próbowałyby mnie zniechęcić do kontaktu z tatą. A ja muszę się z nim zobaczyć, Trey! Nawet jeśli mnie nie pozna, i tak go przekonam. Muszę zobaczyć, że jest rzeczywisty, że istnieje. Bo co do mamy... w przypadku mamy mi się to nie uda. Jej tu nie ma... Wątpię, czy gdziekolwiek istnieje.

Może sprawiło to spanikowanie, coraz bardziej wyczuwalne w moim głosie? Tym, co go przekonało, na pewno nie była siła argumentów, bo nawet mnie samej wydawały się niezbyt logiczne. Ja tylko wiedziałam, że potrzebuję taty, że dzielą nas jedynie dwie godziny drogi i że Trey zaproponował, iż mnie do niego zabierze.

– Okej. – Uśmiechnął się smutno i chwycił mnie za rękę, podnosząc z ławki. – Jedziemy do Delaware. Nie wydaje mi się, by to pomogło, ale znając ciebie... od ilu?... od czterech już godzin, chciałbym móc powiedzieć, że się myliłem.

∞

Trey z rodziną mieszkali w dwupiętrowym domu, nieco mniejszym od tego, który w Bethesdzie kupiła Katherine. Sąsiedztwo miał urocze: domki szeregowe, nieliczne domy jednorodzinne i kilka niedużych budynków, należących do ambasad. Trey wyjaśnił, że dom należał do jego dziadków, którzy przed laty wybrali emeryturę na Florydzie, i że spędził w nim większość życia – przynajmniej wtedy, gdy rodzice przebywali w Stanach.

Weszliśmy bocznymi drzwiami, wiodącymi do dużej kuchni o bladożółtych ścianach.

– Estella? – zawołał Trey, otwierając drzwi. – To ja. – Wielki szary kot, śpiący w popołudniowym słońcu, przeciągnął się i podszedł do niego, by się przywitać. – Siemka, Dymitr. Gdzie Estella?

Nachyliłam się, by podrapać tego kota za uszami, on zaś, odpowiadając mrużeniem, otarł mi się o nogi.

– Hmm. Estella zwykle jest w domu. Pewnie wyskoczyła po zakupy. Może to i dobrze, bo nawet gdybym powiedział, że idziemy tylko do kina, miałyby z tysiąc pytań na twój temat. Jest odrobinę... nadopiekuńcza. – Trey zostawił na biurku liścik do ojca, z informacją, że pomaga przyjaciółce, a w drugim, który przyczepił do lodówki, powiadomił Estellę, że wróci po kolacji.

Zgodnie z sugestią Treya, odszukaliśmy w książce telefonicznej numer taty i zadzwoniliśmy, by się upewnić, czy nie wyjechał na jakiś urlop czy gdzieś indziej. W słuchawce usłyszałam głos taty, ale na tym się skończyło, gdyż Trey wyjął mi ją z ręki i oznajmił, że pomylił numery.

Samochód Treya stał w garażu za domem. To był starszy model Lexusa, ciemnoniebieski, zaparkowany obok podobnego, ale znacznie nowszego lexusa koloru czarnego.

– Dostał mi się po mamie – wyjaśnił – ale tato wzbogacił go o bluetooth do mojego telefonu i słuchania muzyki. – Uśmiechnął się szeroko. – Przekonałem go, że wymaga tego bezpieczeństwo, żebym mógł dzwonić do domu, nie rozpraszając się podczas jazdy. Tak naprawdę potrzebowałam tego, bo ten samochód wyposażony był tylko w odtwarzacz CD. Pod względem muzycznym wymagał poważnego unowocześnienia.

Podróż do Delaware obyla się bez przygód. Jak tylko wyjechaliśmy z miasta, ruch na drodze się uspokoił. Trzymałam rękę na ramieniu Treya, żeby mógł prowadzić oburącz. Mimo iż do siedemnastu lat brakowało mi niewiele, nie dorobiłam się jeszcze prawa jazdy – nie bardzo go potrzebowałam, skoro wszędzie, gdzie chciałam, dawało się dojechać metrem, a jedynym samochodem, z którego mogłabym korzystać, był stary gruchot, używany przez tatę prawie wyłącznie z okazji wizyt w sklepach spożywczych. Trey najwyraźniej trochę już w życiu pojeździł i chyba swobodnie czuł się za kierownicą.

Zgłodniał, zajechaliśmy więc do McDonalda koło Annapolis, żeby wrzucić coś na ząb. Dopiero w połowie drogi do kasy zorientowaliśmy się, jednocześnie, że Trey od chwili otwarcia drzwi nie trzyma mnie już za rękę.

– Trey? – odezwałam się do niego. Zero odpowiedzi. Przyglądał mi się zaintrygowany, przekrzywiwszy głowę.

Odczekałam chwilę, a potem znów chwyciłam go za rękę i praktycznie wykrzyczałam jego imię:

– Trey?

– A właściwie kim ty jesteś? – spytał. – I czemu trzymasz mnie za rękę?

Jeszcze nie wybrzmiało to ostatnie pytanie, a już wyszczerzył się w uśmiechu i mocniej ścisnął mi dłoń.

– Żartowałem! – Spróbowałam wyrwać się z tego uścisku, ale nie puścił. – Przepraszam, ale nie mogłem się oprzeć.

Wolną ręką walnęłam go w ramię.

– Au! Okej, bolało, ale chyba sam się o to prosiłem. – Trey pociągnął mnie za róg, przytrzymując razem obie moje ręce, by uniknąć kolejnego ciosu.

– Naprawdę przepraszam. Nie zamierzałem puścić twojej ręki... ale trochę się wcześniej zastanawiałem, bo bez sensu byłoby, gdybym miał zapomnieć. To znaczy, o ile nie będzie kolejnego zakłócenia czasowego, czy jak tam to nazywasz, nie sędzę, by coś mogło tak wpłynąć na moją pamięć.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Czemu wcześniej tego nie powiedziałeś?

Znów ten szeroki uśmiech.

– A trzymałabyś mnie za rękę przez trzy ostatnie godziny, gdybym to powiedział? Ale właściwie, Kate... Chciałem właśnie zaproponować, żebyśmy sprawdzili tę teorię, jak tylko usiądziemy, żeby coś zjeść.

– Jak sprawdzili?

– No, gdybym wszystko zapomniał, w najgorszym przypadku musiałabyś chyba położyć na stoliku swój bilet miesięczny na metro, żebym zobaczył, jak znika? A może jeden z twoich kolczyków? Bo skoro tamto zdjęcie zniknęło, to i te rzeczy też powinny. I skoro w Waszyngtonie przekonała mnie znikająca fotografia, sędzę, że dokonałby tego też bilet miesięczny, znikający w Annapolis,

Wzruszyłam ramionami, a potem skinęłam głową. Wciąż jeszcze byłam wkurzona, ale ciężko się było gniewać na Treya.

– Poza tym – dodał – sądząc z tego, jak się wierciłaś w samochodzie przez ostatnie trzydzieści kilka kilometrów, podejrzewam, że nie mniej ode mnie marzysz o pewnym przybytku. A wspólna wyprawa do toalety mogłaby dla nas obojga okazać się zbytnim spoufaleniem.

Nie sposób było się z tym nie zgodzić.

∞

Następne pół godziny upłynęło mi na gapieniu się w okno samochodu i rozważaniu, co powinnam powiedzieć tacie, gdy się z nim zobaczę. Okolica bardzo przypominała Iowę: płaskie połacie pól, a między nimi od czasu do czasu niewielkie miasteczka. Akademia Chaplina, do której jechaliśmy, znajdowała się

nieopodal jednego z nich i gdy tam dotarliśmy, wciąż jeszcze nie wiedziałam, co powiem.

Przy wjeździe była bramka bezpieczeństwa, przechyliłam się więc przez Treya, pokazując strażnikowi szkolnemu swoją legitymację.

– Nazywam się Kate Pierce-Keller. Uczy tutaj mój... mój wujek, Harry Keller. Przejeżdżaliśmy tędy, postanowiłam więc, że się przywitam. – Strasznie się bałam, że strażnik spróbuje zabrać mi legitymację, żeby się jej przyjrzeć – bo pojęcia nie miałam, co powinnam w takiej sytuacji zrobić. Nie mogłam narazić etui z legitymacją na zniknięcie. Strażnik jednak okazał się życzliwym gościem, który jedynie wychylił się z okienka, by na legitymację zerknąć, a potem nam wyjaśnił, jak dojechać do kwater kadry nauczycielskiej.

Obawiałam się, że trudno będzie znaleźć tatę. Nie znaliśmy dokładnego adresu i liczyłam się z tym, że może trzeba będzie chodzić od drzwi do drzwi, dopóki nie znajdziemy życzliwego sąsiada. Wypatrzyłam jednak tatę jeszcze zanim znaleźliśmy miejsce do parkowania. Siedział nad stawem, przy drewnianym stole piknikowym, z książką w ręku, obserwując dwóch chłopców – jednego wyglądającego na pięciolatka, drugiego młodszego – jeżdżących po trawie na trójkołowych rowerkach. Wokół było zielono, nad stawem rosła duża wierzba. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów za stołem widać było tyły kilku niedużych, schludnie wyglądających domków, przeważnie z grillem na patio, czasem też z piaskownicą lub plastikowym dziecięcym domkiem.

Siedziałam bez ruchu, wpatrzona w niego. Po minucie czy dwóch Trey podszedł do drzwiczek od strony pasażera, otworzył je i przykucnął, by spojrzeć mi w oczy.

– Mam zaczekać w aucie czy iść z tobą?

Zastanowiłam się nad tym.

– Miałbyś coś przeciwko pójściu ze mną? – spytałam cicho. Zanosilo się niewątpliwie na rozmowę zbyt osobistą, by czynić jej świadkiem osobę tak niedawno poznaną, ale kolana mi się trzęsły, choć nawet jeszcze nie wstałam.

– W żadnym razie – odpowiedział Trey. Podał mi rękę, pomagając wyjść z samochodu, i nie puszczał, gdy szliśmy w stronę tamtego stołu. – W ramach wsparcia moralnego – dodał, delikatnie ściskając mi palce.

Odpowiedziałam uśmiechem wdzięczności. Nigdy jeszcze nie czułam się tak bezbronna.

– Pan Keller? – spytałam. Tato podniósł wzrok i zamknął książkę, zaznaczając palcem, gdzie przerwał lekturę. Na miękkiej okładce, utrzymanej w tonacji jesiennej – w żółciach, oranżu i brązach – widniał królik – *Wodnikowe Wzgórze*, książka, którą czytał mi przed laty. Jedna z naszych ulubionych.

– Tak? – Odrobinę zmarszczywszy brwi, przyjrzał się naszym mundurkom. Zrozumiałam, że jeśli w tej szkole też jakieś obowiązują, nie przypominają tych,

które mieliśmy na sobie. – Czy my się znamy?

Usiedliśmy z Treyem po drugiej stronie stołu.

– Mam nadzieję. – Przećwiczyłam w myślach ze dwadzieścia wariantów rozpoczęcia tej rozmowy, ale teraz do głowy przyszedł mi tylko jeden. – To ja, Kate. Twoja córka.

Szok, malujący się na jego twarzy, sprawił, że natychmiast pożałowałam tego wyboru.

– Przepraszam! Nie tak chciałam zacząć... Chodzi o to...

Tato kategorycznie pokręcił głową.

– To niemożliwe. Jestem żonaty... wprawdzie, dopiero od dziesięciu lat, ale... Jak się nazywa twoja matka?

– Deborah – odparłam. – Deborah Pierce.

– Nie. – Ponownie pokręcił głową. – Nie znałem nikogo, kto by się tak nazywał. Przykro mi, ale twoja matka się myli.

– To zupełnie nie tak – oświadczyłam z naciskiem. – My... my się już znamy... – Zrobiłam jedyne, co przyszło mi do głowy: wyjęłam spod bluzki klucz CHRONOSA. – Znajomo wygląda? Jakiego jest koloru?

Tato popatrzył na mnie jak na wariatkę, i to skrajnie niebezpieczną. Zerknął na Treya, nie było jednak jasne, czy szuka w nim sprzymierzeńca, czy ocenia jako kolejne zagrożenie.

– Nie, nieznajomo... i jest różowawy. – Jeszcze raz przyjrzał się medalionowi. – I nietypowy... Zapamiętałbym go na pewno.

Wyciągnęłam etui i pokazałam mu moją legitymację szkolną – wystawioną dla Prudence Katherine Pierce-Keller. Potem wyjęłam zdjęcie mamy.

– A tak... tak wyglądała moja mama. – Wyraźnie zwrócił uwagę na ten czas przeszły, bo jego spojrzenie złagodniało.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się zdjęciu, zanim znów spotkał się ze mną wzrokiem. Gdy znów się odezwał, głos miał łagodniejszy.

– Szczerze ci współczuję... Kate? Zgadza się? – Spojrzał na Treya. – A kto jest z tobą?

Trey odwrócił się do niego i wyciągnął dłoń.

– Trey Coleman, proszę pana. Jestem przyjacielem Kate... Przywiozłem ją tu z Waszyngtonu.

Tato wychylił się i podał mu rękę.

– Witaj, Trey. Tak mi przykro, że tyle jechaliście na darmo. Gdybyście zadzwonili, oszczędziłbym wam... – Przerwał, gdyż młodszy z chłopców podbiegł do stołu i oparł o ławkę nogę.

– Tata, zapnij mi buta, proszę. Znowu się odczepiło.

Tato zapiął bucik na postrzępiony rzep i podciągnął skarpetkę.

– Przydałyby się nowe butki, co, Robbie?

– Mm... hmm – potwierdził Robbie, nieśmiało zerkając, co to za ludzie rozmawiają z jego ojcem. Jego oczy miały ten sam odcień ciemnej zieleni, co moje. Po tym, jak tato spojrział na mnie, a potem na malca, poznałam, że też dostrzegł to podobieństwo.

Potem mój ojciec przeczesał dłonią jasnobrązowe kędziory synka, a mnie aż dech zaparło. Doskonale znałam ten gest, ale to mojej głowy zawsze dotykała ta dłoń i do mnie adresowany był ten uśmiech.

– Idź się pobawić z bratem, dobrze? – powiedział. – Mama niedługo wróci i zjemy sobie pizzę.

– Mniam! – zawołał Robbie, już biegnąc. – Pizza!

Gdy tato znów odwrócił się do mnie, podsunęłam mu zdjęcie mamy.

– To jedyna fotografia mojej matki, jaką mam. – Cofnęłam rękę, gorączkowo pragnąc, by babka miała choć kilka zdjęć mamy. Fotografia zniknęła tak samo jak, wcześniej w kawiarni, zdjęcie taty. Poczulałam, że Trey cały stężał, i pożałowałam, że nie uprzedziłam go, iż powinien odwrócić wzrok.

Tato, osłupiały, wciąż wpatrywał się w miejsce, na którym uprzednio leżała fotografia. Położyłam dłoń na jego ręce.

– Przepraszam. Wiem, że to wstrząs, ale musiałam sprawić, że zrozumiesz.

Następne minuty poświęciłam na wyłożenie mu wszystkiego, co spotkało mnie w przeciągu ostatnich kilku dni. Opowiedziałam mu o naszym wspólnym życiu w domku w Briar Hill, uzupełniając to o kilka drobiazgów na temat jego życia i nawyków, które nie powinny były się zmienić, mimo iż inaczej ułożył sobie to życie, z nową żoną i rodziną. Opowiedziałam też wszystko, co wiedziałam od Katherine o jego prawdziwych rodzicach i wypadku, jak również o moich dziadkach, przywołując też teorię Katherine odnośnie do oddziaływania zakłóceń temporalnych. Dopóki nie skończyłam, tato milczał.

Na koniec spotkał się ze mną wzrokiem, smutnym i trochę nieobecny.

– Przykro mi... ale nie wiem, co według ciebie miałbym powiedzieć lub zrobić. Nie mam pojęcia, skąd wiesz takie rzeczy. Nie mogę też zaprzeczyć temu, co tu widziałem. A gdy patrzę ci w oczy... to jakbym widział się w lustrze.

– Wierzysz mi więc. – Głos mi się łamał.

– Chyba tak. Prawdę mówiąc, sam nie wiem. – Przybrał nieco inny ton, odrobinę gniewny. – Ale tak czy inaczej ta linia czasu, o której mi opowiedziałaś... to nie jest mój świat, Kate. Przemiała z ciebie młoda dama i nie chciałbym cię urazić. W znanej tobie rzeczywistości moje życie może kręcić się wokół ciebie. – Umilkł, by ruchem głowy wskazać chłopców uganiających się teraz za czymś w trawie. – Ale to ci dwaj malcy i ich matka, która lada chwila wróci z pizzą i zakupami, są dla mnie wszystkim. W twoim świecie, jak mogę przypuszczać, John i Robbie nie istnieją, a Emily... kto wie, czy w ogóle znam tam Emily?

Poczulałam, że zaczyna mi się trząść broda, i mocno zagryzłam wargi. Trey

otoczył mnie opiekuńczym ramieniem.

– Powiedziałbym, że życzę ci powodzenia.... cokolwiek tam planujesz – rzekł tato. – Byłoby to jednak kłamstwo. Jak mógłbym, patrząc na tych moich urwisów, mieć nadzieję, że może ci się udać?

Kompletnie nie pamiętam, jak wróciłam do samochodu. Trey pomógł mi wsiąść i otoczył pasem bezpieczeństwa, zapinając go, jak należy.

– Tak mi przykro, Kate. Tak mi przykro.

Miał w oczach łzy. Pocałował mnie delikatnie w czoło i przytulił. Wtedy, załamana, wypłakałam się na jego ramieniu. Trzymałam się go kurczowo. I choć nie znosiłam okazywania bezradności czy słabości, w dniu, w którym straciłam matkę, ojca i pod każdym istotnym względem swoje dotychczasowe życie, desperacko łaknęłam kontaktu z drugim człowiekiem.

Obejmował mnie tak przez dłuższą chwilę. Potem się odsunęłam.

– Doszłam do siebie. Jedźmy – powiedziałam, wciąż jeszcze przez łzy.

– Nie wydaje mi się, żeby tak było, ale dobra... zabierajmy się stąd. – Przetrzęsnał schowek i znalazł jakieś serwetki z baru szybkiej obsługi. – Przepraszam, ale nie mam chusteczek – wyjaśnił. Dzięki tym serwetkom mogłam choć trochę wytrzeć oczy i nos.

Jeszcze raz spojrzałam w stronę tego stołu piknikowego. Młodszy chłopiec siedział tacie na kolanach, usiłując przyciągnąć jego uwagę, tato jednak wpatrzony był w nasz oddalający się samochód. Wyglądał tak smutno, że poczułam się winna, iż sprawiłam mu ból, i to, jak się okazało, całkiem niepotrzebnie.

Trey, na szczęście, nie należał do ludzi typu „A nie mówiłem”, ale i tak przyznałam:

– Ostrzegalesz mnie. Powinnam była posłuchać.

Jechaliśmy więc w stronę Waszyngtonu, prawie się nie odzywając. Chyba się zdrzemnęłam, z głową na ramieniu Treya. Gdy się zbudziłam, byliśmy na obwodnicy, kilka kilometrów przed zjazdem na Bethesdę. Trey cicho wtórował starej piosence grupy Belle and Sebastian. Śpiewał miłym dla ucha barytonem, a w aucie panowała ciemność, jeśli nie liczyć lampek na desce rozdzielczej i reflektorów na drodze. Miałam chęć zamknąć oczy i przez chwilę ich nie otwierać, nie myśląc o niczym, co mnie spotkało.

– Przepraszam, Trey – powiedziałam, siadając prosto. – Tak cudownie mnie wiozłeś po drogach dwóch stanów, a ja odpłacałam ci zaśnięciem. – Zauważyłam, że rękaw ma wilgotny – czyżbym śpiąc płakała? Albo się, fuj... śliniła?

– Nie ma za co przepraszać – odparł. – Pomyślałem, że przyda ci się przymknięcie oka. I tak bym cię niedługo zbudził. Nie wiem gdzie mieszka twoja babka, mówiłaś tylko, że gdzieś koło szkoły.

Na myśl o Katherine znów wezbrało we mnie poczucie winy. Zerknęłam na zegar na desce rozdzielczej. Dochodziła dziewiąta wieczór. Wiedziałam, że babka pewnie szaleje, a choć byłam trochę zła, to nie tyle na Katherine, co na tego



tajemniczego dziadka z przyszłości, który ograbił mnie z całego życia.

Powinnam była wrócić do domu Katherine, a nie próbować wciągać w to tatę. Mignęły mi w myślach dwa obrazy: chłopcy ganiający nad stawem, Robbie wdrapujący się na kolana taty – i nagle poczułam się za nich odpowiedzialna.

– Trey, a jeśli on ma rację?

– Jeśli kto ma rację?

– Mój tato... To znaczy, Harry. Wracam teraz przecież do babki, która uważa, że tylko ja mogę przywrócić porządek, czyli naprawić zaburzenie czasu. Pojęcia nie mam, co to miałyby znaczyć, czego ode mnie oczekuje i czy w ogóle zdołałabym tego dokonać, ale co będzie, jeśli mi się uda i ci malcy przestaną istnieć? Jak coś takiego miałyby być dobre? Może Harry'emu tu jest lepiej z Emily, z taką rodziną? I co z tymi wszystkimi, którzy istnieją tylko na tej linii czasu? Kto miałby prawo orzekać, że któraś linia czasu jest lepsza od innych?

Trey długo się zastanawiał nad odpowiedzią.

– Nie wiem, Kate. Jednakże ktoś, prawdopodobnie twój dziadek, zdrowo miesza, zmieniając wszystko, i nie wygląda na to, by go obchodziło, kto w wyniku tych działań przestanie istnieć. Ty natomiast zadajesz sobie to pytanie, chociaż nie ty stworzyłaś ten problem. Jeśli więc trzeba wybrać pomiędzy liniami czasu, zaufam twojej ocenie sytuacji, a nie jego. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak, ale...

– Daj mi dokończyć. Wcześniej powiedziałaś, że jesteś pewna, iż na tej linii czasu nie istniejesz. Opierając się na tym, co oboje widzieliśmy, uważam, że się nie mylisz. Prędzej czy później coś pozbawi cię kontaktu z medalionem i chyba znikniesz w niebycie jak te zdjęcia. – Sięgnął po moją rękę. – I jeśli to prawda... cóż, dochodzę do wniosku, że ta linia czasu kompletnie mi nie leży.

O mało znów się nie rozplakałam, co wyraźnie świadczyło o tym, że ten dzień był nie na moje nerwy. Odchrząknęłam i ruchem głowy wskazałam przednią szybę auta.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.

Gdy zjeżdżał w ulicę Katherine, rozglądałam się nerwowo. Nie chciałam tego mówić Treyowi, ale ogromnie się bałam, że za rogiem, tuż przed domem z szarego kamienia, zobaczę tablicę „Sprzedam”, świadczącą, iż ani mojej babki, ani Connora nigdy tu nie było.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam w domu światła, na parterze i na piętrze. Przez okna biblioteki widziałam wypełnione książkami regały i bladobłękitną poświatę instalacji CHRONOSA. Miałam wrażenie, że od mojego pobytu tam upłynęły całe dni.

– Bogu dzięki, że wciąż tam są.

Trey zaparkował przy krawężniku.

– Miałaś obawy? – spytał, gdy wysiadaliśmy. – Wydawało mi się, że

mówiłaś, iż chronią ich medaliony.

Gdy dochodziliśmy do domu, na podwórku za nim rozszczękała się Daphne.

– Owszem, powiedziałam, ale i tak się bałam. O tym wszystkim wiem przecież tyle, co nic. I jeśli nie liczyć poznania ciebie, dzisiaj wszystko szło nie tak, jak powinno, więc...

Nie zdążyłam nawet nacisnąć dzwonka, a już drzwi się otworzyły i znalazłam się w ramionach Katherine.

– Boże mój. Kate! Gdzieś ty była? Myśleliśmy już...

– Przepraszam, Katherine. Musiałam sprawdzić, czy się uda... Mama zniknęła. Śladu po niej nie ma, ani obecnie, ani w przeszłości. A tato...

Katherine wciągnęła mnie do domu.

– Wiem. Też to odczuliśmy. – Gdy Katherine zauważyła w cieniu ganka, tuż za mną, Treya, zobaczyłam, że się zaniepokoiła.

– Kto jest z tobą?

Znalazłam rękę Treya i przyciągnęłam do siebie.

– Trey, poznaj moją babcię. Katherine Shaw. Katherine, to jest Trey Coleman. – Nigdy nie potrafiłam zapamiętać, czy osobę starszą przedstawia się najpierw, czy na końcu, ale w tej sytuacji formalności wydawały się mniej istotne.

– Trey był... dziś niesamowity. Nie jestem pewna, czy wróciłabym tutaj bez jego pomocy.

Przeszliśmy do salonu i padłam na kanapę, ciągnąc za sobą Treya,

– Trey już wszystko wie... to znaczy, wie tyle co ja. Nie wiem, czy to dla was nie problem, ale raczej nie udało się tego uniknąć.

Katherine westchnęła i usiadła na fotelu naprzeciw nas.

– Próbowałam się dodzwonić na twoją komórkę, ale...

Roześmiałam się gorzko.

– Odebrałaś komunikat, że abonent, z którym usiłujesz się połączyć, jest poza zasięgiem? Rano telefon był w moim plecaku. – Poklepałam spódnicę. – Zero kieszeni. A twój numer miałam w telefonie, nie spisałam go. A skoro ten numer pochodził z czasu mamy, wątpliwe, by i tutaj był odnotowany.

– Czemu to tak długo trwało? Już niemal pożegnaliśmy się z nadzieją.

Zerknęłam na Treya.

– Pojechałam z nim na spotkanie z tatą. Przebywającym obecnie w Delaware.

– Oj, Kate. Szkoda, że od razu nie wróciłaś tutaj. I co się tam stało? Nie próbowałaś chyba przekonać Harry'ego, co się dzieje?

– Owszem, spróbowałam.

– I co?

– Znikanie fotografii bywa bardzo przekonujące.

– Na mnie podziałało – potwierdził Trey.

Katherine nie kryła sceptycyzmu. Najwyraźniej uznała, że nie z tego powodu tak łatwo dał się przekonać.

– Tato mi uwierzył – oznajmiłam. – Ale nic z tego nie wynikło. Ma swoje życie. Rodzinę. Dzieci.

Umilkłam, uświadamiając sobie, jak gorzko to zabrzmiało, i chwilę odczekałam, nim znów podjęłam ten wątek.

– Może mi łaskawie wyjaśnisz, co takiego się dzisiaj stało, że zmieniło całe moje życie tak, że mój własny ojciec pojęcia nie ma, kim jestem? I do tego stopnia, że moja matka w ogóle nie istnieje?

Katherine skinęła głową.

– Zrobię to, Kate. Obawiam się jednak, że twój przyjaciel powinien udać się do domu. Jutro też jest szkoła, nieprawdaż? Potem sobie o tym wszystkim porozmawiamy.

– Możemy porozmawiać przy Treyu... – zaczęłam wyjaśniać.

– Nie trzeba – wtrącił Trey. – Jutro rzeczywiście mam szkołę, a i mój tato będzie mnie szukał. – Zaczęłam oponować, ale wiedziałam, że ma rację. Po prostu nie chciałam zostać sama. A wiedziałam też, że gdy go już nie będzie, poczuję się bardzo osamotniona, pomimo obecności babki i Connora.

Katherine podniosła się, poszła w stronę kuchni.

– Miło było mi cię poznać, Trey. Bądź łaskaw chwilę poczekać... Jazda do Delaware wiązała się niewątpliwie z kosztami...

– Ależ nie trzeba, pani Shaw. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Bardzo ci więc dziękuję, Trey. Kate, mam ochotę na filiżankę herbaty. Tobie chyba też by się przydała.

– Odprowadzisz mnie do drzwi? – spytał Trey, ledwie Katherine opuściła salon.

Przytaknęłam i wyszliśmy przed dom, na ganek. Trey mnie objął, potem się jednak cofnął i uważnie mi się przyjrzał.

– Skończ z tą ponurą miną. – Wsunął mi za ucho niesforny kosmyk i szybko, delikatnie pocałował w kącik ust. – Prześpij się trochę, dobra? Ja muszę wrócić do domu i odrobić trygonometrię. – Uśmiechnął się. – Hej, twoja sytuacja ma zalety: nic nie musisz odrabiać.

– Nie miałabym nic przeciwko odrabianiu. No, nie w każdym przypadku.

– Serio? – upewnił się. – To co byś powiedziała na odrabianie za kogoś innego? Widzę przed tym związkami rozległe perspektywy. – Roześmiałam się na to i usiadłam na drewnianej huśtawce, zawieszanej na tym ganku, a Trey, choć już na schodach, jeszcze się odwrócił. – Ale czekaj... Nie mam twojego numeru. Czy jeśli jutro przyjdę cię odwiedzić, twoja babcia poszczuje mnie psem?

– Najgorsze, co Daphne może zrobić, to zalizać cię na śmierć. Ja za to... Chyba boję się tylko, że wydarzy się coś takiego... kolejne zakłócenie czasu... że

zapomnisz o moim istnieniu. – Niemal czułam, jak się rumienię. – Chodzi o to... że na tym świecie dosłownie nie mam innego przyjaciela.

– Nie ma problemu – powiedział. – Jeżeli twój dziadek znów zmieni ten świat, po prostu odszukaj mnie w szkole i zdejmij skarpetkę czy coś w tym guście. Zobaczę, że znika, i w przeciągu pięciu minut będę jadł ci z ręki.

I już go nie było. Zostałam jeszcze na ganku, by patrzeć, jak oddalają się tylne światła jego samochodu, myśląc zarazem o tym, że skoro musiał wrócić do domu, dobrze, że mógł się chociaż normalnie, niespiesznie pożegnać.

Katherine czekała w kuchni z filiżanką herbaty ziołowej na stole.

– Głodna jesteś? W lodówce mam placek... wiśniowy, jak mi się zdaje... chyba że wolałabyś kanapkę?

Potrząsnęłam głową i osunęłam się na jedno z krzeseł w kącie śniadaniowym. Obrzuciłam spojrzeniem tę wielką kuchnię, która tak niedawno zachwyciła mojego tatę, i znów niemal zebrało mi się na płacz.

– Nie sądzę, by bezpiecznie było nam opuszczać dom, przynajmniej nie na dłużej. – Babka usiadła naprzeciwko mnie. – Mimo to, jak tylko uświadomiliśmy sobie, co się dzieje, posłałam Connora po zakupy. Nie ręcę za jego gust, ale w twoim pokoju czekają koszula nocna i ubrania na zmianę, które powinny pasować, a także szczoteczka do zębów i parę innych niezbędnych rzeczy.

Posłałam jej wąty uśmiech.

– Dzięki. Jadąc tu z Delaware, uświadomiłam sobie, że nie mam nawet szczotki do włosów.

– Do twojego pokoju wstawiliśmy też jeden z laptopów. Uporządkowanie wszystkich spraw finansowych zajmie kilka dni, ale wszystkie linie kredytowe są na nazwisko Connora i aktywne, możesz więc przez internet zamówić, czego potrzebujesz.

Opuściłam wzrok na swoją herbatę. Z filiżanki podnosił się aromat rumianku i lawendy.

– Skąd wiedzieliście? Rozumiem, że odczuliście zmianę temporalną, ale skąd wiedzieliście, że mama...? Że tato?

– Connor ma program monitorujący internet pod kątem istotnych informacji. Sprawdził, jak zwykle po zmianie temporalnej, i Deborah... – Katherine przez chwilę milczała, potem zniżyła głos. – Saul odebrał mi już obie córki, choć mam niemal pewność, że na tej linii czasu Deborah zwyczajnie... nie istnieje. Pozostaje mi tylko nadzieja, że Prudence, gdziekolwiek się znajduje, pozostaje pod ochroną klucza CHRONOSA.

Pociągnęłam łyk herbaty, wciąż jeszcze gorącej.

– A więc ciebie zabił? W jakimś punkcie tego czasu?

– Dopuszczamy taką możliwość – przyznała Katherine. – Pytanie brzmi, kiedy i gdzie.

– Właśnie o tym mówiliśmy z Treyem w samochodzie...

– Naprawdę sądzisz, że wciąganie tego młodego człowieka w nasz problem, było mądre? – przerwała mi Katherine.

Odczekałam trochę, ważąc słowa, zanim je wypowiem.

– Możliwe, że nie. Nie miałam jednak dziś czasu na chwilę zastanowienia. Świeżo go poznałam, ale szczerze mówiąc, ufam mu bardziej niż jakiegokolwiek innej ze znanych mi obecnie osób... łącznie z tobą. – Widziałam, jak bardzo te moje słowa zabolaly Katherine, ale skoro czekała nas wspólna praca, nie mogłam nie powiedzieć prawdy.

Oparłszy łokcie o blat stołu, ukryłam twarz w dłoniach, przecierając zmęczone oczy. Pomimo drzemki w aucie, czułam się tak wyczerpana, jak nigdy przedtem.

– Kocham cię, Katherine – powiedziałam, znów podnosząc na nią wzrok. – Naprawdę. I poza tobą nie mam już żadnej rodziny. Cokolwiek powiesz, zrobię. Nie wydaje się zresztą, bym miała jakiś wybór. Ale... Mamy już nie ma. Tato... cóż, jest teraz tatą dla kogoś innego. Charlayne... inne moje przyjaciółki... jak przypuszczam, w ogóle mnie nie znają. Jeśli nie chcesz, żeby mi odbiło, potrzebny mi teraz jakiś przyjaciel.

Katherine zacisnęła wargi, ale skinęła głową.

– Skoro mu ufasz, mnie to wystarczy. – Podniosła się. – Connor jest w bibliotece. Chyba powinniśmy pójść tam i...

– Nie – ucięłam. Chyba zaskoczyłam Katherine, ale kontynuowałam: – Jutro zaczniemy od wyjaśnienia mi, czemu się to wszystko dzieje. Potem będziemy mogły przejść do tego, jak według ciebie mogę to zmienić. Na razie jednak zamierzam dokończyć herbatę, a potem iść spać. Już nie myślę.

∞

Od razu padłam na łóżko, licząc na to, że zmęczenie weźmie nade mną górę, jak przedtem w samochodzie. Szybko się jednak okazało, że trochę potrwa, zanim zasnę.

Ku memu zdziwieniu, Connor tak dobrał piżamę, dzinsy, szorty i kilka T-shirtów, a nawet bieliznę, jakbym je sama kupowała. Dzinsy były wprawdzie odrobinę za duże, ale zawsze to lepsze niż para, w którą nie mogłabym się wcisnąć. Piżama z miękkiej zielonej flaneli w kiepsko klimatyzowanym domku taty okazałaby się za ciepła, ale do mojego nowego pokoju pasowała jak ulał. W torbie z drogerii znalazłam zestaw kosmetyków, wraz ze szczotką do włosów, szczoteczką do zębów i maszynką z wymiennymi ostrzami. A także buteleczkę Tylenolu PM. Szampon był innej marki, niż zwykle używałam, ale pachniał miło,

była też odżywka. Albo Katherine zaopatrzyła Connora w listę zakupów, albo jego osobowość kryła w sobie aspekty, których istnienia nie podejrzewałam.

Wzięłam dwa tylenole w nadziei, że przyniosą mojej głowie ulgę. I choć preferuję prysznic, zrobiłam sobie gorącą kąpiel, wlewając pod kran kilka nakrętek szamponu, żeby się pieniało. Powoli i trochę boleśnie szarpiąc, uwolniłam włosy od taniej gumki, co znów przypomniało mi Kiernana z moją zieloną opaską na rękę.

Wsunęłam się do wielkiej wanny, początkowo się krzywiąc z uwagi na kontakt zmiążdżonego paznokcia z gorącą wodą. Zamknawszy oczy, całkiem się zanurzyłam, pozwalając włosom swobodnie unosić się wokół mnie na wodzie. Od dziecka uwielbiałam to uczucie – ten stan nieważkości i otulenia ciepłem. Pozostałam pod wodą najdłużej, jak mogłam, a potem wysunęłam twarz na powierzchnię. Każdą myśl o mojej matce lub ojcu świadomie spychałam na bok i ponownie się zanurzałam, oczyszczając w ten sposób umysł. Nie przyjmowałam do wiadomości, że mama nie żyje. Jeśli Katherine powie, że mogę to odkręcić, dokonam tego.

W zamian spróbowałam się skupić na nielicznych miłszych aspektach tego dnia. Dawniej generalnie unikałam w szkole chłopaków, skupiając się raczej na książkach. Dwaj z tych, z którymi spotkałam się na randkach, byli nawet mili, ale nie łączyły nas żadne wspólne zainteresowania. Jeden już pod koniec pierwszego wieczoru tak widocznie to okazywał, że gdy ten drugi zaproponował kolejną randkę, natychmiast znalazłam jakiś elegancki wykręt.

W przeciągu zaś tego jednego traumatycznego dnia przeszłam z etapu dziewczyny, która nigdy się nie całowała przez etap mocno i namiętnie całowanej przez Kiernana – samo wspomnienie mogło przyprawić o zawrót głowy – i na tyle obdarzonej pocałunkiem przez Treya, że gorąco mnie ciekawiło, jak by to było tak naprawdę się z nim całować.

Dwadzieścia minut później wytarłam się puszystym, niebieskim ręcznikiem. Drugim owinęłam mokrą jeszcze głowę i włożyłam nową piżamę. Wielkie łóżko wyglądało na niesamowicie wygodne – o wiele sympatyczniej niż dwuosobowe łóżko w moim domu czy kanapka u taty. Mimo to z radością bym je zamieniła na którąkolwiek z tamtych opcji. Po kilku minutach, poświęconych na wycieranie włosów, wsunęłam się pod kołdrę, wyłączyłam lampę i skuliłam się na boku. I dużo, dużo później zasnęłam.

Obudziło mnie lekkie pukanie w drzwi mojej sypialni.

– Kate? Nie śpisz? – Otwarłam oczy na nieznanym otoczeniu i chwilę potrwało, nim sobie uświadomiłam, gdzie jestem.

Zegar na stoliku nocnym, wskazywał, że przespałam duży kawał ranka.

– Za minutkę schodzę, Katherine.

– Nie ma pośpiechu, skarbie. Chciałam się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

– Czuję się dobrze. Chyba naprawdę byłam zmęczona. Za chwilę zejść.

Ochlapałam twarz wodą i włożyłam dżinsy oraz koszulę, kupione mi dzień wcześniej przez Connora. Na głowie miałam chaos. Zwykle ściągam włosy do tyłu, ale miałam jedynie tę wczorajszą recepturkę i sama myśl o ponownym skorzystaniu z niej budziła we mnie wstręt. Poświęciłam więc kilka minut na próby rozczesania loków, jak zwykle splątanych, jeśli się kładłam z mokrą głową.

Kilka minut później zeszłam na dół. Katherine i Connor byli prawdopodobnie w bibliotece. Z kuchni dobiegało skomlenie i skrobanie w kryte siatką drzwi, poszłam więc wpuścić Daphne. Jej obroża wzbogaciła się o nowy dodatek – wszyty w nią został jeden z kluczy CHRONOSA. W pierwszej chwili mnie to zdumiało, ale uświadomiłam sobie, że na tej linii czasu mogłoby nie być tu Katherine, tym bardziej więc nie miałyby psa, Daphne zaś zapewne należałaby do kogoś innego.

– Obawiam się, że bez tego zniknęłabyś z podwórza, prawda, dziewczuszko? Albo inna wersja ciebie wymachiwałaby ogonem w jakiejś innej kuchni?

Po dłuższej chwili uścisków (z mojej strony) i całusów (wielkich i mokrych za sprawą Daphne) psina na tyle się uspokoiła, że mogłam przetrząsnąć kuchnię w poszukiwaniu czegoś na śniadanie. Ku swej radości znalazłam płatki Cheerios, banana, trochę mleka i pół dzbanka kawy. Niewątpliwie przygotowanej przez Katherine, bo przyswajalna była o wiele bardziej od naparu, który dzień wcześniej przyrządził Connor.

Niemal już rozprawiłam się z płatkami, gdy wszedł Connor.

– Dzięki za wczorajszą rundkę po sklepach, Connor. Wiedziałeś, co wybrać.

Skinął głową, dolewając do swego kubka kawy.

– Prawie na śmierć wystraszyłaś Katherine. A jej nie trzeba dodatkowych stresów.

Uporałam się z resztkami Cheerios i popatrzyłam na niego.

– Przepraszam. Zajęta byłam odkrywaniem, że moi rodzice już nie istnieją.

Wychwycił sarkastyczny ton i odwrócił się do mnie.

– To raczej argument, by wrócić tu, gdzie jest bezpiecznie, a nie objeżdżać

okolicę w towarzystwie jakiegoś chłopaka. Wiesz, zasięg medalionu to sprawa niepewna. Możliwe, że jeśli się potkniesz na chodniku, a on spadnie, przepadniesz jak twoja matka. Skończ jeść i przyjdź do biblioteki. Robota czeka.

Poskromiłam w sobie infantylną chęć pokazania języka jego oddalającym się plecom.

Nie paląc się do dawania Connorowi satysfakcji, że zaraz za nim pośpieszyłam, dałam sobie czas na dopicie kawy, a potem weszłam do swojego pokoju, żeby umyć zęby. Usiadłam przy biurku i popatrzyłam na nowy laptop. Pomyślałam o sprawdzeniu poczty, w porę sobie jednak przypominając, że konto, które miałam, na pewno nie jest już aktywne. Daphne oparła mi o kolano swój kasztanowy łeb.

– Chyba powinniśmy zejść zobaczyć, czego od nas chce ten zrzęda, jak myślisz, Daphne? – Seterka zamachała ogonem, a ja znów ją uściskałam.

Podniósłszy wzrok, zobaczyłam w drzwiach sypialni Katherine. Cerę miała trochę mniej bladą niż wieczorem; najwyraźniej, podobnie jak ja, nieco się przespała.

– Chyba dobrze ci się spało? – zapytała.

Wzruszyłam ramionami.

– Trochę to potrwało. Ranek chyba jednak sprawił, że doszłam do siebie.

– Connor też się martwił o ciebie, Kate. Jeśli trochę burczał, można to zrozumieć.

– Zawsze chyba burczy. Myślę, że po prostu tak ma.

Katherine nieznacznie przytaknęła.

– Przypuszczam, że nie zawsze tak było, ale ma do stracenia nie mniej niż ty czy ja.

– Rozumiem – przyznałam. – Utrata całej tożsamości to wielki ciężar.

– Nie tylko tożsamości, Kate. Stracił też całą swoją rodzinę. I nie chodzi mi o to, że jego siostra się zmieniła ani że ma teraz brata. To dla niego pomniejsze szczegóły. Stracił żonę... umarła przed dziesięciu laty, tętniak mózgu, bez związku z naszą sprawą. Jednakże jego dzieci zniknęły przy okazji ostatniej, majowej zmiany temporalnej. Wtedy już ze mną pracował, a oni... oboje uczyli się w college'u. Jego syn i córka... Chwila i już wcale nie istnieli, zupełnie jak twoja mama. I z jakiegoś powodu, jeśli prześledzić to w archiwach, na tej linii czasu Connor nigdy nie spotkał swojej żony.

Milczałam. Zerknęłam na swoje ubranie i pojęłam, że obeznanie Connora z modą prawdopodobnie należało przypisać jego doświadczeniu – doskonale wiedział, czego potrzebują nastolatki, bo nie tak dawno temu jako samotny tato robił z kimś takim zakupy.

Opuściłyśmy mój pokój i przeszłyśmy kolistym korytarzem nad salonem do biblioteki, znajdującej się po drugiej stronie tego piętra. Daphne, dotychczas



lojalnie za nami drepcząca, uświadomiwszy sobie, dokąd idziemy, zaskowyczała i obrawszy przeciwny kurs, pognała na schody.

– Biedna Daphne – powiedziała Katherine. – Nie znosi biblioteki. Nie mamy pewności czemu, bo raczej nie widzi świateł urządzeń CHRONOSA. Connor przypuszcza, że niepokoi ją dźwięk, jaki wydają medaliony, gdy są aktywne.

Connor był po drugiej stronie pokoju, pogrążony w pracy. Katherine usiadła przy jednym z terminali, a ja chwyciłam stojące blisko niej krzesło, i podciągnęłam boscie stopy na jego skraj, opierając brodę o kolana.

– A więc co robicie i jak mogę pomóc?

Connor popatrzył w moją stronę, potem podszedł i wręczył mi trzy dzienniki, rozmiarem podobne do tego, który miałam w plecaku, różniące się jednak kolorem i stanem oprawy.

– Możesz zacząć od ich przewertowania. My usiłujemy ustalić, kiedy dokładnie zabito Katherine. Podczas gdy będziemy się tym zajmowali, ty powinnaś zapoznać się z każdą z tych wypraw. Zakładam, że dysponujesz podstawową wiedzą na temat historii amerykańskich ruchów praw człowieka?

Odszedł, nie czekając na odpowiedź, zwróciłam się więc do Katherine, kładąc dzienniki na biurku koło siebie.

– Praw człowieka? Jak u Martina Luthera Kinga?

– Tak – potwierdziła Katherine. – Ale chodzi też o prawa kobiet. Istnieją oczywiście inne jeszcze kategorie, ale moje badania skoncentrowałam na abolicjonizmie, czyli ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa, a także na prawach kobiet. Studiowałam te ruchy w szerokiej perspektywie, śledząc zmiany na przestrzeni kilku stuleci. Celem mojej pierwszej wyprawy badawczej była osada kwaków w początkach osiemnastego stulecia. Wiesz coś o kwakach?

– Odrobinę. Znałam w stanie Iowa pewnego kwakra. Chodził ze mną na karate. Inny koleś z tego kursu nabijał się z tego, że ktoś określający się jako pacyfista ćwiczy sztuki walki, tamten jednak wyjaśnił, że nie ma w tym żadnej sprzeczności, bo w karate chodzi o poskramianie gwałtowności, a nie o posługiwanie się nią w obliczu problemów.

Katherine pokiwała głową.

– Religijne Towarzystwo Przyjaciół, często określane mianem kwaków, to najdawniejszy w Ameryce ruch religijny, zarówno przeciwstawiający się niewolnictwu, jak i głoszący zrównanie kobiet z mężczyznami. Fakt, że wyznanie to często szerzyły właśnie kobiety, znacznie ułatwił mi obserwację tej społeczności bez zbytniego zwracania na siebie uwagi. Obu moich pierwszych skoków, tego najpierw do roku 1732, a potem tego do 1794, dokonałam w zespole z tym starszym historykiem, po którym odziedziczyłam miejsce w CHRONOSIE. Potem odbyłam solowy wypad na to zgromadzenie w 1848 roku, na którym podpisano Deklarację Zapatrywań. Wielu spośród tych, którzy ją podpisali, to właśnie

kwakrzy.

– Chodzi o dokument, który mi pokazywałaś i na którym widnieje teraz podpis Prudence?

Katherine znów przytaknęła.

– Odbyłam też kilka innych solowych skoków, CHRONOS jednak generalnie obstawał przy tym, że ekspedycje sprawdzają się lepiej, gdy historycy podróżują parami. Dla mnie najlogicznym partnerem okazał się Saul Rand, specjalizujący się w ruchach religijnych. Organizacje religijne i inicjatywy na rzecz praw człowieka często się bowiem zazębiały. Dotyczyło to nie tylko kwaków, ale i wielu innych wyznań. Saul był starszy ode mnie zaledwie o osiem lat, mogliśmy więc podróżować jako młode małżeństwo, co zapewniało skuteczną przykrywkę. I ta przykrywka z czasem stała się nader wiarygodna, bo rzeczywiście zostaliśmy parą... I tak – kontynuowała, odwróciwszy się znów w stronę monitora – w sumie odbyliśmy wspólnie dwadzieścia siedem skoków. – Kliknęła myszką, wydobywając listę miast z widniejącymi przy nich datami. – Ta dwunastka to chyba najprawdopodobniejsze typy co do tego, kiedy mogłam zostać zamordowana. Nie możemy też wykluczyć moich solowych skoków, tu nie mam jednak pewności, jak wiele informacji Saul zgromadził na ich temat.

– Dlaczego? – zapytałam. – Nie chodzi mi o to, czemu akurat te wyprawy, bo to możemy omówić później. Dlaczego Saul to robi? Dlaczego chce zmienić przeszłość? Dlaczego chce cię zabić?

– Należałoby raczej spytać, dlaczego mnie zabił, a właściwie dlaczego doprowadził do tego, że mnie zabito – odparła Katherine. – Jak już wyjaśniłam, Saul utknął w czasie, do którego trafił, i gotowa jestem się założyć, że chodzi tu o jakiś punkt w przyszłości, nie o przeszłość. Posługuje się więc kimś innym, może nawet kilkoma takimi osobami, by zmieniać historię według swoich wskazań. Wiemy już o dwóch osobach. To ci młodzi ludzie, których wczoraj spotkałaś, ale chyba bezpieczniej założyć, że na nich rzecz się nie kończy. Przypuszczam, że jedną z takich osób może być też Prudence. Mamy wszak dowód, że dokonała co najmniej jednej drobnej zmiany w historycznym dokumencie.

– Wciąż jeszcze nie pojmuję motywów Saula. Na co on liczy? – Kątem oka zobaczyłam, że Connor potrząsa głową z irytacją, postanowiłam więc zwrócić się bezpośrednio do niego. – Przyznasz, Connor, że jeśli mam pomóc wytropić mordercę, to ważne, żebym zrozumiała tok jego myślenia.

Connor odwrócił do mnie swe obrotowe krzesło.

– Weź jakiegokolwiek psychopatę, socjopatę czy jakiej by tam jeszcze użyć etykiety. Dostrob się do sedna, a motyw zawsze okaże się ten sam, Kate. Władza. Tyle władzy, ile może leżeć w ich zasięgu.

– Ale po co zabijać Katherine? Czemu po prostu nie kazał Pękatemu, by zabił mnie w metrze? Katherine nie jest w stanie użyć medalionu, nie bardzo też

ukrywa, że jej choroba jest nieuleczalna.

– Celne spostrzeżenie, Kate. Podejrzewam, że to sprawa osobista – wtrąciła się Katherine. – Kiedy Saul pierwszy raz zamierzał mnie zabić, czyli wtedy, gdy uciekłam w rok 1969, to dlatego, że stanęłam mu na drodze. I, co nie mniej ważne, przestałam widzieć w nim człowieka fascynującego, pociągającego i genialnego, a wierzyłam w to, durna, przez te cztery lata, gdy byliśmy parą. Zabójstwo nie wypaliło, a Saul nie potrafi pogodzić się z niepowodzeniem. Dysponując teraz środkami, pozwalającymi mu dokończyć to, co zaczął w CHRONOSIE, przypuszczam, że dokończyłby to po prostu dla zasady.

Ciężko mi było wyobrazić sobie Katherine młodą i impulsywną, czułam też, że nadal mi w tym obrazie czegoś brakuje, mimo to skinęłam głową.

– Co dokładnie sprawiło, że zaczęłaś widzieć Saula inaczej?

– Odkrywałam pewne... niekonsekwencje w jego raportach i zaobserwowałam kilka działań sprzecznych z protokołem CHRONOSA. To było mniej więcej wtedy, kiedy dowiedziałam się też, że jestem w ciąży. Wielu spośród naszych współpracowników uważało, że Saul zajął się historią religii, bo sam żarliwie wierzył. Niewątpliwie potrafił przekonać o swym zaangażowaniu wyznawców całej gamy kultów. Ja, znając go trochę lepiej niż inni, zakładałam, że historia religii go pociągała, gdyż w sprawach religijnych był sceptykiem. Prawda wyglądała jeszcze inaczej.

Katherine uważnie mi się przyjrzała.

– Saul żarliwie wierzył, ale jedynie w siebie, i nabrał przeświadczenia, że zaangażowanie religijne innych ludzi, jeśli nim umiejętnie pokieruje, otworzy mu drogę do władzy, której pragnął. Religie świata zgłębiał po to, by czerpać z nich praktyczne podpowiedzi, jak zbudować jego własną.

– Jak się „buduje” religię? – zapytałam.

– Wielu tego dokonało, mając mniej do dyspozycji – stwierdziła Katherine, gorzko się uśmiechając. – Saul dysponował narzędziem doskonałym. Sądzę, że zamierzał osobiście odwiedzić pewne miejsca i epoki, kreśląc szlak objawień, cudów i prorocत्व, by dokonać kompilacji różnorodnych religii. Biorąc przykład z chrześcijaństwa, które dla przyciągnięcia wyznawców czerpało niejedno z religii pogańskich, łączył elementy chrześcijaństwa, islamu i innych religii, wytyczając drogę ku królowaniu proroka Cyrusa... którym oczywiście był on sam, Saul.

– Czekaj... Mówisz, że to on położył podwaliny pod ruch cyrystów? – spytałam. – To jakieś wariactwo. Kilka miesięcy temu byłam na nabożeństwie w jednej z ich świątyń. Nie przekonali mnie do siebie, ale wydają się w porządku. Charlayne tam czasem chodzi z Josephem, swoim bratem. Jego dziewczyna jest cyrystką.

Nie dodałam, że rodziców Charlayne odrobinę denerwowało, że ten związek robi się coraz poważniejszy. Gdyby Joseph zdecydował się na ożenek, musiałby

zmienić wiarę, a większość cyrystów żeniła się dość wcześnie. Od dwunastego roku życia cyryści nosili na lewym ręku niewielki tatuaż, przedstawiający kwiat lotosu, jako jawny symbol czystości. Członkowie tego kościoła ślubowali dochowanie całkowitej wstrzeźliwości do czasu dwudziestych urodzin lub wejścia w związek małżeński, o ile nastąpi ono wcześniej, a wszystkie małżeństwa musiały zyskać aprobatę starszyny tego kościoła.

Przypomniała mi się rozmowa z mamą Charlayne po naszym uczestnictwie w tamtym niedzielnym nabożeństwie. Ona miała mieszane uczucia – w stosunku do cyrystów była generalnie nieufna, ale Josepha zawsze uważała za niesforne dziecko, które po poznaniu Felicii całkiem się ustatkowało. Stronił od alkoholu, od narkotyków i na ile wiedziała, od seksu. Jego życie koncentrowało się wokół pracy, szkoły i możliwie w pełni kontrolowanych spotkań z Felicią, którą jako osiemnastolatkę czekały jeszcze dwa lata takiej wstrzeźliwości. Spotykali się już chyba pół roku i Joseph wpadł w ekstazę, gdy wreszcie pozwoliła mu trzymać się za rękę. Charlayne uważała przemianę Josepha za upiorną, ale i na swój sposób romantyczną. Nie pojmowałam, jak pojęcia *upiorna* i *romantyczna* mogłyby iść w parze, ale umysł Charlayne czasem chadzał wielce tajemniczymi ścieżkami.

– Pewna jesteś? – spytałam. – Owszem, część ich wierzeń wygląda trochę dziwnie, ale można by to powiedzieć o wielu religiach. Czy pani wiceprezydent nie jest cyrystką? – Pamiętałam, jak Charlayne opowiadała, że w miesiącach poprzedzających wybory Joseph widywał ją w świątyni niemal co tydzień. – Ten kult to nie żadna nowinka. Cyryści żyją tu od stuleci. Czemu uważasz...

Katherine miała w oczach rozpacz.

– Nie uważam, Kate. Ja to wiem. Cyrystów powołał Saul. To zaś, czy istnieją od stuleci, zależy od naszej perspektywy. Według tych, którzy tak jak ty, Kate, nie byli przez ostatnie dwa lata pod nieustanną ochroną medalionu, kościół cyrystów powołano w połowie piętnastego wieku.

– W roku 1478, gwoli ścisłości – dorzucił Connor.

Katherine podeszła do jednego z regałów i chwilę przypatrywała się jego zasobom, by wreszcie zdjąć z półki grubą księgę.

– W twoich podręcznikach zapewne szereg stron poświęcono dziejom cyrystów i ich roli w poszczególnych epokach. Sięgnij jednak po którąkolwiek książkę z tych półek, a nie znajdziesz w niej żadnej wzmianki o cyrystach, ich wierzeniach czy też historii.

Podawała mi tę księgę. Było to przekrojowe omówienie dziejów Ameryki, napisane w latach osiemdziesiątych minionego stulecia. Przeszukawszy indeks, nie znalazłam wzmianki o kolonii cyrystów w Providence, choć na wszelkich moich zapamiętanych lekcjach historii była wymieniana obok purytanów z Salem i Pielgrzymów z Plymouth Rock.

– To więc jest właściwa historia? – zapytałam.

– *Właściwa* to termin umowny, ale tak. Ta książka przedstawia stosunkowo wierny przebieg dziejów, wolnych jeszcze od ingerencji Saula. To wielkie szczęście, że udało nam się zachować te książki. Gdybym w odpowiednim czasie nie poznała Connora, cała ta biblioteka uległaby skażeniu. A jako że w żadnym z tych tomów nie znajdziesz nic o cyrystach, Connor i ja możemy ci służyć dokładną datą powołania Międzynarodowej Świątyni Cyrystów. To drugi maja zeszłego roku.

– Och – westchnęłam, bo coś mi się skojarzyło. – Czyli wtedy, gdy...

– Właśnie tak. To dzień pierwszego zakłócenia temporalnego, które odczułaś jeszcze w stanie Iowa.

– Ciężko to sobie wyobrazić. Widok świątyń cyrystów pamiętam przecież jeszcze z dzieciństwa. Stanowią chyba z dziesięć procent społeczeństwa?

– Mniej więcej tydzień temu miałabyś rację – odparł Connor. – Dziś jednak Informator CIA<sup>1</sup> szacuje ich liczbę na 20,2%. Ostatnie zakłócenie temporalne przyniosło im dość sporo wyznawców. Wspomniałaś też coś o wiceprezydent Patterson? – Wpisał w okienko wyszukiwarki na swym monitorze kilka liter i kliknął jeden z wyżej wyeksponowanych linków.

Otworzyła się strona Białego Domu z galerią typowych dla Waszyngtonu zdjęć, w większości ukazujących zgrabną sylwetkę Patterson, a to na mównicy, a to podczas sesji zdjęciowej. Connor lekko stuknął palcem w ekran, częściowo zasłaniając jej twarz i perfekcyjnie ułożone kasztanowe włosy.

– Jak widzisz, awansowała.

Szczęka mi opadła, dosłownie. Paula Patterson ani trochę nie pasowała do moich wyobrażeń o pierwszej kobiecie na fotelu prezydenta, miło było się jednak dowiedzieć, że wreszcie komuś się udało przebić najwyższy ze szklanych sufitów,

– Ale jak? Był zamach na prezydenta czy...?

Connor wzruszył ramionami.

– Nic tak dramatycznego. Po prostu wygrała prawybory. Miała bardzo mocne poparcie.

Powoli pokręciłam głową.

– To... nie do uwierzenia. Chcecie powiedzieć, że nic z tego, co pamiętam, nic, czego uczono mnie w szkole, nie jest już prawdą?

– To nie to, że twoje wspomnienia nie odpowiadają prawdzie – odpowiedziała Katherine. – Po prostu, w wyniku zakłóceń temporalnych, które odczułaś, miałaś do czynienia z inną linią czasu niż my tutaj. By ująć to precyzyjnie, nie jesteś już tą samą Kate, którą poznałabym, gdybym rozpoczęła ten projekt półtora roku temu, tak jak planowałam.

Na przetrwanie tego wszystkiego potrzebowałam dłuższej chwili. Trudno mi było wyobrazić sobie inną wersję siebie, z innym bagażem wspomnień. A przecież świątynia cyrystów zajmowała co najwyżej margines mojego życia. Jak

dalece ta linia czasu zmieniała życie ludzi wyrastających w tej religii? Tych, których rodziny jakoby wyznawały ją od pokoleń?

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Odłóżmy na razie to, od jak niedawna działają cyryści. Dlaczego jednak przypuszczasz, że mają związek z zamordowaniem ciebie? Nie za wiele wiem o cyrystach, ale to pewne, że nie popierają zabijania ludzi. Na pewno mają w tym względzie surowe zakazy.

– Pewnie, że tak – parsknął drwiąco Connor. – Wszystkie ważniejsze religie zakazują mordowania. Postępując inaczej, przekonałyby niewielu. A przynajmniej niewielu takich, z którymi nie bałabyś się przebywać w tym samym pokoju. Ale przecież nie brak ludzi, gotowych zabijać w imię wiary, i dotyczy to większości wyznań.

– To po co tworzyć religię? Wspomnieliście o zdobyciu władzy, ale wydaje mi się, że osiągnąć ją można na wiele sposobów prostszych od tworzenia religii.

– Możliwe – przyznała Katherine. – Jednakże pewien kaznodzieja z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego stulecia głosił swoim wiernym, że „pieniądze to władza i powinniście wykazać się pewną ambicją, żeby je mieć”<sup>2</sup>. To nie był Saul, ale jeden z obiektów jego badań. Cyryści na tej jego radzie zbili kapitał. Najważniejszym zobowiązaniem członków tego kościoła jest oddawanie mu dziesięciny. Zapewnia się ich, że to „inwestowanie w ducha” zwróci się im po wielokroć.

Katherine nachyliła się do mnie z szelmowskim uśmieszkiem.

– I zwraca się po wielokroć, o ile owi członkowie wskazania przywódców kierują się również w odniesieniu do reszty swych inwestycji. Śmiało możesz założyć, że wielu spośród cyrystów dobrze wiedziało, kiedy zainwestować w Microsoft i kiedy zbyć posiadane akcje Exxonu. Mądrze zarządzając portfelami, przetrzymali wszystkie recesje. Tym uboższym, mogącym sobie pozwolić jedynie na owe dziesięć procent dziesięciny, szczęście oczywiście aż tak nie dopisywało, za to pozostałym... Mieli więc bezpośrednie dowody, że Bóg wiarę nagradza bogactwem... Międzynarodowa Świątynia Cyrystów, Kate, to bardzo majątna organizacja. Zapewne, gdyby nie pojawienie się cyrystów, częścią tego bogactwa zawładnęłyby inne grupy religijne. W każdym razie stanęło na tym, że majątek wart miliardy dolarów trafił w ręce człowieka, zdolnego manipulować nim na jeszcze większą skalę, poprzez ingerencje w rynki czasów minionych.

– I Saul to wszystko osiągnął trzema zakłóceniami czasu? – spytałam.

– Według nas doszło do trzech większych zakłóceń temporalnych – potwierdziła Katherine. – Tych trzech, które i ty odczułaś. Pierwsze nastąpiło wtedy, gdy powstała Świątynia. Drugie piętnastego stycznia, z powodu wciąż nie do końca dla nas jasnego. Trzecie, oczywiście, wczoraj. Początkowo sądziliśmy, że było pomniejszą zmianą całej linii czasu, o większym wpływie tylko na tych, których życie splatało się z moim po 1969 roku, oznaczała ona bowiem, że nie

zamieniłam się z Richardem, nie wylądowałam na Woodstock ani nie doczekałam się córek. Deborah nie mogła więc poznać Harry'ego, bo nie miała szansy zaistnieć, nie doszło więc też do twoich narodzin.

Katherine przerwała, by przed pociągnięciem tej kwestii napić się herbaty.

– Dostrzegamy jednak znacznie więcej zmian, przypuszczam zatem, że wybór czasu miał znaczenie strategiczne. W końcu te zakłócenia musiały być dla nich doznaniem równie niemiłym, jak dla nas. Jeśli więc założyć, że dysponują wystarczającą liczbą ludzi zdolnych podróżować w czasie, jednoczesne dokonanie przez nich kilku zmian niewątpliwie stanowiłoby sensowne złagodzenie tego dyskomfortu.

Najbardziej przerażające było, że zaczynało to brzmieć naprawdę logicznie.

– Czy zanim... skoczyłaś w rok 1969, wiedziałaś, co planuje Saul? Czy wiedziałaś, że zamierza stworzyć nową religię?

Katherine nie odpowiedziała, za to wzięła ode mnie stosik dzienników, które znów miałam w rękach, przejechała palcem po ich grzbietach, czytając daty, wyróżnione złotem. Potrząsnęła głową i wróciła do regału, by znaleźć tam kolejną, niewielką książeczkę. Otworzyła ją, trzykrotnie stuknąwszy w pierwszą, niezapisaną stronę. Zauważyłam, że poruszyła palcami tak nieznacznie, jakby wpisywała kod PIN w bankomacie.

– Najkrótsza odpowiedź brzmi: nie – powiedziała, wracając tam, gdzie siedziałam. – Nie wiedziałam, co robi. Podejrzywałam jednak, że coś szykuje, i to coś sprzecznego z regulaminem CHRONOSA.

Oddała mi dzienniki.

– Żeby zapoznać się z misjami, musisz przeczytać mój oficjalny dziennik – oznajmiła. – Najlepiej jednak chyba zacząć od czegoś innego. Wszystkim nam zalecano, by oprócz oficjalnych raportów z wypraw prowadzić też zapiski bardziej osobiste. Tu na wierzchu jest mój osobisty pamiętnik.

Connor spojrział na Katherine ze zdziwieniem. Wydało mi się, że w jego oczach dojrzałam też odrobinę irytacji, i domyśliłam się, że chodzi o jedyną książkę w tej bibliotece, do której nigdy nie miał dostępu.

Katherine pogrzebała w szufladzie w biurku i znalazła tam pudełko, z którego wyjęła przezroczysty krążek, wielkością i kształtem przypominający szkło kontaktowe. Położyła mi go na dłoni.

– Umieść je tuż za uchem, w tym małym zagłębieniu pod nim. Dociśnięte, przylepi się do skóry.

Zrobiłam tak, i przyczepiło się bez problemu, ale nie odnotowałam żadnej zmiany.

– To powinno jakoś działać?

Katherine otworzyła swój dziennik i znów stuknęła trzy razy w jedną ze stron. Znikąd pojawiło się kilka małych ikon, unosząc się nad ową stronę

niczym hologram. Ikonka głośności była szara; gdy nacisnęłam w tym miejscu palcem, usłyszałam ciche brzęczenie.

– Przy pomocy tych przycisków możesz pauzować, przerzucać wpisy i tak dalej. Różnią się nieco od klawiszy twojego iPoda, ale sterowanie i tak powinno być intuicyjne.

Podając mi ten dziennik, chwilę go przytrzymała, jakby miała jeszcze jakieś opory.

– Możesz zacząć od początku, ale coś bardziej interesującego znajdziesz dopiero pod koniec kwietnia. – Zamilkła, z dziwnym wyrazem twarzy. – Czytając go, postaraj się nie myśleć o mnie strasznie źle. Byłam młoda i zakochana, a to rzadko owocuje mądrymi decyzjami.

*The World Factbook*, coroczna publikacja CIA, zawierająca podstawowe informacje o wszystkich krajach świata. [\[wróć\]](#)

Russell Conwell (1843–1925), amerykański duchowny wyznania baptystycznego, mówca, filantrop, prawnik i pisarz. Cytat pochodzi z jego głośnego wykładu *Diamentowe pole*. Co ciekawe, to samo nazwisko nosi w książce jeden z czołowych cyrystów, przełożony waszyngtońskiej świątyni. [\[wróć\]](#)



Słuchanie osobistego dziennika Katherine przy jej obecności w tym samym pokoju wydało mi się zbyt nie na miejscu, zesłałam więc na dół, wzięłam z lodówki dietetyczny napój gazowany i klapnęłam na poduchy pod wielkim oknem wykuszowym. Raczej nie o takim czytaniu myślałam, gdy podczas pierwszej wizyty w tym domu, jeszcze z tatą, ujrzałam to miejsce, ale tak jak przypuszczałam, fajnie było się tu zaszyć z książką.

Zorientowanie się, jak używać przycisków, zajęło mi kilka minut. Tuż po rozpracowaniu tej nawigacji przeskanowałam wzrokiem kilka wpisów z początku roku. Większość odnosiła się do spraw podstawowych. Sama książka sprawiała wrażenie skrzyżowania pamiętnika z terminarzem – notka o balu sylwestrowym, na który Katherine wybrała się z Saulem; o sprzeczce z Saulem, domagającym się, by wspólne życie oznaczało też większe mieszkanie; krótka, ale krępująco plastyczna relacja z tego, jak obchodzili walentynki – czyli notatki, jakie pozostawia w swym dzienniczku ktoś zbyt zapracowany lub zbyt radosny, by zaprzętać sobie głowę nadmiarem introspekcji. Poza utyskiwaniem na współpracownika, nie dość szanującego granice niezależności, wpisy te nie zawierały żadnych wzmianek o CHRONOSIE ani o codziennej pracy dla tej organizacji.

We wpisach z wczesnej wiosny zauważyłam, że coś się stopniowo zmienia. Stuknąwszy trzykrotnie w stronę, tak jak robiła to Katherine, ponownie wywołałam ikonki. Po wyregulowaniu głośności wcisnęłam odtwarzanie notatki zapisanej jako 04202305\_19:26. Znów się rozległo to brzęczenie, a potem słowa zjechały w dół strony, ustępując miejsca niedużemu ekranowi, przypominającemu trójwymiarową reklamę typu „wyskakujące okienko”. Zobaczyłam mały, ale wyraźny kadr z młodą kobietą – śliczną, o delikatnych rysach – siedzącą przy biurku, ze szczotką do włosów w dłoni. Miała na sobie czerwony jedwabny szlafrok. W tle widać było łóżko, na którym piętrzyły się ubrania, najwyraźniej wyrzucone z wielkiej brązowej torby podróżnej.

Długie włosy tej kobiety, jeszcze wilgotne, miały barwę miodu. Niebieskie oczy wydały mi się znajome, podobnie jak głos, kiedy przemówiła, a ja uświadomiłam sobie, że patrzę na znacznie młodszą i wielce zirytowaną wersję mojej babki.

Mamy już za sobą spotkania w Bostonie. Bardzo miło było wziąć solidny prysznic i umyć głowę po przeszło tygodniu mycia się wyłącznie gąbką. Saul...

Młodsza Katherine obejrzała się przez ramię na drzwi, potem podjęła watek.

Saul znów siedzi w klubie. Boże, jak ja nienawidzę tamtego miejsca. Ostatnio pierwsze, co robi po każdym skoku, to spotyka się z Campbellem i resztą koleżków z Klubu Obiektywistów. Nawet nie raczył zająć najpierw do domu.

W Bostonie okropnie się pokłóciliśmy i nie wiem, o co, u diabła, mu chodzi. Jeszcze doprowadzi do tego, że nas oboje wywalą z CHRONOSA, ale on oczywiście uważa, że to, co robi, to nie moja sprawa.

Kiedy weszłam do audytorium, akurat stał na mównicy – na diabelnej mównicy! Nie powinno było mnie tam być. W planach miałam zebranie w Klubie Kobiet Nowej Anglii, na cześć Julii Ward Howe<sup>1</sup>, tyle że zostało ono przełożone na inny termin, gdyż Julia się rozchorowała – swoją drogą, czyż nie byłoby miło, gdyby w wyciągach prasowych, przekazanych mi przez CHRONOSA, uwzględniono ten drobny fakt?

A zatem... wybrałam się do kościoła, w którym Saul miał uczestniczyć w dorocznym zjeździe duchownych kongregacyjnych. Powinien był go obserwować – wtopić się w tłum, jak Pan Bóg przykazał – ale nie. Stanął przed wszystkimi, przewodnicząc dyspacie na temat prorocत्व i cudów. Co rozsądniejsi spośród słuchających go duchownych patrzyli na niego jak na wariata – może nie bez racji. Inni chłonęli każde jego słowo jak barany, nie wykluczam więc, że zrobił coś – niewątpliwie sprzecznego z regulaminem CHRONOSA – by tak przyciągnąć ich uwagę.

Po tych słowach oddaliła się od kamery i widziałam jej plecy, bo szukała czegoś w kieszeni torby podróźnej, by wreszcie wyjąć matową buteleczkę, oznaczoną etykietą, której nie potrafiłam rozpoznać. Katherine potrząsnęła tą buteleczką w stronę kamery.

A to... Szukałam jego proszku do zębów, bo zapomniałam spakować swój, i oto co znalazłam w jego torbie. Cerazyna. Właśnie tak. Zdaje sobie sprawę, że żadnych wyrobów nie z danej epoki – a zwłaszcza lekarstw – nie wolno nam absolutnie zabierać na misję. Ale on wie lepiej.

Kiedy otwarcie postawiłam tę sprawę, powiedział, że zapisano mu ją na bóle głowy. Za aż tak głupią mnie uważa? Na bóle głowy? Cerazyna? Bzdura kompletna. Sprawdziłam i jest dokładnie tak, jak myślałam – ma zastosowanie jedynie jako środek przeciwnowotworowy. I tyle.

Możliwe, że intencje miał dobre. Wspominał wcześniej, że jest niemal pewien, iż jeden z duchownych cierpi na raka skóry – zapewne więc po prostu usiłował pomóc. Powinien jednak rozumieć ryzyko... ale to do niego nie dociera.

Tak, zgadza się. Wiem, wiem – powinnam napisać o tym w moim raporcie z misji – niezależnie od jego dobrych intencji – lub przynajmniej omówić tę sprawę z Anielem. Wiem o tym.

Jej złość zdawała się opadać i Katherine usiadła na skraju łóżka, z zamkniętymi oczyma. Ze dwadzieścia sekund milczała, potem znów zaczęła mówić.

Zarzeka się, że to już się nie powtórzy – przeprosił za narażenie nas obojga na takie ryzyko. Potem zerwał dla mnie bukiet najpiękniejszych wiosennych kwiatów. I stał, z miną smutnego szczeniaczka i tymi kwiatami w ręku, powtarzając, jaki niepojęty z niego głupek i jak bardzo mnie kocha.

Bo kocha. Wiem, że kocha. Dlatego mu wybaczyłam i przez resztę dnia się godziliśmy. Saul potrafi sprawić, że bardzo łatwo zapomnieć, czemu człowiek się na niego wścieka, do czasu aż znów zrobi coś głupiego...

Chciałabym po prostu, żeby czasem pomyślał, zanim coś zrobi. Straszny z niego raptus, a regulamin CHRONOSA czemuś przecież służy. Nie można ot tak wygłaszać nieplanowanych mów ani dostarczać przyjacielowi cerazyny – nigdy nie wiadomo, jaki wpływ na linię czasu będzie miała najmniejsza nawet ingerencja.

Chciałabym po prostu, żeby pomyślał...

Nagranie dobiegło końca, potem przejrzałam kilka mniej istotnych wpisów, wreszcie wyświetliłam 04262305\_18:22.

Katherine ubrana była chyba zgodnie z modą biurową, w dopasowaną szarą marynareczkę, spod której wyglądała jasnoniebieska bluzka z dekoltem w łódkę, a na szyi miała sznur czarnych koralików. Włosy szesała do tyłu, oczy zaś miała zaczerwienione i odrobinę opuchnięte, jakby usiłowała warstwą makijażu zakryć to, że płakała.

I tyle w temacie niezawodności tych przeklętych implantów. Naprawdę miałam nadzieję, że to jakiś wirus pokarmowy, pozostałość po bostońskiej misji z zeszłego tygodnia. Sto szesnaście dni – a więc dojść do tego musiało po balu sylwestrowym.

A teraz – sama nie wiem, czy chcę wyjawić to Saulowi. On mi na temat Bostonu nakłamał. To nie był jakiś jego kaprys i nie jedyny raz, kiedy przemawiał podczas takich zjazdów. Wygląda mi na to, że posługiwał się innym nazwiskiem i dlatego komputery CHRONOSA nie wychwyciły żadnych anomalii. Ja jednak cały ten rano spędziłam w bibliotece – nieopodał łazienki, na wypadek gdyby chwyciły mnie mdłości – i doszukałam się kilku doniesień, które mnie zaniepokoiły.

Pod koniec XIX wieku pojawia się szereg rozproszonych wzmianek o wędrownym kaznodziei imieniem Cyrus, a coś o szumnym tytule „The American Journal of Prophecy” we wrześniu 1915 roku cały artykuł poświęciło temu, jak ów

Cyrus przepowiedział z najdrobniejszymi szczegółami powódź, która nawiedziła Dayton<sup>2</sup> w 1913 roku – a dokonał tego w niedużym kościółku w stanie Ohio gdzieś pomiędzy Dayton a Xenia, niemal cztery dekady przed tym wydarzeniem. Wskazał nawet zebranym pewnego chłopca i zapowiedział, że jego dom ulegnie zniszczeniu, a w należącym do niego samochodzie główną ulicą miasta płynąć będzie świnia. W 1877 roku nie wiedziano jeszcze, czym jest ów samochód, wypowiedź tę jednak odnotowano w lokalnej prasie i oczywiście podczas powodzi w roku 1913 niejaki Danny Barnes znalazł świnie w swym fordzie T, spływającym w dół ulicy.

Artykuł ten przywołuje też pogłoski o cudach – tuzinach uzdrowień, których jakoby dokonał brat Cyrus na Środkowym Wschodzie. Nowotwory. Zapalenia płuc. Artretyzm.

Wprawdzie to nie moja specjalizacja, ale nie sposób przez trzy lata żyć i podróżować z historykiem religii, by nie nabrać w jego dziedzinie pewnej orientacji. Słyszałam, jak Saul wspominał o siostrze Aimee, o ojcu Coughlinie<sup>3</sup> i tuzinie innych – nigdy jednak o tym Cyrusie. I wątpię, by idealne zsynchronizowanie odwiedzin brata Cyrusa w tych miastach z kilkoma skokami Saula można by uznać za przypadek.

Bratem Cyrusem był Saul. Jestem tego pewna. Wszystko to sobie ułożył z tym obłąkańcem Campbellem i resztą ich klubu.

Nie wydaje mi się też przypadkowe, że Cyrus to także imię cholernego psa Campbella – smrodliwego starego dobermana, ujadającego i rzucającego się na każdego, kto podejdzie bliżej.

Katherine pociągnęła łyk z bladoniebieskiej buteleczki, opatrzonej napisem „Vi-Na-Tality”. Skrzywiła się jak po czymś kwaśnym i zanim ponownie spojrzała w obiektyw kamery, wytarła oczy, trochę rozmazując makijaż.

Muszę powiedzieć Angelowi. Nie mam wyboru. Pytanie tylko, czy przedtem porozmawiać z Saulem – spróbować przemówić mu do rozumu? Może jeśli się dowie, że jestem w ciąży – może wtedy pojmie, że to nie jakaś tam gra, że nie powinien w imię jakiegoś akademickiego zakładu z Campbellem narażać naszego życia i pracy? Saul kocha dzieci – myślę, że to go uszczęśliwi. A potem, jeśli do Angela pójdziemy razem...

Wywalą go z CHRONOSA. Nie widzę innej możliwości. Ale może, jeżeli powie im wszystko, ja się uchowam – jeśli nawet będziemy razem. Wtedy choć jedno z nas będzie miało porządną pracę – on będzie się opiekować dzieckiem, a może dopuszczą go do jakichś badań o mniejszym znaczeniu.

Przez chwilę masowała sobie skronie, zamknawszy oczy.

Niedługo będzie w domu. Cały dzień spędził z Campbellem i resztą ich durnych koleżków. Ja mam na jutro na dziewiątą zaplanowany solowy skok. Spróbuję wieczorem porozmawiać z Saulem, a jutro, z nim czy bez niego, porozmawiam z Angelem.

Gdyby nie chodziło o dziecko, pogoniłabym go w diabły. Ale jeśli Saul skończy w obozie pracy, mały – lub mała – raczej nieczęsto będzie widywać swojego tatę. Ale może sprawy się ułożą... W Saulu jest przecież mnóstwo dobra. Nie wyobrażam sobie, że mógłby...

Jeszcze głębokie westchnienie, i Katherine nachyliła się, by wyłączyć nagrywanie.

∞

Gdy oglądałam wpis z 26 kwietnia, za oknem zaczął popadywać deszcz i usłyszałam lekkie skrobanie w kuchenne drzwi. Słuchawka tak czysto przenosiła dźwięki zarejestrowane w dzienniku, że niemal tłumilo to wszystkie inne odgłosy. Sądząc ze spojrzenia pełnego wyrzutu, które posłała mi Daphne, już od jakiegoś czasu drapała w drzwi. Odkupiłam tę winę dodatkowym prysznicem, gdy seterka żwawo się otrząsnęła, usiłując uwolnić od pozostałości deszczu swoją kasztanową sierść.

Okolo wpół do pierwszej nadal przeglądałam dziennik, a z góry zszedł Connor. Słowem się nie odezwał – wziął tylko widelec i jakiś plastikowy pojemnik z lodówki – mogłam więc przyjąć, że lunch zjemy we dwie z Daphne.

W lodówce znalazłam jeszcze kilka takich plastikowych pojemników, ale nie miałam pojęcia, co zawierają ani od jak dawna tam leżą. Zdecydowałam się na szklankę mleka i przetrząśnięcie spizarki, które zaowocowało chlebem i masłem orzechowym. Masło było wprawdzie gładkie, a nie moje ulubione, z licznymi kawałkami orzechów, marmoladę zaś znalazłam jedynie miętową (brr), dopełniłam więc kanapkę plastrami banana i ponownie włączyłam dziennik, by śledzić go i przy jedzeniu.

Ostatni wpis pochodził z 27 kwietnia, z godziny drugiej siedemnaście. Gdy na ekranie pojawiła się Katherine, tak mi dech zaparło, że mało nie udławiłam się kęsem kanapki.

Zdjęła już tę marynareczkę, poprzestając na jasnoniebieskim bezrękawniku z dekoltem w łódkę. Włosy, tak schludnie przedtem upięte, były potargane. Sznur koralików przepadł, wściekle czerwona pręga na szyi wskazywała na to, że został gwałtownie zerwany. Miała rozciętą dolną wargę, a do prawego policzka, wyraźnie

spuchniętego, przyciskała biały wacik. Mówiła głosem cichym i zrezygnowanym.

Saul wie – chodzi mi o to, że on wie, że ja wiem. A nawet jeszcze nie doszłam do tego o dziecku – nie odważyłam się – nie, kiedy tak się na mnie wydierał. Może powinnam była od tego zacząć... może wówczas nie byłby... ale nie. Nie chcę, żeby się dowiedział o dziecku. Nie teraz.

Sądzę... Sądzę, że zwariował. Nigdy go jeszcze takiego nie widziałam... tak rozwścieczonego.

Twarz tak miała zalaną łzami, że na chwilę przerwała, żeby dojść do siebie. Torba, którą na wcześniejszym nagraniu widziałam na łóżku, leżała skrzętnie spakowana, resztę pokoju zdemolowano. Rozbity został pokaźny sprzęt w kształcie rury, możliwe, że jakaś lampa, a obraz, który przedtem wisiał nad łóżkiem, trafił na podłogę, z potężnym rozdarciem na samym środku płótna.

Kiedy powiedziałam mu, że musimy po prostu pójść powiadomić Angela, zanim ktoś inny odkryje wykroczenia, na które natrafiłam, rozwrzeszczał się, że nie rozumiem, ile dobrego mógłby dokonać CHRONOS, gdybyśmy powierzonych nam narzędzi używali do zmieniania dziejów, zamiast badać, co takiego pozostawiają po sobie stulecia kretynów, zdolnych jedynie do błędów i nieudacznictwa. Że to właśnie jest jego przeznaczeniem i że Campbell uzmysłowił mu, iż ludziom trzeba tylko silnego przywódcy, który pomoże im stworzyć świat takim, jaki powinien zaistnieć. Ma plan, oświadczył – i nie pozwoli bandzie durnych profesorków z CHRONOSA na decydowanie o losach ludzkości.

Ani na chwilę nie przestawał mnie bić. Saul, który nigdy przedtem mnie nie uderzył. Nawet w chwilach skrajnej złości wołał rąbnąć w ścianę lub coś stłuc niż...

W końcu skłamałam – powiedziałam, że mnie przekonał. Że go kocham i że nie pójdziemy do Angela, a może nawet pomogę mu w tych zmianach. Tylko po to, żeby przestał. Spojrzenie miał jednak lodowate. Nie uwierzył mi. A potem wyszedł.

Nie wiem, dokąd poszedł, ale zaryglowałam drzwi. Jeśli wróci, wezwę ochronę budynku. Spróbuję się kilka godzin przespać, a potem pójdę do działu medycznego CHRONOSA, bo może... coś z tym zrobią.

Odsunęła od opuchniętego policzka wacik i delikatnie go obmacała, krzywiąc się przy tym dotyku. Tuż przy kości policzkowej widać było ślady otarcia.

Powiem im... Coś wymyślę. Potem pójdę porozmawiać z Angelem. Zwykle

można go tam złapać koło ósmej, w porze przewidzianej dla naszych skoków.

Ale... najpierw go powiadomię. Jeszcze dzisiaj. A kopię tego listu prześlę Richardowi. Boję się, co Saul może jeszcze zrobić – jeżeli coś mi się stanie, ktoś w CHRONOSIE powinien wiedzieć dlaczego.

Ten dziennik tak mnie pochłonał, że nie uświadamiałam sobie, iż Katherine siedzi po drugiej stronie stołu, z filiżanką herbaty i pokrojonym w plasterki jabłkiem. Dziwnie było oderwać wzrok od młodej twarzy ze śladami pobicia, widocznej na nagraniu, i ujrzyć jej starszą wersję, w spokoju sączącą herbatę.

– Doszłam właśnie do chwili, gdy Saul wyszedł – powiedziałam. – Co się wydarzyło następnego dnia? Udało się im zrobić coś z twoją twarzą?

Katherine lekko się zaśmiała.

– Owszem. Opieka medyczna znacznie się poprawiła i takie pomniejsze obrażenia skóry bardzo łatwo było zlikwidować. Żyjąc nadal w tamtej epoce, w tak młodym wieku nie miałabym też jeszcze tych zmarszczek. To jedna z tych korzyści z postępu w medycynie, za którymi naprawdę tęsknię.

– Byliby w stanie uwolnić ciebie od raka? – zapytałam.

Katherine przytaknęła.

– Ostatnie dekady przyniosły znaczny postęp w badaniach nad rakiem, ale o wiele więcej w tej dziedzinie wydarzy się w ciągu najbliższego pięćdziesięciolecia, jeśli zdołamy naprawić linię czasu. Gdybym cierpiała na niego w roku 2070 lub nawet nieco wcześniej, leczenie byłoby stosunkowo proste: dzięki znacznie wcześniejszemu wykryciu byłoby porównywalne z dzisiejszym leczeniem ciężkiej infekcji bakteryjnej. Zamiast tego faszeruje się mój organizm jeszcze niebezpieczniejszą chemią i wystawia na promieniowanie. Wciąż nie mogąc utrafić w cel.

Wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

– Na tej linii czasu nie ma to jednak najmniejszego znaczenia, skoro już nie żyję. Następnego ranka odwiedziłam dział medyczny CHRONOSA i powiedziałam, że pośliznęłam się w wannie. Raczej nie uwierzyli. Na pewno nie ja pierwsza przyszedłam do nich z podobną historyjką. Nie chciałam jednak w żaden sposób kierować uwagi innych w CHRONOSIE w stronę Saula, zanim nie porozmawiam z Anielem.

– Kim właściwie był ten Angelo? – Odpuściłam sobie próby określenia, w jakim czasie gramatycznym należałoby mówić o tych ludziach. Skoro w życiu Katherine należał do przeszłości, użyłam czasu przeszłego, choć człowiek miał się narodzić za kilkaset lat.

Katherine, nie spiesząc się z odpowiedzią, napiła się jeszcze herbaty.

– Angelo był naszym bezpośrednim przełożonym. To on wyszkolił i mnie, i Saula. Był dobrym człowiekiem, pod wieloma względami bliższym mi nawet niż

moi rodzice, bo... też przecież nosił w sobie gen CHRONOSA. Mogłam go pytać o sprawy niepojęte nie tylko dla mojego ojca, ale nawet dla matki. Odkąd jako dziesięcioletka weszłam w ten program, to właśnie Angelo kierował moją edukacją. Na tyle dobrze orientowałam się w administracyjnych porządkach CHRONOSA, by wiedzieć, że i jemu działania Saula narobiłyby poważnych kłopotów. Potrzebowałam jego rady, ale też pragnęłam go ostrzec. Po załatwieniu spraw w dziale medycznym poszłam do kostiumerii, żeby przygotować się tam do skoku. Było około ósmej. Dobór garderoby i stylizacja włosów przed podróżą w środek wieku dziewiętnastego zajmowały około pół godziny. Ale nie tamtego dnia – nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wcześniej trwało to tak długo. Kilka osób od kostiumów spóźniło się i wszyscy byli zawaleni robotą. Blisko dwadzieścia minut siedziałam w koszuli, z nieułożonymi włosami. Plan miałam taki, by dać Angelowi kilka minut na sprawdzenie poczty, a potem z nim porozmawiać, ale gdy wreszcie tam dotarłam, była już za piętnaście dziesiąta. Mogłam jedynie do niego zajrzeć i powiedzieć, że porozmawiamy po moim powrocie.

– Nie mogłaś opóźnić skoku? – spytałam. – Rozmowa wydawała się zbyt ważna, by odkładać ją o kilka dni.

Katherine potrząsnęła głową przecząco.

– Nie bez powodu większego kalibru. Plan skoków ustalany jest z rocznym wyprzedzeniem. Ekipy wkładają mnóstwo wysiłku, by dopiąć wszystko na ostatni guzik, a ja byłam już w połowie przebrana. Zresztą... Kate, znów myślisz linearnie.

Wysłuchiwanie tego zaczynało mnie już odrobinę męczyć.

– Przepraszam. Jak większość ludzi, nawykłam do poruszania się w czasie w jedną tylko stronę, mianowicie do przodu.

– Chciałam powiedzieć, że ta wyprawa w moim odczuciu miała potrwać cztery dni, bo na tyle została zaplanowana – wyjaśniła Katherine. – Mimo to mój powrót nie nastąpił po czterech dniach, to równałoby się marnowaniu czasu obsługi. Naszych skoków i powrotów z nich dokonywaliśmy grupowo. Wysyłanie po dwa tuziny skoczków raz czy dwa w tygodniu było wydajniejsze od śledzenia gromady podróżujących według indywidualnych rozkładów. Dla ekipy, Angela, a także Saula, gdyż należał on do tuzina nieobjętego planem skoków na ten dzień, mój powrót do CHRONOSA nastąpił już po godzinie. Pierwsza kohorta: jednodniowi, nie wymagający większego przygotowania, wyruszyli o dziewiątej trzydzieści, powrót mając zaplanowany na dziesiątą trzydzieści. Dwunastka, do której ja należałam, miała wyruszyć o dziesiątej i wrócić o jedenastej. Dla nikogo w CHRONOSIE nie oznaczałoby to więc większej zwłoki, a mnie wręcz cieszyło, że będę miała kilka dni dla siebie, z dala od Saula, tak by przemyśleć, co dokładnie powinnam zrobić. Myśl zarówno o tym, że będę samotną matką, jak i o wpływie tego faktu na moje perspektywy zawodowe porządnie mnie wystraszyła.



Katherine przez chwilę wpatrywała się w okno.

– Nie wiem, o której Angelo przyszedł do biura – podjęła przerwany wątek – ale gdy się tam zjawiłam, drzwi były otwarte, a jeden z jego kubków leżał rozbity na podłodze. Rano zawsze pijał taką okropną mieszankę ziołową i pokój koszmarnie cuchnął... Na dywanie pozostała po tym wynalazku wielka kałuża. Otworzyłam szafę, żeby wziąć z niej ręcznik – i zobaczyłam Angela na jej dnie, upchniętego w głębi. Usta i nos miał owinięte rolką przylepca, przypominającego taśmę izolacyjną, tyle że od niej mocniejszego. Od tamtej pory minęło ponad czterdzieści lat, a mimo to nadal czasem widzę jego twarz: zsiniałą, o szeroko otwartych oczach.

– Już nie żył? – spytałam.

– Nie – potwierdziła bardzo cicho. – Było o wiele za późno na to, by służby medyczne zdołały go zreanimować. Stale sobie jednak zadaję pytanie, czy doszłoby do tego, gdybym zobaczyła się z nim przed wizytą w kostiumerii.

Popatrzyłam na nią ze współczuciem i pokręciłam głową.

– Prawdopodobniejsze chyba, że Saul ciebie również by zabił?

Wzruszyła ramionami i mocniej otuliła się swetrem.

– Tak czy inaczej, czułam się za to odpowiedzialna. Wiedziałam, że powinnam wezwać ochronę, ale ubrana w pełni zgodnie z modą roku 1853, miałam przy sobie tylko torbę spakowaną na tę podróż, a więc żadnego komunikatora. Nie mogłabym go przecież zabrać, skacząc w połowę dziewiętnastego wieku, toteż zostawiłam w szafce, wraz z innymi moimi rzeczami. Przeszłam się korytarzem w poszukiwaniu kogoś z pozostałych kierowników, ale albo gdzieś wyszli, albo nie było ich jeszcze w biurach. I wtedy zobaczyłam, jak z garderoby wychodzi Richard. Miał na sobie przeraźliwą koszulkę, ufarbowaną metodą tie-dye, i dzwony niemal tak szerokie jak moja spódnica – a po wyrazie jego twarzy widać było wyraźnie, że odczytał wiadomość ode mnie. Zobaczywszy potem Angela, był nie mniej ode mnie zdruzgotany. Stwierdził, że wszyscy zapewne przebywają w sali skoków, i miało to sens. Zazwyczaj tak na dziesięć minut przed podróżą gromadziliśmy się wokół platformy, takiej dużej, kolistej płaszczyzny, choćby po to, by wypić duszkiem ostatnią porządną kawę czy pobyć razem. Richard i ja byliśmy praktycznie spóźnieni: do skoku zostały nam trzy lub cztery minuty.

– Ale w razie morderstwa skok by odwołano... tak? – zapytałam.

– Tak – potwierdziła. – Tyle że nie mieli szansy go odwołać. Richard i ja powiadomiliśmy Aarona, koordynatora skoku, o Angelu. Richard dodał też, że chwilę po ósmej widział pod budynkiem Saula i paru jego przyjaciół z Klubu Obiektywistów. Dwaj z nich należeli do CHRONOSA: pewien mediewista na parę lat przed emeryturą i facet z działu analiz.

Nieznacznie się uśmiechnęła.

– Ale zbaczam z tematu. W każdym razie Aaron właśnie dzwonił w tej

sprawie do siedziby ochrony, dwa budynki dalej, a my szykowaliśmy się, by powiedzieć to innym, gdy na salę wszedł Saul. W pierwszej chwili chyba nikt tam go nie rozpoznał. Na pewno nie. Miał na sobie burkę, taką szatę z Bliskiego Wschodu, zakrywającą człowieka od stóp do głów, kojarzysz?

Potwierdziłam.

Kontynuowała, ale aż pobladła.

– Prowadził przed sobą naszą koleżankę, Shaile, z nożem u jej szyi. Na wysokości piersi miała przywiązane coś dziwnego: nieduże kwadratowe pudełko. Saul rozkazał Aaronowi przerwać połączenie z ochroną, a nam wszystkim przejść na stanowiska, z których mieliśmy skakać. I wszyscy, oczywiście, zrobiliśmy, co nakazał, choć większość nie wiedziała jeszcze o Angelu. Wystarczył widok szaleńca w burce, przystawiającego Shaili nóż do gardła. – Wzdrygnęła się. – Przez cały ten czas, Kate, wpatrywał się we mnie, mając w oczach to samo, co widziałam w nich tamtej nocy, jakby to przy moim gardle pragnął trzymać ten nóż. Richard też to dostrzegł i chyba dlatego zajął na platformie moje miejsce. Nie wiem na pewno, czy Saul zauważył, że się zamieniliśmy, bo stał na stanowisku Shaili, nie odrywając noża od jej szyi.

Katherine smętnie się uśmiechnęła.

– Wybierając burkę, wykazał się wielkim sprytem.

– Bo nikt go nie mógł rozpoznać? – podsunęłam.

– Tak, niewątpliwie chroniła go przed natychmiastowym rozpoznaniem przez kogokolwiek poza Richardem i mną, a i nam by się to nie udało, gdybyśmy się go nie spodziewali. Jak poznać oczy w tak wąskiej szczelinie? Nie był to jednak jedyny powód – dodała. – Co do całej naszej reszty, przy odrobinie wiedzy można było określić, kiedy mamy wylądować. Może nie gdzie dokładnie, przynajmniej nie w przypadku połowy dwudziestego wieku, gdy moda była już zjawiskiem dość globalnym, ale czasy, w jakie się wybieraliśmy, generalnie można było określić po ubiorze, z dokładnością do kilku dekad. Takie burki jednak... kobiety w wielu krajach nosiły od tysięcy lat. Nawet za moich czasów dotyczyło to paru co bardziej izolujących się społeczności. Shaila badała przemiany kultury islamu na przestrzeni wieków i na ile wiedziałam, jej skoki obejmowały okres od połowy dziewiętnastego wieku po połowę dwudziestego pierwszego. Gdzie więc i kiedy wylądował Saul? Pod tą szatą mógł być w pełni ubrany... I wszystko potoczyło się tak szybko – mówiła dalej. – Kiedy Aaron wcisnął guzik inicjujący skok, Saul tak pchnął Shaile, że upadła na twarz, na środek kręgu. Zwaliła się na platformę i ostatnie, co zobaczyłam i usłyszałam, to rozbłysk białego światła oraz donośny świst, zaraz potem wylądowałam z impetem w tamtej szopie pod Woodstock, na północ od pola, na którym odbywał się festiwal. Twarde lądowanie odbiegało od normy: zwykle na nowym miejscu człowiek pojawia się w takiej pozycji, w jakiej wystartował. Jeśli w 2305 roku drapałaś się w nos, kończyć to będziesz po

wylądowaniu w roku 1853. A ja wylądowałam na plecach, na brudnej podłodze, ze spódnicą podwiniętą niemal pod szyję. To musiał być wybuch. I to potężny, skoro, o ile wiem, potem nikomu już nie udało się nawiązać kontaktu z CHRONOSEM.

∞

Plasterki jabłka na talerzyku Katherine nadal pozostawały nietknięte, uświadomiłam sobie też, że swoją kanapkę zjadłam ledwie do połowy. Po kilku dalszych kęsach zapytałam:

– Czemu Saul uznał, że pomimo wysadzenia centrali i tak będzie mógł skakać po różnych epokach, skoro nigdy przedtem tego nie robił?

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała Katherine. – Wszyscy wiedzieliśmy, że nie sposób przemieszczać się z jednego stabilnego punktu na drugi z pominięciem powrotu do CHRONOSA. Na szkoleniu wyjaśniono nam, że to forma kontroli, dzięki której CHRONOS monitoruje nasze położenie temporalne. W momencie startu medalion odczytuje strukturę genetyczną skoczka, Saul więc zapewne wierzył, że po wykasowaniu centrali wybije się, rzecz można, na niepodległość. Założył, że bez kotwicy w postaci krępującej go centrali będzie w stanie do woli podróżować pomiędzy stabilnymi punktami. Tyle że medaliony były ustawione na powrót do CHRONOSA, osiągnął więc jedynie to, że nie możemy z nich korzystać. Utknięcie w jednym z wcześniejszych stuleci nie zachwyciło mnie, nie miałam też pojęcia, gdzie i kiedy wylądował Saul, miło było jednak wiedzieć, że jego plan nie wypalił.

– Swoisty wyrok losu – stwierdziłam.

– Właśnie tak. Wszystko się jednak zmieniło, gdy zniknęła Prudence, czy raczej, jak podejrzewam, gdy Prudence odnalazła gdzieś tam i kiedyś tam Saula. Jak tylko pojął, że gen CHRONOSA jest dziedziczny, już tylko kwestią czasu było dla niego znalezienie sposobu na wykorzystanie tej wiedzy tak, by wyhodować ludzi zdolnych wędrować tam, gdzie on już nie może.

– Podobnie jak ty... – przypomniałam jej cicho.

– Nie, Kate – zaprzeczyła Katherine. Wstała z krzesła i podeszła do okna, odstawiwszy pustą filiżankę i ledwie dotknąwszy talerza. – Ja umożliwiłam poznanie się dwojgu młodym ludziom mającym coś wspólnego. Nie na tyle, niestety mocnego, by ich związek przetrwał, ale przynajmniej przez jakiś czas darzących się wzajemnie miłością. Sądzę, że sama to wiesz. Ja niczego nie wymuszałam, jedynie liczyłam, że się uda. I miałam ogromne, niewiarygodne szczęście.

Szła znów ku mnie, z nutą gniewu w głosie.

– Saul natomiast niczego nie pozostawił przypadkowi. Wiedziałaś, że

u cyrystów kapłanom wolno żenić się tylko z osobami zaakceptowanymi przez hierarchów? Że przywództwo w Świątyni jest dziedziczne i zawsze wymaga akceptacji Międzynarodowej Świątyni? Wiedziałaś o tym?

Owszem, wiedziałam – choć powody takiego postępowania skojarzyłam dopiero, gdy Katherine jasno mi je wyłożyła.

– Czyżby wszyscy ze Świątyni Cyrystów byli obdarzeni genem CHRONOSA?

Odpowiedzi udzielił mi Connor, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Na ten temat możemy jedynie teoretyzować. Wydaje się to jednak prawdopodobne. Więcej wiedzielibyśmy po wejściu w posiadanie egzemplarza ich *Księgi Proroctwa*, zakładając oczywiście, że to cholerstwo naprawdę istnieje. Cyryści tyle już namęcili, by ogłupić swych wiernych, że trudno tam oddzielić prawdę od łgarstw.

Obdarzyłam go przeciągłym, niezbyt życzliwym spojrzeniem, potem zwróciłam się do Katherine.

– I oboje naprawdę myślicie, że ja mogę to wszystko zmienić? Niby co? Tak odmienić linię czasu, że cyryści nigdy nie zaistnieją?

Katherine potrząsnęła głową, zawahała się jednak i uniosła ręce w geście bezradności.

– Szczerze mówiąc, Kate, sama nie wiem. Gdy byłaś dzieckiem, miałam po prostu nadzieję, że kiedyś pomożesz mi zlokalizować Prudence – choćby po to, by przekazać jej wiadomość ode mnie. Spróbować ją skłonić do powrotu do tego czasu, tak bym mogła się wytłumaczyć. Potem jednak zaczęłam dostrzegać subtelne zmiany linii czasu. Aż wreszcie w maju tego roku wszystko stało się jasne. Saul wprowadzał w życie swoje plany. Zapraǳnęłam tu wrócić, przekonać się, czy możesz pomóc, wyszkolić cię, ale odezwał się rak i praktycznie stanęłam przed wyborem, czy walczyć z nim, czy też z Saulem. Wciąż jeszcze nie mam pewności, czy dobrze wybrałam...

– Dobrze – zapewnił ją Connor, który przywłaszczył sobie jabłko Katherine i chrupał je, mówiąc jednocześnie. – Twoje leczenie kupiło nam czas, a jeśli Kate przejdzie szkolenie u kogoś z realnym doświadczeniem, nasze szanse powodzenia wzrosną.

– Ale i kosztowało nas to sporo czasu, w rezultacie czego nasz wróg jest teraz znacznie potężniejszy – skontrowała Katherine z westchnieniem. – Tak czy inaczej, stało się i musimy grać kartami, jakie przypadły nam w udziale.

Ja wciąż głowiłam się nad czymś, co powiedziałam Treyowi w samochodzie. Czy byłabym szczęśliwa na takiej płaszczyźnie czasowej, na której stanowią okaz muzealny, który zniknie, jak tylko pozbawi się go zabezpieczenia w postaci klucza CHRONOSA? Nie, ale...

– Co daje wam pewność, że linia czasu, którą mam wam pomóc „naprawić”,

jest tą właściwą? – zapytałam. – Czy nie większy byłby pożytek z wyszkolenia mnie, gdybym cofnęła się, by powiadomić ciebie, co Saul planuje, doprowadzając tym samym do jego aresztowania? Zabija przecież przy tym co najmniej dwoje twoich współpracowników. A ile z powodu jego działań nastąpiło zmian? Jeśli nawet ci wszyscy historycy, którzy utknęli w najróżniejszych punktach linii czasu, zrobili, co mogli, by ustrzec się od wprowadzania zmian, w jakiś sposób przecież zniekształcili linię czasu. I jak sama powiedziałaś, gdybyś tu nie ugrzęzła, nie borykałabyś się teraz z rakiem.

Katherine zarumieniła się i spuściła wzrok na talerz, chcąc ukryć widoczne w jej oczach poczucie winy.

– Masz rację, Kate. Właśnie tego powinnam od ciebie oczekiwać. Przyznaję: historia odnotowała kilka pomniejszych zmian. Kilka przypadków odkryć zbyt zaawansowanych na swoje czasy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale te zmiany – kontynuowała – w porównaniu z czymś, co zaplanował Saul, miały znikome znaczenie. A ja od wielu już lat nie jestem historykiem z CHRONOSA. Motywację mam osobistą. Ty również. Tak samo Connor. To ta linia czasu, którą zaczęłam poznawać przed czterdziestu laty, pozostanie dla nas trojga tą właściwą, o ile powstrzymamy Saula. Uwolnienie się od raka byłoby miłe, ale ja już swoje przeżyłam. Nie zamierzam kupczyć ani twoim życiem, ani życiem moich córek, nie mówiąc już o Connorze i jego dzieciach, w zamian za dodatkową dekadę czy więcej mojego własnego życia. Angelo i Shaila nie zasługiwali na taką śmierć, ale z mojej perspektywy zginęli bardzo dawno temu, z twojej zaś w ogóle nie zdążyli zaistnieć.

Connor skinął głową.

– Katherine i ja wielokrotnie o tym dyskutowaliśmy, Kate. Ja nie jestem pewien, czy istnieje tu właściwa linia czasu. Wszedłem w to, by odzyskać swoje dzieci i zapewnić im dobrą przyszłość, wolną od cyrystów. Nie wiem, co dokładnie planują cyryści, ale opierając się na tym, co wiem od Katherine, nie sądzę, by przyszłość pod kierunkiem Saula mogła być dla kogokolwiek dobra. Katherine jest trudniej, bo straciła przyjaciół, dla mnie sprawa jest bardzo prosta. Mnie nie obchodzi, jaka linia czasu jest właściwa, wystarczy, że wiem, którą nazwać słuszną.

Julia Ward Howe (1819–1910), wybitna amerykańska abolicjonistka, działaczka społeczna i poetka. [\[wróć\]](#)

Wielka Powódź, która nawiedziła Dayton w marcu 1913 r., była największą tego rodzaju katastrofą w dziejach Ohio. Śmierć poniosło wtedy ponad 360 osób, blisko 65 000 zostało bez dachu nad głową, woda zniszczyła ok. 20 000 budynków. [\[wróć\]](#)

Aimee Semple McPherson (1890–1944), kanadyjsko-amerykańska ewangelistka i teleewangelistka, pionierka w wykorzystaniu w tym celu nowoczesnych mediów, głównie radia. Założycielka działającego po dziś dzień Kościoła Poczwórnej Ewangelii. Charles Coughlin (1891–1979), kapłan rzymskokatolicki, znany z kontrowersyjnych poglądów politycznych, jeden z prekursorów ewangelizacji poprzez audycje radiowe. [\[wróć\]](#)

Odłożyłam książkę obok komputera i przetrarłam oczy.

– To najnudniejsza na świecie wersja kanału Travel Channel. No i kanału History Channel. Razem wziętych. A mnie żaden z nich jakoś nie leży...

Connor prychnął.

– Masz tu w czasie rzeczywistym podgląd setek punktów z całego świata na przestrzeni dziejów, i to cię nudzi?

*Rejestr Stabilnych Punktów* był zwodniczo cienki, niczym któryś z czytanych przeze mnie dzienników, zawierał jednak o wiele więcej informacji. Korzystanie z niego przypominało oglądanie nagrań na niewielkim wideoodtwarzaczu, tyle że obraz tutaj przekazywany był chyba przez kamery sieciowe. Przy pomocy wizualnego interfejsu wybrałam datę i czas, zatwierdziłam ten wybór mrugnięciem i w tej samej chwili półprzezroczysty „ekran” przede mną miał pokazać na bieżąco punkt o określonych współrzędnych geograficznych we wskazanym momencie czasu. Teoretycznie wyglądało to niesamowicie, ale...

– Oglądałeś coś z tego? – spytałam Connora.

– Nie – przyznał, przypatrując się jednocześnie widocznemu na ekranie dokumentowi. – Ja widzę na tej stronie tylko tekst, ale tobie słuchawka, którą nosisz, daje możliwość wysłuchania i obejrzenia przekazu. Też próbowałam i udawało mi się wyłowić przypadkowe dźwięki i obrazy, gubiące się chwilę później. Miałem z tego tylko ból brzucha. Katherine też za wyraźnie ich nie odbiera, prawdopodobnie dlatego, że gdy nastąpił ten wybuch czy co to tam było, CHRONOS był jeszcze sprzęgnięty z jej sygnałem. Kilka z nich mi jednak opisała...

– Powiedziała ci, że większość tych filmików przedstawia opustoszałe zaułki? Albo las? Albo ciemne schowki na szczotki?

– A ty byś pewnie wołała pojawić się znienacka pośród tłumu? Komuś na głowie? Wyobraź sobie, że w niejednej z epok, które obserwujesz, oznaczałoby to szybką wycieczkę na stos.

– A ja właśnie poświęciłam pięć minut na oglądanie wiewiórki w pewnym parku w Bostonie. Podobno 5 maja 1869 roku, ale dla mnie równie dobrze mogłoby to być wczoraj. Wiewiórka wyglądała całkiem współcześnie.

– No to pięć minut zmarnowałaś – westchnął Connor. – Kate, skupiaj się na tych elementach, które są stałe. Gdy zaczną się próbne skoki, wiewiórka, o ile nie byłaby wypchana, nijak ci nie pomoże w zlokalizowaniu stabilnego punktu.

Wróciłam więc do tej książeczki i zaczęłam ją przewijać w poszukiwaniu czegoś choć trochę interesującego, gdy usłyszałam szczekanie Daphne, a tuż po nim dzwonek u drzwi. Chwilę później z dołu dobiegł głos Katherine.

– Kate, kawaler do ciebie.

Przewróciłam oczami.

– Jak to możliwe, że babka z dwudziestego czwartego wieku mówi językiem rodem z powieści Karola Dickensa?

Connor wzruszył ramionami.

– Może obie epoki wydają się jej równie odległe? Umiąłabyś powiedzieć, czym się różniło anonsowanie czyjegoś chłopaka w roku 1820 od tego w 1620?

Tym razem uległam pokusie pokazaniu mu języka, na co Connor, ku memu zaskoczeniu, wybuchnął śmiechem.

Celowo unikałam zastanawiania się, czy Trey, zgodnie ze swoją obietnicą, mnie odwiedzi, by nie przeżywać rozczarowania, jeśli do tego nie dojdzie. Wczorajszy dzień zanadto mnie zdruzgotał, bym mogła jeszcze na cokolwiek liczyć. Idiotycznie się więc teraz ucieszyłam, słysząc, że dotrzymał słowa i niemal siłą powstrzymałam się przed zbieganiem po schodach po dwa stopnie na raz.

Słyszałam dochodzący z kuchni głos Katherine.

– ...bardzo miło z twojej strony, Trey. Connor na pewno się ucieszy, przepada za słodyczami. – Gdy weszłam do kuchni, odwróciła się, z dwoma kubkami mrożonej kawy w dłoniach. – Zniosę je na górę, a wy, jak to młodzi, tu sobie porozmawiajcie.

– Cześć, Kate. – Trey przykucnął, pieszcząc Daphne, radośnie machając ogonem. – Widzę, że udało im się znaleźć dla ciebie coś zamiast szkolnego mundurka.

Przytaknęłam, przytłoczona nagle niewytłumaczalną falą onieśmienia. Bo przecież pomimo tego wszystkiego, co się dzień wcześniej wydarzyło, prawie się nie znaliśmy.

– Connor, jak się okazało, zaskakująco dobrze zna się na zakupach. – Wzięłam obie pozostałe kawy, zwieńczone bitą śmietaną i skropione karmelem, i usadowiłam się pod oknem. – Dzięki. Skąd wiedziałeś, że mój ulubiony zestaw smakowy to kawa i karmel?

– No... o kawie wiedziałem od wczoraj. Karmel trafnie odgadłem. – Usiadł koło mnie i uśmiech mu nieco przygasł. – Jak się czujesz? Wiesz, po tak piekielnym dniu, jaki wczoraj miałaś. Myślałem o tym po drodze do domu, no i... martwiłem się o ciebie. Że też nie mogłem do ciebie zadzwonić czy puścić esemesa...

– Zaczekaj. – Podeszłam do telefonu i znalazłam na blacie notesik. Zapisałam mu nazwisko użytkownika i adres bezpłatnej poczty elektronicznej, które zarejestrowałam rano, żeby zamówić trochę dodatkowych ciuchów i innych niezbędnych rzeczy.

– Są już aktywne – zapewniłam go. – Telefonu jeszcze nie mam. Kiedy Connor znów wyjdzie, załatwi mi taki na kartę. Katherine i Connor, jak tylko się



zorientowali, co nastąpiło, musieli trochę czasu poświęcić na kreatywną bankowość. Ona miała sporo w gotówce, a jego konta nadal są aktywne, bo on nadal istnieje, choć sporo mu się pozmieniało. Ciekawa jestem, ile czasu minie, zanim ktoś tam odkryje, że praktycznie mieszkamy tu na dziko. Dom wprawdzie jest zabezpieczony przed zmianami temporalnymi, ale... skoro nie może należeć teraz do Katherine, to pewnie jest własnością kogoś innego.

– Na to by wychodziło – potwierdził. – Dowiedziałaś się więc, czego chciałaś? Kiedy wychodziłem, wyglądało na to, że zapowiada się burzliwa rozmowa.

Wzruszyłam ramionami.

– Doszłam do wniosku, że nie jestem jeszcze gotowa na taką rozmowę. Nadrobiliśmy to dziś rano, gdy wstałam. – Zaczęłam mu relacjonować dzisiejsze wydarzenia i rewelacje, ale gdy doszłam do kwestii cyrystów, zawahałam się.

– Trey, jakiego ty jesteś wyznania?

– Hm... Prezbiteriańskiego? Nie bardzo jesteśmy praktykujący... Szczerze mówiąc, to wcale. Właściwie ostatnio częściej bywam nawet na nabożeństwach katolickich. Estella nie lubi sama chodzić na niedzielne msze. Czemu pytasz?

– Żeby się upewnić, że nie nadepnę ci na odcisk. Zaraz coś zabrzmi wariacko. – Nabrałam tchu, a potem wróciłam do tematu. – Ile wiesz o cyrystach?

– Pewnie mniej więcej tyle co każdy, kto sam nie jest cyrystą – odpowiedział. – Są bardzo tajemniczy, ale poznałem ich całkiem sporo i tutaj, i za granicą. W Peru jest ich pełno. Nie aż tylu, ilu katolików, ale prawie. Nie przepadam za tym, gdy usiłują mnie pouczać na temat Drogi, a już szczególnie, gdy wydają się autentycznie zamartwiać, że Kres jest bliski. Poza tym wydają się dość nieszkodliwi. Wiele też robią w sprawach edukacji dla najuboższych i innej działalności charytatywnej, więc...

Wyjaśniłam więc, jak Saul stworzył brata Cyrusa i Międzynarodową Świątynię Cyrystów, a reakcja Treya na to, zgodnie z moimi oczekiwaniami, okazała się bardzo podobna do mojej. Ciężko było przyjąć, że organizacja, która według naszej wiedzy istniała na długo przed naszym urodzeniem, prawdopodobnie powstała nie dalej niż parę lat temu.

– Ale wiesz – powiedział, rozważając taką możliwość – gdyby się pragnęło zbudować ośrodek władzy poza zasięgiem kontroli rządowej, taka organizacja religijna daje olbrzymie pole manewru. A cyrystów cechuje szczególna mieszanka poglądów liberalnych z konserwatywnymi: śluby czystości, a zarazem święcenia kobiet, pod warunkiem że poślubią również wyświęconych kapłanów. Większość świątyni prowadzona jest przez rodziny i ta władza przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Przerwał wywód, by wskazać medalion CHRONOSA, wiszący mi na piersi.

– Mówisz więc, że gdybyś przyszła w nim do świątyni cyrystów, widzieliby

go podobnie, jak ty widzisz? I wiedzieliby, jak go użyć?

Potwierdziłam.

– Starsi świątyni na pewno. A przynajmniej wskazuje na to teoria, której się trzymamy. Byliby też w stanie uaktywniać te dzienniki. – Podeszłam do stołu, wzięłam osobisty pamiętnik Katherine, którego wcześniej słuchałam, i otworłam go. Trey, tak samo jak Charlayne, widział tekst do przewijania, ale przewinąć go nie potrafił.

Odgarnęłam w tył włosy i wyjęłam zza ucha ów mały krążek.

– Chcesz spróbować?

– Jasne.

Gdy sięgałam, by wpasować to maleństwo we wgłębienie między jego uchem a szczęką, musnęłam palcami bok jego twarzy. Jak tylko dysk trafił na miejsce, Trey przyciągnął do siebie moją rękę, przyciskając wewnętrzną stronę przegubu do swych warg.

– Cudownie pachniesz.

Zarumieniłam się i spróbowałam spowolnić sobie kołatanie w piersi.

– To prawdopodobnie mydło jaśminowe...

Uśmiechając się, pokręcił głową.

– Ten jaśmin też jest miły, ale to przede wszystkim twój własny zapach. I choć to zabrzmiało po wariacku, Kate, gdy tylko się rozstaliśmy, zatęskniłam za tobą.

– Mnie też ciebie brakowało. – Spuściłam wzrok, wciąż jeszcze trochę skrzepowana. Trey odchylił mi głowę, aż spotkaliśmy się wzrokiem, a potem pocałował, miękko dotykając moich warg swoimi. Lekko do niego przyłgnęłam, w pełni rozkoszując się mrowieniem, przenikającym mnie za sprawą jego dotyku.

Dopiero po dłuższej chwili poczułam delikatne skrobanie w kolano. Gdy odsunęłam się od Treya, Daphne cofnęła się o krok od nas obojga. Łeb miała przekrzywiony, a w ciepłych brązowych oczach błysnęło coś w rodzaju zdziwienia.

Trey roześmiał się i podrapał ją za uchem.

– Chyba dorobiliśmy się przyzwoitki. Dobrze, panno Daphne, będę się zachowywał. – Wrócił wzrokiem do dziennika. – To... jak to coś za uchem powinno zadziałać? Bo niczego nowego nie widzę...

Leciutko się uśmiechnęłam.

– No to wiemy na pewno, że nie nosisz w sobie genu CHRONOSA. Ja widziałam nagranie z roku 2035, przedstawiające znacznie młodszą wersję mojej babki, wyjaśniającą z wielce plastycznymi szczegółami, co zamierza zrobić współpracownikowi, o ile ten nie przestanie korzystać z jej kubka do herbaty.

– Widzę tylko jakieś zapiski i parę kwadratów, tutaj... i tutaj. – Odczepił sobie dysk i zrobił smutną minę. – Jak widać, nie nadają się do klubu tajemnic.

– Tak to powiedziałaś, jakby spotkało cię coś złego. – Odebrałam od niego

urządzenie i wcisnęłam na miejsce za uchem. – Gdybyś mógł się nim posługiwać, zagoniliby cię do zapamiętania tak z pół miliona miejsc skoków, czy też stabilnych punktów, bo tak się je nazywa. Czuję się, jakbym cały ten dzień spędziła na jakimś dziwnym kursie historii. Czytając dzienniki historyczne Katherine, co rusz trafiam na zadawane przez nią pytania w rodzaju „Kto to jest Infantka?” lub „Co to jest simoleon?”.

– Simoleony to waluta w grze SimCity – wtrącił Trey.

– Posłuchaj, skąd pochodzi ten termin: takie było slangowe określenie dolara pod koniec dziewiętnastego wieku. Długo się głowiłam, czemu zapisywałam pytanie na stronie, na której już widniała odpowiedź.

– Może w przyszłości mają coś w rodzaju sieci 28G i po prostu przesłali jej odpowiedź? – zasugerował. – Brzmi to nieprawdopodobnie, ale...

– Jeśli nie myśli się linearnie, odpowiedź jest naprawdę prosta. Spójrz, ten przycisk... a nie, przecież go nie widzisz.

Zrobił krzywą minę.

– Sorki! – Na przeprosiny obdarzyłam go uśmiechem. – W każdym razie... – wskazałam niewidoczną dla niego część wyświetlacza – ...ilekroć Katherine – lub inny historyk – wcisnęła ten przycisk, jej pytanie zapisywało się w dzienniku. Z wyprawy historyk powracał w wyznaczonym czasie, jego dziennik natomiast, zgodnie z ustawieniami, wracał dwadzieścia cztery godziny przed jej rozpoczęciem. Ilekroć więc Katherine zgodnie z rozkładem pojawiała się w CHRONOSIE, zapisawszy uprzednio pytanie, w jej dzienniku od razu wyskakiwała odpowiedź na nie, przygotowana przez analityków owego dnia przed rozpoczęciem wyprawy.

– Wystarczy... Głowa może od tego rozboleć.

– Witaj w moim świecie. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Zła wiadomość jest taka, że mnie na nic się nie przyda ta sztuczka. Dane można zmieniać, ale Katherine jest absolutnie pewna, że dzienniki są w sposób nie podlegający zmianie zaprogramowane na powrót do działu analiz CHRONOSA. Kiedy utknęła w przeszłości, spróbowała przesłać wiadomość i dziennik po prostu zniknął. Pstryk. Tak więc, gdy już wyruszę, będę musiała polegać na informacjach, które już są w tej książeczce lub w mojej głowie.

– Więc naprawdę zamierzasz... wkrótce użyć tego czegoś? – gestem wskazał medalion, z nutą troski w głosie.

– Owszem, choć Katherine mówi, że na początek będą to krótkie, lokalne skoki. W rejonie Waszyngtonu jest około tuzina stabilnych punktów i będę robić tylko szybkie kursy tam i z powrotem, o kilka godzin lub najwyżej dzień do przodu. Tego typu sprawy. – W moim głosie więcej było pewności niż we mnie samej. – Ale i takie wypadki są nam potrzebne.

– A jak konkretnie zamierzasz dokonywać zmian? Jak zdołasz, całkiem

sama, przywrócić tę linię czasu? Tak serio... – Powoli pokręcił głową, popatrując na mnie bardzo sceptycznie.

Wzruszyłam ramionami.

– Ustalimy, kiedy zabili Katherine, a potem ją ostrzegę i spróbuję sprowadzić do centrali CHRONOSA, zanim do tego dojdzie. Na pewno mieli, a może będą mieli jakiś tryb powrotu do bazy w nagłych przypadkach. Jeszcze do tego nie doszliśmy.

– Mówiłaś, że ten gość w metrze, znaczy ten, co cię obrabował, był uzbrojony.

– No, tak mi się zdawało. A przynajmniej chciał, żebym uwierzyła, że ma broń. – Umilkłam. Spodobał mi się bowiem fakt, że Trey tak się o mnie troszczy, z drugiej strony jednak nie chciałam, by pomyślał, że jestem totalnie bezradna.

– Gdyby w metrze nie było takiego tłoku – podjęłam ten wątek – i gdybym nie dopuszczała, że jest uzbrojony, spróbowałabym go rzucić. Od piątego roku życia ćwiczę karate. Mam brązowy pas. A przynajmniej miałam... Bo chyba też zniknął.

– Serio? – W jego głosie czuło się powagę, oczy natomiast wyraźnie opanowała wesołość. – Myślisz, że mnie też byś rzuciła?

– Mogłabym – odgryzłam się. – Ale na tych marmurach? Padając, rozwalibyś sobie czaszkę. I wystraszylibyśmy biedną Daphne. A nadal wygląda na odrobinę wstrząśniętą tym... przed chwilą.

– Przełożymy to więc na później. Nie wydaje się jednak, byś była w stanie rzucić cokolwiek cięższego od Daphne. Bez obrazy. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Prudence Katherine Pierce-Keller, Czasokoczek Ninja.

– No no... ale śmieszne! – Roześmiałam się, a potem udałam zagniewaną. – Lawrence Alma Coleman Trzeci wyraźnie łaknie niebezpiecznego życia.

Uśmiech Treya utrzymał się jeszcze chwilę, potem jego wzrok spoważniał.

– Nie, Kate, tak naprawdę to nie – powiedział. – I chyba byłbym szczęśliwszy, gdyby i ciebie ono ominęło.

∞

Następne tygodnie biegły według pewnego schematu. Poranki spędzałam na czytaniu dzienników tych misji, które wydawały się najodpowiedniejszym celem dla zabójcy Katherine. Popołudniami koncentrowałam się na zapamiętywaniu stabilnych punktów, a już pod koniec drugiego dnia zaczęłam próby wizualizacji lokalnych punktów tego typu, z kluczem CHRONOSA w garści. Ilekroć udawało mi się utrzymać skupienie, ukazywał mi się holograficzny ekran. Jeśli ostrożnie przesuwałam wzrok, medalion odbierał ruchy gałek ocznych, umożliwiając

ustawienie na cyfrowym wyświetlaczu wybranej daty i godziny.

Tydzień wystarczył, bym stała się względnie dobra nie tylko w lokalizowaniu określonych stabilnych punktów, ale nawet w ustawianiu czasu. Nauczyłam się też wyznaczać nowe lokacje – w tym przypadku dwa punkty w obrębie domu – czego jednak, jak powiedział Connor, nie należało robić, dopóki nie zyskało się całkowitej pewności, że pozostaną one stabilne. Inaczej mogło to grozić choćby zmaterializowaniem się w pustym szybie windowym lub na środku ruchliwej autostrady.

Katherine twierdziła, że robię niesamowite postępy, mnie zaś frustrowało to, jak trudno było się zestroić z medalionem. Za pierwszym razem odkryłam, że powtarza się to, co wtedy, gdy byłam w kuchni z tatą – przelatywałam przez całą serię scen, przytłaczana nawałem bodźców sensorycznych oraz absolutną wyrazistością tego, co wydawałam się widzieć i słyszeć. Parokrotnie byłam znów na tamtym polu z Kiernanem. Jego widok, jego ciepła skóra pod moimi palcami tak dalece mnie rozpraszały, że gdy się to przytrafiało, natychmiast puszczałam klucz CHRONOSA i przechodziłam do innych zadań.

I chociaż prawdopodobnie było to irracjonalne, ilekroć w ciągu tych dni pojawiała się twarz Kiernana, czułam się w jakimś sensie niełojalna i odrobinę zła na siebie. Doczekać się za to nie mogłam wizyt Treya, zwłaszcza że Katherine i Connor niewzruszenie trwali przy tym, że przez cały ten czas nie wolno mi opuszczać domu. Trey urozmaicił mi większość wieczorów, a także weekendy, i albo siedzieliśmy wówczas nad jego zadaniami domowymi, albo przynosił jakieś DVD. W domu nie było telewizora, zamawialiśmy więc pizzę i oglądaliśmy te filmy na komputerze w moim pokoju – Katherine nie była na tyle pruderyjna, by nie pozwalać nam na tę odrobinę prywatności. Nawet Daphne zaczynała podchodzić do tego na większym luzie.

Trey był zabawny, bystry i przystojny – miał wszystko, czego oczekiwałam od chłopaka (choć głośnik w mojej głowie, dziwnie kojarzący się z Charlayne, podkreślał, że dotąd raczej nie gustowałam w kolesiach tak krótkowłosych). Wspaniale było kulić się koło niego, oglądając pojedynkę Człowieka w Czerni z Inigo Montoyą na skraju Urwisk Szaleństwa lub zaśmiewając się ze Shreka i Osła czy też z jakiejś durnej komedii, wypożyczonej przez Treya. Wyraźnie wybierał filmy, które według niego miały poprawić mi humor i pomóc choćby na trochę uciec od otaczającej mnie rzeczywistości. Zaspokoiliam w końcu jego zainteresowanie moimi umiejętnościami w zakresie karate, ciskając go na stertę uprzednio przygotowanych poduszek, upewniwszy się przedtem, że w pobliżu nie ma Daphne, gotowej żywo zaprotestować. Gdy potem usiłowałam pomóc Treyowi wstać, przyciągnął mnie do siebie i tak odkryłam mój osobisty kryptonit<sup>1</sup> – to, że mam strasznie łaskotliwe stopy.

Gdyby nie obawa przed coraz bliższymi skokami próbnymi i głuchym bólem

na myśl o rodzicach, mogłabym czuć się szczęśliwa. I był jeszcze lęk, który gryzł mnie za każdym razem, gdy patrzyłam na odjeżdżającego Treya – lęk, że on nie wróci, że nastąpi kolejna zmiana temporalna i nie będzie już pamiętał nawet mojego imienia.

Wszystko to razem wzięte – poczucie szczęścia, lęk i cała reszta – sprawiło, że zatęskniłam za Charlayne. Gdyby było jak dawniej, esemesowałyby do mnie pięć razy dziennie, by się dowiedzieć, jak mi jest z Treyem, i powiadomić mnie, z którym kolesiem się teraz spotyka i czy zamierza spotykać się dalej, czy też go rzucić. Przyzwyczyłam się już do tego, że mam w niej powiernika w kwestii wszystkich moich pomysłów. Rozmowy z nią zawsze sprawiały, że czułam się silniejsza i zdolniejsza, a po tym, co się ostatnio wydarzyło, naprawdę potrzebowałam takiego wsparcia.

Pewnego wieczoru po wyjściu Treya wzięłam laptop i wyciągnawszy się na łóżku, otworzyłam Facebooka, by poszukać strony Charlayne. Wiedziałam, że pewne informacje oglądać mogli jedynie jej „znajomi”, ale część zdjęć udostępniła publicznie. Pomyślałam, że może na sam widok jej uśmiechu poczuję się lepiej.

Strony Charlayne jednak wcale tam nie było i to mnie zaintrygowało. Swój profil na Facebooku utworzyła ona na mniej więcej rok przed moimi przenosinami do Roosevelta i to właśnie ona przekonała mnie, bym też się tam zarejestrowała. Jeśli ostatnia zmiana temporalna była tak wyraźnie ukierunkowana, jak uważał Connor, w życiu Charlayne nowe powinno być jedynie to, że nigdy mnie nie poznała – a jej strona byłaby nadal aktywna.

Spróbowałam wygooglać Charlayne Singleton i jej adres. Nic. Wymazałam „adres” i wpisałam Roosevelt High School. Nadal nic, zdecydowałam więc sprawdzić jej brata, Josepha. W zeszłym roku jako senior uprawiał trzy dyscypliny sportowe, a jego rodzice trzymali album z wycinkami prasowymi na stoliku w salonie. Charlayne z przekąsem nazywała go Kapliczką Josepha, ale jej tato mawiał, że to ona najgłośniej dopingowała go z trybun.

Wyskoczyło kilka trafień, dotyczących Josepha Singletona z Waszyngtonu – przeważnie związanych ze sportem, ale nie ze szkołą Roosevelta. Ale to drugi link od dołu przyciągnął moją uwagę – ogłoszenie ślubne w Washington Post. „Joseph Singleton i Felicia Castor”. Ceremonia ślubna odbyła się w lutym, w świątyni cyrystów przy Szesnastej Ulicy, tej samej, którą kilka miesięcy wcześniej odwiedziłam z Charlayne. Przejrzałam ten artykuł i przeczytałam, że rodzice Felicii od małego byli członkami Świątyni – żadne zaskoczenie – za to następne zdanie przyprawiło mnie o szok. „Rodzice pana młodego, Mary i Bernard Singletonowie, należą do Świątyni od roku 1981”.

Pod tekstem pojawiło się zdjęcie ze ślubu. Joseph, wysoki i przystojny, stał na wprost obiektywu w olśniewającym białym smokingu, pałając szczęściem i otaczając ramieniem swą wybrankę. Były tam też trzy druhny, przyciskające do

piersi bukietki kwiatów. Moją uwagę przyciągnęła twarz na samym końcu. Kliknięciem powiększyłam zdjęcie. Uśmiech był o wiele bardziej stonowany od dzikiego, szalonego grymasu radości, jaki spodziewałam się ujrzeć na jej stronie, ale to niewątpliwie była Charlayne – z jasno i wyraźnie odznaczającymi się na lewym ręką różowymi płatkami lotosu.

W komiksach i ich adaptacjach to jedyna substancja zdolna osłabić Supermana. Tu jako symbol słabego punktu, odpowiednik „pięty Achillesowej”.  
[\[wróć\]](#)

Moje pierwsze skoki testowe przebiegły gładko, jeśli nie liczyć tego, jak bardzo byłam przerażona. Ustanowiłam w domu dwa stabilne punkty – jeden w bibliotece, jako mój punkt startowy, a drugi, docelowy, w kuchni. Za pierwszym razem chciałam tak skoczyć z biblioteki, by znaleźć się w kuchni około południa, kiedy to jadłam tam lunch, ale Katherine zasugerowała, bym unikała sytuacji, w których mogłabym trafić na siebie.

– Dlaczego? – zapytałam. – Co się stanie, jeśli siebie zobaczę? Zakłócone zostanie kontinuum czasoprzestrzenne czy coś w tym stylu?

Katherine wybuchnęła śmiechem.

– Nie, skarbie – odparła. – Po prostu twój mózg ciężko to zniesie. Na twoim miejscu poczekałabym trochę, aż bardziej się przyzwyczaisz do tego procesu. Nie jest to w każdym razie coś, co chciałoby się robić regularnie, i nigdy nie powinno trwać dłużej niż mniej więcej minutę. Potem będziesz zmuszona pogodzić dwa sprzeczne zestawy wspomnień, a mnie to zawsze przyprawiało o potworny ból głowy. Saul zapewniał, że nie miał z tym problemu, jednakże wszyscy inni, których znałam, lękali się testu, w ramach którego musieliśmy cofnąć się w czasie i wciągnąć ówczesnego siebie w rozmowę. Ostrzegano nas, że po czymś takim godzinami nie będzie z nas żadnego pożytku, i mieli rację – dochodzi do autentycznego przeciążenia sensorycznego. Słyszałam trochę upiornych opowieści o początkach CHRONOSA, kiedy to testowano granice tego systemu. Starając się pogodzić sprzeczne wspomnienia z paru godzin, kilka osób, można powiedzieć... mocno odjechało. Jedną dziewczynę trzeba było wysłać na leczenie zamknięte. Naprawdę niemiła sprawa.

Zapowiadało się to niemal tak samo paskudnie jak owo zakłócenie kontinuum czasoprzestrzennego, odpuściłam więc sobie myśl o długiej pogaduszce z sobą samą. Postanowiłam skoczyć o trzy godziny wstecz, do kwadrans po dwunastej, kiedy to Connor zszedł do kuchni, by zrobić sobie kanapkę. Taka byłam zdenerwowana, że zwizualizowanie sobie kuchni zajęło mi prawie minutę, a ustawienie czasu przybycia kolejne trzydzieści sekund lub coś koło tego. Gdy wszystko już miałam dopięte, poszłam za radą Katherine i zamrugałam, utrwalając w pamięci widok kuchni. Gdy otwarłam oczy, rzeczywiście byłam w kuchni. Connor stał przy lodówce, przykrywając kromkę pszennego chleba stertą plasterów szynki. Zegar kuchenny wskazywał 12:15.

– I na co się tak gapisz? – spytał Connor, zerkając na swoją koszulę, może w poszukiwaniu plam po musztardzie lub majonezie.

Uśmiechnęłam się do niego, a potem znów skupiłam się na medalionie, przywołując wizję stabilnego punktu, wyznaczonego przeze mnie w pobliżu



jednego z okien w bibliotece. Obraz był na tyle wyraźny, że widziałam w szybie odbicie Katherine, patrzącej w miejsce, z którego właśnie wyruszyłam. Skoncentrowałam się na wywołaniu wyświetlacza czasu, na którym widniała pora mojego startu plus pięć sekund. Mrugnęłam jak wcześniej, a po otwarciu oczu zobaczyłam, parę kroków przed sobą, Katherine z uśmiechem szczęścia na twarzy.

– Nie przypuszczałam, że kiedyś jeszcze zobaczę, jak ktoś to robi. – Ze łzami w oczach chwyciła mnie w ramiona. – Wiesz, Kate, możemy się pokusić o coś więcej.

∞

Następnego ranka, głębiej się wczytując we wpisy w dzienniku Katherine, uświadomiłam sobie, że próbując ustalić datę morderstwa, obraliśmy niewłaściwy kurs.

– A może by po prostu obserwować punkty docelowe skoków, tak na kilka minut przed zaplanowanym przybyciem Katherine? Zaczniemy od ostatnich skoków, a pierwszy, przy okazji którego się pojawi, będzie inicjować wyprawę, podczas której została zamordowana, zgadza się? Późniejszych skoków nie odbyła, bo już nie żyła.

Katherine i Connor popatrzyli po sobie z uśmiechem.

– Teraz, gdy już mamy kogoś zdolnego wprawić w ruch aparaturę CHRONOSA, to świetny pomysł – przyznała Katherine. – Tym razem chyba to my myśleliśmy nazbyt linearnie.

Katherine na wydrukowanej przez nią liście dat nie uwzględniła czasu powrotów, toteż Connor wziął się za przekopywanie dzienników w poszukiwaniu tych danych, co chwila przerywając, by sięgnąć po kolejnego precelowego palucha z tuby z przezroczystego plastiku, którą ustawił przy klawiaturze. Nie byłam pewna, co uznać za bardziej zadziwiające – czy to, że pomimo ciągłego chrupania Connor pozostawał chudzielcem, czy że natłok okruchów między klawiszami nie przeszkadzał klawiaturze w sprawnym działaniu.

Gdy sporządził listę, przejrzałam ją i zauważyłam, że pewne daty się powtarzają lub na siebie nakładają.

– Czemu występują tu dwukrotnie te same daty?

Katherine wzruszyła ramionami.

– Miało tam miejsce wiele różnych zdarzeń. Bywało, że zebranie, odbywające się na jednym z krańców terenu wystawy, zbiegało się w czasie z czymś innym, również wymagającym naszej obserwacji. Bywało tak zwłaszcza wtedy, gdy podróżowaliśmy z Saulem jako zespół lub gdy zbieraliśmy dane dla jakiegoś innego historyka. W Chicago takich przypadków było mnóstwo, gdyż

byliśmy „ekspertami od Expo<sup>1</sup>” o statusie rezydentów i prawie wszyscy zajmujący się historią Ameryki: amerykańską polityką, literaturą, muzyką, nauką, i tak dalej, chcieli, byśmy kogoś lub coś dla nich obserwowali. Oto przykład: kojarzysz Scotta Joplina<sup>2</sup>?

Potwierdziłam.

– Pianista, tak? Od ragtime’ów?

– Zgadza się – powiedziała. – Pamiętasz przyjaciela, który zamienił się ze mną przed tamtym skokiem, Richarda? Otóż miał on informacje, że podczas Wystawy Światowej Joplin prowadził orkiestrę w którymś z nocnych klubów Chicago, ale brakowało mu danych szczegółowych. Przygotowania do wyprawy w końcówkę dziewiętnastego wieku zajęłyby mu mnóstwo czasu, natomiast dla nas z Saulem była to prosta kwestia rozpytania oraz odbycia dodatkowego wypadu, by posłuchać Joplina i sporządzić nagranie, żeby Richard miał co analizować. Zbierałam też dane dla kolegi zajmującego się seryjnymi mordercami. Wiesz, że w okresie trwania Wystawy odnotowano tam dość paskudny przypadek polowania na młode kobiety? A dla kogoś studiującego relacje międzyrasowe zdobyłam ulotkę zapowiadającą Dzień Kolorowego Amerykanina, też z tej Wystawy.

Zrobiła dziwną minę.

– To dopiero ciekawostka: kierujący Wystawą Światową uznali, że dobrze będzie upamiętnić tę okazję rozdaniem arbuźów<sup>3</sup>. Jako reprezentant Haiti występował tam Frederick Douglass, piastujący wówczas funkcję konsula generalnego na Haiti. Poprzestańmy na tym, że nie uznał tego za zabawne.

Roześmiałam się.

– Wyobrażam sobie. Ale czy to, że w tym samym czasie w jednym miejscu kręciło się kilka wersji ciebie, nie było za bardzo ryzykowne?

– Raczej nie – stwierdziła. – Dzień w dzień przewijały się tam tysiące zwiedzających, i dopóki trzymaliśmy się z dala od rejonów, gdzie działały nasze wcześniejsze wersje, nie było praktycznie szansy, by ktoś zobaczył zarówno jedną, jak i drugą. Poza tym dział kostiumów i charakteryzacji CHRONOSA nie miał sobie równych. Kiedyś zobaczyłam siebie przechodzącą przez ulicę, ale dotarło to do mnie dopiero dobre pół przecznicy dalej. Na ogół zresztą trzymaliśmy się w cieniu, z rzadka tylko wchodząc w jakieś interakcje. No, przynajmniej ja. Saul najwyraźniej zaczął inaczej do tego podchodzić.

Ostatnim skokiem przed zniszczeniem systemu przez Saula był ten do Bostonu w roku 1873, kiedy to pokłócił się z Katherine. Boston był celem jeszcze dwóch skoków, ale większość dwudziestu dwóch skoków poprzedzających tamten dotyczyła Chicago i różnych punktów roku 1893.

– Wystawa Światowa odbywała się w 1893 roku, prawda? – Wzięłam Rejestr Stabilnych Punktów i zaczęłam go przewijać wstecz, zaczynając od ostatnich wpisów na tej liście. – Według mnie, to musi dotyczyć jednej z tych dat.

To przecież dziennik z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku zrabowano mi w metrze.

Zaczęłam jednak od Bostonu, ponieważ te skoki były ostatnimi, które odbyli we dwoje. Na obszarze Bostonu wyróżniono siedemnaście stabilnych punktów, Katherine wyjaśniła jednak, że ona i Saul podczas swych wypraw korzystali wyłącznie z jednego, oddalonego o kilka przecznic od targowiska Faneuil Hall. Znajdował się, jak wiele innych, w wąskim zaułku. Wywołałam więc ten stabilny punkt i ustawiłam czas na minutę przed planowym pojawieniem się Katherine, o 04181873\_06:47 – o 6:47 rano, 18 kwietnia 1873 roku.

Kilka minut później w pole widzenia wbiegł okazały szczur i tak mnie wystraszył, że o mało nie zdekoncentrował. Chwilę później jednak pojawił się też mężczyzna – tak blisko, że mogłam wyróżnić pojedyncze nitki w tkaninie jego czarnego płaszcza. Gdy się odsunął i częściowo można było zobaczyć jego twarz, widać było wyraźnie, że to Saul Rand – bladokóry szatyn ponadprzeciętnego wzrostu, o intensywnym spojrzeniu, znany mi z dwóch podobizn w dziennikach Katherine. Brodę miał starannie przyciętą, a zważywszy też na brak wąsów, w pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że mój dziadek to nieco niższa, przystojniejsza, a zarazem bardzo niesympatyczna wersja Abrahama Lincolna, Co prawda przynajmniej w części zapracował na to wysoki czarny cylinder na jego głowie. Nie było z nim Katherine.

Saul raptownie odwrócił się w moją stronę i dech mi zaparło, gdy jego oczy, zwężone i przenikliwe, wpatrzyły się prawie prosto w moje, jakby wiedział, że go obserwuję. W końcu odetchnęłam, pojawiwszy, że po prostu rozgląda się po zaułku, upewniając się, że przybył niezauważony.

Sprawdziłam przedostatni skok i efekt był totalnie żaden. Albo tamten skok został przełożony, albo Saul go sobie odpuścił, bo choć odczekałam kilka minut, nie pojawił się nikt, nawet mój stary znajomy, szczur.

Skoro Katherine przy okazji żadnego z tych skoków nie pojawiła się w Bostonie, wykreśliłam to miasto z listy i skupiłam się na Chicago. W obrębie terenów targowych wyróżniono cztery stabilne punkty, przy czym najczęściej używany figurował pod nazwą Wyspa Leśna – ustronny, cienisty zakątek, pełen pnączy i gęstego listowia. Kilka metrów dalej widziałam jakąś chatę, na zewnątrz ozdobioną tu i ówdzie okazałymi porożami, i kilka ławek parkowych przy ścieżce. Pod pierwszą datą, którą sprawdziłam, nikt się nie pojawił, chociaż widziałam przez zasłonę liści, otaczającą mój punkt strategiczny, kilka osób spacerujących sobie w porannym słońcu.

Przy drugiej próbie za to zaliczyłam strzał w dziesiątkę. Po jakichś piętnastu sekundach od rozpoczęcia obserwacji widok nagle przesłoniły mi dwie sylwetki. Gdy już nieco się oddaliły od stabilnego punktu, przekonałam się, że jedna z nich to Katherine. Momentalnie owładnęły mną dwa silne, lecz pozostające w pewnej

sprzeczności uczucia – ulga, że odkryłam właściwy czas, i rozpacz, że wkrótce będę musiała chodzić w czymś przypominającym jej ozdobny kostium z tej epoki.

Był z nią ten wysoki mężczyzna ze skoku w rok 1850. Brodę zastąpiły długie wąsy, podkreślone do góry. Szybko przeskanował wzrokiem otoczenie, zupełnie jak wtedy po pojawieniu się w Bostonie, a potem chwycił Katherine pod łokieć, pomagając jej pokonać niewielką pochyłość, dzielącą ich od promenady. Uniosła rąbek swej szarej sukni, wykończoną ciemnym fioletem. Całości stroju dopełniał kapelusik z absurdalnie dużym piórem barwy lawendy. Kiedy oboje minęli tę drewnianą chatę, wybiegł z niej ciemnowłosy ośmio- czy dziewięciolatek z miotłą w ręku i zaczął zmiatać zalegające promenadę liście.

Szybko skierowałam wzrok w lewo, wyłączając podgląd. Raptowne przestawienie obrazu z jesiennego poranka w parku na wnętrze biblioteki, z Connorem nachylonym nad komputerem i Katherine ustawiającą książki na półce, spowodowało lekką dezorientację.

Wzięłam listę i położyłam ją na stole obok Connora, stukając paznokciem w wybraną datę.

– Znalazłam. Chicago. Skok z 3 kwietnia 2305 roku do 28 października 1893 roku. Wygląda na to, że to jedyny skok figurujący pod tą datą.

Connor najpierw pokiwał głową, potem nią pokręcił, wskazując precelowym paluchem, który właśnie pogryzał, jeden z wpisów u szczytu rejestru.

– Owszem, jedyny skok przypisany konkretnie do 28.... ale spójrz... tu mamy dwudniowy wypad solowy, od 27 do 29 października, z lutego 2305.

– Wspaniale – odparłam, przewracając oczami i osuwając się na krzesło przy biurku Katherine. – A więc po Wystawie będą się błąkać dwie Katherine, żeby mi się pokićkało.

– Nie rozumiem, czemu narzekasz – stwierdził po kolejnym kęsie palucha.  
– Przynajmniej wyrwiesz się na trochę z domu.

Katherine wzięła od Connora listę.

– Przypominam sobie te wyprawy. Wiele się działo. Zamknięcie Wystawy planowano na koniec października i była straszliwie zatłoczona tymi gośćmi, którzy zwiedzanie odłożyli na ostatnią chwilę, ale nie zamierzali go sobie odpuścić. Na ostatni dzień zaplanowano wielką uroczystość z fajerwerkami i przemówieniami, ale przez tamto morderstwo wszystko odwołano.

– Przez morderstwo? – powtórzyłam. – A tak, wspominałaś coś o serii zabójstw podczas Wystawy.

– Nie, nie. Chodzi o odrębną sprawę. Właściwie o zamach.

– Na McKinleya?

Potrząsnęła głową przecząco.

– Prezydenta McKinleya zamordowano podczas następnej Wystawy Światowej, w Nowym Jorku w 1901. Tym razem celem był burmistrz Chicago,

Carter Harrison. Bardzo sympatyczny człowiek... O wielkim poczuciu humoru... Podczas tego drugiego skoku Saul i ja spędziliśmy w jego towarzystwie większość dnia i smutno mi się robiło na myśl, że rozstanie się z życiem, zanim ten dzień dobiegnie końca. – Umilkła na chwilę, kartkując stos dzienników, zalegający stół. – No, tak. Ten dziennik, który Kate miała w metrze. Czekaście, otwarcie pliku kopii zapasowej chwilę zajmie.

Chwyciła dziennik leżący na wierzchu i natychmiast go otworzyła, klikając kilka przycisków, by znaleźć to, czego potrzebowała.

– W porządku, już mamy. Skok z lutego miał na celu obserwowanie zarówno reakcji na zamach, jak i ostatnich dni Wystawy, bardziej w ramach badań ogólnych na rzecz CHRONOSA niż jako częśćka moich indywidualnych prac badawczych. Zasadniczo obserwacje kulturowe na Midway. To był taki sympatyczny mikrokosmosik, gdzie robotnicy sprowadzeni z niemal wszystkich zakątków świata mieszały się z tymi, którzy w poszukiwaniu pracy zjechali do Chicago z całych Stanów. Bo wiesz, że Wystawa odbywała się w okresie poważnego załamania gospodarczego.

Zaśmiała się.

– Występowałam jako korespondentka jednego z magazynów krajoznawczych: w pełni wyposażona, z ogromnym i ciężkim aparatem fotograficznym Kodaka na szyi. Nazywali go aparatem przenośnym, mimo to pod koniec dnia nieodmiennie zdejmowałam go z największą przyjemnością. Aparaty te były ostatnim krzykiem mody, zwłaszcza wśród młodych, a starsi nazywali ich „demonami Kodaka”, gdyż tamci wyskakiwali znienacka, fotografując bez pytania.

– Zabawna nawet była ta wyprawa – dodała Katherine. – Jeśli dobrze pamiętam, nie obfitowała w wydarzenia. Przeprowadziłam wywiady z kilkoma osobami z Wioski Afrykańskiej, a dla pewnego historyka kryminalistyki zebrałam informacje na temat kelnerki z ogródka piwnego we Wiosce Niemieckiej, która właśnie zaginęła. Jego zdaniem mogła być jedną z ofiar tego seryjnego mordercy, ale nie znalazłam żadnych dowodów ani na potwierdzenie tej tezy, ani też umożliwiających jej odrzucenie. Skok kwietniowy zaś – powiedziała, ponownie stukając w ekran – był konsekwencją wydarzenia, które zwróciło moją uwagę podczas wcześniejszej wyprawy – Dnia Miast Amerykańskich, kiedy to Wystawę odwiedziło około pięciu tysięcy burmistrzów z całego kraju. Burmistrz Harrison miał przed zaplanowaną na popołudnie wielką mową do całego grona burmistrzów oprowadzić po terenie ekspozycji delegację około pięćdziesięciu przedstawicieli tej grupy i osób im towarzyszących. Wśród tych wybrańców znalazła się Dora Salter, pierwsza w dziejach tego narodu kobieta burmistrz, a zarazem przywódczyni WCTU, Chrześcijańskiej Unii Kobiet na rzecz Wstrzemięźliwości. Kojarzysz prohibicję? Protesty antyalkoholowe?

Niejasno przypomiinałam sobie referat historyczny kogoś z dziewiątej klasy,

jak to Carry Nation<sup>4</sup> toporkiem rozwalala bar, a wiec przytaknelam.

– Salter w owczas nie pelnila juz obowiazkow burmistrza i podejrzewam, ze na liste zaproszonych wpisal ja ktos o cokolwiek chorym poczuciu humoru – kontynuowala Katherine. – Carter Harrison slynal wprawdzie z galanterii wobec dam, ale poza tym zdecydowanie lubil wypic i z pewnoscia nie ciesyl sie laskami bojowniczek z WCTU. Uznalam, ze miedzy tymi dwojgiem dojsc moze do interesujacej rozmowy, wiec wmieszalismy sie z Saulem w te grupe, on podajac sie za burmistrza niewielkiego miasteczka w Oregonie, ja jako jego malzonka. Zmarnowalismy jednak czas, bo Salter okazala sie potulna mala myszka i ci dwoje po tym, jak zostali sobie przedstawieni, nie zamienili nawet slowa.

– Na pewno cię zastanawia, czemu będąc tak nieśmiała, ubiegała się o urząd. Zwłaszcza w tamtych czasach – dodałam – kiedy większość kobiet nie miała jeszcze prawa głosu.

Katherine skinęła głową.

– W Kansas, czyli w stanie Salter, kobiety mogły głosować w lokalnych wyborach, ale ona nie zamierzała startować. Jacyś mężczyźni z jej miasta dla żartu wpisali jej nazwisko na listę i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu odkryli potem, że większość kobiet, ale i niemało mężczyzn ją właśnie przedłożyło nad innego kandydata. Muszę przyznać, że ją podziwiam, iż podjęła wyzwanie i zaczęła piastować urząd, na który została wybrana, choć najwyraźniej osiągnęła tym wyżyny swej aktywności w walce o prawa kobiet... Ogólnie, bardzo rozczarowująca wyprawa – stwierdziła Katherine. – Chociaż wreszcie udało mi się przejechać na Kole Ferrisa. Ilekroć trafiałam tam przy okazji moich solowych skoków, kolejka zawsze była za długa, a gdy wędrowaliśmy razem, Saul nie miał chęci na mnie czekać. On ma straszny lęk wysokości. Tym razem jednak, będąc w grupie z burmistrzem, trafiliśmy prosto na czoło tej kolejki. Wielu ludzi zdecydowało się pozostać na ziemi, ale Saul nie chciał wyjść na tchórza. No i przez cały czas był zielony, a gdy wreszcie wysiedliśmy, mało tego nie odreagował na sprzedawcy orzeszków ziemnych – dodała z uśmiechem wielkiej satysfakcji.

∞

Ustaliwszy datę i przybliżoną lokalizację zamordowania Katherine, przez następnych kilka dni koncentrowaliśmy się na przygotowaniu mnie od strony psychicznej i fizycznej do wizyty na Wystawie. Strona fizyczna tych przygotowań wiązała się z całymi metrami jedwabiu i koronek oraz z gorsetem, który znienawidziłam, jak tylko UPS go dostarczyło. Katherine wprawdzie miała jeszcze swoje suknie z planowanego skoku w rok 1853, ale byłyby od czterech dekad niemodne. Raczej by się nie sprawdziły w epoce, gdy moda zmieniała się już wedle

kaprysu paryskich projektantów i niewiele dałoby tu kilkumiesięczne opóźnienie z uwagi na to, że by dotrzeć do Ameryki, te nowinki musiały przebyć daleką drogę przez ocean.

– To czemu nie możemy po postu o tym wszystkim zapomnieć i pozwolić, bym była ubrana jak barmanka? – zapytałam. – Albo jedna z tych egipskich tancerek, które widziałam na fotografiach? Wyglądało na to, że bardzo im wygodnie...

Katherine, siadając przy komputerze, parsknęła z niesmakiem i otworzyła okno wyszukiwarki.

– Na tyle już zapoznałaś się z tą epoką, Kate, że powinnaś rozumieć ówczesne postrzeganie klas. Nie masz jeszcze pojęcia, dokąd przyjdzie ci trafić ani z kim będziesz musiała rozmawiać. Do grupy, z którą byłam tamtego dnia, barmance nie udałoby się podejść bez wzbudzenia zbędnej sensacji. Będąc ubrana jak dama, możesz zadać pytanie każdemu, bez względu na jego przynależność klasową. Odpowiedni przydzwiewek otwiera każde drzwi.

Katherine zajęła się wyszukiwaniem historycznych podobizn sukni z ostatniej dekady dziewiętnastego wieku, a ja ku swemu zaskoczeniu odkryłam, że w sieci dostępne są żurnale mody z tamtych czasów. Magazyn zatytułowany *The Delineator*<sup>5</sup> zawierał nawet podpowiedzi, jak projektować takie suknie, akcesoria i fryzury.

Następnego dnia w naszym domu zjawiała się miejscowa projektantka mody ślubnej, by pomóc w przygotowaniu ubioru dla mnie. Uniósłszy nienagannie wyregulowaną brew, wysłuchiwała, jak Katherine z uporem powtarzała, że ta suknia musi być dwustronna, w dwóch wersjach kolorystycznych, a także zaopatrzona w dwie ukryte kieszenie, jedną na wysokości gorsu, a drugą w halkach.

Z naszej perspektywy miało to sens, skoro mogłoby się zdarzyć, że będę musiała spędzić tam dodatkowy dzień, a niezręcznie byłoby przechadzać się po Wystawie z bagażem. Potrzebowałam też szybkiego dostępu do klucza CHRONOSA, a Katherine uparła się, że muszę mieć też schowek na zapasowy medalion i trochę gotówki, tak na wszelki wypadek. Niestety, dwustronna suknia z ukrytymi kieszeniami – z tak dużej ilości materiału, by ukryć blask medalionu – niezbyt się nadawała na bal kostiumowy, a taką akurat wersję przedstawiłyśmy. Po krótkim wahaniu projektantka po prostu przytaknęła, dowodząc, że ma dość rozumu, by nie kwestionować ekscentrycznych żądań kogoś, kto pozwala z siebie zderzyć niezłą sumkę.

Mnie pozostawało jedynie pozować niecierpliwie, gdy asystentka brała miarę, a potem znosić niekończące się przymiarki, klucie szpilkami i upomnienia, by stać prosto i się nie garbić. W rezultacie otrzymałyśmy ubiór, który, choć niewątpliwie plasował się na szczytach mody roku 1893, wyglądał na

nieprzewiewny, sztywny i skrajnie uciążliwy w noszeniu.

Gdy nie zajmowałyśmy się przymiarkami, na okrągło czytałam w dzienniku Katherine wpisy dotyczące naszych docelowych dat, utrwalłam w swojej pamięci plany Wystawy i przekopywałam się przez tuziny historycznych relacji z poszczególnych ekspozycji i z Chicago końca dziewiętnastego wieku. Nie poprzestając na publikacjach z biblioteki Katherine, dokumentów szukałam też w Internecie.

Trey dwukrotnie dostarczył wypożyczone przez siebie filmy dokumentalne na temat wystawy i Chicago u schyłku dziewiętnastego stulecia. Te dotyczące samej wystawy niejako ożywiły znane mi obrazy i opowieści, które czytałam.

Nie dooglądaliśmy filmu do końca. Niezbyt gustuję w horrorach, nawet tych z życia wziętych, toteż wysunęłam płytę, jak tylko stało się jasne, że troje małych dzieci jego asystenta, które wziął pod opiekę, również nie przeżyje. Następną godzinę spędziliśmy, oglądając znacznie przyjemniejszy dokument o Jane Addams<sup>6</sup> i jej usilnych działaniach na rzecz pomocy chicagowskiej biedocie. Nerwy mi jeszcze nie odpuszczały, obejrzelśmy więc ponownie *Narzeczoną dla księcia*, by zaprzątnąć umysł czymś innym niż te morderstwa. Ale tamtej nocy i tak zostawiłam w łazience zapalone światło.

Większa część historii, którą poznawałam, czytając i oglądając, była na obu liniach czasu zbieżna, wyjąwszy kilka odniesień do przywódców cyrystów, którzy pod koniec września wraz ze wszystkimi innymi wzięli udział w Kongresie Religii Świata. Były też inne ciekawostki, jak fotografia przedstawiająca uśmiechniętego Marka Twaina, wybierającego się na lot balonem na uwięzi w towarzystwie kilku młodych tancerek egipskich – choć według książek Katherine z przedcyryjskiej linii czasu, dotyczących tego okresu historii, Twain zaraz po przyjeździe do Chicago się rozchorował i nie opuszczał pokoju hotelowego.

Historia nigdy mnie nie pasjonowała, ale teraz przekonałam się, że poznawanie jej jest ciekawsze, niż mogłam sobie wyobrazić. Mniej było w tym nauki, a więcej czegoś na kształt studiowania przewodnika przed wakacyjną wyprawą, choć ja takiej bym sobie nie wybrała.

Pracowałam też nad stroną praktyczną, doskonaląc korzystanie z medalionu podczas krótkich skoków w granicach domu. Na skupienie się na stabilnym punkcie i ustawienie czasu potrzebowałam już niespełna trzech sekund. Kilka razy nawet popisałam się przed Treyem, tuż po jego przyjściu pojawiając się w przedpokoju po szybkiego całusa, a zaraz potem wracając do biblioteki.

Ustanowiłam też dodatkowy stabilny punkt w salonie i potwierdziłam, że zgodnie z przypuszczeniami Katherine potrafię przenosić się z punktu A do punktu B, a potem bezpośrednio do punktu C, nie wracając przedtem do punktu A. Ograniczenia wymagające od historyków CHRONOSA podróżowania tam i z powrotem były jedynie zabezpieczeniami, narzuconymi im przez centralę, a nie



czymś na stałe wpisanym w medaliony. Ja, w odróżnieniu od Saula, Katherine czy kogokolwiek z pierwotnej ekipy CHRONOSA, mogłam podróżować dokądkolwiek i w każdy czas, ograniczona jedynie dostępem do określonej liczby stabilnych punktów. Podejrzewaliśmy też, że byłabym w stanie wrócić do znanego stabilnego punktu nawet z miejsca, w którym taki punkt nie został jeszcze ustanowiony, Katherine jednak nie paliła się do tego, bym i tę możliwość przećwiczyła. Connor nie widział powodów, dla których nie miałyby to zadziałać, ale Katherine obstawała przy tym, by traktować to jedynie jako ostateczność.

Następnym testem, poprzedzającym skok geograficznie lub chronologicznie długodystansowy, miał być krótki sus na któryś lokalny stabilny punkt. Najbliższa łatwo dostępna lokacja w systemie CHRONOSA znajdowała się w Mauzoleum Lincolna – na lewo od fotela Lincolna, poza obszarem oddzielnym sznurami, w miejscu nieco ginącym w cieniu. Odnotowana została jako punkt stabilny w przedziale od 1923 do 2092 roku. Znów mnie korciło, by zapytać Katherine, co dokładnie wydarzy się w 2092 roku, podejrzewałam jednak, że w odpowiedzi usłyszałabym tylko, że to nie moja sprawa. Od ósmej rano do północy Mauzoleum pozostawało pod opieką obsługi – i w tych godzinach łatwiej także byłoby natrafić na zwiedzających – zdecydowaliśmy więc, że bezpiecznie będzie ustawić przybycie na pierwszą w nocy. Gdy Katherine i Connor obawiali się, że na tak wczesnym etapie treningu mogą nie poradzić sobie z zaprogramowaniem lokacji powrotnej, Trey zaproponował, że będzie tam czekał, by w razie czego odwiedzić mnie do domu.

Mój start zaplanowaliśmy na piątek, na godzinę dwudziestą trzecią. Kiedy wyruszałam, Trey był w bibliotece. Obdarzyłam go szerokim, dzielnym uśmiechem i przypomniałam:

– Pierwsza w nocy, Mauzoleum Lincolna. Nie zawieź mnie, dobrze?

Uściskał mi dłoń i odparł, też uśmiechnięty:

– Na naszej pierwszej randce poza domem? Bez obaw, będę tam.

Katherine zacisnęła wargi, w oczach miała niepokój.

– Żadnego objania się, Kate. Serio. Wracasz prosto tutaj, tak?

– Tak, wróci – zapewnił Trey. – Tylko żartujemy. Żadnego zbędnego ryzyka, obiecuję.

Z rezerwą skinęła głową i odwróciła się do mnie.

– Wracając, nie musisz stać dokładnie w tamtym miejscu. Klucz ma pewien określony zasięg, ale trzymaj się tak blisko niego, jak to możliwe.

Puściłam rękę Treya i wywołałam stabilny punkt. Cały dzień ćwiczyłam dostęp do tej lokacji i oglądałam setki zwiedzających, pnących się po schodach do Mauzoleum, by robić zdjęcia i filmować, ale teraz dodatkowo otworzyłam wyświetlacz i ustawiłam czas przybycia, kierując spojrzenie na odpowiednie opcje i zatwierdzając to pojedynczym mrugnięciem. Bardzo to przypominało kliknięcie

myszą, zastanawiałam się tylko, co by się stało, gdyby w czasie wyboru współrzędnych wiatr nagle sychnął człowiekowi w twarz piachem. Zerknęłam na ostatnią kontrolkę, a potem nabrałam tchu i mrugnęłam.

Jeszcze nie otworzyłam oczu, a już ciepły nocny wietrzyk powiadomił mnie, że dotarłam. Rozejrzawszy się trochę, zobaczyłam Treya, opierającego się o jedną z pobliskich kolumn. W rękach miał brązową torbę i duży napój gazowany.

Podeszłam do niego, głęboko wdychając powietrze.

– Mniem – wyczuwam krążki cebulowe.

– Dobrze kojarzysz – przyznał. Wyjawiłam mu kilka dni wcześniej, że bardzo, ale to bardzo brakuje mi krążków cebulowych od O'Malleya, pobliskiego baru z grillem, w którym często jadałyśmy z mamą w weekendy.

Uśmiechnęłam się i wspięłam się na palce, by go pocałować.

– Dziękuję. Wiedz jednak, że mnie rozpieszczasz. Dwie minuty, potem powinnam wracać. Nie żeby Katherine mogła się dowiedzieć – zauważyłam – ale obiecaliśmy.

Postawił torbę i napój na schodach i wziął mnie w ramiona.

– Wiem, wiem. Zjemy szybko, bo jednak zamierzam cię nakłonić do podzielenia się tymi krążkami cebulowymi. Przyniosłem też miętówki, jeśli więc będziesz dla odmiany jeść przykładnie... – śmiejąc się, zablokował mój cios w swoje ramię – i jeśli po powrocie unikniesz chuchania im w twarz, nasz sekret się nie wyda.

Noc była piękna, a romantyczna luna świateł i refleksy w stawie sprawiły, że zatęskniłam za tym, byśmy mogli cały czas pozwalać sobie na tak zwyczajne chwile. Coraz bardziej czułam się jak ktoś objęty kwarantanną.

Trey najwyraźniej odbierał na tej samej fali.

– Fatalnie, że nie możemy tak częściej. Zwłaszcza że w ten weekend masz urodziny...

– Skąd wiesz? – Celowo się broniłam przed przypominaniem sobie o tym dniu, wiedząc, że nie uniknęłabym wspomnienia wcześniejszych urodzin, mamy, taty i tego wszystkiego, co jeszcze mi odebrano.

Odpowiedział cwaniackim uśmiechem.

– Mam swoje dojścia. Myślisz, że Katherine dałaby nam przepustkę na jakiś wieczorny wypad?

Westchnęłam.

– Sądzę, że oboje znamy odpowiedź. To prawdopodobnie jedyna nasza wspólna noc na jakiś czas, o ile nie zechcesz wybrać się ze mną na Wystawę Światową.

– Chicago pewnie by mi pasowało – stwierdził. – Z rokiem 1893 mógłby być jednak problem.

– Fakt – przyznałam.

Chwilę się wahałam, biorąc z torby kolejny cebulowy krążek. Przed tą wyprawą do Chicago o jednej sprawie chciałam się więcej dowiedzieć – i jedną osobę zobaczyć.

– Może zamiast tego zabierzesz mnie do kościoła?

– Co takiego? – Trey wybuchnął śmiechem, zaraz się jednak uspokoił. – Aha, Charlayne?

Przytaknęłam.

– To nie jedyny powód, ale tak, chcę ją zobaczyć. – Odwróciłam się do niego. – Chcę się też przekonać, Trey, o co im chodzi. Znaczący cyrystom. Rzecz w tym, że teraz moja potrzeba odmienienia linii czasu wynika przede wszystkim z powodów osobistych: chcę odzyskać rodziców i móc opuścić dom bez tego cholernego medalionu. Ale Katherine i Connor zdają się uważać, że cyryści są...

– Żli? – podsunął.

– Tak. To chyba odpowiednie słowo. Przyznaję, tylko raz byłam na nabożeństwie w świątyni cyrystów, jeszcze przed zmianą temporalną, ale takiego wrażenia nie odniosłam. Na dodatek nie powiedziałabym, że marzy mi się przyszłość, w której wiele ważnych dla twego życia decyzji będzie podjętych, zanim przestaniesz być embrionem.

– Wiem – powiedział. – Mogę ich nawet zrozumieć, tyle że raczej niewiele zostaje tu miejsca na indywidualny wybór, prawda?

– Zdecydowanie nie. Nie mam wątpliwości, że metody Saula są złe! Przecież żeby osiągnąć to, co chce, zabił Katherine! Pytanie, czy odnosi się to do całego ruchu? Czuję, że mnóstwa rzeczy jeszcze nie rozumiem. A jeśli cyryści jako cały ruch są tak zepsuci, jak sądzą Katherine i Connor, powinnam chyba lepiej pojąć, z czym przyjdzie mi się zmierzyć.

Trey musiał się nad tym zastanowić, potem skinął głową, delikatnie biorąc mnie w ramiona.

– To gdzie i kiedy? W ich świątyniach prawie codziennie się coś dzieje, główne nabożeństwa mają jednak w niedzielę rano, zgadza się?

– Owszem. Mógłbyś odebrać mnie stąd około siódmej, zanim przyjdą wartownicy? Jeśli w domu odkryją... że się wykradam, powiem, że ćwiczę krótki skok. Robię ich tyle, że Katherine nic sobie nie pomyśli. A jako że byłam w tej świątyni przy Szesnastej, mniej więcej znam jej rozkład.

– Po co ci znajomość jej rozkładu? – spytał, zerkając na mnie podejrzliwie.

Wzruszyłam ramionami.

– No... Przede wszystkim chcę zobaczyć Charlayne i prawdopodobnie tylko zadać jej parę pytań, ale może też będę musiała... trochę się rozejrzeć. Nie wiem, trzeba będzie nadstawić uszu.

Trey lekko się zafrasował, potem opuścił głowę, by skubnąć mnie w małżowinę.

– A to są bardzo ładne uszka. Miejmy nadzieję, że uda się nam zachować je na miejscu. Tamte dobermany wyglądają na wygłodniałe.

Dałam mu kuksańca.

– W czasie nabożeństw ich psy nie patrolują, głuptasie. Ale jeśli cię to gnębi, zabierzemy Daphne kilka psich sucharów, żeby je przekupić.

Po cebulowych krążkach pozostało już tylko trochę smakowitych okruchów na dnie torebki. Pocałowałam Treya na do widzenia i, wracając w okolice fotela Lincolna, wrzuciłam do ust miętówkę.

– Ja zobaczę się z tobą za sekundę – powiedziałam, wywołując przy pomocy medalionu stabilny punkt w bibliotece. – Ale ty ze mną dopiero jutro wieczorem, przy okazji podwieczorku – jedź więc ostrożnie, dobra?

Już bez takiego zdenerwowania, szybko znalazłam dostęp do właściwej lokacji, a gdy otworzyłam oczy, znów byłam w bibliotece, zaś Katherine, Trey i Connor wpatrywali się we mnie z lekkim niepokojem.

– Pozdrowienia od Lincolna – powiedziałam, szeroko się uśmiechając.

Kilka minut później odprowadzałam Treya do drzwi, bo żeby zdążyć na spotkanie ze mną, musiał przejechać całe miasto.

– Niewiarygodne – stwierdził, gdy pocałowałam go na dobranoc, jednocześnie wsuwając mu do ust językiem ostatnią miętówkę. – Smakujesz miętowymi krążkami cebulowymi. Zamierzałem zrobić ci niespodziankę, ale teraz chyba z niej nici.

– Słodko, że tak zaplanowałaś, i będzie to niespodzianka. Czy raczej, była to niespodzianka – poprawiłam się. – Co wolisz.

Expo to skrótowe określenie Wystaw Światowych. Tu chodzi o Światową Wystawę Kolumbijską, zorganizowaną w Chicago w 1893 r., dla uczczenia czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki. Była kolejną z wielkich ekspozycji prezentujących dorobek kulturalny, naukowy i techniczny krajów i narodów świata. Urządzono ją z niespotykanym rozmachem – na 2,5 km<sup>2</sup> wzniesiono ponad 200 prowizorycznych, ale i monumentalnych budynków. Trwała pół roku, a odwiedziło ją 27,5 miliona widzów (dla porównania, ówczesna populacja USA wynosiła 65 mln.). [\[wróć\]](#)

Scott Joplin (1868–1917), amerykański pianista i kompozytor, zwany Królem Ragtime'u [\[wróć\]](#)

Pomysł dość niefortunny, gdyż rasistowski stereotyp w USA głosił, że Murzyni mają duże zamiłowanie do arbuźów, stanowiących jakoby ich główne pożywienie na plantacjach, oprócz chleba kukurydzianego i kurczaków. [\[wróć\]](#)

Carry Amelia Nation (1846–1911), amerykańska aktywistka, członkini

Związku Kobiet za Chrześcijańską Wstrzemięźliwością, walczyła na rzecz abstynencji w sposób dość radykalny, np. demolując bary alkoholowe za pomocą kamieni, cegieł czy wspomnianego tu toporka. [\[wróć\]](#)

Amerykański magazyn poświęcony modzie. Ukazywał się od 1869 r. (do 1875 r. jako *The Metropolitan Monthly*) do 1937 r. [\[wróć\]](#)

Jane Addams (1860–1935), socjolog, pracownik socjalny, dziennikarka, amerykańska bojowniczką o pokój i reformy społeczne, przewodnicząca Międzynarodowej Ligi Kobiet na rzecz Pokoju i Wolności, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla w 1931. [\[wróć\]](#)

W sobotę Trey pożegnał się około dziesiątej, odrobinę wcześniej niż zwykle w weekendy. Chciałam, żeby się dobrze wyspał, skoro następnego ranka bladym świtem miał mnie odebrać przy Mauzoleum Lincolna. Ja osobiście wiele mam w sobie z nocnego marka i łatwiej mi też byłoby się „wykraść”, gdy Katherine i Connor będą spali, zaplanowałam więc, że zejdę do kuchni około północy. Bezpieczniej byłoby dokonać skoku bezpośrednio z mojego pokoju, miałam jednak opory przed dodaniem do listy stabilnych punktów kolejnego. Nie do końca wiedziałam, jak je likwidować, a wołałam nie budzić podejrzeń tego rodzaju pytaniami.

Stale łapałam się na zapominaniu, że zawartość mojej szafy i toaletki cokolwiek różni się od tego, co miałam w ich odpowiednikach w moim dawnym pokoju, dopiero więc niedługo po wyjściu Treya dotarło do mnie, że nie mam co na siebie włożyć „do kościoła”. Przerzuciłam trochę ubrań, które zamówiłam przez internet i zdecydowałam się na najbardziej szpanerską bluzkę w tym stosie, czyli luźną tunikę w motywy kwiatowe, i wąskie czarne dżinsy. Z butów miałam, poza trampkami i sandałami, czarne pantofle na płaskim obcasie, które ostatnio nosiłam do szkoły. Nie do końca udało mi się zamaskować otarcie w miejscu, gdzie Simon nadepnął na nie wówczas w metrze, ale musiały wystarczyć.

Nałożyłam odrobinę makijażu i małe złote kolczyki w kształcie kóleczek, potem spięłam z tyłu włosy pasującą do bluzki zapinką w kolorze brzoskwini. Kieszonkowe wydanie *Księgi Cyrusa*, które zamówiłam parę tygodni wcześniej, leżało na stoliku nocnym, tam gdzie wczoraj je zostawiłam. Był to jeden z dwóch dokumentów kluczowych dla cyrystów. Ten drugi, *Księga Proroctwa*, którą tak bardzo pragnął dostać w swoje ręce Connor, nie był publicznie dostępny, a przeznaczony wyłącznie do użytku kleru wyższego szczebla. Międzynarodowa Świątynia Cyrystów tak dalece chroniła prawa autorskie do *Księgi Proroctwa*, że nieliczni rozgorzyczeni wierni, którzy ujawnili jej fragmenty w sieci lub przywołali w wystąpieniach demaskujących hierarchów, uwikłani zostali w kosztowne procesy sądowe. We wszystkich przypadkach wygrane przez Świątynię.

*Księga Cyrusa* być może poległaby w podobnym boju, gdyby nie to, że ewentualne prawa do źródeł pisanych, z których ochoczo czerpała, wygasły w niepamiętnych czasach. Ten niewielki tomik zawierał mieszaninę cytatów z Pisma Świętego, Koranu i innych świętych ksiąg, dopełnioną tu i ówdzie oryginalnymi wtrętami. Przekonałam się, że działa skuteczniej od pigułki nasennej – pięć minut lektury, i powieki opadały.

Wetknęłam tę książeczkę w tylną kieszeń dżinsów, wsunęłam klucz CHRONOSA pod tunikę i omiotłam wzrokiem swoje odbicie w lustrze. Na ile

pamiętałam nabożeństwo, w którym uczestniczyłam z Charlayne, nie sposób byłoby mnie wziąć za gorliwą cyrystkę – gdybym nawet miała wytatuowany lotos – ale prezentowałam się na tyle dobrze, by uchodzić za obiecującą konwertytkę.

W ostatniej chwili wstrzymałam się jeszcze. Tak przywykłam do błękitnawego blasku medalionu, prześwitującego mi przez ubranie przy tych nielicznych okazjach, gdy zapuszczałam się poza strefę ochronną, że nie przyszło mi do głowy, iż gdy już znajdziemy się w świątyni, napotkam być może innych zdolnych dostrzec światło mojego klucza. Zdjęłam więc tunikę i zaczęłam wkładać, jedną na drugą, koszulki na ramiączkach. Dwie pierwsze były na tyle cienkie, że blask widać było dość wyraźnie. Z kosza na brudną bieliznę wyciągnęłam trzecią i dodałam do tamtych, a potem jeszcze czarny top – niemal wszystko, co w tej kategorii zawierała moja dość skąpa garderoba. Kiedy skończyłam, mogłam jeszcze wypatrzyć bardzo blade ślady tego błękitu, uznałam jednak, że kwiatowe wzory na tunice wystarczająco je zamaskują.

Źle się czułam, tak się wykradając. Nigdy dotąd sobie nie pozwoliłam na podobne naruszenie ciszy nocnej, choć o mało do tego nie doszło po jakiejś domówce u jednego z kuzynów Charlayne. Gdy Katherine lub Connor widywali mnie schodzącą w nocy na dół, problemu zwykle nie było – często nachodziła mnie chęć na przegryzkę o północy, ale nie bywałam wówczas w pełni ubrana i umalowana. Pogasiłam więc wszystkie światła, ale i tak uspokoiliam się dopiero, gdy już dotarłam do kuchni. Choć ręce trochę mi się trzęsły, wywołałam Mauzoleum Lincolna, skupiłam się na tej lokacji i ustawiłam czas na ponad siedem godzin później.

Trey czekał w tym samym miejscu, co poprzednio. W ciemnoniebieskiej koszuli i szarych spodniach od garnituru wyglądał bardzo przystojnie.

– A gdzie krążki cebulowe?

– Mam coś znacznie lepszego – odpowiedział, uśmiechając się. – Nabożeństwa nie zaczną się przed jedenastą, a jak wiem, talenty kulinarne Katherine i Connora... pozostawiają trochę do życzenia. – Ta ocena była nader łagodna, bo ilekroć zdarzało mi się spożyć u Katherine pełnowymiarowy obiad, to ja byłam tą, która go ugotowała. – Co więc powiedziałyby jubilatka na domowe śniadanie, którego nie musiałyby przyrządzać?

Doznałam opadu szczęki.

– Och, Trey, chyba nie powinniśmy. Co jeśli... – Nie przypuszczałam, by zjedzenie śniadania u niego w domu zwiększało ryzyko przyłapania mnie później – ale myśl o spotkaniu z jego rodziną też mogła przestraszyć, a po wyrazie jego twarzy widziałam, że dokładnie wie, co myślę.

– Tato będzie tobą zachwycony. Nie ma strachu. Już za późno, żeby odwołać, bo Estella zaczęła pitrasić. I zresztą nie chciałabyś odwoływać, bo jej *huevos divorciados* są *muy deliciosos*.

- Rozwiedzione jajka? – Gdy chodziło o hiszpański, nie bardzo mogłam się równać z Treyem, ale byłam dość pewna, że zrozumiałam, co powiedział.
- Zobaczysz – powiedział ze śmiechem.

∞

Estella była bardzo pulchna i miała najwyżej półtora metra wzrostu oraz jaskraworude loki, niewątpliwie odbiegające barwą od palety powszechnej w jej ojczystej Gwatemali. Ledwie otworzyła drzwi, zmierzyła mnie wzrokiem, a gdy ten osąd najwyraźniej dobiegł końca, przeszła do szerokiego uśmiechu i wciągnęła mnie do środka, by uściskać.

– Lars bierze prysznic, bo niedziela to jedyny dzień, gdy może się wyspać, ale zaraz zejdzie. Przepraszam, że nie ma tu mamy Treya, ale powitam cię w jej imieniu. Kiedy wróci z Peru, będzie uszczęśliwiona, mogąc poznać młodą damę, dzięki której jej dziecko się uśmiecha.

Rumieniec Treya po tym stwierdzeniu dorównywał zapewne temu, jak ja się zarumieniłam, a Estella, wybuchnąwszy śmiechem, zaprowadziła nas oboje do wielkiej żółtej kuchni. Odetchnęłam z ulgą, gdyż zanosilo się na to, iż śniadanie będzie nieformalnym posiłkiem w tejże kuchni, a nie oficjalnym spotkaniem przy długim stole, który kątem oka dojrzałam z przedpokoju. Estella zagoniła nas do przygotowania stołu i pokrojenia owoców, podczas gdy sama kursowała między lodówką a kuchenką, przeganiając wchodzącego jej w drogę (wyraźnie w poszukiwaniu swojego śniadania) Dymitra i zalewając mnie wodospadem pytań, nijak nie przerywającym jej pracy. Odpowiadałam najpełniej, jak mogłam, splatając kawałki swego dawnego życia (z mamą, tatą i Briar Hill) i obecnego, z Katherine i Connorem.

Zanim śniadanie było całkiem gotowe, Estella zdołała jeszcze trzykrotnie sprawić, że Trey się zaczerwienił. Usłyszałam o tym, jak zaczynał chodzić, o jego pierwszym spotkaniu z Wrózką Zębuszką, gdy miał sześć lat, a na koniec opowiedziała mi o Marisol, pierwszej dziewczynie, w której się zadurzył – „nie tak ślicznej jak ty, *querida*” – gdy przerwała, by przywitać tatę Treya.

– Siadaj, *mijo*. Przyniosę ci kawę.

Pan Coleman wzrostem niemal dorównywał synowi. Włosy miał ciemniejsze, ale wyraźnie było widać, po kim Trey odziedziczył uśmiech. Tak samo jak szare oczy, choć w tym przypadku nieco zniekształcone przez okulary w rogowej oprawie, w których wyglądał trochę jak starsza wersja frontmana z Weezera<sup>1</sup>.

– Kate! – powiedział, nieco bardziej rozchylając usta w uśmiechu. – Tak się cieszę, że jesteś rzeczywista. Już zaczynałem myśleć, że Trey wymyślił sobie



przyjaciółkę, żeby Estella przestała go ustawiać z pannami z jej kościoła.

– Hm. Bardzo to zabawne, *mijo*. – Estella wsunęła mu przed nos talerz, na którym widniały *huevos divorciados* – dwa jajka sadzone, jedno przybrane zielonym sosem, drugie czerwonym. Trey miał rację: były pyszne. Prawdę mówiąc, całe śniadanie było wyborne, a Estella tak nalegała, byśmy nakładali sobie więcej i więcej, że naprawdę zdziwiłam się, jak Trey, żyjąc w takich warunkach, mógł pozostać szczupły.

Cała nasza czwórka, koncentrując się na jedzeniu, angażowała się jedynie w typowe śniadaniowe pogaduchy, a potem pan Coleman zaskoczył mnie bardziej konkretnym pytaniem.

– Jak rozumiem, wybieracie się dziś rano, by trochę pobawić się w detektywów?

Z niepokojem spojrzałam na Treya, a on zaraz rzucił się wyjaśniać:

– Opowiedziałem tacie, że bardzo cię niepokoi tak nagłe zainteresowanie Charlayne cyrystami.

Reakcja Estelli raczej nie pozostawiała wątpliwości co do jej opinii w tej sprawie.

– Dobra z ciebie przyjaciółka, że się tak martwisz, *querida*. Ci cyryści to nic dobrego. Zawsze trąbią o bogactwach, jakie Bóg ześle w życiu doczesnym, o ile wykażesz się siłą, ale nigdy o tym, jak winno się traktować bliźniego. Jednego ranka oglądałam w telewizorze ich kaznodzieję, Patricka Conwella, a ten w kółko gada o pieniądzach i mówi, że pomnożą mi się po dziesięciokroć. To samo mówią w Atlantic City. Nie ufam im. Ty też im nie ufaj.

– Charlayne ma dobre serce – powiedziałam – ale wydaje się, że odrobinę... za łatwo na nią wpłynąć, rozumie pan? Dlatego się przejęłam.

Z uwagi na brak telewizora u Katherine, nie oglądałam transmisji nabożeństw, ale widziałam w internecie kilka odcinków z duchownymi cyrystów, w tym z Conwellem, obecnym przełożonym świątyni przy Szesnastej Ulicy. Uśmiech Conwella był po prostu zbyt nienaganny i wszystko w nim wrzeszczało mi, że to kant. Kiedy wcześniej w tym roku byłam tam z Charlayne na nabożeństwie, kazanie wygłosił jakiś starszy pan, założyłam więc, że Conwell stanowił jego odpowiednik na tej linii czasu. Tamten starszy pan nie wbił mi się w pamięć jako mówca, ale przynajmniej nie trąciło od niego sprzedawcą używanych aut, w odróżnieniu od Conwella.

Pan Coleman nałożył sobie na talerz trochę sałatki owocowej i uśmiechnął się do Estelli.

– Wiesz, Estello, że na płaszczyźnie filozofii zawsze się z tobą zgadzam, ale jako twój doradca finansowy muszę powiedzieć, że na radach cyrystów wyszłabyś znacznie lepiej niż na zaufaniu dealerowi z Atlantic City. Paru moich współpracowników to praktykujący cyryści i muszę przyznać, że ich portfele

giełdowe prezentują się świetnie. Rzekłby ktoś nawet, że podejrzenie świetnie. I choć nigdy nie przekonywały mnie żadne teorie spiskowe, to jednak... – Potrząsnął głową. – Nie byłbym skłonny przedstawić tego publicznie, bo cyryści mają całkiem niemało mocnych powiązań politycznych, ale dokonałem analizy statystycznej ich głównych inwestycji giełdowych z minionego roku. Z czystej ciekawości. Jeśli cię to interesuje, Kate, mogę ci ją przedstawić, gdy nas odwiedzisz następnym razem.

– Bardzo by mnie to interesowało, proszę pana. – Nie miałam wątpliwości, że Katherine i Connorowi takie informacje też bardzo by się przydały, nie byłam jednak pewna, jak mogłabym sobie pozwolić na kolejną wizytę przed wyprawą do Chicago.

Trey najwyraźniej pomyślał o tym samym.

– Mnie też interesowałoby zapoznanie się z tymi badaniami, tato.

– Nie ma sprawy. Po śniadaniu prześlę ci, co mam. Ale nie dziel się tym z nikim, poza Kate, zgoda? Nie żartowałem, mówiąc, że cyryści mają wysoko postawionych przyjaciół.

Ku memu zakłopotaniu, Trey wypaplał, że mam urodziny, i śniadanie zakończyły *bunuelos* – cudowne pączki, oblane miodem. W środku mojego tkwiła pojedyncza świeczka. Kiedy skończyliśmy, podniosłam się, by pomóc Estelli posprzątać ze stołu, ale pogoniła mnie tym samym gestem, którego używała w w odniesieniu do Dymitra.

– Idźcie, idźcie. Macie swoje plany. Ja już dzisiaj byłam na mszy i do końca dnia nie mam już nic innego do roboty.

Zerknęłam na zegar kuchenny.

– Prawdopodobnie musimy się zbierać, Trey, jeśli mamy znaleźć miejsce do parkowania. Tato Charlayne ostatnim razem musiał zaparkować sześć przecznic dalej.

Trey sprawiał wrażenie lekko zdziwionego, ale się pożegnaliśmy i poszliśmy do jego samochodu.

Od Świątyni dzieliło nas zaledwie kilka kilometrów i kiedy do niej dojeżdżaliśmy, pojęłam, czemu Trey nie przejął się parkowaniem. Tam, gdzie uprzednio był kompleks mieszkaniowy, kilka małych sklepików i parę tuzinów domków, znajdował się teraz trzykondygnacyjny garaż i mniejsze budynki z dobudówkami, również należące do cyrystów. Sama Świątynia, która, gdy odwiedzałam ją wczesną wiosną, mieściła się pomiędzy dwiema przecznicami, rozrosła się co najmniej dwukrotnie. W jej otoczeniu, które zapamiętałam jako cokolwiek zapuszczone, zaroilo się od szpanerskich knajpek, pojawił się Starbucks i kilka innych kafejek.

– I nic z tego nie jest nowe, co? – Skinęłam ręką w stronę garażu i pozostałych budynków.

Trey potrząsnął głową.

– Jeśli chodzi o te restauracje w dole, co parę lat coś się tam zmienia, ale reszta okolicy, jak daleko sięgam pamięcią, raczej zawsze tak wyglądała. Myślałem, że chciałaś tu po prostu przyjechać wcześniej z jakiegoś powodu.

Wjechał do garażu, na razie zapełnionego najwyżej w połowie, a potem poszliśmy w kierunku Świątyni. Poranek był piękny, choć coś ciężkiego w powietrzu zapowiadało gorące i duszne popołudnie. Przed nami do Świątyni szło już kilka rodzin oraz jakieś pary. Większość wystroiła się w najlepsze niedzielne ubrania, z niepokojem więc zerknęłam na swoje dzinsy.

Świątynia, moloch z białego kamienia i szkła, w blasku słońca wprost olśniewała. Główny budynek, i tak o wiele większy, niż zapamiętałam, sprawiał wrażenie jeszcze okazalszego za sprawą strzelistej wieży i położenia na samym szczycie wzgórza. Na wierzchołku wieży wznosił się symbol wiary cyrystów – wielki krzyż, podobny do chrześcijańskiego, ale zwieńczony kolistą pętlą, a u podstawy rozszerzający się niczym egipski ankh. Ramiona miał tak zaokrąglone, że poprzeczna belka – oglądana z tyłu – przywodziła na myśl symbol nieskończoności. Z przodu zaś, na samym środku krzyża, widniał kunsztownie wykonany kwiat lotosu.

Wspięliśmy się po schodach do głównego wejścia i w ślad za kilkoma innymi osobami weszliśmy do przestronnego foyer, niezbyt kojarzącego się z budynkiem, który odwiedziłam z Charlayne kilka miesięcy wcześniej. Tuż za drzwiami powitał nas strażnik, prosząc, byśmy zdjęli buty i przeszli przez wykrywacz metali. Dopiero w trakcie tej czynności przyszło mi do głowy pytanie, czy to urządzenie nie wykryje medalionu, ale strażnik już oddawał Treyowi jego portfel i klucze, wskazując drogę do głównej części foyer.

Przedśionek z chodnikiem, który pamiętałam z poprzedniej wizyty, zastąpiło wielkie, wysoko sklepienie atrium o posadzkach z polerowanego kamienia i łukowatej bramie, wiodącej do głównego sanktuarium. Promienie porannego słońca podkreślały biel wielkiej marmurowej fontanny, zajmującej środek atrium. Po jego lewej stronie znajdowała się kawiarnia wypełniona klientami, gawędzącymi przy kawie i muffinkach, a po prawej księgarnia z publikacjami cyrystów.

Zawędrowaliśmy z Treyem pod wejście do tej księgarni, gdzie z półkami zastawionymi kieszonkowymi wydaniem inspirujących książek prominentnych cyrystów sąsiadowały rozliczne płyty CD i DVD, T-shirty oraz najrozmaitsze pamiątki. Na poczesnym miejscu wyeksponowana była najnowsza publikacja Conwella, *Wiara i droga: Pięć kroków do wolności finansowej*. Do jego opalonej twarzy o długim orlim nosie jakoś nie pasowała starannie ułożona siwa fryzura i intensywnie białe zęby. To połączenie w dziwny sposób sprawiało, że wyglądał jednocześnie za staro i za młodo na czterdzieści siedem lat, które przypisywał mu

jego dostępny w internecie biogram.

Moją uwagę przyciągnęła okładka jednej z płyt przy regale z książkami i aż szarpnęłam Treya za rękaw.

– To jest to! To właśnie miał na koszulce! – szepnęłam.

– Kto miał na koszulce? – zapytał.

– Wtedy w metrze. Simon, gość, który zabrał mi plecak. Była mocno wyblakła, ale jestem pewna, że widziałam na niej to logo. – Wzięłam płytę i uważniej przyjrzałam się okładce. Na środku widniało oko z kwiatem lotosu z symbolu cyrystów, nałożonym na źrenicę. – Choć takiej kapeli nie znam – Aspire? Coś ci to mówi?

Trey uniósł brwi.

– No jasne, a tobie nie? To nie moja muzyka, ale od roku nie da się włączyć radia, by nie załapać się na jakąś z ich piosenek.

Posłałam mu wątlý uśmiech.

– Nie od mojego roku. A więc kolejny kandydat na naszą listę, nie?

Prowadziliśmy rejestr różnic w popkulturze tej nowej linii czasu. Program komputerowy Connora tropił nowych liderów ze świata polityki, którzy pojawili się po zmianie (około tuzina), a także odnotowywał ogólne zmiany na płaszczyźnie gospodarki oraz inne zjawiska, dające się przedstawić w postaci liczb, ale ani o nim, ani o Katherine nie można było powiedzieć, że starają się być na bieżąco z najnowszymi trendami w muzyce i rozrywce. Doliczyliśmy się przynajmniej dziesięciu kasowych filmów z ostatniej dekady, które powinnam była pamiętać, a nigdy o nich nie słyszałam, oraz kilku nowych dla mnie twarzy celebrytów i pisarzy, cyrystów, jak się nieodmiennie okazywało. Sięgając jeszcze dawniej, Trey zapoznał mnie z całym naręczem „klasyków”, których według mnie przed ostatnim zakłóceniem temporalnym nie znalazłoby się na liście lektur żadnego z kierunków studiów, dotyczących cywilizacji Zachodu.

– Zdaje mi się, że Aspire zdobyli Grammy w zeszłym roku, a może rok wcześniej – dodał. – Nie powiedziałbym, że to muzyka religijna, ale też nigdy nie wsłuchiwałam się w ich teksty.

Zza lady wyszedł koleś mniej więcej w naszym wieku i spytał, czy może pomóc.

– Nie, dzięki – odparł Trey. – Tak się tylko rozglądamy, bo do nabożeństwa jeszcze trochę czasu.

Koleś, którego identyfikator przedstawiał jako Seana, zerknął na płytę, którą wciąż miałam w ręku.

– Jesteście fanami? – spytał.

Trey pokręcił głową, ale ja przytaknęłam i obdarzyłam tamtego swoim najmiłym uśmiechem.

– Naprawdę podoba mi się ten ich nowy album. Słyszałam kilka kawałków

w internecie. – Odłożyłam CD na półkę. – Może zajrzę tu po nabożeństwie.

Sean sięgnął do tej płytki i poprawił to, jak leżała, choć według mnie nie była przekrzywiona.

– Widzieliście ich, kiedy tu byli?

Chyba się zmieszałam, bo zerknął mi na rękę, zapewne w poszukiwaniu wytatuowanego lotosu.

– Nie, nie – powiedziałam. – Nie jestem członkiem Świątyni – na razie. Choć już raz tutaj byłam, a dla Treya ten raz jest pierwszy.

Rozpromienił się w uśmiechu.

– Witajcie! Goście zawsze nas cieszą. – Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, przycisnął jakiś guzik i z powrotem go schował. – Tak, Aspire grali tutaj ze trzy miesiące temu. Impreza była tylko dla członków, inaczej zwałyby się tłumy. Ale sala i tak była nabita, trudno było nawet o miejsce stojące. – Wyciągnął rękę w kierunku Treya. – To jak ci na imię? Ja jestem Sean.

Trey uściśnął mu dłoń.

– Jestem Trey, a to K... – Przez ułamek sekundy się wahał, udając, że chrząka, potem dokończył: – A to Kelly.

Nie bardzo wiedziałam, czemu wolał nie podawać mojego prawdziwego imienia i posłużyć się innym, ale wyglądało na to, że przez resztę tego przedpołudnia pozostanę Kelly.

– Witaj, Sean – powiedziałam. – Miło było cię poznać. Może zobaczymy się później.

Lekko pociągnęłam Treya za łokieć, chcąc pokierować ku głównemu sanktuarium, ale Sean już trzymał mnie za drugą rękę. – Zaopiekują się wami akolity, powołane do obsługi gości w tym miesiącu. Już tu idą. Z radością odpowiedzą na wszelkie wasze pytania i przybliżą nasze działania wspólnotowe. Jeśli będziecie mogli zostać nieco dłużej, to macie szczęście, bo tuż po porannym nabożeństwie zapraszamy do Centrum Młodzieżowego na lunch akolitów.

Westchnęłam, mając nadzieję, że nie widać mego zirygowania. Orowadzanie przez grupkę żarliwych cyrystek wybitnie mi się nie marzyło. Gdy były już blisko, wraz z Treyem odwróciliśmy się jednak do nich i lekko mnie przytknęło, bo wśród trójki dziewcząt zobaczyłam Charlayne.

Grupa rockowa z Los Angeles. Gra od roku 1992 do dzisiaj, z niewielką przerwą w latach 1997–2000. Zaliczana jest do kategorii rocka alternatywnego, pop punka, emo oraz indie rocka. [\[wróć\]](#)

Włosy miała dłuższe, poza tym moja Charlayne uznałaby białą spódniczkę i bladożółty sweterek za zestawienie zbyt grzeczne nawet do kościoła, ale to niewątpliwie była ona. Podchodząc, chichrała się z czegoś z dziewczyną obok niej i na nic nie zwracała uwagi, dopóki jej wzrok nie spoczął na Treyu. Obejrzała go sobie od stóp do głów szybko, ale dokładnie, z uznaniem, jakim zawsze darzyła facetów, których uznała za ciacha, a potem i mnie zmierzyła wzrokiem, oceniając konkurencję. Tak, to w stu procentach było w stylu Charlayne.

I podsunęło mi pomysł. Szepnęłam półgębkiem do Treya:

– Ta w żółtym to Charlayne. Coś odegramy, dobra? Jesteś moim kuzynem. Chętniej z nami pogada, gdy pomyśli, że jesteś do wzięcia.

– Podstawiasz mnie jej?

Stłumiłam śmiech.

– Tylko na jakąś godzinę. Znam Charlayne z mojej linii czasu. Patrzyła na ciebie jak na gorące ciacho i jeśli okażesz się choć odrobinę miły, chętnie z tobą pogada.

Zabrakło mu czasu na sprzeciw, bo stadko akolitek już nas opadło. Sean przedstawił Treya, który z kolei przedstawił mnie jako swoją kuzynkę, Kelly. Słowo „kuzynka”: wypowiedział z leciutką irytacją, dostrzegalną najwyraźniej jedynie dla mnie. Uśmiech Charlayne z miejsca stał się jeszcze bardziej promienny.

Po kilku minutach ogólnych pogaduszek zgarnęły nas do głównego sanktuarium i posadziły w jednym z pierwszych rzędów. Okrągłe pomieszczenie bardziej przypominało salę koncertową niż wnętrze kościoła – na tyłach widać było nawet trzy wyniesione wyżej sektory miejsc, które skojarzyły mi się z łozami na stadionie lub w jakimś dużym teatrze, choć tamtych łoża zazwyczaj nie osłaniano czymś, co wyglądało mi na kuloodporne szkło. W tych trzech sektorach paliło się już światło, a dwa były już zajęte, przeważnie przez mężczyzn w starszym wieku i nieliczne kobiety w raczej drogich ubraniach.

I oto otwarły się drzwi trzeciego sektora, a potem weszli przez nie czterej muskularni mężczyźni, sprawiający wrażenie ochroniarzy, by skrzętnie go sprawdzić, zaglądając nawet pod fotele. Wyraźnie usatysfakcjonowani tym, że niczego nie znaleźli, wyszli, a w chwilę później wkroczyła tam Paula Patterson. Wciąż jeszcze ciężko było mi w niej widzieć panią prezydent, a nie nadal wiceprezydent. Za nią wszedł jej mąż, jegomość cokolwiek od niej starszy i grubawy, a także czterech synów, nastolatków i tych dość świeżo po dwudziestce. Ostatnia pojawiła się jej synowa w towarzystwie dwóch brzdąców, niezbyt chyba zachwyconych swą obecnością tutaj.

Przeniosłam wzrok na przód sali, gdzie widać było półokrągłą scenę

z wielkim ekranem plazmowym. Na jego środku zapłonął wielki symbol wiary cyrystów, otoczony zmieniającymi się co kilka sekund obrazami, ukazującymi główne pola ich działań misyjnych.

Na zewnętrznych ścianach widziało się na przemian wysokie okna witrażowe i panele z białego kamienia. Kilka okien przywoływało sceny z tradycji chrześcijańskiej, podobne do tych, które oglądałam w innych kościołach: Arkę Noego, Matkę Boską z Dzieciątkiem i tym podobne. W jednej z framug widniał też Budda, ale przeszło połowa wyraźnie odwoływała się do dziejów cyrystów. Znaczna część spośród nich przedstawiała wysokiego mężczyznę o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach i w białej szacie, to błogosławiącego dzieci, to uzdrawiającego chorych, to znów rozdającego złote monety wśród tłumu. Potrzeba było kilku minut, by zaświtał mi oczywisty fakt: że to mój dziadek, przebrany za brata Cyrusa.

Usiadłam, mając Treya po lewej stronie. Na prawo ode mnie klapnął jakiś koleś z grupy akolitów. Przez cały czas omawiał z innym akolitą z rzędu przed nami zalety trenera Baltimore Orioles, na nas raczej nie zwracając uwagi.

Charlayne siedziała na prawo od Treya, z drugiej strony mając przyjaciółkę, z którą nie przestawała gadać, wcześniej przedstawioną nam jako Eve. Ta dziewczyna była ubrana nienagannie i bardzo modnie, odniosłam też wrażenie, że sama jej torebka musiała kosztować więcej niż cała moja garderoba w czasach, zanim ostatnie zakłócenie temporalne zredukowało ją do ciuchów z ostatnich tygodni.

Miałam świadomość, że zazdrość o przyjaciółkę, którą na tej linii czasu znalazła sobie Charlayne, była czymś małostkowym, ale nie zmieniało to faktu, że byłam o nią zazdrosna. Miałam w życiu niewiele przyjaciół i trochę bolał mnie widok kogoś, kto zajął moje miejsce. Kątem oka przyjrzałam się Eve i pocieszyło mnie, że tusz ma rozmazany, a nos zbyt zakrzywiony, by uchodzić za piękność, choć jak przypuszczałam, z tym ostatnim bez trudu w ciągu roku czy dwóch poradziłby sobie chirurg plastyczny.

Trey, w przerwach pomiędzy odpowiedziami na pytania Charlayne, także popatrywał sobie na okna. Szturchnął mnie łokciem i nieznacznie skinął głową, wskazując witraż za mną. Młoda kobieta wznosiła ku górze ręce oraz oczy na środku jakiegoś ogrodu. Białą suknię bez rękawów spinał w talii pasek, z którego końca zwisał okazały brązowy medalion. Niesforne ciemne loki sięgały jej ramion.

W głowie odbiły mi się echem słowa Katherine – *wyglądasz zupełnie jak ona*. Nie żartowała.

Trey nachylił się do Charlayne i poprosił:

– Opowiedz mi o tych oknach! Tyle jest na nich szczegółów. Tam Cyrus uzdrawia chorych, ale kim jest ta kobieta tam... – gestem pokazał witraż za mną – ... i na oknie po drugiej stronie sali?

Odrobinę stężałam, niepewna, czy mądrze było zwracać uwagę na to okno, ale pragnęłam też usłyszeć odpowiedź Charlayne. Podczas przeszukiwania sieci natrafiłam jedynie na zdawkowe wzmianki o Prudence.

Charlayne obdarzyła Treya swoim najlepszym uśmiechem, wyćwiczonym, jak wiedziałam, przed lustrem.

– To jest siostra Prudence – wyjaśniła. – Prudence jest prorokinią, tak jak Cyrus, tyle że ona jest bardziej... uosobiona. Nigdy nie widziałam brata Cyrusa – nikt z nas go nie widział uosobionego, poza bratem Conwellem i jego rodziną – toteż niewiele mogę powiedzieć o witrażach, które przedstawiają jego. Ale siostra Prudence przedstawiona jest na witrażach bardzo wiernie.

– Czyżby artysta opierał się na fotografiach? – spytał Trey.

– Może i tak. Sądzę, że istnieją fotografie przedstawiające Cyrusa, choć nigdy na takie nie trafiłam. Ale siostrę Prudence widziałam tutaj, w Świątyni – udzielała święceń bratu Conwellowi, gdy zajmował miejsce swej matki, stając na czele tego regionu siedem lub osiem lat temu. Wydaje mi się, że zawsze to ona wyświęca przelożonych regionów.

– Och. – Trey na chwilę umilkł. – Nie wiedziałem, że ona żyje. Rzadko widuje się na witrażach podobizny osób żyjących.

Charlayne nie spieszyła się z odpowiedzią, jakby ważyła w myślach, co zaraz powie.

– Nieczęsto mówimy o tym poza Świątynią, ale i Prudence, i Cyrus żyją. Nie tylko tutaj... – uderzyła się w pierś – w naszych sercach, jak inni prorocy. Oni żyją naprawdę. Są wieczni.

Wskazała głową okno za mną.

– Ta podobizna, na przykład, powstała prawie sto lat temu. Te okna zachowano po wcześniejszej świątyni regionalnej w Wirginii. Moja mama jako małe dziecko widziała siostrę Prudence i opowiadała, że wciąż wygląda tak samo, jak wyglądała wtedy. – Charlayne uśmiechnęła się do mnie. – Wiesz, jesteś do niej podobna.

Odpowiedziałam nerwowym uśmiechem, żałując, że nie pomyślałam o okularach czy czymkolwiek innym, co pomogłoby mi choć trochę zmienić wygląd. Nawet do głowy by mi nie przyszło, że trafimy na witraże przedstawiające moją ciotkę sobowtórkę. Trey zgrabnie skierował rozmowę na jakiś inny aspekt doktryny cyrystów, szybko odwracając uwagę Charlayne. Obserwując go, stwierdziłam, że w odgrywaniu ról jest o wiele zręczniejszy ode mnie, i nie po raz pierwszy zamarzyłam, by mógł wraz ze mną skoczyć na Wystawę Światową.

Z rzędu przed nami podniosłam śpiewnik i zaczęłam go kartkować. Gdy latem odwiedzaliśmy dziadków ze strony taty, chodziłam z nimi do kościoła. To była mała wiejska parafia, bez ściśle określonego profilu wyznaniowego, a w śpiewanych tam hymnach zawsze znajdowałam pocieszenie.



Muzyka towarzysząca naszemu oczekiwaniu na rozpoczęcie nabożeństwa była bardziej współczesna, prawie newage'owa, ale kilka hymnów z tego śpiewnika rozpoznałam – *I będą deszcze błogosławieństw* oraz *W ogrodzie ja byłem raz sam*. Inne były nowe, jeszcze inne przypominały dawne hymny, tyle że słowa miały nieco inne. Stwierdzenie *Gdy będą gwiazdy w mej koronie* zastąpiło na przykład niegdysiejszą wersję, w której, jak zapamiętałam, pytano: *Czy będą gwiazdy w mej koronie?*. I choć niedokładnie pamiętałam tamten tekst, słowa z tego śpiewnika cyrystów – *po tym poznasz, że mi pobłogosławił, żem największy pałac sobie dziś postawił* – nijak nie pasowały do utrwalonego w mojej pamięci ducha owej pieśni.

Muzyka w tle ucichła na chwilę przed tym, nim z lewej strony sceny nadszedł brat Conwell. Miał na sobie ciemny, dobrze skrojony garnitur z białym kołnierzem typu „stójka” i długą stulę, założoną na ramiona. Uszyto ją ze złotego brokatu, zdobiąc na końcach dużymi, białymi symbolami wiary cyrystów. Z szyi zwisał mu klucz CHRONOSA, zawieszony na białej wstędze. Powinnam była się tego spodziewać, ale z jakiejś przyczyny widok medalionu, jasnoblękitnego na tle bieli i złota, całkiem mnie zaskoczył.

Kątem oka zobaczyłam, że koleżanka Charlayne mnie obserwuje, pozostało więc mieć nadzieję, że nie zauważyła po mnie, jak zareagowałam na medalion. Gdy spotkałyśmy się spojrzeniami, szybko się uśmiechnęła, a ja wróciłam wzrokiem do brata Conwella, starając się skupić na jego twarzy, a nie na rozjarzonym błękitnym kręgu nad jego brzuchem.

– Witajcie, bracia i siostry w ten wspomniały wiosenny poranek. – Błysnął promiennym uśmiechem, posyłając go wszystkim zgromadzonym, aż na tyły sali. – Pragniemy też szczególnie serdecznym powitaniem objąć panią i pani rodzinę, pani prezydent. Bardzo brakowało nam pani przez ostatnie kilka tygodni, pewien jednak jestem, że pani zagraniczna podróż dobrze się przysłużyła tak rozwojowi naszego wielkiego narodu, jak i Drodze.

Patterson obdarzyła zebranych uśmiechem i lekkim skinieniem głową. Conwell zaś podniósł ręce, wzywając nas do wstania do hymnu otwarcia. Światła przygasły i niewidoczna dotąd część sceny stopniowo zaczęła się odsłaniać, ukazując liczny chór i muzyków. Śpiewniki okazały się reliktem dawnych dni lub może rozłożono je jako niezobowiązującą lekturę przed nabożeństwem, gdyż tekst hymnu Poranek nastał zaczął się przewijać przez ekran plazmowy, nakładając się na pogodne obrazy natury.

Dwie pieśni i chwilę cichej medytacji później Conwell zaczął kazanie. Okazało się stosunkowo krótkie i bardzo podobne do cyrystowskich przesłań, jakie czytałam w internecie. W ciągu pół godziny, bo mniej więcej tak długo przemawiał, kładł silny nacisk na samodoskonalenie i rzucił co najmniej pół tuzina nader czytelnych odniesień do kwestii dziesięciny. Przy spotkaniu na żywo aura

charyzmy, którą Conwell wokół siebie roztaczał, była o wiele bardziej odczuwalna, niż w migawkach znanych mi z sieci, i nawet złapałam się na tym, że mimo założonej z góry niechęci do niego, kilka jego anegdot przyprawiło mnie o uśmiech.

Przy czytaniu responsoryjnym natomiast naprawdę przeszły mnie ciarki. Czytałam w internecie Deklarację Wiary Cyrystów, widniała też na wewnętrznej stronie tylnej okładki mojego kieszonkowego wydania *Księgi Cyrusa*. Chociaż wydawała się odrobinę nie z tej ziemi, nie różniła się zbytnio od tego, co czytałam o innych religiach, wierzących, że posiadły klucz do boskich mądrości i rezerwację w sektorze dla VIP-ów w zaświatach. Tu jednak, może za sprawą tego, że wyśpiewywało je głośno kilka setek ludzi, słowa te nabierały... mocy, bo tak chyba należałoby powiedzieć.

Światła znów przygasły, a gdy brat Cyrus przeszedł na bok, zapaliła się plazma w tle, ukazując grupę pojedynczych osób oraz rodzin, zróżnicowanych pod względem rasy i wieku, które z rozpromienionymi twarzami głośno: „Wybieramy Drogę, więc Błogosławieni jesteśmy!”, podczas gdy te same słowa przepływały u dołu ekranu. Te obrazy przeszły w kadr z olbrzymią tacą ofiarną, zasypywaną stosem złotych monet, co u mnie akurat wywołało dziwne skojarzenie z garncem złota, podsuwany przez złośliwego skrzata, a napis oznajmiał teraz: „Jak szczerzy będziemy dla Cyrusa, tak szczerze się nam powiedzie”.

Ta sama grupka twarzy, z nieco większą już powagą, oświadczyła: „Wybieramy Drogę, by móc dostąpić miana Wybrańców” na chwilę przedtem, nim na filmie pojawiła się jakaś apokaliptyczna sceneria z martwymi, poczerniałymi drzewami, ostro rysującymi się na tle czerwonego nieba – a głosy ciągnęły: „Gdy ludzie bronić Planety niezdolni, Planecie przyjdzie się samej obronić”.

Na ekran znów wróciła grupa cyrystów, teraz z całą gamą wyrazów twarzy, od determinacji po wzburzenie. „Wybieramy Drogę, więc Obrońcami jesteśmy. Wrogowie Drogi doświadczą Gniewu naszego oraz Osądzenia”. I ostatni wers Deklaracji: „Wybieramy Drogę, by móc dostąpić Zbawienia”, ukazujący tę grupę w wyraźnym poczuciu triumfu, stojącą przed bujnym, kipiącym zielenią ogrodem – w obliczu odrodzonej Ziemi, istnych Ogrodów Edenu. Treya najwyraźniej też wytrąciło to z równowagi, bo na chwilę przed ponownym zapaleniem świateł odnalazł moją dłoń w krótkim, krzepiącym uścisku.

Nabożeństwo zakończyły ogłoszenia – o cokwartalnym posiedzeniu zarządu w przybudówce tuż po jego zakończeniu, dwóch zapowiedziach przedślubnych i balu emeryta – a z krańców przejść między rzędami wyruszyli młodzi mężczyźni z tacami na ofiarę. To również powinnam byłam przewidzieć, choć i tak nie miałoby większego znaczenia, skoro mój ostatni dolar przepadł wraz z plecakiem w metrze. Gościowi z lewej, który podał mi tę tacę, odpowiedziałam przepaszającym uśmiechem, od razu przekazując ją Treyowi. On zaś do stosu

banknotów, czeków i kopert dołożył datek na tyle szczodry, że zasługiwał na gorącą aprobatę Charlayne i Eve, które z miejsca zaczęły mu szeptać o spotkaniu młodzieży tuż po nabożeństwie.

Korciło mnie, żeby pójść za Conwellem, zmierzającym niemal na pewno na to posiedzenie zarządu, które zapowiedział, nie byłam jednak pewna, czego właściwie szukać. Zdobycie egzemplarza *Księgi Proroctwa* byłoby miłe, ale jeśli wierzyć wszystkiemu temu, co wyczytałam w internecie, starszyzna Świątyni nie zostawiała ich ot tak sobie. Nowicjuszm i członkom wspólnoty podsuwano jedynie fragmenty; samą *Księgę* oglądali tylko nieliczni.

Podjezwiałam, że z posiedzenia zarządu wyłuskać by można ciekawe sygnały na temat kwestii finansowych, ale nasze szanse, by dostać się na to spotkanie, były zerowe, zwłaszcza że mogła w nim wziąć udział też Patterson. Tak więc najwyraźniej będę musiała poprzestać na tym, co wyciągnę od akolitek.

Wraz z Treyem opuściliśmy zatem tę salę w towarzystwie Charlayne i jej przyjaciółek, przy czym Charlayne prawie dosłownie przykleiła się do Treya. Zatrzymałam się przy pierwszej napotkanej damskiej toalecie. Eve i druga akolitka zrobiły to samo. Nie byłam pewna, czy to dlatego, że mnie śledziły czy musiały siku, bo weszły do dwóch kabin najbliższej wejścia i z miejsca przeszły do rzeczy. Ja wybrałam ostatnią kabinę w przeciwległym rzędzie i specjalnie się nie spieszyłam, licząc, że wyjdą beze mnie. Zaczekały, a gdy przystanęłam przy umywalce, żeby umyć ręce, na twarzy Eve wyraźnie było widać zniecierpliwienie.

Odwróciła się do tamtej drugiej dziewczyny i powiedziała:

– Mam nadzieję, że kiedy wreszcie tam dojdziemy, zostanie jeszcze jakaś przyzwoita pizza.

Pozostało mi tylko się uprzejmie uśmiechnąć i wyjść za nimi, a potem pójść długim korytarzem pod wielki i radosny szyld, witający nas w Klubie Młodzieży.

Jego wnętrze wydało mi się połączeniem sali gimnastycznej ze świetlicą, wzbogaconą o kilka mniejszych pokoików, ciągnących się wzdłuż zewnętrznych ścian, a przygotowanych z myślą o wykładach lub spotkaniach. Trey siedział przy długim stole piknikowym z Charlayne i resztą grupy, która podczas kazania zajmowała miejsca koło nas, i jak zauważyłam, nie tylko zajął mi miejsce, ale i zabezpieczył kawałek pizzy oraz dietetyczny napój gazowany.

Wcisnęłam się na tę ławkę.

– Dzięki. – Eve i moja druga koleżanka z toalety niemal jednocześnie głośno parsknęły i ruszyły ku stercie pudełek po pizzy na krańcu stołu, zobaczyć, czy coś zostało.

– Żaden problem, kuzyneczko – powiedział Trey. Popatrzyłam na niego tak, by zrozumiał, że nieco przegina, on zaś odpowiedział mi szybkim uśmiechem, po czym znów zajął się Charlayne.

– No więc przeczytałam prawie w całości *Księgę Cyrusa* i jest ona naprawdę

interesująca i w ogóle, ale ciężko mi z niej zrozumieć, czym zajmują się cyryści. W co wy wierzycie. Moja mama mówi, że nie każdemu przyznajecie członkostwo, że nie każdy nadaje się na Wybrańca. To prawda?

Charlayne poczuła się trochę niezręcznie.

– Właściwie i tak, i nie. W naszych nabożeństwach może uczestniczyć każdy, tak jak ty dzisiaj, prawda? Możesz też brać udział w spotkaniach akolitów, a także stać się członkiem naszego kościoła. Potem, z czasem, przekonamy się, czy zostałeś Wybrany. Nie każdy jest Wybrańcem. Musiałbyś przejść kilka lat nauk i przekonać się, czy jesteś w stanie otworzyć swój umysł na Drogę. I musiałbyś podporządkować się naszym regułom, pod pewnymi względami bardzo surowym, i dopiero wtedy... – Wzruszyła ramionami.

– Ci wszyscy tutaj to Wybrańcy? – zapytałam.

– Och, nie – odparła. – Jesteśmy jeszcze akolitami. Jeszcze nie zyskaliśmy niezależności. Większość z nas jeszcze się uczy, ale i potem... nie ma gwarancji, że się zostanie Wybrany.

– A ta wasza Deklaracja: „Wybieramy Drogę, by móc dostąpić miana Wybrańców”? Wszyscy to przecież powtarzacie podczas nabożeństwa!

– Owszem. – Przytaknęła, uśmiechając się z pobłażaniem. – „Wybieramy Drogę, by móc dostąpić miana Wybrańców”. „Wybieramy Drogę, by móc dostąpić Zbawienia”. Nie mamy pewności, że Cyrus nas uchroni, ale ci, co wybiorą Drogę, mogą znaleźć się pośród tych, którzy u Kresu zaznają łaski. Bo tylko Wybrańcy mogą być zbawieni. Ci, którzy nie słuchają i ignorują przestrogi zawarte w *Księdze Cyrusa*, nie mają na to żadnych szans.

Pomyślałam, że w porównaniu z innymi religiami, o których się uczyłam, to dość słaba obietnica, ale skinęłam głową i zrewanżowałam się uśmiechem.

Trey wziął kolejny kęs pizzy, a potem zapytał:

– To jak się dowiadujecie? Kto właściwie wam mówi, że ktoś został Wybrańcem?

– Z każdym przypadkiem jest inaczej. Większość ludzi rozpoznawana jest po ich darach: po stopniu, w jakim Bóg im błogosławi, gdy już zaczną podążać Drogą. Tak właśnie moi rodzice stali się Wybrańcami. Członkowie Rady i brat Conwell porównali stan ich kont sprzed przystąpienia ze stanem późniejszym i uznali, że Bóg okazał im łaskawość.

Eve, siedząca teraz naprzeciw Treya, wydłubała ze swojej pizzy plasterk kielbasy i popatrzyła na mnie z ukosa.

– Ale są też tacy, których rozpoznaje się po ich talentach. Oni są zdolni czynić cuda, zdolni prorokować. Czasem dostępują miana Wybrańców w bardzo młodym wieku. Brat Conwell na przykład Wybrany został w wieku lat trzynastu. Jego córka podczas swego pierwszego czytania z *Księgi Proroctwa* była jeszcze młodsza. Im pisane było zostać Wybrańcami, dlatego ich imiona są w tej *Księdze*

odnotowane.

– Wciąż trochę się w tym gubię. Przed czym konkretnie Cyrus obiecuje uchronić Wybrańców? – zapytał Trey. – Przed piekłem?

Ciemnowłosy chłopak obok Eve, który przed nabożeństwem rozprawiał o sporcie, roześmiał się.

– Cyryści nie wierzą w życie po śmierci. Nagrody przypadną wam za tego życia. Cyrus może uchronić Wybrańców przed Kresem. Świat, który znacie, czeka koniec, i to już wkrótce, jak wynika z przekazanych nam proroctw. Podczas gdy wszyscy inni zginą, Wybrańcy przeżyją. To oni będą przyszłością.

Dreszcz mnie przeszedł i chyba było to po mnie widać, gdyż Eve zmierzyła chłopaka surowym wzrokiem.

– Też coś, Jared. To takie rozmowy powinno się toczyć przy lunchu? Z gośćmi? – Odwróciła się do mnie z uspokajającym uśmiechem. – Wszystko to zostanie wyjaśnione na wykładach z eschatologii. Wierzcie mi, starszyzna wie na temat Kresu o wiele więcej niż Jared.

– Ja wolałabym się skupić na tym, że Droga daje nam środki umożliwiające szczęśliwe i udane życie tu i teraz – wyjaśniała Charlayne Treyowi. – I wbrew dość powszechnej opinii cyryści wiedzą, jak się dobrze bawić. Może was zainteresuje, że planujemy w następny weekend wyjazd do parku Six Flags.

– Pomysł jest świetny, Charlayne – stwierdziła Eve. – Czemu nie miałabyś szerzej przedstawić Treyowi tej wycieczki? Weź od niego e-mail, żebyśmy byli w kontakcie. Co do ciebie, Kelly, jeśli pozwolisz ze mną do biura, dam ci pakiety członkowskie, które odpowiedzą wam na wiele innych pytań. Nasze spotkanie akolitów zacznie się za parę minut, a niestety uczestniczyć w nim mogą tylko akolici, więc...

Charlayne wydeła usta, niezadowolona. Nie byłam pewna, czy zirytowało ją, że Trey będzie musiał się pożegnać, czy po prostu nie lubiła, gdy nią komenderowano, mimo wszystko bez słowa komentarza zebrała puste talerze i ułożyła je na swoim. Trey pospieszył jej z pomocą, zgarniając puszki po napoju, by wyrzucić je do śmietnika recyklingowego, ja natomiast podniosłam się, by pójść za Eve.

Spodziewałam się, że zabierze mnie do któregoś z pokojów na obrzeżu tej sali klubowej, ona jednak ruszyła w stronę wyjścia na jej drugim krańcu. Z lekkim niepokojem obejrzałam się na Treya, ale poszłam za nią. Skierowałyśmy się w lewo, w głąb korytarza, długością chyba prawie dorównującego boisku futbolowemu, urozmaiconego po obu bokach drzwiami do biur i paroma obrazami oprawionymi w ramy. Na jego końcu, tuż pod podświetlonym napisem WYJŚCIE, widziałam dwuskrzydłowe szklane drzwi, wychodzące na boczną uliczkę.

Wyglądała ona na tę, którą przecięliśmy, idąc z garażu – pomyślałam więc, że Eve może zmierzać do jednego z tych mniejszych budynków, które rzuciły mi

się tam w oczy. Ale ledwie przeszliśmy parę metrów korytarza, wyjęła z torebki znaczek zbliżeniowy i machnęła nim przed czytnikiem obok przeszklonych drzwi tuż po prawej. Gdy piknęły cicho, pchnięciem otworzyła je na oścież, wprowadzając mnie w kolejny, słabiej oświetlony korytarz.

– Już niedaleko – powiedziała wesoło. – Zwykle mamy w Klubie Młodzieży kilka zestawów członkowskich, ale... – Zawiesiła głos, gdy podeszliśmy do ostatnich drzwi po lewej, które też otworzyła swoim znaczkiem zbliżeniowym, by zaraz potem zapalić górne światło.

To pomieszczenie okazało się luksusowo urządzoną biblioteką o trzech ścianach zabudowanych regałami. Czwarta była ze szkła, z kamiennym kominkiem na samym środku. Krzesła przed nim skierowane były w stronę starannie utrzymanego wewnętrznego ogrodu, okolonego białymi ścianami sąsiadujących z nim budynków. Przy mniejszej wersji białej fontanny, którą widzieliśmy z Treyem w atrium Świątyni, raczyły się wodą dwa masywne, dobrze umięśnione dobermany.

Eve zamknęła za nami drzwi i oparła się o skraj dużego biurka pod jednym z regałów. Na prawo od niego stało biureczko znacznie mniej okazałe, a przed nim nieduże biurowe krzesło, które wskazała mi ruchem głowy.

– Równie dobrze możesz usiąść, Kate. Przyjdzie nam trochę poczekać.

Sekundę potrwało, nim dotarło do mnie, że powiedziała Kate, a nie Kelly.

– Nie wątpię, że Charlayne umili czas twojemu kuzynkowi – mówiła dalej. – Tej głupiej dziewczusze pochlebiło, gdy poprosiłam ją, by na porannym nabożeństwie usiadła przy mnie. Naprawdę nie pojmuję, czemu jej nazwisko figuruje w twoich aktach. Ona najwyraźniej ciebie nie pamięta.

Gdy tak trajkotała, ja nabrałam tchu i zaczęłam rozważać dostępne dla mnie opcje.

Opcja pierwsza – obezwładnić ją, póki jesteśmy tu same. Eve była szczupła i prawie nie miała mięśni. Byłam najzupełniej pewna, że szybko ją załatwię, zwłaszcza działając z zaskoczenia. Ważyła co najmniej pięć kilo mniej niż ja, wątpliwe mi się też wydawało, by była obyta ze sztukami walki. Wadą było to, że powinniśmy potem z Treyem pognać prosto do wyjścia, a nie miałam pojęcia, czy nie uprzedziła jakichś innych akolitów.

Opcja druga – wyciągnąć medalion i mieć nadzieję, że zdążę wywołać lokację w naszej kuchni. Biorąc pod uwagę, że Conwell paradował tu z kluczem CHRONOSA na piersi, mogłam mieć pewność, że był tu stabilny punkt. Prawie na pewno wy dostałabym się z tego budynku, tyle że nie zamierzałam ryzykować, że mogą Treya skrzywdzić.

Opcja trzecia – skoczyć do kuchni pięć minut przed startem, przekonać siebie, że ta wyprawa to bardzo zły pomysł, a potem iść spać. Wysłałabym Treyowi esemesa, odwołując wszystko. Estella i jego tato przeżyją rozczarowanie, ale to

mała cena za zapewnienie mu bezpieczeństwa. Choć wydawało się to kuszące, pomyślałam o ostrzeżeniach Katherine przed skutkami narażenia umysłu nawet na kilkuminutowe zderzenie dwóch rzeczywistości. Naprawdę poradziłabym sobie z pięcioma godzinami sprzecznych wspomnień? I co z innymi – czy Trey i wszyscy, z którymi się zetknęłam, będą musieli się zmierzyć z tym samym problemem? Pozostało mi przyznać, że zbyt mało wiem, by podjąć to ryzyko.

Najlepsza wydawała się pierwsza opcja, przed wykonaniem tego ruchu chciałam jednak wyciągnąć od Eve coś więcej. Byłam ciekawa, na kogo czekamy i kto dał jej cynk, kim jestem. Malujący się na jej twarzy uśmiech satysfakcji, gdy tak siedziała na blacie biurka, sugerował, iż rzeczywiście może być na tyle głupia, by chętnie się tym, z jaką bystrością wszystko skojarzyła.

Przyciągnęłam do siebie krzesło, obróciłam i usiadłam okrakiem, podsuwając je nieco bliżej biurka, na którym siadła jak na grzędzie, i opierając ręce na wyściełanym zagłówku. Pokręciła nosem na tę tak niekobiecą pozycję, ja zaś oceniałam, jak skuteczną bronią okaże się to krzesło, gdy wstanę, szybko i mocno waląc ją jego podstawą w podbródek.

Miałam już zapytać, skąd wie, kim jestem, gdy nagle uświadomiłam sobie, kogo mi przypomina.

– A więc jesteś córką brata Conwella? Tą, która została Wybrana tak młodo? Jej samozachwyty przygasł, zaraz jednak powrócił.

– Możliwe.

– Jasne, że to ty. I że podziwiasz go niemal tak bardzo, jak ja moją ciotkę Prudence.

– Wiedząc, jak bardzo jesteś do niej podobna, naprawdę zakładałaś, że wejdiesz między nas niepostrzeżenie? I to mając na sobie klucz CHRONOSA? Ochrona powiadomiła biuro, jak tylko weszłaś.

Bardzo mnie zaskoczyło, że wie o CHRONOSIE, postarałam się jednak zachować kamienną twarz.

– Dopuszczałam taką możliwość. – Wzruszyłam ramionami, licząc, że naiwnie połknie to kłamstwo. – Tak chyba nawet jest lepiej. Inaczej mogłabym stracić kupę czasu, dowodząc, kim jestem. A tak możemy od razu przejść do rzeczy.

Eve lekko uniosła brwi.

– Do rzeczy?

Potwierdziłam.

– Od swojej babki nauczyłam się zapewne wszystkiego, czego się dało. Tak jak to widzę, jest w tej walce bez szans, a mnie nie kręci bycie po stronie przegranych. Nie wiem natomiast jeszcze, czy twoja strona ma coś lepszego do zaoferowania. Kiedy tu będzie twój ojciec? Sądzę, że to bezpośrednio z nim powinnam rozmawiać.

– Posiedzenie zarządu trwa zwykle godzinę lub niewiele dłużej, spodziewam się, że to dzisiejsze zakończy się planowo, gdyż nie chcemy marnować czasu siostry Pauli. – Przywołanie imienia pani prezydent, w parze z najwyraźniej celowym pominięciem jej nazwiska, było tak pretensjonalne, że z trudem się powstrzymałam od przewrócenia oczami. – Tatusz jeszcze nie wie, że tu jesteś, nie chciałam mu przeszkadzać w przygotowaniach do nabożeństwa, uznałam też, że ucieszy go uroczą niespodzianką, gdy przyjdzie tu z posiedzenia. Bo one bywają tak stresujące.

Przesunęła się, by usiąść głębiej na tym wielkim biurku, krzyżując nogi w kostkach.

– Ale ty chyba nie masz dobrej pozycji przetargowej, nieprawdaż, Kate? Z tego, co słyszałam, jeśli zabiorę ci Klucz, przestaniesz istnieć.

Obdarzyłam ją najbardziej wrednym z moich uśmiechów.

– Chętnie zobaczę, jak próbujesz. – Kłamstwa było w tym niewiele, gdyż coraz bardziej marzyło mi się zmazanie z jej buźki nieustającego grymasu wzgardy. – A gdyby nawet ci się powiodło, co uważam za niemożliwe, naprawdę wierzysz, że zachwyciłabyś moją ciotkę lub mojego dziadka taką swoją decyzją? Skoro przysłałam tu sama z siebie, dobrowolnie?

To ją trochę usadziło.

– Nie widzę, czemu mieliby się tym przejąć. O ile wiem, żadnego z nich nigdy nie poznałaś.

– To prawda – przyznałam. – Ale wielu ludzi hołduje zasadzie, że krew nie woda. Masz świadomość, że cała czwórka moich dziadków... – Urwałam. Nie miałam pojęcia, ile wiedziała na temat CHRONOSA i początków brata Cyrusa, więc odniosłam się do tego oględnie – ...należała pierwotnie do CHRONOSA? Klucz na mojej szyi służy nie tylko utrzymaniu ciągłości mojego istnienia. Aktywowałam go, gdy pierwszy raz trafił mi w rękę.

Żachnęła się, potrząsając swoimi blond lokami.

– Nie ma takiej możliwości. To wymaga miesięcy, a w większości przypadków nawet lat.

Uniósłszy brew i mierząc się z nią wzrokiem, sięgnęłam pod bluzkę, by spod warstw ubrań wydobyć medalion.

– Jak wielu cyrystów, Eve, może się poszczycić krwią równie czystą jak moja?

Przez jej twarz prześliznął się cień niepewności. Wpatrywała się w klucz CHRONOSA nieledwie pożądliwie i przyszło mi do głowy, że pewnie dość rzadko zdarza się jej położyć rękę na czymś takim. Katherine zlokalizowała dziesięć kluczy z dwudziestu czterech, które wyniesiono w teren w chwili zagłady centrali. Gdyby nawet cyrystom udało się odnaleźć wszystkie pozostałe, obdzielenie tymi czternastoma tysiącami świętyń równało się nieprawdopodobieństwu. Wątpiałam



nawet, czy w którymś regionie znajdzie się więcej niż jeden.

– Jaki ma kolor według ciebie?

– Taki różowy – odparła, czujnie mi się przypatrując.

– Serio? Na różowo widzi go też mój tato. Dla mnie to błękit. –

Uśmiechnęłam się do niej i przesunęłam medalion na środek dłoni, jednocześnie wywołując wyświetlacz. Gdy w powietrzu między nami zawisły ikonki nawigacji, zaparło jej dech i rzuciła się ku mnie.

Oderwałam palec od środkowej części medalionu. Gdy ikonki zniknęły i na powrót schowałam go pod bluzką, rozluźniła się. Jej reakcja odpowiedziała mi na jedno przynajmniej pytanie: najwyraźniej, gdybym musiała się posłużyć kluczem CHRONOSA w tym biurze, byłoby to możliwe.

– Bez obaw – zaśmiałam się. – Nie mam najmniejszego zamiaru się żegnać.

– Posłałam jej coś, co miało wypaść jak uśmiech pełen współczucia. – Moja babka, Katherine, mówi, że nie spotkała nikogo zdolnego aktywować klucz równie szybko jak ja. Mnie też przepowiedziano w waszej *Księdze Proroctwa*? Według waszych kryteriów powinnam zostać zaliczona do Predestynowanych. I czy taka księga w ogóle istnieje? Słyszałam pogłoski...

– Istnieje – ucięła temat. – Każdy Starszy Świątyni posiada egzemplarz. I ciebie w niej nie ma.

– Pewna jesteś? Trudno mi uwierzyć, żeby Cyrus nie zapowiedział mojego przybycia, że nie zostało zapowiedziane, iż zapagnę wiedzy. – Pchnęłam krzesło jeszcze nieco bliżej i zniżyłam głos. – A może nie pozwalają wam poznać tej księgi w całości? Słyszałam, że Wybranym podsuwane są tylko skrawki proroctw, coś jak karteczki w ciasteczkach z wróżbą.

Zacisnęła zęby.

– Większość cyrystów widuje *Księgę* jedynie w dniu dołączenia do Wybrańców. Ja jednak tutaj mieszkam. – Zerknęła nad lewym ramieniem na regał za biurkiem. – Całej nie czytałam, to wymagałoby stuleci, ale na pewno mogę przeczytać wszystko, co będę chciała.

Popatrzyłam z powątpiewaniem.

– No, jeśli to prawda i jeśli wiesz, gdzie wymienieni zostali Wybrańcy, czemu nie miałybyśmy tego sprawdzić, skoro i tak czekamy? Jedno mniej będzie do roboty, gdy już przyjdzie twój ojciec. Bo albo figuruję w *Księdze*, albo Cyrus popełnił dość duży błąd.

– Cyrus nie popełnia błędów. – Obeszła krawędź biurka i przeszukała czwartą półkę, zastawioną wielkimi tomiszczami w ozdobnych oprawach. Jej ręka zacisnęła się jednak na znacznie mniejszej książeczce, w której od razu rozpoznałam jeden z dzienników CHRONOSA. Z okładką, ozdobioną jedynie widniejącym pod nim symbolem wiary cyrystów tuż obok napisu *Księga Proroctwa*, wytłoczonego prostymi złotymi literami.

Otworzyła książeczkę, ale po paru sekundach zatrzasnęła, wyraźnie zirytowana.

– Musimy poczekać. Nie mam... – Umilkła, szukając słowa. – No, tego przetwarzacza... Nie pamiętam, jak tatuś na to mówi.

– Aha – powiedziałam. – Chodzi o ten mały krążek do translacji? Mam taki. Proszę... – Podniosłam się i sięgnęłam ręką za ucho, mając nadzieję, że podejdzie bliżej, zanim go naprawdę odkleję. Obeszła częściowo biurko i zatrzymała się, czekając.

– A niech to! – zaklęłam. – Znów go upuściłam. Te krążki są okropne, to jak szukanie szkieł kontaktowych. – Schyliłam się, a chwilę później Eve chwyciła przynętę i dołączyła do mnie, lekko kucając, by przyjrzeć się dywanowi.

Wyrzuty sumienia miałam niewiarygodne, ale upomniałam siebie, że właściwie nie mam wyboru. Podniosłam w górę to krzesło biurowe i zamachnęłam się z impetem. Jedno z kółek odpadło i potoczyło się pod biurko, jak tylko pneumatycznie regulowana podstawa mebla zetknęła się z bokiem jej głowy. Eve poleciała do tyłu i walnęła jeszcze z hukiem głową w biurko, a potem osunęła się na podłogę.

Odczekałam krótką chwilę, a potem dotknęłam jej rzes, by się przekonać, czy nie udaje. Nie zatrzepotały, więc naprawdę była nieprzytomna, ale nie sposób było stwierdzić, jak długo ten stan się utrzyma, Ani też czy w tym pomieszczeniu nie ma ukrytych kamer bezpieczeństwa, pomyślałam z niepokojem.

Wtedy właśnie dotarło do mnie szczerzenie. Odruchowo się odwróciłam, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zaraz tego pożałowałam, bo oba dobermanym wpatrywały się we mnie przez szybę, z obnażonymi zębiskami.

Gdy już wykonałam kilka kroków w kierunku drzwi, przypomniałam sobie o znaczku zbliżeniowym. Leżał na biurku, obok *Księgi Proroctwa*. Chwyciłam obie te rzeczy, wetknęłam książeczkę za pasek dżinsów, pod te wszystkie warstwy moich koszulek, i najszybciej, jak potrafiłam, pognałam do drzwi.

Korytarz wciąż jeszcze był pusty. Przebiegłam nim ku drzwiom sali klubowej, mając nadzieję, że Trey jeszcze tam siedzi, a nie łązi gdzieś po Świątyni w towarzystwie akolitów. Zamachałam znaczkiem przed czytnikiem, zaglądając przez okienko.

Widziałam kilka grup, które obsiadły stoły, ale ani Charlayne, ani Treya z nimi nie było. Blokada dostępu zapiszczała i pchnęłam mocno drzwi, o mało nie przewracając Charlayne i Treya, szykujących się do otwarcia ich od tamtej strony.

– Hej, uważaj! – krzyknęła Charlayne, odskakując. – Widzisz, znalazła się, jak mówiłam. – Podeszła do mnie i spojrzała w głąb korytarza. – A gdzie Eve?

– Zabrakło pakietów – wyjaśniłam. – Poszła poszukać w głównym biurze... – Chwyciłam Treya za ramię i wyciągnęłam z sali.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Charlayne. – Masz jej znaczek zbliżeniowy.

Chwilę się jej przypatrywałam. To niewątpliwie nie była moja Charlayne, ale i tak źle się czułam, okłamując ją.

– Eve nie jest ci życzliwa, Charlayne. Wiem, że tego nie zrozumiesz, ale posłużyła się tobą, by dotrzeć do mnie. Uważaj na siebie, dobrze? – A potem cisnęłam znaczek w głąb sali, najdalej jak mogłam. Zgodnie z moimi oczekiwaniami popatrzyła na mnie ze zdumieniem i odwróciła się, by po niego pójść.

Zatrzasnęłam za nami drzwi.

– Ruchy – powiedziałam, wskazując głową wyjście na końcu korytarza i łapiąc go za rękę. – Musimy się stąd wynosić.

Przebiegliśmy już jedną trzecią drogi dzielącej nas od wyjścia, gdy gdzieś za nami otwarły się drzwi. Obejrzałam się przez ramię, spodziewając się, że zobaczę rozeźloną Charlayne pod salą klubową. Zamiast niej ujrzałam wściekłą Eve, po której policzku ściekała strużka krwi. Żeby nie upaść, opierała się o framugę szklanych drzwi. Koło niej usiłowały się przepchnąć dwa jeszcze bardziej rozwścieczone dobermany. Nogi Eve odmówiły posłuszeństwa i poleciała do przodu. Jeden z psów zawył, gdy na niego upadła, ale żadnego z nich to nie zniechęciło do ścigania łupu – czyli mnie.

Do wyjścia mieliśmy jeszcze dobre czterdzieści metrów i wiedziałam, że nie ma szans, żebyśmy się wydostali, zanim nas dopadną. Gdybym jednak jakoś odwróciła ich uwagę, Trey dałby sobie radę, zwłaszcza że jego długie nogi dawały większe susy, niż moje krótkie.

Wciąż biegnąc, wyrwałam spod bluzki klucz CHRONOSA, podczas gdy Trey ciągnął mnie za drugą rękę, bym pędziła szybciej.

– Nie damy rady, Trey, jeśli się nie rozdzielimy – powiedziałam. – Biegnij do samochodu. Ja zamierzam skoczyć do domu Katherine. To nasza jedyna szansa.

– Nie! – oświadczył, ciągnąc mnie jeszcze mocniej.

– Trey, proszę! Jestem pewna, że Eve wezwała ochronę! Uciekaj stąd! Dam sobie radę. – Wyrwałam mu rękę i jak najmocniej pchnęłam go w kierunku wyjścia, mając nadzieję, że wyglądałam na bardziej pewną siebie, niż się czułam.

Potem się odwróciłam, by stawić czoło rozjuszonym blisko stu kilogramom oraz kłom.

Psy wciąż biegły ku mnie, ale na widok medalionu zwolniły kroku i przestały ujadać. Odnalazłam dłonią jego środek. Jeden z psów zaskowyczał cicho, jak Daphne u drzwi biblioteki, i cofnął się o parę kroków. Drugi sprawiał wrażenie zdezorientowanego, ale nadal parł ku mnie, szczerząc zęby, o wiele za ostre, bym mogła czuć się pewnie.

– Nazad! Siad! – rozkazałam równie kategorycznie, jak uczyniłaby to jakaś Myszka Miki. Na psach nie zrobiło to wrażenia, ale wciąż bacznie wpatrywały się w medalion, podchodząc do mnie coraz wolniej.

Kusiło mnie, by obejrzeć się za siebie i zobaczyć, czy Trey rzeczywiście się wydostał. Nie słyszałam odgłosu otwarcia drzwi, ale możliwe, że psy nie dały mi tego usłyszeć. Nie odważyłam się jednak utracić kontaktu wzrokowego z nimi. Stałam więc nieruchomo, wydobyłam wyświetlacz i starałam się skupić na punkcie docelowym.

– Dobre pieski – szepnęłam. Dzieliły mnie od nich już tylko trzy metry; należało się spieszyć. – Waruj...

Większy i agresywniejszy z nich dwóch wyraźnie nie przejął się rozkazem „waruj”, gdyż znów się rozwarczał i skoczył na mnie. Wymierzyłam lewą nogą kopniak w jego pierś.

Niestety, niemal w tym samym momencie, gdy odrzucałam go tym kopnięciem, jego szczęki odnalazły moje udo. Krzyknęłam, gdy kły rozpruły mi dzinsy i wyryły w nodze dwie głębokie bruzdy. Wyświetlacz się rozmigotał, bo ręce mi się trzęsły, zdołałam je jednak uspokoić, zanim urwał się kontakt ze stabilnym punktem.

Z oddali dobiegło mnie wołanie Treya, wykrzykującego moje imię, i zbliżające się do mnie w szybkim biegu kroki.

– Nic mi nie jest! Trey, wracaj!

Pies alfa już się podniósł, tylne łapy mu się napięły, gotowe do skoku. Wiedziałam, że jeśli znów spróbuję go przyblokować, ponownie zgubię stabilny punkt.

Ułamek sekundy później pies znów wzbił się w powietrze, lecąc ku ręce trzymającej klucz CHRONOSA. Mogłam zrobić tylko jedno – zamrużyć, z nadzieją, że będzie dobrze.

Nie pamiętam, żebym wrzeszczała, ale musiało do tego dojść, bo to wrzask ściągnął Connora do kuchni. Gdyby się nad tym zastanowić, to przyznać trzeba, że taki wrzask byłby najzupełniej naturalną reakcją na fakt, iż blisko pięćdziesięciokilogramowy rozjuszony doberman znalazł się tak blisko, że przez krótką chwilę czułam woń jego sierści i ciepły oddech na mojej ręce. Gdy mimo upływu chwili zęby nie rozryły mi ponownie skóry, ostrożnie otworzyłam oczy. Ogarnęłam wzrokiem ciemną teraz kuchnię i osunęłam się na podłogę, łapiąc z trudem powietrze i oplatając pierś rękoma, by się uspokoić.

Connor i Daphne pojawili się w drzwiach chwilę później.

– Na Boga, coś ty zrobiła, Kate?

Gdy Daphne podeszła, by szturchać mnie nosem, posłałam Connorowi wątpy uśmiech.

– Pamiętasz, jaką książkę chciałeś wypożyczyć? – Wyciągnęłam spod bluzki *Księgę Proroctwa*. – Okazuje się, że cyryści szczują psami tych, co nie mają karty bibliotecznej.

Widziałam po jego oczach, że widok książki go uszczęśliwił, ale to uczucie nie miało żadnego przełożenia na resztę jego twarzy.

– Żartujesz sobie. Po co, u licha, było tak się narażać, żeby to zdobyć? Zakrwawisz całą tę cholerną podłogę.

Coś w tym było. Obrażenia nie należały do poważnych – prawie tak samo paskudnie się zacięłam, zgłębiając tajniki golenia nóg. Jednak tuż nad kolanem miałam dwie bliźniacze, kilkucentymetrowe rany. Ciemna plama na nogawce dzinsów powiększała się, a krew, kapiąca na marmurową podłogę, zdążyła już się zebrać w małą kałużę.

– Rad jestem tylko, że nie usłyszała cię Katherine. Na szczęście, gdy leki zaczynają działać, nic jej nie obudzi – powiedział, kręcąc głową. – Idę po bandażu. Nigdzie się nie ruszaj – dodał z naciskiem i raczej niepotrzebnie, gdyż należałoby uznać za wysoce nieprawdopodobne, że z krwawiącą nogą wyruszę na kolejną wyprawę.

Czekałam więc, z twarzą wtuloną w sierść Daphne, aż Connor wrócił z nożyczkami, ręcznikiem, maścią dezynfekującą, kilkoma opatrunkami z gazy i rolką plastra. Podźwignął mnie na jedno z kuchennych krzesel, rozciął nogawkę spodni i zaczął oczyszczać rany.

– Auć! – zawołałam, krzywiąc się pod dotykiem ręcznika, najwyraźniej nasączonego spirytusem.

– Siedź spokojnie, Kate. Masz szczęście, że nie było gorzej.

Wzdrygnęłam się, gdy w myślach wrócił widok lecącego ku mnie

dobermana. Connor nie do końca pojmował, jak wielkie miałam szczęście, ale nie sądziłam, by dobrym pomysłem było wtajemniczenie go w krwawe szczegóły. Nie odzywał się, dopóki nie skończył z przemywaniem ran, dezynfekowaniem i nakładaniem opatrunku.

Gdy już się z tym uporał, zmył krew z podłogi, a potem podsunął sobie krzesło i chwilę się we mnie wpatrywał.

– A więc?

Pokrótce przedstawiłam mu przebieg kilku ostatnich godzin. Skończywszy, podsunęłam mu wiadomą książeczkę.

– Nie po tę książkę się wybrałam. Nadarzyła się po prostu okazja, by ją zabrać, no to wzięłam. Wyruszyłam, by zobaczyć Charlayne. Jestem cała za tym, żeby zmienić tę linię czasu, bo chcę odzyskać rodziców, ale co do całej reszty... Cóż, dla mnie cyryści byli przecież od zawsze. Chciałam się przekonać, czy ci cyryści naprawdę są tacy... sama nie wiem, diaboliczni... za jakich chyba macie ich ty i Katherine.

– A są?

– Zapewne tak. – Wzruszyłam ramionami. – No dobra, są. Myślę, że planują coś dużego, a raczej Saul to planuje. Nie sądzę, by można o to obwiniać szeregowych członków, uważających, że wszystko jest już z góry przesądzone. Znasz Deklarację Wiary, prawda? „Wybieramy Drogę, więc...”.

Kiwnął głową, a więc mówiłam dalej:

– No więc traktują ją o wiele poważniej i przyjmują bardziej dosłownie, niż przypuszczałam.

– Nie dziwi mnie to – stwierdził. – Ci nieliczni cyryści, z którymi się zetknąłem, także na poprzednich liniach czasu, łykali bez problemu to, co im wpajano.

– Był tam taki koleś – powiedziałam. – Jest akolitą, członkiem ich młodzieżówki, i właśnie on opowiadał, że Wybrańcy zostaną zbawieni. I nie chodzi tu o karę na tamtym świecie, a o jakąś katastrofę. On powiedział, że Wybrańcy przeżyją, gdy wszyscy inni zginą. Że Wybrańcy będą przyszłością...

Connor chwilę milczał, wpatrując się w okładkę książeczki, potem podniósł wzrok.

– A zatem skoczyłaś z powrotem tutaj. A gdzie jest Trey?

– Akurat teraz śpi u siebie w domu, budzik mając nastawiony tak, by o siódmej zabrać mnie spod Mauzoleum Lincolna. – Nabrałam tchu. – Ale jeśli pytasz o to, co będzie po południu, myślę, że się wydostał. Nie wiem tego na pewno. Powiedziałam mu, żeby uciekał i że ja skoczę tutaj, bo nie mieliśmy innego wyjścia. Ale kiedy usłyszał, jak krzyczę, bo ten pies mnie uzał, pobiegł z powrotem do mnie.

Dolna warga mi zadrżała, a z oczu popłynęły łzy.

– Popeliłam błąd, ogromny. Nie powinniśmy byli tam jechać. Connor, oni wiedzą, kim jestem. Także dlatego, że jestem wręcz kopią Prudence. Jej podobizny są tam wszędzie, na przykład na witrażach. I... wydaje mi się, że obserwują nasz dom. – Przypomniałam sobie, jak tato Treya powiedział, że cyryści mają wysoko postawionych przyjaciół. – Jeśli wiedzą, że tu przebywamy i że Katherine mnie szkoli, nie rozumiem, czemu jeszcze nas nie najechali. Członkowie świątyni cyrystów wyraźnie robią wszystko, co nakażą im Saul i Prudence, a my jesteśmy tylko...

Przytaknął.

– Sam się nad tym zastanawiałem. Mamy system zabezpieczeń, i to nie jakiś tani. Daphne też jest świetna, gdy idzie o ostrzeżenie przed intruzami, przynajmniej przed tymi, którzy wchodzą i wychodzą w sposób konwencjonalny – dodał, przypatrując mi się zmrużonymi oczyma. – Ale dla kogoś zdeterminowanego, dysponującego pieniędzmi i odpowiednimi umiejętnościami, dostanie się tutaj byłoby dziecinną igraszką.

Skrzyżowałam ręce na stole i na chwilę złożyłam na nich głowę, przytłoczona ogromem tego, z czym się mierzymy i o czym tak mało wiemy. Gryzło mnie też potężnie coś jeszcze: lęk, że Trey znalazł się w tarapatkach, a mnie nie było – a raczej nie będzie – tam, by mu pomóc.

– Connor – zapytałam. – Powinam wrócić to naprawić? Powstrzymać siebie przed tą wyprawą? Powiedzieć Treyowi, żeby nie jechał na spotkanie ze mną? Wiem, co Katherine mówiła o próbach żonglowania dwiema rzeczywistościami, ale może...

– Nie, Kate. Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Po pierwsze, nie tylko ty byłabyś zmuszona żonglować dwoma zestawami wspomnień. Dotyczyłoby to wszystkich, którzy w tym czasie zetknęli się z tym medalionem. Katherine nie miałaby problemu, gdyż spała, ale Daphne i ja jesteśmy tu już od ilu? Piętnastu, dwudziestu minut? A ile było to dla was? Pięć godzin? Sześć?

Wyraz twarzy wciąż miał surowy, ale uściśnął mi dłoń krzepiąco.

– Nie. Wiem, jakie to ciężkie, ale pozostaje ci jedynie czekać. Jeżeli do niego zadzwonisz, może to spowodować jakąś zmianę, zwłaszcza jeśli rozpozna, że się martwisz lub że jesteś ranna. To mądry chłopak i mówiłaś, że był już blisko wyjścia. Nic mu nie będzie.

Connor wstał i podszedł do szafki, w której Katherine przechowywała większość swoich lekarstw. Parę minut w niej pomyszkował, wreszcie otworzył jakąś buteleczkę z lekiem na receptę. Napełnił szklanekę wodą wyjętą z lodówki, a potem podał mi ją wraz z małą czerwoną kapsułką.

– Połknij. Pomoże na ból nogi i powinna też ułatwić zaśnięcie. Jeszcze jedno... – dodał. – Nie palę się do tego, by powiadomić Katherine, jeśli nie będzie trzeba... Nie chcę jej niepokoić. Lepiej więc wymyśl jakieś logiczne uzasadnienie

tych obrażeń.

Nawet jeszcze nie myślałam o tym, jak to stanę przed Katherine, opowiadając, że w swej głupocie wmaszerowałam do jaskini Iwa tylko po to, by zaspokoić swoją ciekawość odnośnie do cyrystów, toteż niebywale mnie ucieszyło, że Connor woli utrzymać to w tajemnicy.

– Nie powinno być z tym problemu – powiedziałam. – Pośliznęłam się pod prysznicem, zacięłam maszynką. Jest już po opatrunku, nie zobaczy, że wygląda to inaczej. Ale... – Ruchem głowy wskazałam *Księgę Proroctwa*. – O tym przecież będzie musiała się dowiedzieć?

– Kiedy już skopiuję zawartość do komputera, usunę okładkę, a resztę wepchnę między inne zebrane przez nas dzienniki.

– A nie zdziwi jej, skąd masz te informacje? – spytałam. – Wiadomo, że od jakiegoś czasu starałeś się je zdobyć...

– Nie do uwierzenia, co można znaleźć na WikiLeaks – stwierdził z absolutnie kamienną twarzą. – Sam nie wiem, czemu wcześniej nie wpadłem na to, by tam zajrzeć. Uwierzy mi, Kate, zrobię to przekonująco. A gdy już skończymy analizowanie tych wszystkich danych... – uśmiechnął się szeroko – ...niewykluczone, że książeczka rzeczywiście trafi na WikiLeaks.

Connor poszedł na górę, do biblioteki, zapewne po to, by użyć swej magii na *Księdze Proroctwa*. Ja połknęłam czerwoną kapsułkę, którą mi dał, a potem drugimi schodami ruszyłam do swojego pokoju, zabierając ze sobą resztę bandaży.

Pół godziny później lek przeciwbólowy zaczął zastępować pulsowanie w nodze odrętwieniem – prawdę mówiąc, cała czułam się cokolwiek odrętwiała – ale jeszcze trochę potrwało, zanim mogłam zasnąć. Wciąż słyszałam głos Treya, wołający mnie, i widziałam zbliżające się ostre, białe zębiska. I jeszcze krzesło walące Eve w głowę, w zwolnionym tempie i pełnym kolorze. Pomimo, że ogólnie okazała się wredna, czułam się trochę winna, że do tego doszło, i miałam nadzieję, że wydobrzeje.

∞

Obudziłam się przed dziesiątą i wzięłam gorącą kąpiel, podchodząc do tego jednak bardzo ostrożnie ze względu na zranioną nogę. W okolicy ran zaczął pojawiać się siniak po zderzeniu z pyskiem psa i naszła mnie wkurzająca myśl, że to kundlisko zapewne wyleguje się teraz na słoneczku w tamtym ogródku, a od naszego spotkania dzieli je parę błogich godzin. Pocieszyłam się świadomością, że po południu nie będzie się już czuł tak dobrze – byłam najzupełniej pewna, że kopniak, który wymierzyłam mu w pierś, spowodował obrażenia znacznie większe od tych, którymi on poznał moją nogę.



Trochę nie mieściło mi się w głowie, że mniej więcej teraz Trey i ja gawędzimy z jego tatą i Estellą. Chociaż burczało mi w tej wersji brzucha, pozbawionej jedzenia od dobrych dziesięciu godzin, druga ja opychałam się po uszy *huevos divorciados*, tortillami i *bunuelos*. Na myśl o tym poczułam się jeszcze bardziej głodna i z niechęcią wygramoliłam się z wanny, na nowo obandażowałam nogę i ubrałam się, by ruszyć na poszukiwanie śniadania.

Wpuściłam do domu Daphne, ciesząc się, że przy moich cheerios będę miała jakieś towarzystwo. Sądząc po talerzach w zlewie oraz po tym, że musiałam sobie odgrzać resztkę kawy, Katherine i Connor zjedli kilka godzin wcześniej.

Prawdopodobnie ślęczeli już nad dokumentami, które Connor cudem znalazł w internecie, ale nie paliło mi się teraz do spotkania z nimi w bibliotece. Mój talent do przekonujących łgarstw osiągnął już szczyty: udawanie, że jestem zaskoczona dokonaniem przez Connora odkryciem równocześnie z udawaniem, że nie wariuję z niepokoju o Treya – wszystko to wydawało się zadaniem ponad siły. Alternatywny wariant jednak – rozmyślanie w samotności o Treyu i tym totalnie schrzanionym dniu przez następne dwie lub trzy godziny – mimo wszystko jeszcze mniej mi się podobał.

Tak jak się spodziewałam, byli oboje w bibliotece. Gdy weszłam, Katherine podniosła się z krzesła przy oknie. Trzymała w ręku jeden z dzienników, który jak niebezpiecznie podejrzewałam, jeszcze wczoraj nie nosił na okładce tytułu *Księga Proroctwa*.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Kate! Connor ma... O rany, Kate! Co sobie zrobiłaś w nogę?

Przedstawiłam jej przygotowaną legendę i wyjaśniłam, że nie jest tak źle – bo mówiąc szczerze, przez ten wielki bandaż wyglądało to znacznie groźniej, niż było w istocie.

Uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Powinnaś bardziej uważać, skarbie. Ja miałam szczęście: wszystkie te nieestetyczne włosy wydepilowano mi laserowo, gdy byłam młodsza od ciebie, ale pamiętam, jak Deborah, mając nieco mniej lat niż ty teraz, zacięła się w łydkę czymś okropnym. Tak czy inaczej – kontynuowała, prowadząc mnie ku komputerom – Connor ma dla ciebie wspaniały prezent urodzinowy – no, właściwie to dla nas wszystkich.

Udałam zaskoczenie, gdy Connor odsłonił *Księgę Proroctwa*, dla łatwiejszego przeszukiwania przeniesioną na twardy dysk i zainstalowaną w dwóch dziennikach CHRONOSA, na wypadek gdyby nasza nasza chęć na odrobinę lektury przy kominku. Zerknąwszy jednak na kilka pierwszych stron, poważnie zwątpiłam, że ta książka spełni moje oczekiwania jako coś lżejszego do czytania.

W *Księdze* trudno było doszukać się jakiegoś porządku: dziwaczne strzępy „przepowiedni” dotyczących polityki i spraw społecznych zestawiono z poradami

inwestycyjnymi, aforyzmami i pustymi frazesami. A potem, mniej więcej co dziesięć stron, sympatyczny materiał reklamowy, jak to podążając Drogą Cyrusa można zostać nagrodzonym ponad miarę najśmielszych marzeń. *Księżde Cyrusa* można było zarzucić wtórność i zrzynanie z całego mnóstwa innych świętych tekstów, ale przynajmniej miała w sobie coś z poezji i była względnie spójna.

*Księga Proroctwa* natomiast bardziej przypominała mi oferty telezakupów, puszczane nocą w telewizji – kiedy, jak wiadomo, człowiek jest tak zakręcony, że prawie wszystko wydaje mu się sensowne. Ciężko pojąć, czemu Connor uważał, że będzie tak ważna.

Czytanie jej było na swój sposób zabawne, podobnie jak zabawne bywa klikanie kolejnych linków w internecie na zasadzie ciągu skojarzeń myślowych – kiedy to od pierwotnego tematu odpływa się tak daleko, że trudno sobie przypomnieć, od jakich poszukiwań się zaczęło. A ja i tak co jakieś dziesięć minut zerkałam na zegar, usiłując sobie przypomnieć, co teraz właśnie robią moja druga wersja i Trey.

O dwunastej czterdzieści nie wytrzymałam. Wyszłam z biblioteki do swojego pokoju. Telefon na kartę, który Connor kupił mi kilka tygodni wcześniej, leżał na biurku, obok laptopa.

Wiedziałam, że Trey przed nabożeństwem wyłączył telefon – a może tylko przełączył na wibrację? Miałam jednak nadzieję, że pamiętał, by ponownie go włączyć po tym, jak poszliśmy z akolitkami do sali klubowej. Wysłałam mu krótki esemes, na tyle ogólnikowy, że nie powinien go zbytnio zaniepokoić: „Uciekaj jak powiem ruchy. Nie oglądaj się. Wróciłam do domu ok.” – i wsadziłam telefon do kieszeni szortów.

Jeżeli nawet było prawdą to, co Katherine i Connor opowiadali o problemach, związanych z godzeniem sprzecznych wersji rzeczywistości, ja byłam teraz w biurze, razem z Eve, lub właśnie tam zmierzałam. Do czasu skoku będę widzieć Treya jedynie przez kilka minut, za bardzo więc mu chyba nie namieszam?

Gdy wróciłam do biblioteki, Katherine była na parterze, prawdopodobnie w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego na lunch. Ponownie zajęłam mój fotel przy oknie, ale nie mogłam się zmusić do kontynuowania lektury.

– Nie wiedziałem, że ludzie faktycznie obgryzają sobie palce – oznajmił Connor. – Sądziłem, że to tylko taka figura retoryczna. Ta książka naprawdę tak trzyma w napięciu?

Spojrzałam na swoje ręce i przekonałam się, że miał o czym mówić. Wrócił mój dawny nawyk: kostki dwóch palców lewej dłoni były jasnoczerwone.

– Absolutnie nie – odpowiedziałam. – Wiesz, czym się denerwuję.

Lekko się uśmiechnął.

– Da sobie radę, Kate.

– Też tak sędzę. Teraz już tak – przyznałam niechętnie. – Postanowiłam wykupić mu małe ubezpieczenie.

– Co rozumiesz przez ubezpieczenie? – zaciekawił się.

– Wysłałam mu esemesa. Mniej więcej dwie minuty temu. Napisałam, żeby uciekał i że wróciłam do domu bezproblemowo. To nie mogło wiele zmienić, będziemy się widzieć potem tyle co nic, i mam tylko nadzieję, że po zakończeniu nabożeństwa włączył telefon.

Connor cicho zachichotał, potrząsając głową.

– Nie ma większego znaczenia, czy włączył, czy nie.

– A czemu to? – zapytałam.

– Zanim poszedłem spać, około czwartej nad ranem, też wysłałem mu wiadomość. Napisałem, żeby trzymał się blisko drzwi sali klubowej, żeby uciekał, gdy każesz uciekać, i obiecałem, że bezpiecznie wrócisz do domu. I zaleciłem, by w żadnym razie nie dał ci poznać, że do niego esemesowałem.

– A więc... to dlatego był wtedy tuż przy drzwiach! Bałam się, że będę musiała go szukać. Ale mówiłeś, że nie powinniśmy...

– Mówiłem, że ty nie powinnaś – sprostował. – Ale przemyślawszy to, uznałem, że niewiele zaryzykuję, kontaktując się z nim.

– Nie mogłeś mi powiedzieć? Prawie sobie zżarłam te przeklęte paluchy!

Wzruszył ramionami.

– Jak niby miałem to zrobić? Podrzucić ci liścik? Cały ranek była tu Katherine. Ale o wilku mowa ...

Gdy zawiesił głos, usłyszałam dobiegające od strony schodów kroki Katherine. Chwyciłam dziennik i udawałam skupioną na nim, podczas gdy Katherine i Connor spierali się o znaczenie któregoś skrawka „proroctwa”.

Kiedy mniej więcej dwadzieścia minut później w kieszeni rozdzwonił mi się telefon, poderwałam się tak szybko, że książka poleciała na podłogę. Katherine wymamrotała coś na temat należytego postępowania z zaawansowaną technologią CHRONOSA, ale ja już byłam za drzwiami.

Odebrałam, jak tylko znalazłam się w sypialni. Wiedziałam, że to musi być Trey, inną możliwością mogłaby być wyłącznie pomyłka, ale i tak odczułam ogromną ulgę, gdy na wyświetlaczu pojawiło się jego imię. A potem przyszło mi do głowy coś innego: oto Eve lub ktoś z ochrony cyrystów dzwoni, by powiedzieć, że zatrzymali Treya, a może nawet że...

– Trey? – Głos mi się łamał. – To ty? Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

Nastąpiła krótka pauza, ale to jego głos odpowiedział w końcu:

– To ja i nic mi nie jest. Za kilka przecznic wjadę na obwodnicę.

Siadłam na skraju łóżka i głęboko odetchnęłam.

– Trey, tak się bałam. Słyszałam, że do mnie biegniesz, i nie wiedziałam, czy zdążyłeś na czas zawrócić, ani czy Eve nie wezwała ochrony. Dostałeś mojego

esmesa?

– Nie, ale widzę, że czeka w Odebranych. Dzwonię najszybciej, jak mogłem. Rano dostałem esemesa od Connora, ale prosił, by ci o nim nie mówić. Nie jestem pewien, czy gdybym wiedział, w co się pakujesz, przystałbym na to. A tobie nic nie jest? Tamten pies był wielki i wyglądało, jakby ci się rzucał do gardła!

– Próbował. Dziabnął mnie raz, w nogę, ale niezbyt głęboko, bo dostał bardzo mocnego kopniaka. Tak się cieszę, że nie przestałeś biec.

Zaśmiał się drwiąco.

– Nie sądzę, by coś dało, gdybym zaczekał. Strasznie łupnął w podłogę i był też dość... no, powiedzmy, że żaden z nich nie miał raczej do czynienia z ofiarą, która rozwiewa się w powietrzu. Rozszczękały się znowu, jak byłem już prawie w garażu – a że były za zamkniętymi drzwiami, to...

– Pewien jesteś, że nikt cię nie śledzi czy coś?

Przez chwilę panowała cisza, bo pewnie sprawdzał lusterka wsteczne.

– Wydaje się, że nie.

– I tak się nie rozłączę, dopóki tu nie dojedziesz.

Na drugim końcu linii nastąpiła dłuższa chwila ciszy i mój umysł natychmiast przeszedł w tryb alarmowy. Czyżby ktoś był z nim w samochodzie? Czyżby nadal mu coś zagrażało?

– Trey? Co się dzieje?

– Nic – odpowiedział. – Naprawdę. Kate, wszystko w porządku. Nie rozłączę się, jeśli przez to poczujesz się lepiej, ale nie mów o tym Katherine, dobrze? Obiecałem, że po drodze zajadę odebrać twój tort urodzinowy, i sądzę, że to ma być dla ciebie niespodzianka.

∞

Impreza urodzinowa sprawiła mi frajdę, jeśli nie liczyć chwil, gdy ścisnęło mnie w gardle na myśl, że to moje pierwsze urodziny bez mamy i taty. Mieliśmy pizzę – nie mogłam się przyznać Katherine, że my z Treyem jedliśmy zaledwie kilka godzin wcześniej, a Katherine odkorkowała butelkę wina, żeby wznieść toast. Przed napełnieniem kieliszka Treya zawahała się, chociaż zapewnił ją, że jego rodzina podchodzi do spożywania wina bardzo po europejsku. Potem wzruszyła ramionami.

– Biorąc pod uwagę, że na tej linii czasu formalnie nie ma mnie wśród żywych, dość wątpliwe, by władze przejęły się faktem deprawowania przeze mnie nieletnich.

Tort był haniebnie dekadentki i ociekał czekoladą dokładnie tak, jak powinien ociekać tort urodzinowy. Trey podarował mi kilka T-shirtów

z zabawnymi tekstami i złoty łańcuszek, cały z połączonych maleńkich serduszek. Prezentem od Katherine i Connora okazała się mała kamera wideo, której użyliśmy, dokumentując dalszy ciąg przyjęcia, łącznie z głupim filmikiem o tym, jak Daphne stara się ściągnąć mi z głowy kartonową urodzinową koronę.

Wciąż jeszcze okropnie się czułam z tym, że naraziłam Treya na takie niebezpieczeństwo. Trudno mi było się uwolnić od tego panicznego lęku, który odczuwałam, dopóki nie przyjechał. Myślę, że i on odczuwał coś podobnego – oboje szukaliśmy pretekstów, by się wzajemnie dotykać, upewniając się, że naprawdę tu jesteśmy.

Gdy już zjedliśmy i zakończyliśmy imprezę, Connor pokazał Treyowi *Księgę Proroctwa*. I przynajmniej Trey nie musiał udawać zaskoczenia – nie miał pojęcia, że udało mi się wynieść z naszej wyprawy coś materialnego.

Po kilku minutach zostawiliśmy Katherine i Connora nad ich analizami i przeszliśmy do mojego pokoju. Jak tylko drzwi za nami zamknęły się ze szczękiem, Trey przyciągnął mnie do siebie. Po bardzo długim pocałunku odsunął mnie na długość swoich rąk.

– Kate, diabelnie mnie wystraszyłaś. Co się tam wydarzyło? Wprawdzie po tym esemesie od Connora, spodziewałem się, że coś się zdarzy, ale...

– Ona wiedziała, kim jestem. Udało nam się wydostać stamtąd jedynie dlatego, że Eve chciała zrobić wrażenie na swoim tacie. Zapragnęła zaskoczyć go tym, że sama mnie zatrzymała.

– Na swoim tacie? – powtórzył Trey.

– Na Conwellu – wyjaśniłam. Siadł na sofie, a ja przytuliłam się do niego.

– Uderzyło mnie to dopiero wtedy, gdy już znalazłyśmy się w tamtym biurze: takie same oczy, taki sam nos. Powiedziała, że jak tylko weszliśmy, ochrona Świątyni wykryła klucz CHRONOSA i powiadomiła o tym biuro Conwella. Eve akurat tam była, gdy przyszła ta wiadomość. Nie chciała zwracać Conwellowi głowy przed nabożeństwem, a ochrona i tak miała ręce pełne roboty z powodu posiedzenia zarządu, więc...

Uzupełniłam łańcuszek o elementy, których nie znał: o moją ucieczkę z rąk Eve i o dobermanów w wewnętrznym ogrodzie. Uniósł skraj opatrunku na mojej nodze i odrobinę się skrzywił.

– Przypuszczam, że mogło być znacznie gorzej – powiedział.

– No. Mieliśmy szczęście. Tak bardzo, ale to bardzo, przepraszam, że cię w to wciągnęłam – powiedziałam. – To było tak głupie i nieodpowiedzialne, i...

Zaprzeczył.

– To ja powinienem się przed tobą kajać. Ty nie wiedziałaś, w co się pakujemy. Ja jechałem, wiedząc, że będę musiał uciekać, a więc że szykuje się jakieś zagrożenie, ale miałem słowo Connora, że nic ci się nie stało. Nie wiedziałem, że odniesiesz obrażenia. Powinienem był ci powiedzieć...

– Postąpiłeś właściwie, Trey. I może było warto. Może w tej głupiej książeczce znajdzie się coś, co nam pomoże.

Następne kilka godzin spędziliśmy na rozmowach o wszystkim i niczym, zwyczajnie szczęśliwi, że jesteśmy razem, i to bezpieczni. To oczywiste, że żadne z nas nie kwapiło się z przypomnieniem, że czas się pożegnać, wiedziałam jednak, że rano czeka go końcowy test z trygonometrii, i chociaż z oporami, ale wypchnęłam go za drzwi trochę po dziewiątej.

Patrzyłam, jak odjeżdża, a potem, wciąż jeszcze trochę podekscytowana, uznałam, że filiżanka herbaty ziołowej pomoże mi się rozluźnić przed snem. W kuchni już była Katherine, a czajnik zaczynał zanosić się gwizdem.

– Czytasz mi w myślach – stwierdziłam, sięgając do szafki po filiżanki.  
– Wody starczy na dwie?

Skinęła głową, a ja zdecydowałam się na torebkę rumianku, wraz z gorącą wodą dodając do filiżanki kapkę miodu. Katherine otwarła torebkę swojej typowej herbaty na wieczór. Nie wiem, co składało się na tę mieszankę, ale zapachem na tyle przypominała kielbaski z koprem włoskim, że zawsze starałam się trzymać z daleka od pary unoszącej się nad jej filiżanką.

– Skoro tu jesteś – powiedziała – może powinniśmy sobie parę minut porozmawiać.

– Jasne – potwierdziłam, siadając przy stole. Coś w jej tonie nasunęło mi przypuszczenie, że rozmowa nie będzie radosna. – O co chodzi?

– O dwie sprawy. Po pierwsze, mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła misterną srebrną bransoletkę z jedną jedyną przywieszką. Była to miniaturowa replika klepsydry, wielkości pierwszego paliczka mojego różowego teraz palca. Nie należała do replik zdolnych do działania – role obu baniek pełniły dwie małe perły, a obudowa była z płaskiego zielonego kamienia, przypominającego jadeit.

– Łańcuszek jest nowy – powiedziała Katherine. – Oryginalny zerwał się dawno temu. Ten amulet jednak to coś, co dała mi matka, gdy ukończyłam szkolenie CHRONOSA. Ktoś z jej przyjaciół wykonał go specjalnie dla mnie, drugiego takiego nigdy nie widziałam. Zawsze go wkładałam, gdy podróżowałam. Sądzę, że przynosił mi szczęście.

Pomogła mi zapiąć tę bransoletkę na przegubie.

– Uważam, że to odpowiedni prezent. Nie tylko urodzinowy, ale i z okazji tego, że twoje szkolenie też dobiega końca, choć stanowiło niestety dość skróconą wersję.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Dziękuję, Katherine. Jest piękna.

– I tak chciałam ci ją dać – powiedziała – ale ten podarek ma także znaczenie praktyczne. Jeżeli pokażesz mi ją na Wystawie, zapewniam, że zwrócisz moją

uwagę. Szczególnie jeśli wskażesz tę obłupaną krawędź u góry i przypomnisz mi, jak do tego doszło.

Nawet nie zauważyłam tej nieznaczej skazy – małej rysy na zielonym kamieniu, zawieszonym nad perłami na małej srebrnej tulejce.

– A jak do tego doszło?

– To był jeden z moich dawniejszych skoków: wyprawa w pojedynkę, bez Saula. – Przerwała na chwilę, by ostrożnie upić herbaty, najwyraźniej jeszcze odrobinę za gorącej. – W ciągu poprzedzających go dwóch lat odbyłam dziesiątki skoków i wydawałoby się, że przywykłam do widoku sławnych ludzi. Ale gdy wysiadałam z powozu w Nowym Jorku, gdzie miałam w planie udział w wieczornej sesji zjazdu Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Równych Praw, wiesz, tego na którym debatowano, czy Piętnastą Poprawką należałoby objąć także kobiety...

Przytaknęłam, pamiętając w ogólnych zarysach ten spór z lekcji historii, jak również z jednego z jej dzienników podróży.

– A zatem – kontynuowała – wyjrzałam i zobaczyłam Fredericka Douglassa, spierającego się z Susan B. Anthony i Sojourner Truth<sup>1</sup>, całą tę trójkę zaledwie parę metrów dalej, przy wejściu do gmachu. I niczym turystka, która zagapiła się na widzianą po raz pierwszy Statuę Wolności lub na Kapitol, zapomniałam, co akurat robię, i jakimś sposobem przytrzasnęłam sobie rękę w przegubie drzwiczkami powozu.

– O rany – zaśmiałam się. – Przepraszam, mam nadzieję, że nic sobie nie zrobiłaś.

– Właściwie to nie, takie nieduże skaleczenie zasuwką, ale pan Douglass dysponował chusteczką, którą łaskawie poświęcił dla sprawy. To jedyna pamiątka, której braku w mej torbie żałowałam, gdy utknęłam w roku 1969. – Westchnęła. – Najbardziej ucierpiała wtedy moja godność i ten kamyk przy klepsydrze. Nie wydaje mi się, bym komuś wcześniej to opowiadała – nawet Saulowi. Obawiałam się, że ktoś w CHRONOSIE mógłby się ze mnie śmiać, że się zapatrzyłam w „gwiazdy”.

Upiła kolejny łyk herbaty i wróciła wzrokiem do mnie.

– A teraz ta druga sprawa. – Dłuższą chwilę jednak potrwało, nim podjęła ten wątek. – Martwię się o ciebie, Kate. Nie o twoją pracę z medalionem – dodała szybko. – Zrobiłaś naprawdę niebywałe postępy. Ja dopiero po dwóch latach w tym programie nauczyłam się wywoływać dane tak szybko jak ty. Cudownie umiesz się koncentrować.

– A więc... o co? – zapytałam.

Kolejna pauza, gdyż Katherine mieszała herbatę, wyraźnie się zastanawiając, jak sformułować to, co chce powiedzieć. – Kate, chodzi o Treya. Martwi mnie, że za bardzo się do siebie zbliżyliście, bo z pewnością rozumiesz, że ten związek nie

przetrwa?

Zabolało mnie, choć nie mogłam się oprzeć odczuciu, że jest w tych słowach coś z prawdy. Sama miałam wątpliwości, co Trey we mnie widzi – on, taki przystojny, mądry, dowcipny... a ja, cóż, ja to ja, po prostu Kate.

– Wiem – powiedziałam, zaglądając w głąb filiżanki. – Jest naprawdę niesamowity i jest też na pewno cała masa innych dziewczyn, które...

Katherine chwyciła mnie za rękę.

– O nie, skarbenku. Nie, nie, nie. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Zdecydowanie nie to miałam na myśli. Nie ma na tym świecie powodu, dla którego ten młody człowiek nie miałby być tobą zainteresowany. Jesteś piękna, inteligentna, bystra... Czemu miałby nie chcieć być z tobą? – Pokręciła głową i uśmiechnęła się do mnie. – To prawda, że brakuje ci pewności siebie, ale... o ile sobie przypominam, to dość powszechny problem w wieku lat szesnastu – przepraszam, siedemnastu.

– To czemu powiedziałaś...?

– Nie wydaje mi się, byś dobrze wszystko przemyślała. Przystałam na to, byś mogła spędzać czas z Treyem, gdyż miałaś rację: potrzeba ci było przyjaciela. Tak się martwiłam, że mogłabyś pogрузić się w depresji po tym, jak Deborah i Harry... zniknęli z twojego życia. – Przerwała. – Ale jeśli zdołasz naprawić tę linię czasu, wtedy twoi rodzice wrócą, a ty znów zaczniesz wieść takie życie, jak przedtem. Co do Treya... Cóż, jego już w Briar Hill nie będzie, sądząc z tego, co mówiłaś. Zajął w szkole lukę po tobie, zgadza się? Trey niczego takiego nie będzie pamiętał. Nie będzie pamiętał ciebie, Kate.

Pomyślałam o tym, co tamtego pierwszego wieczoru Trey powiedział na ganku – że wystarczy, jak rzucę na ziemię skarpetkę lub kolczyk, a znów we wszystko uwierzy. To było rozwiązanie dobre na tamten czas, gdy mieliśmy za sobą tylko jeden wspólnie spędzony dzień. Ale teraz? Ja pamiętałabym cały czas, gdy byliśmy razem, a Trey nie. Gdybym nawet znalazła sposób, by się z nim znów spotkać, to już nie byłoby to samo. Sama myśl o tym bolała mnie teraz o wiele bardziej niż wtedy, gdy się to wszystko zaczynało.

– Czemu nie mógłby po prostu przebywać tutaj w chwili, gdy będę wykonywać skok? – zapytałam. – Przecież był tutaj, gdy robiłam skok testowy? Byłby wówczas chroniony, tak jak ty i Connor, no i pamiętałby, czyż nie?

– Tak – przyznała Katherine. – Pamiętałby. Ale ja nie mogę na to pozwolić, Kate, z dwóch powodów. Po pierwsze, będzie to pogwałcenie regulaminu CHRONOSA. – Gdy zaczęłam protestować, uniosła dłoń. – Pozwól, że dokończę. Zaburzenie w ten sposób linii czasu będzie pogwałceniem regulaminu CHRONOSA. My się staramy naprawić to, co zniszczył Saul, nie zaakceptuję więc wprowadzenia zmiany w linię czasu tylko dlatego, że pozwoliłaś sobie na takie przywiązanie do Treya.



Oczy mi się zwęziły. Katherine powiedziała to tak, jakby Trey był kociakiem, co się przybłąkał.

– Mówiłaś chyba, że są dwa powody? – przypomniałam, starając się panować nad głosem.

Katherine przytaknęła.

– Jeśli naprawdę leży ci na sercu los tego chłopca, mój drugi argument zrozumiesz, nawet nie zgadzając się z tym pierwszym. Trey będzie w końcu musiał opuścić ten dom, a wówczas będzie miał do pogodzenia dwa całkowicie odmienne zestawy wspomnień. To jest ciężar wielki nawet dla nas, którzy nosimy w sobie gen CHRONOSA. Opowiadałaś, jak był zdezorientowany, gdy zobaczył, że fotografia twego ojca znikła. A chodziło jedynie o rozbieżność dwóch ułamków wspomnień. Naprawdę chciałybyś narazić go na coś takiego w o wiele, wiele większej skali? Takich rozwidlających się punktów będą tysiące, a wiesz, że ani ja, ani Connor nie potrafilibyśmy nawet określić, jaki wpływ miałyby to na tego chłopca. Z łatwością mogłoby dojść do trwałych zaburzeń psychicznych.

Ręce mi opadły. Prawdopodobnego wpływu tego wszystkiego na Treya w ogóle nie wzięłam pod uwagę.

– Nie mówię, Kate, że powinnaś natychmiast odpuścić sobie przyjaźń z Treyem. Zostało ci jeszcze kilka dni. Po prostu ciesz się tym, co jest, póki jest. Inaczej koniec tego związku zasmuci cię bardziej niż to nieuniknione. Bo ten koniec jest nieunikniony.

Sojourner Truth (1797–1883), amerykańska abolicjonistka i aktywistka ruchów na rzecz praw kobiet. Urodzona jako niewolnica, zbiegła w 1826 roku. Była pierwszą Afroamerykanką, która wygrała proces wytoczony białemu człowiekowi.

[\[wróć\]](#)

Mimo iż dokładałam wszelkich starań, by odtworzyć to eleganckie i wyrafinowane upięcie włosów, które krok po kroku opisano w wydaniu żurnala *The Delineator* z września 1893 roku, moje włosy nadal opadały mi na ramiona.. Przed szkołą zwykłam upinać je w węzeł, ale dla dam z ostatniej dekady dziewiętnastego wieku było to najwyraźniej zbyt proste. Ta fryzura wymagała kilku bocznych warkoczy, ułożonych w skomplikowane pętle, i utrzymania tego wszystkiego w ryzach przy pomocy grzebieni i Bóg jeden wie, czego jeszcze, by uformować falę opadającą w bok wbrew prawom grawitacji. W końcu poddałam się, załamana.

Od szyi w dół byłam już jednak w kostiumie. Buty, zamówione przez Katherine w internetowym sklepie ze strojami, przyszły tego popołudnia, kilka godzin po tym, jak krawcowa dostarczyła suknię i bieliznę. Pomogłam Katherine i Connorowi powsuwać w suknię, halki i trzewiki maleńkie srebrne odbiorniczki, żeby ta garderoba nie znikła tuż po zdjęciu. Odbiorniczki potęgowały pole CHRONOSA – podobnie jak zestaw, którym Connor naszpikował dom, tylko na mniejszą skalę. Tak właśnie uzyskałam odpowiedź na pytanie, nurtujące mnie od tygodni. Co powstrzymało historyka od zwinięcia szkicu Picassa czy też napchania torby złotem, by mieć z czym wrócić? Nie chodziło tu jedynie o respekt dla zasad i regulaminów CHRONOSA – osobę taką czekałoby zatrzymanie zaraz po tym, jak skradzione łupy znalazłyby się poza wpływami ochronnymi medalionu, a nabywca odkrył, że w rękach trzyma jedynie pustą torbę.

Trzewiki wykonano z miękkiej białej skóry. Katherine powiedziała, że to skórka kozłeca co, jak zrozumiałam, odnosiło się do jakiejś małej kózki i powodowało, że zakładając je, starałam się o tym nie pamiętać. Pasowały jak trzeba, ale pozapinanie wszystkich tych guziczków trwało wieczność nawet po tym, jak Connor wykonał prowizoryczny haczyk, ułatwiający tę czynność.

No i były jeszcze guziki z tyłu sukni.

– Oszczędziłabym wszystkim mnóstwo udręki – zauważyłam – gdybym na którąś z wystaw nowych wynalazków przemyciła rzepy. – Według książek, które czytałam, na tej Wystawie Światowej zaprezentowano gościom niemal wszystko, od zmywarki do naczyń po gumę Juicy Fruit. – Po prostu podsunęłabym paczuszkę temu gościowi, który prezentował pierwszy zamek błyskawiczny. Byłby wniebowzięty, widząc o tyle wyższy standard.

Connor uniósł brew.

– Lepiej, żeby Katherine nie słyszała takiego gadania. Doszłaby do wniosku, że jesteś nazbyt podobna do swojego dziadka, by można ci było powierzyć misję CHRONOSA. – Dolna warga lekko mu drgała, jakby powstrzymywał uśmiech.

– Historia to świętość, to jak wycieczka do rezerwatu przyrody. Zostawiasz tylko ślady stóp, zabierasz jedynie wspomnienia. – Jakbym słyszała skrzyżowanie Katherine z przewodnikiem po jakimś muzeum.

Dzwonek u drzwi i Daphne równocześnie zaanonsowali przybycie Treya, gdy ja jeszcze męczyłam się przy drugim trzewiku. Skończywszy zapinanie, opuściłam bibliotekę – trochę chwiejnie na obcasach o tak nietypowym kształcie – i zaczęłam bardzo ostrożnie schodzić na dół. Trey już siedział na kanapie, przyglądając się zadaniu domowemu z literatury brytyjskiej.

Na mój widok twarz mu się rozpromieniła.

– Witam, panno Scarlett.

Przyjrzałam się swojej sukni. Została uszyta z zielonego jedwabiu, widziałam więc analogię. Tu jednak barwa była bardziej żywa i bliższa ciemnemu szmaragdowi niż w przypadku sukni, na którą Scarlett przerobiła zasłony w *Przeminęło z wiatrem*. Była też węższa – co bardzo mnie ucieszyło, oznaczało bowiem mniej ciepłych, lepjących się krynolin. Góra była dopasowana, z kwadratowym dekoltem i rękawami nad łokciem bufiastymi, poniżej niego zaś przylegającymi do ręki i wykończonymi koronkowym mankietem w kolorze kości słoniowej.

– Trafił pan kulą w płot sprzed czterech dekad, panie Coleman – odparłam, naśladując najlepiej jak potrafiłam akcent z Głębokiego Południa i udając, że przysłaniam twarz wachlarzem. – Ale pochlebstwa otwierają wszystkie drzwi.

Czekał na mnie u dołu schodów.

– Powaga, Kate, wyglądasz pięknie. Ta suknia wspaniale podkreśla twoje oczy. – Przyjrzał się swemu szkolnemu mundurkowi khaki. – Na balu na zakończenie roku nie dorównałbym ci elegancją.

Bal na zakończenie. Jeszcze jedno przypomnienie o świecie zewnętrznym, gdzie właśnie kończył się rok szkolny. Trey kilkakrotnie wspominał o egzaminach końcowych, ale o balu nawet nie myślałam. Dawniej starannie unikałam wszelkich szkolnych potańcówek, ale skoro był Trey, może nie tak źle byłoby się wystroić i potańczyć pod migającymi lampkami i bibułą.

– Bal w Briar Hill... – zaczęłam.

– ...był w tę sobotę – dokończył Trey.

W tę sobotę. Gwoździem tamtego wieczoru była partyjka scrabble'a, my dwoje przeciwko Katherine i Connorowi.

– Nie rób takiej miny – powiedział. – Nie myślałem o wybraniu się tam, póki nie poznałem ciebie, i chociaż przyznam, że byłbym zachwycony, gdybyśmy mogli się tam wybrać, to tutaj, z tobą, byłem o wiele szczęśliwszy, niż byłbym tam, bez ciebie.

Usiadłam na skraju sofy, przypominając sobie niedawną rozmowę z Katherine.

– Estella i twój tato pewnie już mnie znienawidzili: za dużo spędzasz tutaj czasu. I przeze mnie przypadł ci bal.

– Na który i tak się nie wybierałem. Estella już zaczynała mnie nienawidzić za to, że cię nie zapraszam. Mówiła, że się jej wstydę, że jest za mało fajna, bym przedstawił ją mojej dziewczynie, i wybaczyła mi dopiero, gdy mogła cię nakarmić. A tato tylko po swoim się uśmiecha i potrząsa głową. – Roześmiał się. – „Też było się młodym i zakochanym”... – Urwał, bo oboje poczuliśmy się trochę nieswojo.

– W każdym razie – dokończył – jak już naprawisz świat w tej swojej sukni Scarlett O’Hary, to może nadrobimy te zaległości? Umiesz chyba tańczyć?

Potraktowałam go łokciem.

– Tak, umiem tańczyć, choć w tej sukni raczej bym tego nie próbowała. Nie nadaje się na tańce, wierz mi lub nie, ale to strój dzienny. – Popatrzyłam na tę sięgającą łydek suknię i absurdalne trzewiki, potrząsając głową. – O wiele łatwiej byłoby mi naprawiać świat, gdybym mogła ubrać się jak Wonder Woman – albo jak Batgirl.

– Ooch, to dopiero byłby widok! – Trey aż się uśmiechnął. – Mogę sobie wyobrazić ciebie jako Batgirl, dającą opryszkowi kopa w łeb. Tyle że jej kostium w 1893 roku naraziłby cię na aresztowanie.

– Nie, gdybym trzymała się Bulwaru Midway – odparłam. – Tam bym się wpasowała.

Minione popołudnie stawiliśmy na przeglądaniu najróżniejszych zdjęć, wykonanych na Wystawie, a raczej, by przywołać jej oficjalną nazwę, na Światowej Wystawie Kolumbijskiej z roku 1893. Podczas gdy wiele tamtejszych prezentacji mogło uchodzić za staromodne, adekwatne i wychowawcze, największe pieniądze przyciągały inne ekspozycje, ulokowane na blisko dwukilometrowym pasie przylegającym do terenów Wystawy, zwanym bulwarem Midway. Zwiedzających zachęcały takie atrakcje, jak choćby wspomniane przez Katherine olbrzymie Koło Ferrisa. Najwyraźniej były tam też inne miejsca rozrywki, raczej mniej rodzinnej, bo wśród fotografii znalazły się śmiałe zdjęcia tancerki orientalnej, znanej tam jako Little Egypt, jednej z wielu specjalistek od tańców egzotycznych, ściągających wieczorami tłumy do sal widowiskowych.

– Fakt. Na Bulwarze Midway by ci uszło – przyznał Trey. – I na pewno byłoby więcej zabawy. Ale biorąc pod uwagę to, co powiedziałaś, Katherine tamtego dnia na Wystawie raczej nie trzymała się znawczyń tańca brzucha. A więc... kiedy wyruszasz? Denerwujesz się tym, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

– Wkrótce. Jeszcze nie przyszedł mój kapelusik. – *Kapelusik*. To było słowo spoza mojego słownika. – Muszę iść na górę i się przebrać... Nie mogę oddychać. Następnym razem Katherine będzie musiała poluzować ten gorset.

– Gorset? – Trey wybuchnął śmiechem.

– Ani słowa więcej – ostrzegłam go. – Mam pod tym strojem więcej ubrań, niż zwykle starcza mi na tydzień.

Trey wypożyczył DVD, najnowszy film z Jonahem Hillem. Przebrałam się w denimowe szorty i T-shirt „Księżniczka Samoobrony”, który dostałam od niego na urodziny – raczej adekwatny, jak powiedział, zważywszy na okoliczności – a potem zrobiliśmy sobie kilka kanapek z masłem orzechowym i trochę popcornu, by mieć co chrupać podczas filmu. Miło było tak spędzić te kilka godzin w dwudziestym pierwszym wieku, po całych dniach skupiania się na końcówce dziewiętnastego, i czułam się wręcz szczęśliwa, że mam pretekst, by nie myśleć o czekającym mnie skoku ani o tym, co z niego wyniknie. Może Katherine miała rację – powinnam się cieszyć tym, co mi zostało. Nie było powodu wciągać Treya w dyskusje o nieuniknionym.

Trey musiał wyjść wcześniej niż zwykle, jeszcze przed zmrokiem, bo czekało go dokończenie eseju o Aldousie Huxleyu na zajęcia z literatury brytyjskiej.

– Będę później w internecie – powiedział. – Mówiłaś kiedyś, że czytałaś *Nowy wspinały świat*?

Potwierdziłam.

– Świetnie! Może więc przeczytasz ten esej, gdy już skończę, i zobaczysz, czy ma sens. – Na ganku pożegnał się długim i głębokim pocałunkiem, a potem patrzyłam, jak wychodzi na chodnik, przy którym zaparkował swój wóz. – Do zobaczenia jutro, co?

Gdy Trey się oddalał, uśmiechałam się, wciąż rozkoszując się żarem jego pocałunku. Kiedy już zamknęłam drzwi i odwracałam się, by pójść na górę, do biblioteki, zobaczyłam na stole jego książkę do literatury. Chwyciłam ją, upewniłam się, że mam na szyi medalion, i wypadłam z domu. Trey już odjeżdżał, wybiegłam więc za bramę, wymachując książką i wykrzykując jego imię. Natychmiast zamigotały światła hamowania, przez chwilę myślałam więc, że mnie zobaczył lub usłyszał, ale on tylko zwolnił przed zakrętem.

Właśnie się odwróciłam, by pójść zadzwonić do niego, gdy nagle ktoś się za mną zjawił, dosłownie znikąd. Chwycił mnie za lewą rękę, ostro i boleśnie wykręcając. W pierwszym odruchu chciałam odwołać się do wiedzy z kursu samoobrony, odwracając się ku niemu, by kopniakiem wytrącić z równowagi, a potem wyrznąć w głowę tym grubym podręcznikiem – poczułam jednak, że drugą ręką sięga pod mój T-shirt. Zacisnął palce na kluczu CHRONOSA, a ja zamarłam.

– Odrzuć książkę i zawołaj swoją babkę. – Od razu rozpoznałam ten głos. To był Simon, mój pękaty znajomy z metra.

Daphne albo go wyczuła – co uznałam za bardzo prawdopodobne, bo nie kąpał się chyba od naszego ostatniego spotkania – albo usłyszała, bo z domu

dobiegło jej dzikie szczekanie.

– Nie będę się patyczkował, Kate. Rób to!

– Katherine, uważaj! – zawołałam, rzucając podręcznik na trawę przy ścieżce. Mój głos zabrzmiał jak chrapliwe skrzeczenie. – Bliżej, musimy podejść bliżej, jeśli ma mnie usłyszeć, pomimo tego psa.

Miałam nadzieję, że zdołam dotrzeć do klonu, wyznaczającego granicę strefy ochronnej, ale Simon upomniał mnie szarpnięciem za medalion. Wzdrygnęłam się, po części ze strachu, ale też z odrazy, gdy jego ręka dotknęła mojej skóry.

Daphne drapała już w drzwi wejściowe, a chwilę później otworzyła je Katherine. Zobaczyłam szybki ruch jej ręki, jeszcze wewnątrz domu, wskazujący gdzieś w górę. Potem wepchnęła Daphne z powrotem do przedpokoju i wyszła na ganek, zamykając za sobą drzwi.

– Ktoś ty? Czego chcesz? – zapytała.

– A czego według ciebie mogę chcieć? Przynies tu swój medalion, a pozwolę Kate zatrzymać ten tutaj. Będzie mogła wrócić do swoich spraw i nic jej się nie stanie, o ile się nie zapomni i nie ściągnie go pod prysznicem. – Kończąc te słowa, znów otarł się ręką o mój goły brzuch i o mało się nie porzygałam.

Patrzyłam, jak Katherine zdejmuje z szyi swój klucz CHRONOSA. Gdy zaciskała go w dłoni, między jej palcami przeciekał błękitny blask. Stała pół metra od klonu, jeszcze w obrębie bariery.

– Zdjęła – powiedziałam. – Chodźmy po niego. – Spróbowałam ruszyć w stronę Katherine, ale Simon odciągnął mnie w tył.

– Nie – stwierdził. – Sądzę, że przyniesie mi go tutaj. No już, Katherine. – Nie byłam pewna, czy Simon wiedział o strefie ochronnej, czy tylko tak bardzo chciał postawić na swoim. Podejrzywałam to drugie, zważywszy na sugestię, że i pod prysznicem powinnam nosić medalion. Tak czy inaczej, ani drgnął.

Katherine zbliżyła się o krok.

– A czemu miałabym uwierzyć, że pozwolisz jej odejść?

Czułam, że Simon za moimi plecami wzruszył ramionami.

– Brat Cyrus powiedział tylko, żeby wykończyć ciebie. Tą tutaj za to mocno interesuje się Kiernan. – Nachylił się, ocierając się policzkiem o czubek mojej głowy. – Z oczywistych powodów. – Zaśmiał się, bo odchyliłam głowę najdalej, jak się dało. – A z Kiernanem sprzeczać się nie będę, póki nie muszę.

Katherine rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu kogoś, kto przyszedłby nam z pomocą. Widząc, że się zatrzymała, Simon wrócił do swych żądań, tonem całkiem swobodnym.

– Mogę zaraz zerwać jej klucz, a potem pójść po twój. Nie uciekniesz mi, oboje też wiemy, że zdołam załatwić swoje i przenieść się całe kilometry oraz lata dalej, zanim ktoś usłyszy twój krzyk. – Na potwierdzenie tego szarpnął za medalion, drugą ręką podciągając w górę moje wykręcone ramię.

Zacisnęłam zęby, powstrzymując się od krzyku.

– On kłamie, Katherine. Nie puści mnie.

Katherine na dłużej spotkała się ze mną wzrokiem i posłała mi smutny uśmiech. Potem podeszła do nas, wyciągając rękę z medalionem.

A wtedy wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy. Żeby odebrać Katherine jej medalion, Simon musiał albo uwolnić moją rękę, którą dotąd blokował mi za plecami, albo puścić mój klucz. Popelniał ten błąd, że uwolnił rękę, którą czym prędzej docisnęłam jego drugą dłoń do mojej piersi, równocześnie wyrzucając nogę w tył i pochylając się do przodu. Chodziło o to, by wytrącić go z równowagi, rzucić, a potem przygnieść, nie tracąc kontaktu z medalionem.

Ku memu zaskoczeniu ten ruch zadziałał jak trzeba – tyle tylko, że o chwilę za późno. Gdy się schylałam, przytrzymując rękę Simona, zobaczyłam, że medalion zsuwa się z ręki Katherine w dłoń Simona. Gdy padaliśmy, kątem oka widziałam, jak Katherine znika z tego świata.

– NIE! – wrzasnęłam, a Simon wykorzystał mój szok, rzucając mnie i dociskając żołądek kolanem. Słyszałam Daphne za drzwiami – jej szczekanie, już i tak rozpaczliwe, jeszcze przybrało na sile.

– Przykro mi, śliczniutka Katie. – Simon z wrednym uśmieszkiem wetknął do kieszeni medalion Katherine, a potem sięgnął mi za kark, by odpiąć mój. – Tak się składa, że tego klucza CHRONOSA też będę potrzebował, podobnie jak wszystkich, które twoja babka poupychała w tym domu.

Zaczęłam się szarpać, usiłując się wraz z nim przetoczyć na tyle daleko, by znaleźć się za klonem, w strefie ochronnej. Czując, że zapięcie mojego medalionu ustępuje, zmieniłam jednak taktykę i spróbowałam zerwać Simonowi jego własny, niestety moje palce ześliznęły się z jego koszuli.

Mocniej przycisnął mnie kolanem, wypychając mi z płuc resztki oddechu.

– A może zresztą zabiorę cię ze sobą. Cyrus już by nie pozwolił takiemu zdrajcy jak Kiernan posiąść cię, nie po jego niedawnej ingerencji, ale ty i ja moglibyśmy się niezłe zabawić... – Znacząco przesunął dłonią po wewnętrznej stronie mego uda. Nasze usta dzieliło najwyżej kilkanaście centymetrów, jego oddech owionął moją twarz, czułam narastający we mnie paniczny lęk. Brak powietrza przyćmił mi wzrok. Gdy walczyłam o wciągnięcie do płuc choćby płytkiego oddechu, światło na ganku przede mną kilkakrotnie bladło, by potem zgasnąć.

I wtedy rozległ się głośny stuk. Głowa Simona odchyliła się w tył i cały zwałił się w lewo, a na jego prawej skroni wzbierała czerwona strużka krwi. Gdy się przewracał, widziałam, jak błękitne światło medalionu, wciąż jeszcze w jego ręku, kreśliło łuk na tle szarzejącego nieba. Za nim stał Trey, z uniesioną w górę łyżką do opon. Przygotowałam się na spotkanie z nicością, myśląc, jakie to szczęście, że ostatnie, co widzę, nim zniknę jak Katherine, to twarz Treya, a nie

lubieżny wytrzeszcz Simona.



Nic się jednak nie stało. Trey wyciągnął rękę i wyrwał mój medalion z dłoni Simona.

– Już w porządku? – spytał. Przyblokował łyżkę do opon pod stopą i schylił się, by zapiąć mi na szyi medalion. – Kate?

Kiwnęłam głową, wciąż jeszcze niezdolna nie tylko do mówienia, ale nawet do wzięcia głębszego oddechu. Trey już wziął mnie na ręce i niósł na ganek, i wtedy Simon jęknął. Gdy Trey odwracał się ku niemu, zaciskając szczęki, niemal na pewno wyczytałam w jego oczach, że miał w planie znów chwycić łyżkę do opon i na dobre rozprawić się z draniem. Jeśli takie właśnie były jego zamiary, zabrakło szansy, by je urzeczywistnić. Simon wciąż leżał na trawie, ale sięgnął do medalionu i zanim Trey zdążył wykonać w jego stronę parę kroków więcej, tamtego już nie było.

Trey jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w miejsce po Simonie, a potem odwrócił się do mnie.

– Coś ci zrobił?

Potrząsnęłam głową, choć pod powiekami kłuły mnie łzy. Trey usiadł obok i przyciągnął mnie do siebie. Chłonełam jego zapach, usiłując przezwyciężyć płacz.

– Katherine...

– Wiem. Przypomniałem sobie, że moja książka do literatury została na stoliczku. Właśnie wysiadałem z samochodu, gdy ona... – Umilkł, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Wróciłem więc po łyżkę do opon.

Zerknęłam w stronę krawężnika. Zza żywopłotu ledwie wyglądał zderzak wozu Treya.

– Nawet nie słyszałam, jak podjeżdżasz.

Trey wzruszył ramionami.

– Jazgot Daphne zapewnił świetną osłonę. Na szczęście tamten też mnie nie słyszał. – Wtulił wargi w moje włosy i siedzieliśmy tak przez chwilę, próbując przeanalizować ostatnie kilka minut. – Zupełnie nie rozumiem, czemu Katherine nie zaczęła. Wiem, że widziała, jak podjeżdżam.

Światło na ganku znów przygasło, potem na krótko pojaśniało, aż wreszcie żarówka się przepaliła z takim trzaskiem, że oboje skoczyliśmy na równe nogi.

– Przypomnij, bym zapytała Connora, gdzie trzyma żarówki – powiedziałam cicho.

Trey kiwnął głową.

– Dobra. A skoro o tym mowa, to gdzie właściwie jest Connor?

– Nie wiem. Widziałam, że Katherine, podchodząc do drzwi, dawała mu jakieś znaki. Może powinniśmy pójść sprawdzić?

Otwarłam drzwi i od razu zobaczyłam Connora i Daphne, siedzących na górze schodów. Connor wtulił twarz w dłonie, a Daphne wetknęła nos między przednie łapy – idealne studium przygnębienia. Na odgłos zamykania drzwi oboje podnieśli głowy, a na twarzy Connora pojawiło się zdumienie.

– Kate? Myślałem... Och, Bogu dzięki! Myślałem, że wy obie... To znaczy, widziałem, jak Katherine... znika... A kiedy wyrząłem przez okno biblioteki, ciebie też już nie było.

– Jeśli widziałeś, że Kate stara się walczyć z takim typem, czemu nie spróbowałeś jej pomóc? – spytał Trey. Connor zaczął schodzić na dół, ale przystanął, słysząc gniew w jego głosie. – Albo Katherine? Gdzieś się, u diabła, podziewał?

Dotknęłam ramienia Treya i lekko pokręciłam głową.

– Już dobrze, Trey. To Katherine poleciła mu pójść do biblioteki. Prawda, Connor?

Connor przytaknął, znowu schodząc ze schodów z Daphne u boku.

– Widzieliśmy przez wizjer, że jesteście poza obrębem. Sądziła, że najlepszą szansą dla nas będzie próba poszerzenia bezpiecznej strefy przy pomocy trzeciego medalionu. Niestety, nie poskutkowało. Nie wykombinowałem jeszcze, jak zapobiec przeciążaniu systemu przez to cholerstwo.

Przypomniałam sobie przygasanie światła na ganku, gdy walczyłam z Simonem, a także przepalenie się żarówki kilka minut później. Uśmiechnęłam się niewesoło do Connora.

– Zadziałało, przez krótką chwilę. Inaczej by mnie tu nie było. Po prostu nie zgrało się w czasie z Katherine...

Znaleźliśmy sobie miejsca w salonie. Ja skuliłam się przy Treyu, na sofie. Nagle zrobiło mi się zimno, pewnie na skutek szoku. Wszyscy, nawet Daphne, byliśmy jacyś otepiali i na długie minuty w pokoju zapanowało milczenie.

Wreszcie przerwałam tę ciszę.

– Mogę to naprawić? To znaczy, czy jeśli uda mi się uniemożliwić zamordowanie jej na Wystawie, Katherine będzie tutaj, gdy wrócę?

Connor spojrzał na mnie niepewnie, ale to potwierdził.

– Tak sądzę. Wygląda na to, że jeśli trafi w rok 1969, do Nowego Jorku, wszystko potem potoczy się tak, jak miało to miejsce poprzednio. Nadal będzie istnieć na tej linii czasu, praktycznie więc nie będzie się liczyło, czy trzymała klucz CHRONOSA.

– To zrobmy to. Najszybciej, jak się da. Do rozpracowania zostało jeszcze tylko kilka rzeczy, nie powinno to zająć nam więcej niż parę godzin.

Ku memu zaskoczeniu Connor się ze mną zgodził.

– Masz prawdopodobnie rację. Wydaje się, że trudną sprawą będzie dla ciebie przekonanie Katherine bez zasygnalizowania jej roli Saula.

– A czemu Kate nie może powiedzieć jej o Saulu? – wtrącił Trey. – Czyż to nie on spróbuje ją zabić?

– Nie bezpośrednio – odparł Connor. – Ktoś inny będzie miał za zadanie wykonać za niego tę mokrą robotę. Saul nie może korzystać z medalionu bardziej, niż mogła Katherine. A ta wersja Saula, która będzie z nią w roku 1893... to facet niewątpliwie do cna zepsuty, ale jeszcze nie na etapie planowania, że ją zabije. A jak myślisz, na ile Katherine byłaby skłonna kontynuować związek z nim, gdyby odkryła jego prawdziwą naturę?

– I to mnie wkurza – powiedziałam. – Bo chociaż wiem, że będę musiała siedzieć cicho, coś we mnie chciałoby ją ostrzec, by zwiewała jak najdalej. Widziałam, co tamtej nocy Saul zrobił z jej twarzą. – Connor podniósł wzrok, w oczach mając zdumienie i gniew, a ja pojęłam, że Katherine oszczędziła mu szczegółów tego, jak bardzo brutalny potrafi być Saul. – Ale jeśli to zrobię – kontynuowałam – zwiększę prawdopodobieństwo, że wszystko się zmieni. Nie będzie mamy, to znaczy przynajmniej tej, która urodziła się w roku 1970, nie będzie więc i mnie. I jeszcze więcej zmian w tej linii czasu. Nie będę więc mogła powiedzieć jej całej prawdy, jedynie tyle, by zapobiec temu morderstwu.

– A co potem? – zapytał Trey. – Nie wydaje ci się, że on znów spróbuje, podczas innej wyprawy, innego dnia?

– Wszystko po kolei – odpowiedziałam. – Trzeba, żeby Katherine wróciła. Przecież będziemy musieli odkryć, jak powstrzymać Saula i zapobiec powstaniu Międzynarodowej Świątyni Cyrystów. Podczas tej wyprawy zamierzam zatem zebrać tyle tropów, ile da się znaleźć. Jeśli jednak zanadto będę zaprzętać sobie tym głowę, za nic nie zdołam się skupić na tym, z czym będę się akurat mierzyć.

– A zatem, kiedy już się z tym uporasz, nadal będziesz w niebezpieczeństwie. I jak ja miałbym się z tym pogodzić?

Rozmowa najwyraźniej zmierzała na tory bardziej osobiste, wzięłam więc Treya za rękę, gestem wskazując schody. Connor też oczy miał czerwone i mokre, a po tym jak przesunął dłonią po sierści Daphne, widać było, że błądzi gdzieś myślami. Podejrzywałam, że chciałby trochę przestrzeni dla siebie, żeby uporać się z emocjami. Był bliżej z Katherine niż ja i mocniej mógł teraz odczuwać osamotnienie. Musiałam okazać mu trochę serca i, przechodząc, poklepałam go po ramieniu.

– Odpoczniesz trochę, Connor? Wstaniemy jutro wcześniej, a przez noc rozjaśni nam się w głowach.

Poszliśmy z Treyem do mojego apartamentu i usiedliśmy na sofie przy oknie. Przez liście widać było księżyc, prawie już w pełni. Przerzuciłam nogi przez kolana Treya, opierając się bosymi stopami o sofę, tak bym mogła się mu przyglądać, i przesunęłam palcami, tropiąc zarys jego zaciśniętych szczęk. Potem przysunęłam się bliżej niego i pocałowałam w bok szyi, rysując językiem kółeczko

– co, jak od niedawna wiedziałam z doświadczenia, budziło w nim odrobinę szaleństwa. Objął mnie mocniej.

– Nie mam wyboru, Trey – powiedziałam cicho. – Rozumiesz to, prawda? Będę ostrożna jak nigdy, obiecuję.

Przez chwilę milczał.

– Po prostu czuję się... jak w pułapce. Nie przez ciebie, nie! Przez całą tę przekłętą sytuację. Ty robisz coś skrajnie niebezpiecznego, a ja nie mogę ci pomóc.

Westchnęłam, lekko podłamana.

– Trey, właśnie rozwalileś Simonowi łeb łyżką do opon. – Zerknęłam na mój T-shirt „Księżniczki Samoobrony”. – Tym razem chyba nie w pełni zasłużyłam na ten tytuł, co? Gdyby nie ty albo leżałabym już trupem, albo, co gorsza, czułabym teraz na sobie jego obleśne łapy. – Na wspomnienie ręki Simona na mojej gołej skórze wzdrygnęłam się, czując, że Trey też zeszywniał. Przyciągnęłam jego głowę i znów go całowałam, długo i powoli, tak by nam obojgu wymazać to wspomnienie.

– Dziękuję ci.

Trey troszkę się rozluźnił, a potem potrząsnął głową. Jego prawa dłoń spoczywała na moich stopach, a kciuk kreślił nerwowe wzory na ciemnym szkarłacie paznokci.

– Coś, co mnie naprawdę dobija, Kate, to to, że się nie dowiem, czy ci się udało, czy nie. Jutro, kiedy skoczysz, to tutaj... z nami... Z nami już będzie koniec, tak? – Zaśmiał się z goryczą. – Czy uda ci się uratować Katherine, czy też przedtem was obie zabiją, ja wrócę do jakiejś wersji mego dawniejszego życia. W Briar Hill czy gdzieś indziej, tak czy inaczej nie pamiętając ciebie... Nie pamiętając, że cię kocham.

Żadne z nas jeszcze o tym nie mówiło i serce mi zabiło – mimo wszystko, cudownie było to usłyszeć, tak otwarcie wyznane.

– Ja też cię kocham, Trey.

Szeroko się uśmiechnął, ale zaraz potem na jego twarzy znów odmalowała się udręka.

– Kiedy do tego doszedłeś? – spytałam. – To znaczy, nie do tego, że mnie... kochasz, ale...

Wzruszył ramionami.

– Tamtego wieczoru, w twoje urodziny, zaczęło mnie dręczyć coś w wyrazie twarzy Katherine. I wreszcie dzisiaj, jak stąd odjeżdżałem, wszystko to się jakoś złożyło do kupy. Zawróciłem wóz, zanim przypomniałem sobie o tym durnym podręczniku.

– Ja taka bystra nie byłam – przyznałam. – Katherine musiała mi to wszystko wyłożyć jasno i wyraźnie. A i tak usiłowałam się z nią sprzeczać: czemu nie mógłbyś czekać tutaj? Czemu nie mielibyśmy pozwolić ci pamiętać?

– A właściwie czemu nie? – spytał z odrobiną nadziei w głosie. – Mogę pomagać Connorowi, jednej osobie wam teraz brakuje.

Pokręciłam głową.

– Regulamin CHRONOSA, to jedno. Dążymy do naprawy linii czasu, a to byłoby wprowadzeniem kolejnej zmiany.

– Oj tam, chrzanić regulamin CHRONOSA.

– Mówiłam jej to samo – powiedziałam, dobitnie uświadamiając sobie pewną zamianę ról. Oto powtarzałam za Katherine jej argumenty, a na twarzy Treya i w jego głosie odbijały się te same uczucia, których ja wtedy doznawałam: gniew, niezgoda, negacja. – Gorsza sprawa, że to mogłoby... ciebie zranić, Trey. – Przyglądałam się jego dłoni, palcom splecionym z moimi. – Pamiętasz, co było, jak widziałeś zniknięcie tamtych fotografii? To twój mózg starał się pogodzić dwie sprzeczne wersje bardzo drobnego skrawka rzeczywistości. Gdybyś tu jutro został, to doznanie mogłoby przybrać na sile tysiące razy. Kiedyś musiałbyś wyjść poza barierę ochronną i nawet Katherine nie potrafiła określić, jak to by się na tobie wówczas odbiło, na twoim umyśle, na psychice.

– Wszystko mi jedno – odparł.

– Może i tak. Ale mnie nie.

Dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, sprawdzając, czyj upór wygra. Ja pękłam pierwsza i się rozplakałam.

– Bojąc się, że ucierpisz, nie dam rady skupić się na tym, co będę musiała zrobić.

– A do tego jeszcze wiesz, jak ja to odbieram. Cholera, Kate... – Miał w oczach łzy i dłuższą chwilę trzymał mnie w ramionach, zanim się znów odezwał.

– Odpowiesz mi na jeszcze jedno pytanie?

Skinęłam głową.

– Kim jest Kiernan? – Zarumieniłam się i nie odpowiedziałam. – Znaczący, wiem, że to pradziadek Connora czy ktoś taki, facet, którego pokazał mi na dwóch fotografiach. Ale kiedy wróciłem i zaczynałem się podkradać, Simon mówił o nim coś do Katherine, a potem znowu, kiedy... na tobie leżał. Kate, kim dokładnie jest dla ciebie Kiernan?

– Dla mnie jest nikim, Trey – Jakiś wewnętrzny głosik nazwał mnie kłamczuchą, ale mówiłam dalej. Zdecydowana byłam powiedzieć Treyowi prawdę, w miarę możliwości – na tyle przynajmniej, na ile sama ją rozumiałam. – Kiernan tamtego dnia w metrze kazał mi uciekać. Prawie na pewno ocalił mi tym życie. I ja... widziałam jego obraz w medalionie. Twierdzi, że znaliśmy się kiedyś, na innej linii czasu.

*Do tego jeszcze całował się ze mną, pomyślałam, ale tego już nie dodałam, bo ten fakt raczej by Treyowi się nie spodobał. I nie nakłaniałam Kiernana do tego pocałunku. Owszem, sprawił mi przyjemność. Ale się o niego nie prosiłam.*

– Zdaje się, że znał cię na tyle dobrze, by czegoś od ciebie żądać. – W głosie Treya czuło się gorycz i urazę. – Simon powiedział, że Saul już nie pozwoliłby Kiernanowi ciebie mieć...

Przyciągnęłam jego twarz blisko swojej i spojrzałam mu w oczy.

– Trey, kogokolwiek Kiernan znał w tamtej wersji czasu, to nie byłam ja. Ani Saul Rand, ani Simon nie będą decydować, kto miałby mnie mieć. Sama dokonuję wyboru. Ja decyduję, kogo kocham, kogo pragnę. Nikt inny.

Mocniej się do niego przytuliłam i wsunęłam mu palce pod koszulę, przesuając dłońią po piersi.

– I to ciebie kocham, Trey. Ciebie pragnę. – Zawahałam się, szukając odpowiednich słów. – Ja nigdy... z nikim... ale pragnę cię...

Jego usta zamknęły moje, mocno i łapczywie. Dłonie przesunęły się po moich bokach i aż się wygięłam, by być bliżej. Przez jakiś czas nie było na tym świecie nic innego, tylko my dwoje, jego ciało przy moim, ale potem przerwał to i usiadł, spuszczać wzrok na dywan.

– Co się stało? – Próbowałam go przyciągnąć do siebie, ale potrząsnął głową.

Uśmiechnęłam się ostrożnie, niepewnie.

– Nie ma tutaj Daphne. Żadnej przyzwoitki, widzisz?

Nie odpowiedział. Byłam naprawdę w kropce i zła na siebie, że nie pozwoliłam, by to on wykonał ten najważniejszy pierwszy ruch. Przygryzając dolną wargę, by się nie trzęsła, odsunęłam się na drugi koniec sofy i podciągnęłam kolana, mocno je obejmując, wpatrzona w inny punkt na tym dywanie.

Po chwili poczułam, że jego dłoń delikatnie przesuwa się po mojej nodze. Nie podniosłam wzroku.

– Kate. Kate! Spójrz na mnie. Proszę. – Po policzku mi spływała łza, po tym policzku, którego nie widział. Zacisnęłam mocno powieki, mając nadzieję, że choć drugie oko nie okaże się zdrajcą. Podniósł się z sofy i klęknął przede mną na podłodze, ścierając tę łzę opuszką kciuka. – Możesz na mnie popatrzeć?

Podniosłam oczy, a on mówił dalej:

– Na pewno wiesz, jak bardzo ciebie pragnę. – Zaśmiał się cicho. – Naprawdę, Kate, czy tego nie widać?

Nie odpowiedziałam, choć wiedziałam, że ma rację.

– W tej właśnie chwili – mówił, patrząc mi w oczy – nie ma na tym świecie nic, czego pragnąłbym bardziej niż ciebie. Wiemy jednak, że jutro lub pojutrze moje wspomnienie tej nocy zniknie. Ty byś ją pamiętała, ale ja nie. A wspomnienie tego, jak się pierwszy raz kochaliśmy, chciałbym zachować w pamięci, Kate.

Trey wyszedł dopiero przed północą. Nie wiem, czy w ogóle zdołał napisać ten esej o Huxleyu. Zapewne nie. Następnego dnia odpuścił sobie większość lekcji, by stanąć na mym progu tuż po południu, z lunchem od O'Malleya: mnóstwem krążków cebulowych i trzema nieprzyzwoicie wielkimi kanapkami. Nie ogolił się, nie wyglądał też na bardziej wyspanego ode mnie.

– Znów urwał się pan ze szkoły, panie Coleman? – spytałam, lekko się uśmiechając.

– Moja dziewczyna szykuje się do zmiany całej tej linii czasu. Nie wyobrażam sobie, by w którymkolwiek scenariuszu rzeczywiście miało znaczenie, że się zmyłem po pierwszej lekcji.

Coś w tym było.

– A co z twoimi rodzicami? Z Estellą?

– Powiedziałem im, że twojej babce się wczoraj pogorszyło i że muszę być przy tobie. Nic z tego nie było kłamstwem – podkreślił. – Spodziewam się, że wkrótce przyjadą tu kwiaty, które tato kazał mi zamówić.

Do stołu siedliśmy z Connorem, który choć bardzo lubił peklowaną wołowinę na żytnim chlebie, nie miał apetytu. Uporawszy się z lunchem, przeanalizowaliśmy we troje plan akcji.

– Zrób wszystko, żeby jej nie zgubić – mówił Connor – ale musisz mieć też plan B, na wypadek, gdyby Katherine zginęła w tłumie. Bo prawdopodobnie do tego dojdzie.

Nie można było odmówić mu racji. Wystawa Światowa od jej otwarcia w maju aż do zamknięcia w październiku dzień w dzień przyciągała około stu dwudziestu tysięcy zwiedzających. Dzisiejszy Disney World obsługuje dziennie jedną trzecią tej liczby na terenie znacznie większym od terenów ówczesnej Wystawy. Szanse, że nie spuszczę Katherine z oczu, były rzeczywiście znikome.

– Postaram się mieć ją na oku – zapewniłam. – Jeśli mi się nie uda, piętnaście po dziesiątej będzie przy Kole Ferrisa, wraz z grupą gości burmistrza, a po lunchu – w centrum miasta, w budynku, w którym podczas Wystawy odbywały się wszystkie większe zgromadzenia. Obecnie jest tam Instytut Sztuki.

– Zgadza się – potwierdził Connor. – Nazywano go Budynkiem Pomocniczym. To jednak oznaczałoby skorzystanie z chicagowskiego transportu publicznego. Wiem, że czytałaś dokumentację CHRONOSA, dotyczącą tamtej epoki, mimo to czułbym się o wiele pewniej, gdybyś nie oddalała się zbyt od stabilnego punktu. W ostateczności będziesz mogła tu wrócić i wykonać kolejne podejście.

Miał rację – nie musieliśmy się ograniczać do jednego zagrania. Gdybym całkowicie straciła z oczu Katherine i zwyczajnie nie potrafiła jej odnaleźć, zawsze będę mogła wrócić do stabilnego punktu i zacząć wszystko od nowa. Każdy

kolejny skok oznaczałyby jednak dodatkowe komplikacje w postaci kolejnych wersji mojej osoby, krążących po terenach wystawy. I tak miałam poważne opory przed nadmiernym przedłużaniem tego wszystkiego, tak samo jak Connor i Trey. Dom Katherine względnie dobrze zabezpieczała instalacja alarmowa, ale byliśmy całkowicie bezbronni. Chociaż mam wstręt do broni palnej, niezbyt mi się podobało, że Simon i reszta sługusów Saula dysponują czymś takim, a my nie. Poza tym, jak zauważył tato Treya, cyryści mieli teraz wysoko postawionych przyjaciół.

Większą część ranka spędziliśmy z Connorem na przeglądaniu wpisów w dzienniku Katherine ze skoku z 28 października, wyławiając wszelkie dostępne szczegóły odnośnie do jej hotelu i marszruty podczas tej wyprawy. Gdy przyjechał Trey, musieliśmy przyznać się do jednej kłębki: Katherine nie powiedziała nic konkretnego o hotelu, poza tym, że znajdował się w pobliżu terenów Wystawy. Podczas pierwszego skoku w te dni zatrzymała się w Palmer House, ale ta informacja niewiele mogła nam pomóc, jako że naszym celem była nieco późniejsza wersja Katherine. Znalazło się jeszcze trochę rzeczy, które dobrze byłoby wiedzieć i dałam sobie w myślach solidnego kopa za to, że tych tak oczywistych pytań nie zadałam Katherine, gdy jeszcze była tutaj i mogła na nie odpowiedzieć.

Gdy skubałam swoje pastrami, przyszło mi do głowy, że mogłabym po prostu cofnąć się do poprzedniego dnia i wypytać Katherine, ale Connor natychmiast sprzeciwił się temu planowi.

– Zapewnisz mnie szczerze, że jej nie ostrzeżesz? – spytał. – Że nie zrobisz czegoś, by mieć pewność, że nie wyjdzie za drzwi, gdy Simon cię dopadnie?

Pomyślałam, czy by nie skłamać, ale w końcu postawiłam na prawdę.

– Nie, Connor. Ale co z tego, czemu nie miałabym jej ostrzec? Albo ostrzec samą siebie, żebym nie wychodziła na ulicę? Ta linia czasu nie jest aż tak cudowna, żeby oszczędzić jej kilku drobnych zmian, a ja gotowa jestem zaryzykować mały problem z synchronizacją wspomnień.

Connor potrząsnął głową, rozeźlony.

– A jak myślisz, Kate, czemu, u licha, wysłała mnie na górę? W pierwszym rzędzie należało chronić ciebie. Za wszelką cenę. I chociaż widok znikającej Katherine był dla mnie rozdzierający, wiedziałem przynajmniej, że to da się odwrócić. W każdym razie uświadomiłem sobie, że to jest do odwrócenia, jak tylko pojawiłaś się w tych drzwiach – mówił, głosem już łagodniejszym. – Tak to widzę. Powiedzmy, że przeszkodzimy temu, co stało się wczoraj, bo prawie na pewno zaatakują dom w tym właśnie momencie. Jeśli coś zmienimy i Katherine przeżyje, a ty nie... Bez ciebie, Kate, nie będzie szans na duble. Katherine umrze, Rand zwycięży, a my będziemy sobie siedzieć i patrzeć, co wyprawia z tym światem.

Nie bardzo wiedziałam, czym są te duble, ale Trey pokiwał głową.



– Okej. To wyjaśnia, czemu oddała Simonowi medalion, choć wyraźnie widziała, że się zbliżam. Wciąż istniało ryzyko, że zanim go dopadnę, zerwie tobie klucz CHRONOSA. Kupiła Connorowi więcej czasu na przesunięcie bariery.

– A tobie więcej czasu na złapanie za jaką broń, choć nie wiem, czy się tego spodziewała – dodał Connor. – Mam tylko nadzieję, że drań od wczoraj żyje w świecie bólu.

∞

Kompozycja kwiatowa od taty Treya przyszła po południu. Była piękna – białe lilie, lawendowe róże i purpurowe alstremerie, pośród białych obłoczków gipsówki. Miałam nadzieję, że Katherine będzie jeszcze miała okazję ją zobaczyć, cieszyło mnie też, że przynajmniej pozostanie w tym domu jakaś pamiątka mojego związku z Treyem. I choć każda taka przypominajka bolałaby jak diabli, wydawało się to lepsze od tego, co czekało jego – od braku jakichkolwiek wspomnień.

Niedługo po tych kwiatkach dostarczono okazałe pudło na kapelusze. Zawierało dość wymyślny zielony czepek, o którym na tę podróż wolałabym zapomnieć. Skoro jednak trafił nam w ręce ostatni element mojego stroju, wyznaczaliśmy nieodwołalny termin startu na szóstą wieczór i całą trójką zajęliśmy się ostatnimi przygotowaniem mojego skoku.

Parasolka w kolorze szmaragdu leżała na łóżku tuż obok czarnej torby, którą Katherine miała ze sobą podczas swej ostatniej wyprawy dla CHRONOSA. Torba ta w 1893 roku będzie od czterech dekad niemodna, ale jednocześnie użyteczna z uwagi na kilka ukrytych kieszeni. Nie mogłabym zabrać większego bagażu, skoro miałam pojawić się na terenach Wystawy z dala od jakichkolwiek hoteli. Wepchnęliśmy więc do torby pieniądze na drobne wydatki (wszystkie sprzed 1893, marzenie numizmatyka), jeden z dzienników, archiwalny plan Wystawy, szczotkę do włosów, szczoteczkę do zębów i pastę, mały zestaw pierwszej pomocy, butelkę wody i cztery batoniki energetyczne.

Wewnętrzna Katherine Connora zjeżyła się na kilka przedmiotów z tej torby, słusznie podkreślając, że nie są historycznie adekwatne, ale nie była to typowa misja badawcza i może nie będę mogła sobie pozwolić na stanie godzinami w kolejce po coś do jedzenia lub picia. Pocięłam na prostokąty kilka papierowych toreb ze sklepu ze zdrową żywnością, tak by móc poowijać batony zwykłym szarym papierem. Zapewne stwardnieją, ale przynajmniej nie będę głodować. Jeśli w grę mógł wchodzić nocleg, to nigdzie też nie ruszyłabym się bez szczoteczki do zębów, nawet takiej z błyszczącego różowego plastiku.

Kilka minut po piątej poszłam do łazienki zmienić bieliznę. Trey czekał na zewnątrz, żeby mi pomóc zasznurować gorset. Wracając do sypialni czułam się

z lekka dziwnie, choć przecież chodząc w szortach i topach odsłaniałam daleko więcej ciała niż teraz, spowita w metry białego jedwabiu i koronek.

Uniósłszy brew na znak akceptacji i uśmiechnąwszy się, chwycił mnie za ramiona i odwrócił, by zaciągnąć wiązania. Nie związał ich tak ciasno jak Katherine, ale według mnie wystarczająco, by suknia pasowała. Kiedy uporał się z wiązaniami, uniósł mi włosy i przełożył przez jedno z ramion, wtulając wargi w mój kark i uzupełniając to jeszcze kilkoma delikatnymi pocałunkami, schodzącymi w dół pleców, aż do koronkowego skraju staniczka. Jego ciepły oddech dotykał mojej skóry i musiałam mocno się postarać, by nie rozpląnąć się ze szczęścia po podłodze.

– Obiecaj mi – powiedział bardzo cicho, odwracając mnie twarzą do siebie – że pewnego dnia dostąpię przyjemności rozsznurowania tego ustrojstwa. Rozumiem, czemu nie budzi w tobie zachwyty, ale jednak coś jest w zaleceniach, by prezenty rozpakowywać jak najwolniej.

Uśmiechnęłam się do niego z nadzieją.

– Mógłbyś go rozsznurować teraz.

– Nie mógłbym, piękna – zaprzeczył. Usiadł na skraju łóżka i przyciągnął mnie do siebie. – Masz zadanie do wykonania. Przede wszystkim na tej wystawie trzymaj się z dala od wysokich, ciemnowłosych nieznajomych, ze szczególnym uwzględnieniem podróżników w czasie. – Przez tę zawołowaną aluzję do Kiernana nieco się zarumieniłam, ale kiwnęłam głową. – Wolałbym także, żebyś trzymała się z dala również od tego faceta, który prowadził Hotel Wystawy Światowej.

– Bez obaw – stwierdziłam. – Z zapobieżeniem jednemu morderstwu będę miała wystarczająco dużo roboty, by brać się jeszcze za jakiegoś seryjnego zabójcę. A jeśli będę musiała zostać na noc, w ślad za Katherine wezmę dorożkę i każę się zawieźć do Palmer House.

– Okej. Następnie uratujesz Katherine i wrócisz tutaj. A na koniec odnajdziesz mnie. To nie powinno być zbyt trudne, nawet jeśli nie będę chodził do Briar Hill.

Powstrzymałam łzy, choć paliły mnie w oczy.

– To nie wypali, Trey. Nie poznasz mnie.

– Racja – powiedział i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Więc dlaczego się uśmiechasz?

– Bo wiem coś, czego ty nie wiesz.

– A cóż to takiego? – Śmiać mi się zachciało zarówno przez to nawiązanie do *Narzeczonej dla księcia*, jak i dlatego, że o mało nie dałam się mu wkręcić. – Już wiem, że nie jesteś leworęczny.

– Rzecz jest prosta – kontynuował, a choć uśmiech na twarzy mu przygasł, pozostał w oczach. – Intensywnie myślałem o tych tygodniach, jakie przeżyłem od

naszego pierwszego spotkania, i jestem niemal pewien, że zakochałem się w tobie już w chwili, gdy otworzyłaś oczy, leżąc na podłodze, wtedy, na trygonometrii. Jest więc gdzieś problem? Zrobisz w 1893 roku, co musisz zrobić, i nawet nie dopuszczam myśli, że może ci się nie udać, bo się uda, a potem mnie odnajdziesz.

– A co dokładnie mam powiedzieć, gdy cię odnajdę, Treyu Coleman?

Roześmiał się.

– Nic nie mów. Albo powiedz: „Pomyliłam klasy”, jak wówczas. Cokolwiek powiesz, niczego to nie zmieni. Uśmiechnij się do mnie, powal na łopatki którymś z twoich chytrych ruchów w stylu ninja, a potem pocałuj. A choćbym do reszty o tobie zapomniał, to przecież, Kate, jestem facetem. Uwierz mi, nie odtrącę ciebie.

– Może nie... ale uznasz mnie za wariatkę.

Wzruszył ramionami i pocałował mnie w nos.

– Tamtego pierwszego dnia rzeczywiście widziałem w tobie wariatkę, a przecież tu jestem, nie?

Temu nie mogłam zaprzeczyć, ale nawet gdybym dysponowała jakimś mocnym argumentem, za nic nie odebrałabym jego oczom igrającego w nich błysku nadziei,

Zapasowy medalion CHRONOSA zalewał nocny stolik jasnym błękitem. Wetknęłam go do sekretnej, dobrze wyściełanej kieszeni u dołu halki, a potem Trey pomógł mi włożyć tę ciemnozieloną suknię i owe irytujące trzewiki. Udało nam się nawet upiąć mi włosy w może nie szykowny, ale i tak porządny kok, który ukoronowałam kapelusikiem.

Moim zdaniem, wyglądało to odrobinę śmiesznie.

Trey oczywiście zapewnił, że wyglądam doskonale – chociaż coś w jego oczach sugerowało, że nadal wyobrażał mnie sobie w białym gorsecie i halkach, które jak wiedział, kryłam pod suknią. Zapiął mi na przegubie bransoletkę, którą dostałam od Katherine. Zawieszka idealnie współgrała z suknią – koronka w kolorze kości słoniowej i zielony jedwab był niczym odbicie odcieni pereł i jadeitu, tworzących tę klepsydrę.

Gdy zeszliśmy na dół, Connor siedział w kuchni. W miarę upływu dnia coraz bardziej niepokoił go czekający mnie skok. Sądząc z wyrazu jego twarzy w chwili, gdy weszliśmy, oczekiwałam, że przygotował wyczerpującą listę ostatnich wkurzających uwag. A jednak rzucił okiem na moją kreację i skinął głową, dając chyba do zrozumienia, że inspekcja wypadła pomyślnie, po czym zwrócił się do Treya:

– Pozwolisz, że Kate i ja porozmawiamy na osobności? Jedyne chwilę? Przykro, że z tym wychodzę, ale...

Trey kiwnął głową, choć chyba się odrobinę zaniepokoił.

– Nie ma problemu, Connor. Daphne jest teraz na podwórku. Porzucamy sobie trochę frisbee. – Schylił się, by musnąć mój policzek szybkim pocałunkiem

i ruszył w stronę drzwi kuchennych.

Gdy wychodził, Connor uważnie mu się przyglądał.

– Wydaje się być w lepszym nastroju niż wczoraj wieczorem.

– Na to wygląda. O co chodzi?

Connor nie spieszył się z odpowiedzią. Nie byłam pewna, czy nie liczył na jakieś poufne wyznanie, mające mu wskazać powód takiej poprawy nastroju Treya, ale że poprzestałam na uniesieniu brwi, doczekałam się, iż w końcu przemówił.

– Nie musisz tego robić, Kate. Znajdziemy inny sposób. Bierzesz na siebie ogromne ryzyko i to nie w porządku, że ci na to pozwalam.

Uśmiechnęłam się do niego i podeszłam do dzbanka z kawą. Była jeszcze ciepła, więc przelałam sobie do kubka resztkę.

– Skoro tyle w tobie troskliwości, Connor, czy nie trzeba było wyjść z nią, zanim pozapinaliśmy te straszliwe buty? I zrobiliśmy coś z włosami? I...?

– Mówię poważnie, Kate.

Usiadłam naprzeciw niego i wzięłam go za rękę.

– Connor, ja to wiem. Ale jaki naprawdę mamy wybór? Nie zamierzam odpuścić sobie całej mojej rodziny.

Ruchem głowy wskazał podwórko.

– A co z Treyem? Wyraźnie widać, Kate, co do niego czujesz, a on wpadł w to po uszy już tego dnia, gdy go tu wciągnęłaś. Jego też gotowa jesteś poświęcić?

Spędziwszy pół dnia albo na płaczu, albo na powstrzymywaniu łez, nawet się nie zdziwiłam, że znów wezbrały.

– Raz jeszcze, jaki mam wybór, Connor? Możliwe też, że Trey ma rację. Przekonał siebie, że to nie ma znaczenia, że i tak go odnajdę, a potem będziemy parą. Ja po prostu będę miała parę wspomnień więcej.

– Kate, ja nie próbuję ci nic utrudniać, to tylko... – Umilkł i spuścił wzrok na blat stołu, przemierzając paznokciem kciuka wyżłobienie tuż przy jego krawędzi.

– Katherine mówiła ci o moich dzieciach?

Potwierdziłam.

– Zawsze żałowałam, że nie wiedziałem, co nastąpi, chociaż nie mógłbym temu zapobiec. Mógłbym się za to przygotować, pożegnać się z nimi, rozumiesz?

– Zdobył się na smętny uśmiech. – Ale takiej opcji nie było.

Westchnął i wyciągnął z kieszeni jakąś kopertę.

– Nie złość się na Treya, on tylko podał mu adres. Nie wiedział nawet, że to przyszło. O tym, że ty tego nie zobaczyłaś, zdecydowała Katherine. Powiedziała, że nie widzi sensu w dostarczaniu ci zmartwień. Zapewne miała rację, ale... może powinnaś to wiedzieć. – Pchnął w moją stronę ten list.

Napisano go na maszynie, ale podpis pod nim od razu rozpoznałam:

*Kate.*

*Nazwę Briar Hill zapamiętałem z legitymacji, którą mi pokazałaś. Nazwiska twojego przyjaciela nie pamiętałem, ale na szczęście do Briar Hill chodził tylko jeden Trey i jeden z tamtejszych matematyków go dla mnie odnalazł. To Trey dał mi twój adres, uzmysławiając przy tym jasno, że mam ciebie już więcej nie ranić.*

*Kate, ani przez chwilę nie chciałem cię krzywdzić. Mam nadzieję, że możesz zrozumieć moją reakcję. Wiele z tego, co powiedziałaś, wydaje mi się niepojęte, przekonałaś mnie jednak, że jesteś moją córką, a przynajmniej córką, którą bym miał, gdyby mi było dane poznać twoją matkę.*

*Jeśli uznasz tę linię czasu za swoją, proszę, skontaktuj się ze mną. Potrzebujesz pomocy? Czy potrzebujesz pieniędzy, mieszkania? Chcę cię poznać – w najgorszym razie może się przynajmniej zaprzyjaźnimy?*

*Zadzwoń, proszę. Albo napisz. Nie wiem jeszcze, jak wyjaśnię to Emily lub chłopcom, ale znajdziemy sposób, by to wypaliło.*

Gdy kończyłam, łzy już leciały mi ciurkiem. List ten, jak zauważyłam, zaczął podpisywać jako *Harry*, ale to skreślił. Zamiast tego, zostawił tam ten sam podpis, który widziałam u dołu wszystkich kartek z życzeniami urodzinowymi, widokówek i liścików, które do mnie kierował – *Tato*.

Connor chyba czuł się niezręcznie.

– Przepraszam, Kate. Może to nie był dobry pomysł, by ci go pokazać... Ja tylko...

Słyszałam dobiegający z podwórka śmiech Treya, gratulującego Daphne świetnego aportu. Jakaś częśćka mnie pragnęła uznać ten list za dobrą wróżbę, za sygnał, który warto wziąć pod rozwagę. Mimo to potrzęsłam głową przecząco.

– Nie, Connor, dobrze, że mi go pokazałeś. Dziękuję. Dobrze mi zrobiła pewność, że mój tato, niezależnie od linii czasu, jest dobrym człowiekiem. W jakimś sensie już o tym wiedziałam, wcale nie starał się mnie zranić, ale dobrze jest zobaczyć, że chce... być dla mnie tym kimś, przynajmniej w miarę możliwości.

Odchyliłam się w tył na krzesło i pokręciłam głową.

– Ale ten list, Connor, nic nie zmienia, i oboje to wiemy. Nawet gdyby Saul się wycofał i przestał na mnie polować, i tak nie mogłabym wyjść za drzwi, nie mając medalionu. Ty również nie. Mojej mamy nadal nie będzie, tak samo Katherine. Twoich dzieci też. A Harry nadal nie będzie moim tatą. Biologicznym ojcem tak, ale nie tatą. Ja zachowam wszystkie swoje wspomnienia, on natomiast...

Connor zerknął na drzwi, potem szybko spuścił wzrok. Słowem się nie odezwał, ale byłam w stanie prześledzić tok jego myśli – w równym stopniu mogący się odnosić do mego związku z Treyem.

– Ja to wszystko wiem, Connor, ale ja z tatą spędziłam prawie siedemnaście lat, a z Treyem tylko miesiąc. Zresztą Trey wydaje się przekonany, że wystarczy, iż

go potem pocałuję, a magicznym sposobem będzie między nami... jak przedtem.

– Jak w bajce o zaklętej księżniczce – uśmiechnął się bez przekonania.

– Jedyne problem w tym, że ty wydajesz się mniej tego pewna niż Trey.

– Owszem. Ale uzmysłowienie mu tego chyba żadnemu z nas niczego nie ułatwi, prawda? – Zerknęłam na zegar. Piąta czterdzieści osiem. Szósta jako godzina startu była oczywiście terminem umownym, pojawię się tam wczesnym rankiem 28 października 1893 roku niezależnie od tego, o której opuścę bibliotekę. Tyle że z każdą minutą zwłoki rosłoby moje zdenerwowanie.

– Zobaczmy się za dziesięć minut w bibliotece, zgoda? – Pożegnałam go niepewnym uśmiechem i wyszłam przez kuchenne drzwi, chowając list w kieszeni.

Trey siedział plecami do mnie na niskim kamiennym murku, otaczającym podwórko. U jego stóp leżała Daphne, radośnie żując krawędź swojego neonowozielonego frisbee. Popołudniowe słońce wisiało już nisko na niebie i we współpracy z kilkoma ostatnimi łzami w moich oczach spowijało Treya miękką złotą aurą. Przez chwilę stałam, tylko patrząc na niego, pragnąc utrwalić to w pamięci. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął, a ja musiałam dać odpór nowej fali łez.

Przykucnęłam i zawołałam Daphne, odwołując moment, gdy będę musiała podnieść wzrok na Treya.

– Weźmiesz na trochę Connora pod opiekę, dziewczyno? Ja wyjeżdżam sprowadzić Katherine. – To pożegnanie było bardziej dla mnie niż dla Daphne, jako że z jej perspektywy, jeśli wszystko zagra zgodnie z planem, nie będzie mnie tylko kilka minut. Podniosła łeb i obwąchała mi policzki, tam gdzie wcześniej były łzy, miękko liznęła, po czym wróciła do wgrzania się w zabawkę.

– O co tam chodziło? – spytał Trey, wskazując głową kuchnię.

Usiadłam obok niego i wyciągnęłam z kieszeni tamten list. Chciał coś powiedzieć, jak tylko skończył czytać, ale uśmiechnęłam się lekko do niego i pokręciłam głową.

– W porządku, Trey. Cieszę się, że go przeczytałam, choć ciągle żałuję, że wtrąciłam się w jego życie. Taki wydawał się tam szczęśliwy! Ale musisz wiedzieć, że z Sarą też jest szczęśliwy. I ze mną.

Wzięłam go za rękę i splótłam palce z jego palcami.

– I nie do końca wiemy, co z tych działań wyniknie. Katherine mówiła, że nawet w jej epoce toczyła się wielka debata, czy efektem wprowadzenia zmiany nie jest po prostu wydzielenie nowej linii czasu... czy nie jest tak, że mamy nieskończoną liczbę różnych linii czasu, istniejących równolegle na odrębnych płaszczyznach rzeczywistości. Powiedziała, że może ta linia czasu też jakoś potoczy się dalej, a jakaś wersja Harry'ego może...

– Nie! – przerwał stanowczo Trey. – Nie, w to nie uwierzę. Ta linia czasu się skończy. – Aż zabolalo mnie odkrycie, że podczas gdy mnie ta teoria

o nieskończonej liczbie płaszczyzn rzeczywistości ze wszech miar pasowała, gdyż zgodnie z nią w jakimś kosmicznym sensie ta wersja taty i obaj moi mali przyrodni bracia będą dalej toczyć swój żywot, dla Treya oznaczała coś zgoła innego.

Potrząsnął głową, mocno ściskając mi dłoń.

– Mnie nie interesuje nieskończona liczba wersji mojego życia na tych wszystkich odrębnych płaszczyznach, jeśli choćby na jednej z nich nie jesteśmy razem. Wrócisz, żeby naprawić tę tutaj rzeczywistość, żeby uczynić ją taką jak trzeba, żebyśmy mogli być razem. I to wystarczy. Estella zawsze mi powtarza, że aby iść przez życie, trzeba mieć wiarę, i choć nie jestem pewien, czy jest we mnie ten rodzaj wiary, o którym ona mówi, to w ciebie wierzę. W nas oboje.

Pociągnął mnie na równe nogi i odsunął z filuternym błyskiem w oku na odległość kilkunastu centymetrów.

– Co powiedział Westley do księżniczki Buttercup? *Bo to jest prawdziwa miłość – myślisz, że to się zdarza każdego dnia?*

– Tak chciałabym, żebyś przez te konkretne ogniste bagna mógł przejść wraz ze mną.

– Ja też – przyznał. – Ale dasz sobie radę. Wiem, że tak.

Mój optymizm nieco przygasł, gdy się ostatecznie żegnaliśmy u drzwi wejściowych. Gdy mnie całował, miał w oczach łzy.

– Kocham cię, Kate. Odszukaj mnie, dobra?

I już go nie było. Oparłam czoło o drzwi, na poły w nadziei, że znowu je otworzy i spowoduje, że się rozmyślę.

Po chwili usłyszałam, że jego samochód rusza i odjeżdża. Za moimi plecami pojawił się Connor.

– Chodź już, dziewczyno. Skoro mamy to zrobić, niech już będzie po wszystkim.

Odpowiedziałam niepewnym uśmiechem.

– Łatwo ci mówić. Dwie minuty po tym, jak zniknę, będziesz wiedział, czy mi się udało. A ja będę musiała przez cały dzień uganiać się za Katherine po Chicago.

– Wiesz, jak chętnie bym się zamienił... – zaczął.

– Wiem, Connor – potwierdziłam. – Tylko się droczę. Bardziej gotowa nie będę...

O piątej pięćdziesiąt osiem byłam w bibliotece, z parasolką i torbą w jednym ręku, a kluczem CHRONOSA w drugim. W kuchni na dole szczekała Daphne, zapewne na swojego arcywroga – wiewiórkę, a Trey swoim samochodem zmierzał do domu. Connor stał przede mną, patrząc tak, jakby chciał znów zmienić zdanie i zapewnić mnie, że znajdziemy jakieś inne rozwiązanie. Nachyliłam się do niego i pocałowałam w policzek, a potem, nie tracąc czasu na myślenie, skupiłam się na punkcie docelowym i zamknęłam oczy.

Gdy otworzyłam oczy, patrzyłam w czysty błękit porannego nieba, na twarzy czując chłodek rześkiej, październikowej bryzy. Przypatrując się tej lokacji w rejestrze, przywykłam już do widoku bujnego zielonego listowia. To jednak, jak zareagowały teraz na nią inne moje zmysły, przyprawiło mnie o lekki szok. Na samej wyspie panowała cisza, jeśli nie liczyć ptaków i cykania jakichś owadów; z oddali dobiegał głuchy pomruk tłumów. Poczulałam ulotny zapach prażonych orzeszków i znacznie bliższą, wyrazistą woń błota.

Była 8:03 czasu lokalnego, Katherine i Saul przybyli tu minutę wcześniej. Bramy Wystawy Światowej otwierano o ósmej, pozostało więc jeszcze trochę czasu, zanim ruch pieszy dotrze tutaj, na Leśną Wyspę, położoną nieopodal samego centrum terenów wystawowych. Pospiesznie się rozejrzałam. Ciemnowłosy brzdąc, na oko mający siedem, może osiem lat, energicznie zamiatał chodnik przed chatą w stylu rustykalnym, a nieco dalej, na prawo od niego, widać było oddalające się sylwetki Saula i Katherine.

Ilekcć za pośrednictwem medalionu obserwowałam ich przybycie, widziałam, jak Saul brał Katherine pod łokieć, pomagając jej podejść pod wzgórek, który wcześniej zapewnił im osłonę podczas tak nagłego pojawienia się na wyspie. Dotąd ten gest wydawał mi się objawem przesadnej galanterii, teraz jednak pojęłam, że z uwagi na grząski grunt i zdecydowanie niepraktyczny ubiór dojście do chodnika będzie o wiele trudniejsze, niż myślałam.

Z westchnieniem schowałam klucz CHRONOSA w sekretnej kieszeni wewnątrz stanika. Jedną ręką zakasałam spódnicę, a zapiętej wciąż parasolki użyłam jako podpory, mającej ułatwić wejście pod stok. Ziemia rzeczywiście była mniej spoista, niż na to wyglądała, i końcówka parasolki weszła w wilgotną ściółkę i grunt na głębokość blisko dwudziestu centymetrów, wytrącając mnie z równowagi. Udało mi się zachować pion i – choć było blisko – nie paść na twarz, ale hałasu narobiłam wystarczająco wiele, by zwrócić uwagę małego zamiatacza.

Parasolka teraz nosiła na sobie smugi błota, a rękawiczki nie nadawały się do niczego – tyle, jeśli chodziło o wygląd godny damy. Ściągnęłam te rękawiczki i wrzuciłam je do torby, jak tylko oczyściłam parasolkę z błota i przylepionych liści, by potem ją otworzyć mocno rozdygotanymi rękoma.

To drżenie rąk przywiodło mi na myśl mój jedyny występ sceniczny – w przedstawieniu wystawianym, gdy byłam w piątej klasie. Rozpaczliwie bałam się wtedy chwili, gdy kurtyna pójdzie w górę, wbiją się we mnie tuziny oczu, a ja zapomnę obu bardzo krótkich linijek mojej roli. I choć teraz widownię stanowił jedynie ten chłopiec pod chatą, odczuwałam to samo. Kilkakrotnie odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić, a potem posłałam mu wyniosłe spojrzenie, które miało



skłonić go, by znów zajął się własnymi sprawami. Odwróciłam się i ruszyłam za Katherine i Saulem, przechodzącymi teraz przez mostek, przerzucony nad laguną i łączący Wyspę Leśną z głównymi terenami Wystawy.

Dochodząc do tego mostka, wciąż jeszcze ich widziałam. Saul górował nad drobną Katherine w szarej sukni i purpurowym kapelusiku zwieńczonym lawendowym piórem – na które tylekroć patrzyłam, oglądając ich przez medalion.

Przyspieszyłam kroku, licząc jeszcze na to, że uda mi się trzymać planu A i mieć ich wciąż na oku. Nie żeby było to konieczne. Około 10:15 i tak mieli się znaleźć w pobliżu Koła Ferrisa, poza tym – gdyby to z jakichś przyczyn nie wypaliło – zawsze będę mogła pojechać za nimi do centrum miasta, gdzie Katherine przez większą część popołudnia będzie sama. Ale chociaż wersja przede mną była o pół wieku młodsza od babki, którą znałam, i nie miała pojęcia, kim jestem, wiedziałam, że pewniej się będę czuć, mając w zasięgu wzroku to niedorzeczne lawendowe pióro.

Niestety, plan A już niemal na początku się posypał. Przez moje niezdarne wspinanie się na wzgórek znajdowałam się znacznie dalej od nich, niż planowałam. Idąc szybko, w kilka minut bym to nadrobiła, ale prawdziwy problem zjawiał się, i to dosłownie, na horyzoncie. Chociaż z wyspy schodzili teraz tylko oni, jedynie jakieś pięćdziesiąt metrów dzieliło ich od tysięcy ludzi, którzy napłynęli bardziej konwencjonalnym szlakiem, od wejścia przy Sześćdziesiątej Siódmej. Przy rozmaitych budynkach przed nami już się gromadziły tłumy i jeśli Katherine i Saul nie zamierzali skręcić w prawo lub w lewo, by pójść brzegiem laguny otaczającej Wyspę Leśną, znikną w owych tłumach, nim zdołam pokonać dzielący nas dystans.

Na domiar złego usłyszałam jeszcze, że ktoś biegnie za mną przez mostek. Zerknąwszy przez ramię, zobaczyłam, że to ten brzdąc spod chaty na Wyspie Leśnej.

– Panienska zgubiła to na wyspie! – powiedział prawie na bezdechu. W jednej brudnej ręce trzymał złożoną kopertę, a w drugiej mokrą szmatę. – I panienska pozwoli sobie pomóc z tą parasolką! Jak się błota nie zetrze, materiał się zniszczy.

Kopertę poznałam natychmiast i serce podeszło mi do gardła. To był list od taty, który bezmyślnie wetknęłam do kieszeni, po tym jak przeczytał go Trey. Musiał mi wypaść, gdy borykałam się ze wzgórkami.

List został wepchnięty do koperty nieco niedbale, podejrzewałam więc, że ciekawskie oczka, które teraz miałam przed sobą, co najmniej na niego zerknęły, za to podczas biegu przez mostek na pewno nie było czasu na wnikliwszą lekturę – przy założeniu, że w tej epoce dzieciak w jego wieku umiał czytać. Na kopercie wyraźnie widoczny był znaczek, ale czy chłopiec, nawet zauważywszy datę, nie uznałby jej za efekt pomyłki?

Wyciągnął rękę z listem, by oddawszy mi go, chwycić parasolkę i zająć się ścieraniem ciemnej plamy z jej górnej części. Pozwoliłam mu więc zaopiekować

się parasolką, a list czym prędzej wsadziłam do torby.

– Dziękuję ci. Za nic nie chciałabym go zgubić... – Grzebałam teraz w niewielkiej portmonetce, zastanawiając się, jak wysoki napiwek byłby tu odpowiedni.

– Ciekawy znaczek – stwierdził malec. – Pewnie z bardzo daleka, skoro za wysłanie listu zapłacono aż czterdzieści cztery centy. I jeszcze nie widziałem takiego znaczka z tygrysem. Wygląda jak jeden z tych tygrysów, co je trzymają na bulwarze Midway, a malunek jest taki żywy i kolorowy. Pewnie panienka mi go nie da do mojej kolekcji?

Potrząsnęłam głową, zerkając za mostek. Katherine już ledwie było widać.

– Bardzo mi przykro, ale moja siostrzyczka też zbiera znaczki, a ten jest od naszego ojca, więc już obiecałam...

Skończył wycierać parasolkę – trudno tu było mówić o zauważalnej poprawie, jeśli nie liczyć rozmazania brudu – i wręczył mi ją, wzruszając ramionami.

– Nie szkodzi, panienko. Po prostu taki niezwykajny, to pomyślałam sobie...

– Masz – powiedziałam, obdarzając go najmiłym z moich uśmiechów. – Przyjmij to – to nagroda za zwrócenie listu z małym dodatkiem za kłopot. – Wręczyłam mu półdolarówkę, mając nadzieję, że odwróci jego uwagę od znaczka. – A teraz muszę już iść – naprawdę jestem spóźniona. Jeszcze raz dziękuję.

Ciemne oczy zrobiły się wielkie jak spodki i przyszło mi do głowy, że mogłam nieco przesadzić ze szczodrością. Odpowiedniejsza byłaby pewnie pięciocentówka, ewentualnie dziesiątka. Przeliczywszy to w myślach, przekonałam się, że jako napiwek dostał odpowiednik dzisiejszych dwunastu dolarów.

– Nie, panienko. To ja dziękuję – odparł, chowając monetę w kieszeni i dotrzymując mi kroku. – A co panienka planuje najpierw zobaczyć? Ma panienka mapkę? Bo jak nie... – Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej przybrudzony, wielokrotnie złożony plan Wystawy, najwyraźniej z nadzieją, że wyciągnie od bogatej dziewczyny jeszcze dolca czy dwa, zanim ta sobie pójdzie.

– Nie, dziękuję, mam już mapkę – odpowiedziałam, nieco przyspieszając kroku. Wyjęłam z torby wiarygodnie wyglądającą kopię Planu Wystawy Światowej wydawnictwa Rand McNally i wyciągnęłam szyję, by sprawdzić, czy jeszcze widać pióro Katherine. Górowało nad tłumem, parę metrów od jego skraju.

Brzdąc nie odstępował mnie nawet na krok.

– Nie musisz wracać do pracy? – zapytałam, choć cokolwiek dziwnie było zadawać takie pytanie dzieciakowi, którego miejsce powinno być raczej w trzeciej klasie.

– Nie, z tamtą mam już na dzisiaj koniec. A moją drugą zaczynam dużo,

dużo później. – Wyprzedził mnie o kilka kroków, a potem się odwrócił, by mnie widzieć i dalej szedł już tyłem. – Panienska nie wie, ale te mapy nie są dobre. Połowę z nich narysowano jeszcze przed wybudowaniem wystawy, żeby dało się zdążyć z ich wydrukowaniem, a niektóre pokazy poprzenoszono gdzie indziej. To, czego panienska potrzebuje, to przewodnik. Zresztą szanująca się młoda dama nie powinna chodzić po wystawie bez eskorty.

Uniosłam brew.

– Widziałam tu wiele kobiet zwiedzających jej tereny bez męskiej opieki.

– No, w grupie to tak – przyznał. – Ale przecież nie przechadzające się tutaj samotnie, prawda? Ja mogę być panienski przewodnikiem! Już dziewięć razy to robiłem, raz nawet dla grupy dam aż z Londynu. Wiem wszystko o Wystawie, bo mój tatko pracował tu, odkąd zaczęli ją budować.

Umilkł, by zaczerpnąć tchu.

– Za dwa dolary mogę paniensce pokazać wszystko, co warto tu zobaczyć, a także jak unikać tłumów i... – zarumienił się – ...gdzie jest wygodka dla dam, i wszystko, co trzeba...

Już miałam go zapytać, czym jest ta wygodka, ale zarejestrowałam jego rumieniec i dodałam dwa do dwóch.

– I co panienska powie? – Czym prędzej podjął przerwany wątek. – Na pewno nie chciałaby chodzić całkiem sama, bo są tu miejsca, gdzie niebezpiecznie jest młodej damie wchodzić. Wie panienska, bywają źli ludzie, gotowi wykorzystać samotne dziewczę.

Doszliśmy do środka alei pomiędzy Budynkiem Górnictwa i Budynkiem Elektryczności. Przed nami widać było złotą kopułę Budynku Administracyjnego, za to lawendowego pióra Katherine nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Westchnąwszy, rozejrzałam się wokół siebie i zobaczyłam, że miał rację: widziało się całe mnóstwo kobiet chodzących w grupach lub przynajmniej we dwie, ale nie wypatrzyłam ani jednej, której nikt nie towarzyszył. Musiałam przyznać, że nie będąc sama, na pewno mniej rzucałabym się w oczy. Trzeba też było pamiętać o fakcie, że on widział list. Wciąż jeszcze nie miałam pewności, ile z niego przeczytał, uznałam, że dopóki się stąd nie wyniosę, lepiej mieć tego malca na oku i pod kontrolą. A wyraźnie widać było, że obietnica dodatkowego zarobku nie pozwoli mu się oddalić.

Zorientował się, że to rozważam, bo stał cicho, wyprężony jak struna, z rękoma założonymi za plecy – brudnawy żołnierz, oczekujący inspekcji. Ale i tak ciężko mu było utrzymać idealny bezruch, tym bardziej, że rozstrzygał się tak poważny interes, i nadmiar energii sprawiał, że kołysał się wte i wewte na palcach stóp, niczym kijek pogo do skakania.

– Wydawało mi się, że musisz jeszcze dzisiaj iść do pracy.

– Dopiero o wiele później – powiedział, kręcąc głową. – I jeszcze wieczorem

pomagałbym mamie w jej budce, a ona o wiele bardziej by wolała, żebym popracował gdzieś indziej, żeby był z tego dodatkowy pieniądz. Jest nam ciężko, odkąd mój tatko... – Umarł? Odszedł? Nie dokończył zdania i myśląc o tym, tak spochmurniał, że zdecydowałam się nie drażyć tego tematu.

Był chudy, w znoszonym ubraniu i podejrzewałam, że jego zapewnienie, iż matkę uszczęśliwiłoby dodatkowe kilka dolarów, odpowiadało prawdzie. Poza tym wyglądał na niezłego bystrzachę – co akurat mogło budzić mieszane uczucia, skoro o moim pojawieniu się mógł wiedzieć więcej, niż bym chciała. W ciemnych oczkach jarzyło się coś szelmowskiego, ale twarz miał raczej otwartą i szczerą.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

– Mojego tatka wołali Mick, a mnie Mały Mickey, bo jesteśmy Irlandczycy, no to wiadomo. Tylko że jego już nie ma, a ja znów nie jestem taki mały, niech więc panienska woła na mnie Mick.

– Dobrze, Mick. Ile ty masz lat?

– Dwanaście, panienko – odpowiedział bez wahania.

Przyjrzałam mu się sceptycznie.

– Ile naprawdę masz? Nie odmówię zatrudnienia ciębie tylko z powodu wieku, po prostu chcę to wiedzieć.

– Prawie dziewięć – oświadczył.

– Jeszcze raz spróbuj.

– No naprawdę, w sierpniu będzie dziewięć.

Zważywszy, że trwał październik, chłopak to „prawie dziewięć” rozciągnął maksymalnie, ale ten wiek przynajmniej można było uznać za prawdopodobny. Zaczęłam się zastanawiać nad historyjką, którą ten ośmiolatek na tyle kupi, że będzie się mnie trzymać i siedzieć cicho, dopóki nie będę gotowa do powrotnego skoku. Wróciłam myślą do czytanej w gimnazjum książki o Nellie Bly – sławnej dziennikarce z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, która samotnie objechała kulę ziemską w siedemdziesiąt dwa dni. Byłam prawie pewna, że gdy zaczynała swoją przgodę z dziennikarstwem, musiała być mniej więcej moją rówieśniczką.

– Dobrze – powiedziałam, schylając się prawie na wysokość jego oczu. – Oto, co mogę zaproponować, Mick, i nie podlega to żadnym targom. Mam na imię Kate i jestem dziennikarką, pisarką... piszę dla jednej z gazet na wschodzie. Zwykle pracuję z partnerem, moim fotografem, ale on jeszcze nie dojechał. Przyda mi się pomocnik, musisz jednak robić dokładnie to, co powiem. I to nie zadając pytań i nie mówiąc o tym nikomu, bo pracuję na prawach wyłączności, jasne?

Przy końcówce nieco zmarszczył czoło. Podejrzywałam, że nie bardzo wiedział, czym są prawa wyłączności, ale wołał się do tego nie przyznawać.

– Panienska reporter? Śledzi panienska tamtych dwoje, co nie? Mężczyznę i kobietę, co szli przed panienką? A kto on taki, jakiś zbrodniarz czy co? Wyglądał

mętnie, on...

Spojrzałam na niego ostro i weszłam mu w słowo.

– Żadnych pytań, już zapomniałeś? Pięć dolarów za czas, który tu spędzę – kontynuowałam. – Wyjadę może dzisiaj, może jutro, zależeć to będzie od tego, ile czasu zajmie mi zebranie wszystkiego do mojego artykułu. Opłacę wszystkie twoje wydatki: posiłki i co tam będzie trzeba. A pierwszy postój zrobimy przy wygodce dla dżentelmenów, gdzie się wyszorujesz – potrzeba mi pomocnika, który będzie czysty i reprezentacyjny. Potem pomożesz mi dostać się na Midway przed godziną dziesiątą.

Znów kiwnął głową i chwycił mnie za łokieć, ciągnąc w lewo, ku skupisku wielkich białych wodotrysków.

– Tędy, panienko...

– Miało być Kate – przypominałam.

– Tędy, panno Kate. Znam najlepszą drogę.

∞

Kiedy szliśmy, Mick przeszedł w tryb przewodnika wycieczki i rychło się okazało, że nie wyolbrzymiał swoich kompetencji. O Wystawie Światowej wiedział naprawdę mnóstwo i wykuł na pamięć wiele szczegółów odnośnie do różnych budowli i ekspozycji.

– To tutaj – oznajmił, gdy zbliżyliśmy się do zbiornika wodnego, którego jeden kraniec zdobiły owe ogromne, białe fontanny – znane jest jako Grand Basin. – Następnie Mick wskazał środkowy spośród tych wodotrysków, wielką klasycystyczną podobiznę statku wiosłowego. – A tu mamy Fontannę Kolumbijską. MacMonnies, jegomość, który ją zaprojektował, powiedział mi, że to miał być symbol tego kraju i postępu, jaki zrobiliśmy od czasu, gdy wylądował tu Kolumb. Ludzie przy wiosłach przedstawiają wszystkie sztuki, panienka wie, muzykę, malarstwo i takie tam. Ten wielkolud tam to ma być Ojciec Czas, sterujący tym statkiem w przyszłość za pomocą swojej wielkiej... – Przerwał, zastanawiając się nad czymś. – Mama zawsze mówiła na to *speal*. Jak się po angielsku mówi na to, czym się ścina zboże?

– Kosa? – zasugerowałam.

– Tak, o to chodziło – powiedział, ciągnąc mnie lekko w bok, by nie wpadła na mnie grupka pań w średnim wieku, podobnie jak ja przyglądających się rzeźbie i niewiele uwagi poświęcających temu, którędy idą. – O kosę. Zapomniałem, co ma oznaczać ta kobieta na przedzie. Albo te kupidyny. Może są tylko dla ozdoby... Ta budowla tam – dodał zaraz – to największy budynek świata – Budynek Rzemiosła. A tamten, co go minęliśmy po drodze, idąc tutaj, to Budynek Elektryczności. Nie

uwierzyłaby panienka, co tam mają. Mam przyjaciela, który tam pracuje przy zmiataniu, i on powiada, że jest tam taka maszyna, mówią na nią teleautograf, że jak ktoś ze wschodu prześle jakiś obrazek, to ona go tu narysuje, tak jakby to był telegram. Powiada też, że mają tam też ten nowy wynalazek pana Edisona, co tak robi, że obrazki stają się ruchome i jak się zajrzy do takiej małej skrzynki, to można zobaczyć, jak jeden jegomość kicha. A gdyby panienka zaczekała, żeby zobaczyć to miejsce w nocy, to całe będzie rozświetlone, nie widziała panienka jeszcze czegoś tak pięknego. Jak milion latarni, choć przyglądałem się im za dnia i okazało się, że to tylko takie małe szklane kule z drucikami w środku.

Aż dziwnie było pomyśleć, że niemal wszystkie ze wspaniałych budowli, które Mick mi pokazywał, były konstrukcjami tymczasowymi, pokrytymi trochę solidniejszym odpowiednikiem masy papierowej. Po likwidacji wszystkich ekspozycji wyburzenie lub spalenie tych budynków będzie już tylko kwestią miesięcy. Pozostanie tylko kilka z nich, a także ogrody – coś naprawdę zadziwiającego, jako że niespełna rok wcześniej teren ten był jedynie bagniskiem.

Obeszliśmy skraj laguny, gdzie przycumowano kilka kolorowych gondoli, na których pokłady wsiadali właśnie pierwsi tego dnia pasażerowie. Za wodą, przez drzewa na Wyspie Leśnej prześwitywała Japońska Herbaciarnia.

Przez większość drogi trzymaliśmy się chodników, przechodząc koło Budynku Rządu Stanów Zjednoczonych i Budynku Rybołówstwa, gdzie Mick z rozkoszą zaprezentował mi bogaty i plastyczny opis wielkiego rekina, którego tam eksponowano. Potem wybrał skrót przez trawę przed pawilonami narodowymi Gwatemali i Ekwadoru, musiałam więc iść odrobinę na palcach, by oszczędzić obcasom trzewików zapadania się w wilgotną glebę.

Przez prawy but zaczynałam dorabiać się pęcherza na pięcie, narastało we mnie też podejrzenie, że „najlepsza droga” Micka nie była najbardziej bezpośrednim szlakiem, prowadzącym na Midway. W oddali widziałam Koło Ferrisa i miałam wrażenie, że minęliśmy miejsce, gdzie powinniśmy byli skręcić.

– Tak, panienko – powiedział, gdy wskazałam to wielkie koło na horyzoncie.  
– Ale panienka nie chciałaby korzystać tam z wygodki. Nie nadaje się dla damy. Na damach z Londynu wielkie wrażenia zrobiła wygodka w Pałacu Sztuk Pięknych. To już tam, następnym budynek. Powiedziały, że miłszej nie widziały.

– Ale ta... wygodka... miała być dla ciebie, żebyś się umył. Ja tam teraz iść nie muszę. – Przeraziła mnie myśl o ewolucjach toaletowych w stroju, jaki miałam na sobie, uznałam więc, że dobrym pomysłem może być ograniczenie spożywania płynów przez resztę dnia.

– O... przepraszam – powiedział. – Ja mogę skorzystać z tej na Midway, gdzie nie trzeba płacić piątaka, ale myślałem, że może panienka potrzebuje. Wiadomo, pewne damy o tym nie mówią. Jedna z dam z Londynu nie powiedziała i o mało się nie...

– Dziennikarki nie są aż tak wytworne – przerwałam, lekko się uśmiechając.  
– Co myślimy, to mówimy. Jeśli więc będę musiała tam pójść, powiem ci to wyraźnie. – Zerknęłam na schody wiodące pod ozdobny portyk budynku. – Ale skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy wejść. Zaczekam na ciebie w hallu.

Mieliśmy krótkie spięcie z pracownikiem odpowiedzialnym za męską łazienkę. Widząc ubranie Micka, pokręcił długim nosem i zasugerował mu, by poszukał sobie innej toalety. Mick spierał się z nim przez chwilę, a potem ja położyłam kres temu starciu, wręczając facetowi ćwierćdolarówkę – znacznie więcej niż piąta, którego życzył sobie za korzystanie z tego przybytku. Jego nastawienie uległo zmianie, ale i tak wszedł do środka za chłopcem, jakby w obawie, że Mick zwinie mu ręczniki.

Usiadłam na czarnej tapicerowanej ławie, oglądając sobie otaczające mnie mnóstwo rzeźb z marmuru, gipsu i brązu. Według zegara w tej rotundzie było dopiero kilka minut po dziewiątej. Czasu więc mieliśmy dużo, ale byłam zbyt zdenerwowana, by spokojnie siedzieć, powłóczyłam się wobec tego, przyglądając się bliżej kilku pracom. Jedna z rzeźb, nadnaturalnej wielkości, przedstawiała mężczyznę, który zamierzał się pięścią na atakującego go orła. Blisko niej wypatrzyłam mniejszy odlew z brązu, opatrzony tytułem po francusku i przedstawiający dziecko na brzegu rzeki. Bogactwo szczegółów zachwycało, ogromnie zaskoczyło mnie więc, że autorką tego dzieła była nastoletnia mieszkanka Bostonu, Theodora Alice Ruggles.

Kilka minut później Mick opuścił łazienkę, dowodząc, że rzeczywiście udało mu się zmyć z twarzy i rąk większość brudu. Po próbach doszorowania ich do czysta mankiety miał nieco wilgotne, ale poprawa była oczywista. Najwyraźniej skorzystał też z innych udogodnień – włosy miał rozczesane, z równym przedziałkiem pośrodku. Przyliżał je też czymś, co pachniało jak olejek bergamotowy, używany w earl greyu, i przypomniało weekendy, gdy jako dziecko, na poły śpiąc, przesiadywałam u taty na kolanach, a on czytał gazetę i sączył tę właśnie herbatę.

Chłopak znów przybrał pozę gotowości do inspekcji, szybko więc kiwnęłam głową.

– Bardzo przyzwoicie, proszę pana. Myślę, że w zupełności może pan uchodzić za pomocnika dziennikarki.

Szeroko się uśmiechnął i opuściliśmy Pałac Sztuk Pięknych. Wyraźnie nie była to strefa, gdzie Mick mógłby błysnąć wiedzą, gdyż słowem nie wspominał o licznych rzeźbach i obrazach, które mijaliśmy, za to ożywił się, gdy już na chodniku skręciliśmy w lewo.

– Midway jest niedaleko stąd, panno Kate. Skąd więc panienka wie, że oni będą tam o dziesiątej? Co w ogóle robili w Obozie Myśliwskim? Jego tam przedtem widywałam, parę razy. Zawsze wychodził z tamtych krzaków... O mało

nie powiedziałem glinom, bo co i rusz znikają różne panie, ale zauważyłem, że z nim za każdym razem jest ta sama kobieta. I ona dużo się kręci po Wystawie. Coś tutaj ukryli?

Gdy nie odpowiedziałam, podniósł wzrok.

– No tak. Było powiedziane, żadnych pytań. Moja mama zawsze mówi, że tym dalej zajdę w życiu, im bardziej się nauczę trzymać buzię na kłódkę.

– Moja mawia to samo – roześmiała się. – Też nie zawsze jej słucham. Ale wiesz, to chyba jednak dobra rada.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak, ale mój tato powiadał, że niczego się człowiek nie dowie, jak nie będzie pytał. A trudno to robić z buzią na kłódkę. Jedno mogę powiedzieć, ten, co go panienka śledzi, to ciemny typ. Ma to w oczach. Zawsze jak wchodzi na wzgórze, patrzy na mnie takim złym wzrokiem, trochę takim, jak panienka dziś rano, no, ale wiadomo, panienka się bała. Bez obrazy.

– Nie bałam się – zaoponowałam.

– Właśnie, że tak – stwierdził kategorycznie. – Jest tu panienka nowa i śledzi jakiegoś złego człowieka. Ale ma teraz panienka dobrego przewodnika, więc napisze swój artykuł i szef panienki będzie cały szczęśliwy, co nie?

Spieranie się z ośmiolatkiem wydało mi się bezcelowe, tym bardziej że nie można było odmówić mu racji, zamknęłam więc buzię na kłódkę i dalej szłam za nim.

∞

Na bulwarze Midway już o 9:30 było hałaśliwie, duszno od kurzu i rojno. Budynki nie były tu tak imponujące, jak w głównej strefie Wystawy, ale braki pod względem rozmiarów nadrabiały kolorystyką i bogactwem wzorów. Na przestrzeni kilku przecznic minęliśmy repliki wczesnoamerykańskiej chaty z drewnianych bali i irlandzkiego zamku, skupisko domków, wyglądających na azjatyckie, i nieco zminiaturyzowaną wersję tureckiego meczetu.

Zatrzymaliśmy się przy małej budce z napojami tuż za Wioską Niemiecką i kupiłam tam dwie lemoniady. Po kilku minutach znaleźliśmy sobie miejsce na jednej z ławek przed budynkami.

W odróżnieniu od reszty Wystawy, gdzie zwiedzającymi byli głównie biali, Midway mógł się kojarzyć ze współczesnym miastem z całą gamą ras i narodowości. Patrząc w dół ulicy, mogłam się przyjrzeć mężczyźnie, ubranemu jak Arab, prowadzącemu ku nam, wzdłuż głównej drogi, wielbłąda. Kobieta w średnim wieku, siedząca na jego garbie i kurczowo trzymająca się krawędzi bocznego siodła, minęła taką, jakby gotowa była zakończyć tę przejażdżkę.



Wzrok Micka powędrował za moim spojrzeniem.

– Tam jest Ulica Kairska. Powinna panienska wrócić tu po południu, jak będą urządzać arabskie wesele. To naprawdę...

– Obawiam się, że nie bardzo będę miała okazję coś tu pozwiedzać, Mick – powiedziałam. – Mam tu robotę i niezbyt dużo czasu.

Trochę mnie zaskoczyło, że autentycznie żałuję tego, że muszę się spieszyć, podczas gdy wokół było całe mnóstwo rzeczy, które z rozkoszą bym pooglądała, gdybym była tu tylko dla przyjemności. Pozazdrościłam Katherine jej pracy, sprowadzającej się przecież do tego, by poznawać jak najwięcej.

– Szkoda – stwierdził. – Tutaj można spędzić tydzień i jeszcze nie wszystko zobaczyć. Nie, żeby się dało spędzić tydzień, bo przecież zamykają i w ogóle. Fajowo byłoby chodzić tu, jak już nie będzie ludzi, tak jak to było, kiedy to budowali. Ja właściwie nie lubię wielkich tłumów. A potem wszyscy tutaj, tak myślę, zabiorą się do wyburzenia tego wszystkiego, a później rozjadą się do domów.

– A gdzie jest twój rodzinny dom, Mick? Ten sprzed przyjazdu do Ameryki.

– W hrabstwie Clare. To w Irlandii – odpowiedział. – Miasteczko nazywa się Doolin. Bardzo ładne, jak mówi mama, ale do roboty nie ma tam nic poza łowieniem ryb. Przyjechaliśmy tu, jak miałem trzy czy cztery lata. Nawet pamiętam, jak płynęliśmy statkiem, ale Irlandii już nie.

– To dokąd pojedziecie? – spytałam. – Bo jak rozumiem, niedługo nie będzie już pracy dla ciebie i dla twojej mamy, tak?

Przytaknął, smętnie wykrzywiwszy usta.

– Dama z kościoła próbuje namówić matkę, żebyśmy wrócili na tę wielką farmę, gdzie pracowaliśmy, jak przyjechaliśmy do Ameryki, i jej chodzi to po głowie. Ja to widzę.

– A ty nie chcesz wracać?

Potrząsnął głową przecząco.

– Tam było czysto, mieliśmy więcej miejsca i w ogóle, i była dobra praca na powietrzu, ale ja nie chcę wracać. Mój tatko nie chciał siedzieć na tamtej farmie. Nie ufał im i ja też nie. Wolę raczej zostać w mieście i pójść do fabryki, nawet jeśli to ma być cały dzień w zamknięciu.

– A co ze szkołą? – spytałam, przez długą papierową słomkę sącząc lemoniadę, zimną i przyjemnie cierpką.

– Skończyłem z tym – odparł Mick, rysując butem w piasku jakąś krechę. – Chodziłem na lekcje chyba dwa lata, jeszcze na farmie, zanim zaczęła się Wystawa i mój tatko umarł. Pisać i czytać umiem dość porządnie. Liczyć też. Całej reszty, jak będzie trzeba, sam się nauczę. Jestem już dość duży, żeby pomagać mamie w utrzymaniu.

Mówiąc to, dumnie uniósł podbródek i aż mnie uderzyło, jak bardzo stara się

podkreślić swoją dorosłość.

– Kiedy twój tato... – zaczęłam z wahaniem.

– W lipcu – powiedział. – Kiedy zaczęła się wystawa i skończyło budowanie, dostał robotę przy gaszeniu pożarów. Bo dużo się zdarzało małych pożarów w restauracjach i budynkach z elektrycznością. Potem był wielki pożar w Budynku Chłodni. Dziwne, że się paliło w budynku, gdzie było takie mnóstwo lodu. Nie wiem, co tam się zapaliło, ale ogień był ogromny. Wszyscy strażacy pracujący na Wystawie tam zginęli, umarło też trochę tych, co przyjechali z miasta. Ale w końcu to ugasili i pożar nie przeszedł na żaden inny budynek.

– Przykro mi, że twój tato tak odszedł, Mick.

– Mnie też. Brakuje mi go. – Chwilę milczał, a potem dopił lemoniadę. Ze słomki dobiegło głośnie siorbnięcie, bo wbił ją między bryłki lodu w poszukiwaniu ostatnich kropli.

– Aż tak bardzo nie jestem spragniona – zauważyłam. Nie do końca odpowiadało to prawdzie – w powietrzu unosiło się sporo kurzu i z przyjemnością opróżniłabym do połowy już pustą szklankę, gdyby nie perspektywa późniejszego borykania się w łazience z tiurniurą i spódnicą do kostek. – Jak chcesz, możesz dokończyć moją.

Zapracowałam tym na kolejny uśmiech.

– Panienska jest miłsza od mojej drugiej szefowej. Ona tylko raz dała mi miętówkę i to dlatego, że jak powiedziała, jechało mi z buzi cebulą. Bo pewnie tak było. – Szybko uporał się z resztkami napoju i odniósł do budki obie puste szklanki.

Przebiliśmy się wreszcie pod Koło Ferrisa, które teraz, gdy się do niego zbliżyliśmy, wydało się naprawdę olbrzymie. Było co najmniej pięć razy większe od diabelskiego młyna, na którym jeździłam na zeszłorocznym jarmarku, i rzucało cień na dużą połąć Midway. Z wdzięcznością osunęłam się na pustą ławkę tuż za rogiem sąsiedniego budynku, zapewniającą dobry widok na strefę wsiadania. Pęcherz na mojej pięcie stawał się już irytujący i absolutnie nie chciałam na przybycie Katherine czekać na stojąco.

– A więc po prostu sobie tu usiądziemy i zaczekamy, aż przyjdą? Pomogę wypatrywać... A kiedy już będą stąd szli, pójdziemy za nimi, zobaczyć, gdzie idą, czy co?

Reguła „żadnych pytań” zdawała się dokuczać mu coraz bardziej, uznałam więc, że nie zawadzi wyłożyć mu ogólny zarys planu.

– Właściwie to muszę się zbliżyć do tej kobiety, no wiesz, do tej, która mu towarzyszy. Będą w dużej grupie ludzi, około stuosobowej, z burmistrzem, nie tak trudno więc będzie ich zauważyć.

– Aha. – Pokiwał głową z powagą. – A więc to będzie historia polityczna, ta, co ją panienska pisze. Ten ciemny typ próbuje przekupić burmistrza, co nie?

– Nie, nie – zaprzeczyłam. – Nie piszę o burmistrzu. Po prostu muszę z tą kobietą porozmawiać kilka minut, ale tak, żeby ten „typ”, jak go nazywasz, nas nie podsłuchał.

– Dobra jest, to nawet łatwizna – stwierdził. – Załatwię, że Paulie wsadzi nas do ich wagonu.

– Do ich... *czego?* – spytałam. – I kto to jest Paulie?

– Do wagonu na wielkim kole – odpowiedział, ruchem głowy wskazując wagoniki, do których już wsiadali ludzie. – Mówiła panienka, że w tej grupie będzie ze sto osób? Dwudziestka na pewno za bardzo się spietra, żeby pojechać, zobaczy panienka, a wagony zabierają po sześćdziesiąt osób. Więc chodzi tylko o to, żebyśmy się dostali do właściwego wagonu.

Podniosłam wzrok na sam szczyt koła i pomyślałam, że prawdopodobnie ma rację co do tych, którzy się spietrają. Mnie samą ścisnęło w żołądku na myśl o wjechaniu tak wysoko w czymś, co zbudowano w ostatniej dekadzie dziewiętnastego wieku, na długo przedtem, zanim wynaleziono plakietki, informujące o dopuszczeniu urządzeń do eksploatacji.

– No i Paulie mnie zna – kontynuował Mick – i może nas wepchnąć razem z nimi. Możliwe, że damy będą wszystkie jechać w jednym, żeby panowie mogli zapalić, ale jeśli będą razem, zajmę typa, żeby panienka mogła pogadać z tą damą.

– Ale nie wydaje mi się, żeby w tej grupie były jakieś dzieci – zauważyłam.  
– Tam będzie pełno burmistrzów i ich żony...

Wzruszył ramionami.

– Nie problem – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Zawsze się wkradam bez płacenia. Pełno dzieciaków tak robi: starczy znaleźć parę dam z wielkimi spódnicami i się między nie wcisnąć. Póki nikt mnie nie widzi, Paulie słowa nie powie. Zwykle damy, nawet jak zobaczą, to nie wydadzą, jeśli się wygląda, jakby się nigdy wcześniej nie miało szansy tak przejechać. A jak się poskarżą, Paulie najwyżej na mnie nawrzeszczy, już na dole, powyzywa mnie, może też czymś rzuci, żeby sam nie miał kłopotów.

– No cóż – roześmiałam się – przynajmniej tym razem nie będziesz musiał wchodzić bez płacenia. – Wręczyłam mu dolara i ćwierć. – Kup nam dwa bilety, a tę ćwiartkę daj Pauliemu za jego pomoc.

– Robi się. – Zeskoczył z ławki. – Panienka tu zostanie, skoro noga boli, a ja zaraz wracam.

Musiałam przyznać, że jest spostrzegawczy. Nic nie mówiłam o pęcherzu, a jeśli nawet utykałam, nie wydawało mi się, że ktoś mógłby to zauważyć, skoro byłam tak porządnie osłonięta od stóp do głów.

Mick popędził do kiosku, odstał swoje w krótkiej kolejce po bilety, potem zabawił tam jeszcze chwilę, rozmawiając z Pauliem – chłopakiem mniej więcej w moim wieku. Obaj spojrzeli w moją stronę i Paulie dyskretnie do mnie pokiwał,

a Mick wrócił na ławkę.

– Załatwione – powiedział z szerokim uśmiechem. – Jeśli panienka jest pewna, że będą kwadrans po dziesiątej, mamy nie więcej niż parę minut, może pięć. Kiedy panienka zobaczy, że burmistrz tu idzie, podejdzie tam i jakoś się wmiecha w koniec kolejki. Jeśli nie będzie innych dzieciaków, będę się trzymać z boku, aż panienka zacznie wsiadać, a potem się wśliznę obok.

Lepszego planu bym nie wymyśliła.

– Choćby się zorientowali, że nie należymy do grupy burmistrza – powiedziałam – przecież nas nie wysadzą, kiedy koło już zacznie się obracać, prawda?

– Nie sędzę, żeby się burmistrz bardzo zezłościł – oznajmił Mick. – On lubi dzieci. Starał się wymóc na szefach od Wystawy, żeby pozwolili biednym dzieciakom z Chicago oglądać pokazy za darmo, ale tamci powiedzieli nie... Chociaż Buffalo Bill<sup>1</sup> nie był taki – dodał, wskazując głową koniec bulwaru. – Widzi panienka tamte namioty? To jego Dzikie Zachód. On powiedział burmistrzowi, że tak zrobi: urządził Dzień Ulicznika, gdzie wszystkie dzieciaki z miasta dostały darmowe przedstawienie, darmowe cukierki, darmowe lody. Co to był za dzień! Oczywiście tamci tam robią wielkie pieniądze – stwierdził z poważną miną – i założę się, że szefowie Wystawy żałują, że przedstawienia Billa nie zaliczono jako część Midway. Powiedzieli, że było za bardzo „niskich lotów”. A sami na Wystawie też mają występy Indian, chociaż ani trochę tak dobre, jak ma Buffalo Bill.

Potem umilkł, dzieląc czas pomiędzy siedzenie na ławce i kursowanie na róg budynku, chyba co pół minuty, by zza niego wyjrzeć.

Po trzeciej czy czwartej takiej wyprawie znów usiadł, przysuwając się nieco bliżej.

– Jest taka duża grupa, już za budką z lemoniadą. To oni. Nie sposób pomylić burmistrza! To duży jegomość i ma ten swój kapelusz, zresztą panienka sama zobaczy.

Zobaczyłam, jakieś dwie minuty później, gdy zza rogu wyszedł i zbliżył się do kiosku z biletami wysoki, raczej postawny mężczyzna w miękkim, czarnym kapeluszu. Mick dobrze go przedstawił – pomimo przynależnego jego urzędowi ubioru, z klasyczną kamizelką i zegarkiem z dewizką, Carter Henry Harrison zdecydowanie miał swój styl. Wszyscy mężczyźni nosili kapelusze – pełen wybór meloników i kanotierów, nawet kilka cylindrów – ale kapelusz Harrisona miał w sobie coś lekko niepokornego, niemal kowbojskiego. Odrobinę kojarzył mi się z fedorą, którą nosił Indiana Jones.

Burmistrz skinął ręką w stronę skupionej za nim ogromnej delegacji i przystanął, by wysłuchać, co ma mu do powiedzenia jedna z kobiet. W jej jasnobrązowych włosach prześwitywały pasma siwizny, a ubrana była w granatową

suknię z gorsem z białej koronki. Dobrze wyglądała w swoich okularach w drucianej oprawie, mniej więcej mojego wzrostu i budowy. Burmistrz się śmiał serdecznie z czegoś, co powiedziała, a potem, poklepawszy ją po ramieniu, zwrócił się do owego tłumku:

– Jeżeli ktoś z państwa żywi podobne obawy jak nasza pani Salter, proszę pozwolić, że zapewnię, iż Koło jest absolutnie bezpieczne. Pierwszym pasażerem była żona wynalazcy, a panu Ferrisowi zdecydowanie nie chodziło o to, by pozbyć się zacnej małżonki.

Z grona zebranych dobiegł uprzejmy śmiech. Harrison mówił dalej:

– Proszę jeszcze o chwilę, bym omówił z tą miłą osobą kwestię naszej przejażdżki, a potem... – dramatycznym gestem wskazał szczyt Koła – ...będzie nam jak w niebie.

Kilka kobiet powędrowało wzrokiem w kierunku zasugerowanym przez jego wzniesione ramię, a jedna z nich, pulchna pani w średnim wieku, w bladuróżowym kapelusiku, westchnęła głośno. Nie wiem, czy do tej pory w ogóle nie patrzyła na Koło, czy dopiero do niej dotarło, jakie naprawdę jest, ale wyrwała rękę spod pachy przyjaciółki, stojącej obok niej.

– Przepraszam, Harriet, wiem, że powiedziałam, że wjadę tam z tobą, ale absolutnie mowy nie ma, żeby moja noga została wewnątrz tego stalowego monstrum. – Wyraźnie się wzdrygnęła i potrzęsnęła głową. – Nie. Tutaj na ciebie zaczekam. – Ruszyła dołączyć do parunastu kobiet i paru mężczyzn, którzy zebrali się po drugiej stronie ulicy, by stamtąd obserwować swych odważniejszych rodaków. Po chwili jej przyjaciółka też przyjrzała się Kołu i z dość zbolalą miną uznała, że sama też zostanie na ziemi.

Rozglądając się po tłumie, najpierw wypatrzyłam Saula, stojącego w większym gronie mężczyzn. Chwilę później dostrzegłam pióro Katherine, akurat za kobietą w granatowo-białej sukni, rozmawiającą wcześniej z burmistrzem. Oboje znajdowali się prawie w środku tej grupy, która teraz, jeśli nie liczyć tych dwóch kobiet, zdawała się dzielić podług płci, tak że kobiety zbierały się po jednej stronie podestu, a mężczyźni po drugiej. Kilka członkiń żeńskiej grupki wpatrywało się w dwie zdraczkynie płci pięknej z zaciśniętymi ustami, jawnie świadczącymi o dezaprobatie.

Szturchnęłam Micka łokciem.

– To ona. Nie wiem, z kim rozmawia, to może być ta pani burmistrz, którą zaprosili... – I tak najprawdopodobniej było, choć nie nazwałabym tej zwawej kobietki „cichą szarą myszką”, jak zrobiła to Katherine.

– Kobieta burmistrz. Do czego to podobne. – Mick odrobinę zmrużył oczy, próbując lepiej się jej przyjrzeć, ale kobiety przysłaniała częściowo grupka kilku stojących bliżej nas mężczyzn. – Podlecę bliżej Pauliego, a jak panienka wsunie się do tego wagonu co ona, to ja za nią.

Ruszyłam ku rozdzielającej obie grupy granicy międzypłciowej, udając, że czegoś szukam w torbie, a mężczyźni rozstępowali się przede mną, rycersko ustępując miejsca kobiecie. Przez niski pomruk męskich rozmów przebijał wysoki głos Katherine. Rozmawiała z tą drugą kobietą, nie byłam jednak w stanie zrozumieć, co mówią, a jako że nawet nie próbowały dołączyć do grupy żeńskiej, ja też trzymałam się z tyłu. Drzwi pierwszego wagonu już się zamknęły i kilka kobiet stamtąd ze śmiechem machało urękawicznionymi dłońmi do panów z delegacji. Przesunęłam się pod podest, bliżej końca tej kolejki. Kilku mężczyzn niechętnym wzrokiem zmierzyło Katherine i jej towarzyszkę, a jeden wręcz fuknął na mnie, gdy też podeszłam do wagonu „męskiego” i zaczęłam wsiadać. Wyglądało na to, że Mick znów się nie mylił. Liczyli na szybkiego dymka i nie zachwycało ich zbytnio, że będą musieli prosić o pozwolenie na to towarzyszące im panie.

Rozejrzałam się po podeście w poszukiwaniu Micka, w nadziei że prześliznie się koło moich spódnic, rychło się jednak okazało, że już wsiadł. Jak tylko weszłam do wagonu, usłyszałam jego głośnie wycie, a potem zobaczyłam jak ta kobieta w granatowej sukni wypada z tylnych miejsc, wlokąc go za ucho. Sądząc z wyrazu twarzy Micka, mocno je wykręcała, przepychając się przez mężczyzn stojących jeszcze w kolejce do tego wagonu.

– Mamy tu małego gapowicza – powiedziała surowo, tak teraz ciągnąc go za ucho, że musiał stanąć na palcach. – Jeśli się panowie przesuniecie na bok, wyrzucę go.

Wzięłam głęboki oddech, ufając, że nie popełniam kolosalnego błędu.

– Nie jest gapowiczem, szanowna pani. Tutaj mam jego bilet.

Uniosłam w górę oba odcinki biletów i wszyscy odwrócili się w moją stronę, łącznie z Katherine. Jej uwagę przykuł mój podniesiony przegub, a zwłaszcza bransoletka z klepsydrą, którą mi dała na urodziny. Na krótką chwilę spotkałam się z nią wzrokiem, ale zaraz odwróciła się do damy, wciąż trzymającej ucho Micka w żelaznym uścisku.

Po raz pierwszy miałam okazję przyjrzeć się bliżej tamtej kobiecie i wstrząsnęło mną, że ją rozpoznaję. Podobieństwo rzeczywiście było bardzo duże, choć nie aż tak uderzające, jak na witrażach świątyni, ponieważ zmieniła kolor włosów. Z bliska też łatwiej było stwierdzić, że jej oczy, teraz ukryte za okularami w drucianej oprawie, były niebieskawoszare, a nie zielone. Zerknęłam niżej w poszukiwaniu symbolu cyrystów, ale dłonie miała okryte rękawiczkami, tak jak ja, dopóki nie udało mi się ich zabłocić podczas wspinaczki na wzgórek na Wyspie Leśnej.

Zdecydowanie nie tak wyobrażałam sobie spotkanie z moją dawno zaginioną ciotką. Zawsze myślałam o niej jako o rówieśniczce matki, dziwnie więc było napotkać tę młodszą wersję. W oczach przypadkowego obserwatora te siwe pasma

trochę by ją postarzały, ale po uważnej obserwacji nie dałabym wiary, że ma dużo więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że i ona wie dokładnie, kim ja jestem. W jej oczach na moment coś błysnęło, a potem wróciła do swojej roli, a jej twarz wykrzywił nieprzyjemny uśmiezek.

Pojawił się burmistrz Harrison.

– Dziękuję, pani Salter, ale skoro jednak ten chłopiec ma bilet, może powinniśmy już...

Prudence puściła Micka i pchnęła go ku mnie.

– Zabawne – powiedziała, mrużąc oczy i wciąż się we mnie wpatrując. – Nie przypominam sobie, żeby była panna członkiem tej grupy.

– Bo nie jestem – odparłam. – Te bilety kupiłam rano i nie przypuszczaliśmy, że wagon jest zarezerwowany na wyłączność. – Ruchem głowy wskazałam Micka. – To mój pomocnik... Piszę artykuł dla mojej... gazety.

Prychnęła i uniosła brew, wyginając w łuk.

– Owszem, jest panny pomocnikiem, ale nie pisze panna dla żadnej gazety. Burmistrz Harrison, proszę wezwać służby ochrony, żeby usunęły tych dwoje z terenu Wystawy. Gdy dziś rano przekraczałam bramę, usiłowali okraść pewnego dżentelmena. Ta młoda osoba odwracała jego uwagę, żeby ten tu włóczykij mógł zrobić swoje. Gdybym nie zdzieliła go w zadek parasolką, tych dwoje wnet by się oddaliło z portfelem starszego pana.

– To kłamstwo – oświadczyłam z pasją. – Nic takiego nie miało miejsca i pani dobrze o tym wie.

Jej fortel był jednak na tyle przemyślny, że większości mężczyzn w wagonie wydał się wiarygodny, i wręcz czułam, iż atmosfera gęstnieje. Kilku z nich jeszcze przed chwilą wydawało się życzliwych, a teraz nawet burmistrz Harrison przypatrywał mi się z lekka podejrzliwie.

– Czemu więc nie wezwała pani wtedy ochrony? – zapytałam. – Skoro uznała pani, że popełniamy przestępstwo...

W słowo wszedł mi cichy głos dobiegający z tyłu:

– Dla jakiej gazety panna pisze?

Odwróciłam się do Katherine z paniką na twarzy i wyrzuciłam z siebie pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– *Roch... Rochester's Worker Gazette*. To mały tygodnik. Poruszamy głównie kwestie robotnicze.

– O, znam tę gazetę – powiedziała, robiąc krok w przód, by zrównać się ze mną. – Wasz redaktor jakiś czas temu napisał świetny artykuł o złożoności podejścia do pracy dzieci. Krótki wyjątek z niego przywołał w zeszłym miesiącu *The Woman's Journal*. Przyjechała panna rozpytać się pośród małoletnich robotników, zatrudnionych przy Wystawie?

– Właśnie tak – potwierdziłam, posyłając jej uśmiech pełen wdzięczności.

Jej talent, pozwalający utkać wiarygodną opowieść z rzuconej przeze mnie nitki, naprawdę robił wrażenie. – Mick zna tutaj wielu młodych robotników i dlatego mi pomaga. Uznałam, że dodatkowym dowodem mego uznania będzie to, iż wezmę go na Koło Ferrisa.

– Ja zawsze marzyłem o przejechaniu się na wielkim Kole – dodał Mick z nieszczęśliwym wyrazem twarzy wpatrując się w czubki swych butów. – Ale mamie potrzeba wszystkich pieniędzy, jakie zarobię. – Popatrzył po ludziach wokół, a potem znów na mnie. Te wielkie, brązowe oczy o długich czarnych rzęsach, które za kilka lat zrobią z niego istnego pożeracza serc, działały tym skuteczniej, że wciąż jeszcze lśniły od łez po wykręcaniu ucha. – Ale nic się nie stało, panienko Kate. Nie chcę panience robić kłopotu.

Mick okazał się przekonującym młodym aktorem i poczułam, że atmosfera w wagonie znów się zmienia, a kilka osób wokół mnie wręcz się odprężyło. Niektórzy gromili Prudence gniewnym wzrokiem, zauważyłam jednak, że to głównie ta sama paczka, która wcześniej sprawiała wrażenie unieszczęśliwionej obecnością jej i Katherine, gdy wsiadałyśmy do wagonu.

– Doro – powiedziała Katherine, zwracając się ku niej – nie uważasz za możliwe, że rano się pomyliłaś? Może źle odczytałaś tę sytuację, tak trudno czasem ocenić, co naprawdę się dzieje, gdy wokół roi się od ludzi. Nie wydaje mi się, by ta młoda dama wyglądała bądź wysławiała się jak pospolita złodziejka.

W tym momencie wkroczył burmistrz Harrison.

– Może moglibyśmy po prostu poprosić pannę i jej... młodego pomocnika... o zajęcie miejsc w następnym wagonie? Pani Salter, mnie to wygląda na niewinną pomyłkę, a oni przecież mają bilety, jak pani widzi.

Prudence zrozumiała, że przegrała i urażona zawróciła na tył wagonu, zerknąwszy na Katherine z irytacją. Ja zatrzymałam się na moment pod pretekstem chowania biletów do torby i dyskretnie szepnęłam do Katherine:

– Muszę porozmawiać z tobą na osobności. Dzisiaj. A to nie jest Dora Salter.

Jej brwi nieznacznie podjechały w górę i lekko skinęła głową, a ja już odwracałam się ku drzwiom wagonu, ciągnąc z sobą Micka. Kilka przepaszających uśmiechów później byliśmy już na zewnątrz, a reszta panów z otoczenia burmistrza, w tym Saul, zajmowała w nim miejsca. Po twarzy Saula widać było, że Katherine nie wyolbrzymiała jego choroby lokomocyjnej – już teraz był błądy i oglądał się na owe mniej odważne duszyczki po drugiej stronie ulicy, jakby miał lada moment rzucić się w ich stronę. Paulie zamknął drzwi i przesunął dźwignię, podprowadzając kolejne wagony na pozycję startową.

– Paulie, tak czy inaczej dzięki – powiedział Mick, gdy wsiadaliśmy do kolejnego wagonu w gronie innych pasażerów. Przepchnęliśmy się na tył i Mick opadł na jedno z bocznych siedzeń bardzo przygnębiony.

– Załatwione, Mick. Powiedziałam jej kilka słów i już wie, że musimy się



jeszcze spotkać.

Słowem się nie odezwał i nachyliłam się odrobinę, by spojrzeć mu w oczy.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Naprawdę. Nie wiem, czy by nam uwierzyli, gdybyś nie uderzył w ton...

Mick pokręcił głową.

– To nie to, panienko. Po prostu będę miał kłopoty. – Na chwilę zamknął oczy, kolistymi ruchami pocierając skronie. Był to bardzo dorosły gest i jakoś mi znajomy, choć nie potrafiłam go z nikim skojarzyć.

Odczekałam chwilę, by się przekonać, czy rozwinie temat, ale gdy otworzył oczy, zaczął się wpatrywać się w maszynę wielkiego Koła. Chwilę później szarpnięcie znów podniosło nas w górę, bo wsiedli kolejni pasażerowie.

Bolało mnie, że taki dzieciak wygląda, jakby zwał się na niego cały wszechświat.

– Opowiedz mi więc o tym. Może będę mogła pomóc.

Zrobił jeszcze żałośniejszą minę, potem wzruszył ramionami.

– Moja mama będzie wściekła, a panienka mnie znienawidzi, bo i pewnie powinna. Ale ja panienkę lubię, a jej już wcale nie.

– Twojej mamy? – zapytałam.

– Nie – zaprzeczył, wyraźnie zaszokowany tą sugestią. – Nie. Ja mamę kocham. Rozchodzi się o tę wiedźmę, co ciągnęła mnie za ucho. Nie poznałem jej od razu przez to, jak sobie ufarbowała włosy, żeby wyglądać starzej i w ogóle, ale to ona. To moja szefowa.

Buffalo Bill, właściwie William Frederick Cody (1846–1917), legenda Dzikiego Zachodu, łowca bizonów, zwiadowca armii amerykańskiej, weteran wojny secesyjnej, organizator i aktor widowiska cyrkowego Dziki Zachód (Wild West Show). Występował z nim także w Europie, w roku 1906 gościły go Kraków i Rzeszów. [\[wróć\]](#)

Szczęka mi opadła.

– Twoja szefowa? To znaczy ta z chaty? Tej na Wyspie Leśnej?

– Tak – poparł to błagalnym spojrzeniem swoich ciemnych oczu. – Ja przepraszam, panno Kate. Powinienem powiedzieć panience, ale miałem nikomu nie mówić, wcale. Nawet mój tatko się na to zgodził, a ja robiłem to samo co panienka, wypatrywałem, kiedy tamtych dwoje się pokaże, to sobie pomyślałem, że może dobrze będzie, panienka wie, połączyć siły.

– A tak dokładnie, dlaczego ich wypatrywałeś, Mick? – spytałam. – Co miałeś zrobić?

– Ja... – Potrząsnął głową i głęboko zaczerpnął tchu. – Panienka mi nie uwierzy, panno Kate. Bo jest taka książka. Należała do tatka. I ta książka wysłała jej wiadomości. Dziadunio mu ją dał, przed śmiercią, razem z tym czymś okrągłym, co świeci. Jak się tego dotknie, to się wokół niej zapalają słowa i różne takie. Przy nich wszystkie te wynalazki na wystawie wyglądają jak tanie zabawki.

Najwyraźniej Saul odkrył takie zastosowanie dzienników, o jakim Katherine i Connor nie pomyśleli. Chłopak zerknął na mnie, ale zachowałam powagę i kiwnęłam głową, by kontynuował.

– No i właśnie skończyłem to robić, znaczy wysłać jej wiadomość, i się obejrzałem, a tu panienka wchodziła na wzgórze. A potem zobaczyłem list, co panienka upuściła i... – Zawiesił głos, a maszyna zaryczała głośno, gdyż Koło, zabrawszy ostatniego pasażera, zaczęło się obracać, wynosząc nas wysoko nad Midway.

– Czy twoja szefowa to ta dama z kościoła, o której mówiłeś? – spytałam.

– Ta, która chce, żeby twoja mama wróciła na kościelną farmę?

Kiwnął głową, ale nic nie powiedział, więc nacisnęłam nieco mocniej.

– Dlaczego jej nie ufasz, Mick?

– Bo mój tatko nie ufał – oświadczył z zapałem. – To dlatego wyjechaliśmy. Kościół nas sprowadził. Zapłacili za naszą podróż statkiem, za całą drogę z Irlandii, to chyba myśleli, że popracujemy dłużej, a ja dalej będę brał ich cyrystowe lekcje, ale tatko powiedział, że znajdziemy inny sposób, żeby ich spłacić. Wiele było kłótni po tym, jak się zabraliśmy, i mój tatko powiedział, że skończyliśmy z tą bandą. Dostał robotę na budowie, a mama znalazła pracę i trochę różnych robót dla mnie. Od razu było znów dobrze, jak tylko wyjechaliśmy... Potem, jak już Wystawa była cała zbudowana, z pieniędzmi było naprawdę cienko. – Popatrzył na mnie kątem oka i mówił dalej, ale tak cicho, że musiałam wyęczać słuch, żeby go usłyszeć przez trajkotanie gawiedzi, podnieczonej tym, że pniemy się coraz wyżej w niebo. – Siostra Pru znalazła nas tutaj i powiedziała, że wybacza tatce, że odszedł

z farmy i że takie brzydkie rzeczy mówił o cyrystach. Pociągnęła za jakieś sznurki, żeby go zaczepić u strażaków, no i już mówiłem panience, jak to się skończyło.

Usta wykrzywiła mu gorycz.

– Mama mówi, że ona nie mogła wiedzieć, że tatko tam zginie, i tutaj – poklepał się po głowie – to ja wiem, że mama dobrze mówi. Ale to tutaj – dodał, uderzając się w pierś – mówi, że ona to wiedziała i znalazła dobry sposób, by tacie na zawsze zamknąć buzię.

Wargi mu drżały, a ja ze złości zacisnęłam usta. Nie miałam pewności, czy Prudence wiedziała, że w Budynku Chłodni wybuchnie pożar i że jego ojciec tam zginie, ale niewątpliwie mogłaby to wiedzieć.

– Wiem, że to głupie, ale tak właśnie czuję i chciałbym nie musieć dla niej pracować. Chociaż – zaśmiał się niewesoło – zdaje się, że teraz może nawet nie będę mógł dla niej pracować; oj, ale mama będzie wściekła, wścieklejsza od czarnego czarta.

I wtedy skojarzyłam, przez te dwa ostatnie słowa, uświadamiając sobie też, skąd to uczucie *déjà vu*, gdy wcześniej pocierał skronie. Zapewne powinnam była rozpoznać te oczy wcześniej, ale gdy je przedtem widziałam, zarówno poprzez medalion, jak i w metrze, płonął w nich ten typ namiętności, którego brzdąc stojący przede mną nie pojmie jeszcze przez parę ładnych lat.

Moje oszołomienie wziął za dezaprobatę.

– Przepraszam, panno Kate. Nie powinienem tak mówić. O jeszcze jedno moja mama mogłaby być wściekła: gdyby wiedziała, że kłamię, zwłaszcza przy damie.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Nie, nic się nie stało, naprawdę. Mówiłam ci, nie jestem wytworna. – Chyba go nie przekonałam, więc nachyliłam się do niego i szepnęłam: – Do czarnego czarta. Do czarnego, czarnego czarta.

Usta mu zadrgały, a potem wreszcie spojrział mi w oczy, a na twarzy pojawił się uśmiech.

Odetchnęłam głęboko i spróbowałam zastanowić się, co dalej robić. Gdy zerknęłam w dół, na miniaturowe teraz budynki, strach ścisnął mi żołądek, ale nie miało to większego znaczenia, bo i tak wnętrzności już wcześniej zawiązały się w supeł. Jak wiele powinnam mu powiedzieć? Jak wiele mogłabym mu powiedzieć, żeby nie spowodować większego zaburzenia tej linii czasu? A jeśli to coś, co dzisiaj zrobiłam, stanie się kluczowe dla faktu, że pojawi się w metrze, by mnie ostrzec? A może właśnie przez coś, co zrobiłam, on się w tym metrze nie pojawi? Pewnie tylko czarny czart to wiedział.

Po chwili przyklęłam, by się z nim zrównać i rozluźniłam kieszonkę w staniku, odrobinę wysuwając klucz CHRONOSA. Oczy mu się rozszerzyły, a przez twarz przemknęło kilka sprzecznych emocji – zapewne ulga, że mu

uwierzyłam, ale jednak naznaczona czymś, co wyglądało mi na strach. Uświadomiłam sobie, że medalion kojarzył mu się z cyrystami.

– Nie jestem cyrystką – powiedziałam szybko, zamykając jego małą dłoń w mojej. – Ja też ich nie lubię. I uważam, że masz rację, nie ufając tamtej swojej szefowej.

– Jak się naprawdę nazywasz? – zapytałam potem, chociaż nie miałam wątpliwości, jaką usłyszę odpowiedź.

– Kiernan – odpowiedział. – Kiernan Dunn, tak samo, jak nazywał się mój tatko.

– Kiernan – powtórzyłam. – To ładne imię. Czy może wolisz, żebym wołała na ciebie Mick?

– Nie – odparł. – Nie bardzo je lubię, ale mało kto zawraca sobie głowę pamiętaniem mojego prawdziwego imienia. *Mick* jest dla nich łatwiejsze, no to się nie spieram. A panienska naprawdę nazywa się Kate? – spytał, wykrzywając sceptycznie usta.

Kiwnęłam głową, uznając, że z uwagi na jego stosunek do mojej ciotki Prudence, wołałby nie wiedzieć, że Kate to w rzeczywistości moje drugie imię.

– Jakiego koloru jest dla ciebie światło z tego medalionu, Kiernan? Dla mnie jest błękitne – to bardzo jasny błękit, jaśniejszy od najjaśniejszego nieba, jakie widziałeś.

– Dla mnie jest zielone, panno Kate. Głęboka, cudna zieleń jak... – Na jego twarzy pojawił się rumieniec. Po chwili znów podniósł wzrok na mnie. – Jak panienki oczy.

– To doprawdy słodkie, Kiernan – powiedziałam, lekko uściskawszy mu dłoń, nim ją puściłam, by wetknąć medalion z powrotem do sekretnej kieszonki. – Powiedz mi więc, czy wiesz, co ten medalion robi?

– Może tak zrobić, że się zniknie, przynajmniej niektórzy ludzie na farmie tak umieli. Dla cyrystów to święta rzecz. Powiedzieli, że jesteśmy szczególni, ja i mój tatko, bo umiemy widzieć to światło i tak zrobić, że książki wyślą wiadomości. Siostra Pru chciała, żebym pracował nad tym codziennie, ale mnie od tego głowa okropnie boli. Moja mama nigdy nie umiała tamtego widzieć i całe mnóstwo innych ludzi, co tam było, też nie widziało. Tylko kilkoro ludzi na farmie miało ze sobą coś takiego. Mówią na to klucze. A gdy tam przyjeżdżali, to inaczej niż tatko, oddawali te klucze siostrze Pru i innym przywódcom.

– Czy to dlatego siostra Pru pokłóciła się z twoim tatą? – spytałam. – Tato nie chciał oddać klucza?

Potrząsnął głową.

– Nie sądzę. Mnie też nie próbowała go zabrać. Po śmierci taty powiedziała, żebym go zatrzymał.

Koło lekko szarpnęło, bo zaczynał się drugi obrót i usłyszałam piski tych,

którzy byli teraz na szczycie, gdzie ten ruch mógł wzbudzić większy lęk. Dłuższą chwilę przyglądałam się Kiernanowi, próbując poukładać w większy obraz wszystko, co mi powiedział. Nie dostrzegałam jednak jeszcze żadnych wyraźniejszych schematów, w końcu uznałam więc, że powinnam polegać na własnej intuicji i przedstawić mu rzecz w ogólnym zarysie.

– Nie czuj się źle z tym, że wcześniej nie do końca byłeś ze mną szczery – powiedziałam. – Ja tobie też nie powiedziałam prawdy. Rzeczywiście nazywam się Kate i rzeczywiście tropię tę samą parkę, co ty. Ten mężczyzna to rzeczywiście zły człowiek. Do tego miejsca wszystko się zgadza, ale nie piszę dla żadnej gazety. Jak sądzę, mógłbyś mnie w pewnym sensie nazwać wysłanniczką. I miałeś rację, uznając, że tej damie z nim coś grozi. Po to właśnie tu przybyłam, żeby jej o tym powiedzieć. Muszę jednak podejść do tego bardzo ostrożnie.

Pokiwał głową, a potem przechylił na bok w zadumie.

– A przecież ta dama w purpurowym kapeluszu... Czemu ona nas wybroniła, jeżeli panienka naprawdę nie pisze do gazety? Czy ta gazeta, co panienka mówiła, istnieje?

– Nie – odpowiedziałam. – Ja to wszystko zmyśliłam. Ona po prostu... – Wzięłam do ręki łańcuszek z przywieszką przy mojej bransoletce i pokazałam mu tę maleńką klepsydrę. – Sądzę, że to rozpoznała. Zna panią, która mi to dała.

– A więc to jakby znak, że powinna paniencie ufać?

– Właśnie tak – przyznałam, podnosząc się ostrożnie, gdy osiągnęliśmy najwyższy punkt koła, a potem zatrzymaliśmy się na górze. Wagon lekko się kołysał. Łapiąc równowagę, nieco się skrzywiłam: pęcherz coraz bardziej dawał mi do wiwatu. – Teraz już raczej nie będę z nią rozmawiać, zważywszy, że twoja szefowa, ta Prudence, wciąż jeszcze tu jest. Ale dobra nowina jest taka, że wiem, gdzie tamta dama będzie po południu. Mogę liczyć na to, że pomożesz mi się tam dostać?

Uśmiechnął się z wyraźną ulgą, że nie stracił za jednym zamachem dwóch pracodawczyń.

– Tak, panno Kate. Pomogę z wielką radością.

Poklepałam go po ramieniu.

– To chyba możemy się już zacząć rozkoszować resztą przejażdżki? – powiedziałam. – Potem znajdziemy sobie spokojne miejsce, żeby usiąść i zastanowić się nad naszymi następnymi krokami. I może też będzie to miejsce, gdzie wreszcie zdejmę te przeklęte buty?

∞

Miejsce, które Kiernan znalazł, zapewniało miłe odosobnienie – trawiasty

brzeg tuż pod jednym z mostów prowadzących na Wyspę Leśną, gdzie mogłam nie tylko zdjąć buty, ale i wymoczyć nogi. Woda wyglądała na dość czystą i cudownie chłodziła moją piętę, na której wyrósł, tak jak czułam, całkiem spory pęcherz. Przed ciśnięciem tych durnych butów do laguny powstrzymał mnie tylko fakt, że w pobliżu nie było żadnego sklepiku, w którym znalazłabym wygodne obuwie zastępcze.

Wyciągnęłam się na brzegu, by się odprężyć, cała szczęśliwa, że suknia jest zielona i nie muszę specjalnie się przejmować plamami od trawy. Kiernan zaoferował się poszukać jakiegoś lunchu i byłam rada, że mogłam skorzystać z tej oferty. Wprawdzie do południa jeszcze trochę brakowało, ale w swoich czasach, po wielkich kanapkach od O'Malleya, jakie mieliśmy na lunch, całkiem zapomniałam o obiedzie i teraz czułam głód.

Kiernan wrócił chyba po dziesięciu minutach z hot-dogami, świeżymi owocami i nową porcją lemoniady. Pamiętając z lekcji historii *Grzędawisko* Uptona Sinclaira<sup>1</sup>, nie bardzo paliłam się do hot-dogów z Chicago ostatniej dekady dziewiętnastego wieku, ale i tak zjadłam kilka kęsów, głównie bułki, by Kiernan nie pomyślał sobie, że jednak jestem zbyt wytworna na takie jedzenie. Resztę hot-doga przehandlowałam z nim za jabłko, co wręcz go uszczęśliwiło. Gdy skończyliśmy, odwinęłam z brązowego papieru jeden z batonów energetycznych i odłamałam mu kawałek.

– Niezłe – powiedział. – Dobre do żucia i słodkie. Sprzedają takie w Nowym Jorku?

Kiwnęłam głową, splukując posiłek lemoniadą. Wprawdzie nie tam je Connor kupił, ale przecież byłam pewna, że i w Nowym Jorku można je dostać, podobnie jak zresztą w całym kraju, choć oczywiście nie w roku 1893. Ciekawiło mnie, ile podczas swego pobytu na farmie cyrystów Kiernan dowiedział się o kluczach CHRONOSA, i jaka byłaby jego reakcja, gdybym mu powiedziała, że zajada coś, co kupił jego prawnuk.

Gdy już skończyliśmy jeść, niechętnie wyciągnęłam stopy z wody i oparłam o duży kamień, żeby wyschły na słońcu.

– Panno Kate! – zawołał Kiernan, wskazując na coś. – Co się stało z panienki palcami?

– Co takiego? – Opuściłam wzrok, na poły spodziewając się, że zobaczę pijawkę, jakieś skaleczenie czy coś równie bolesnego, ale niczego strasznego nie widziałam. – O co ci chodzi?

– Panienki paznokcie. Całe są czerwone... To wygląda jak krew! – powiedział.

– Oj tam – roześmiałam się. – To tylko lakier do paznokci. W paru miejscach odprysnął.

– Wygląda jak farba. – Kiernan pociągnął nosem z dezaprobatą.

Westchnęłam. To był jeden z tych anachronizmów, na jakich zapewne przyłapałaby mnie Katherine, gdy szykowałam się do skoku. Czy pod koniec dziewiętnastego wieku młode kobiety malowały już paznokcie? Czy w ogóle wynaleziono już lakier do paznokci? Nie miałam pojęcia.

– No, to w pewnym sensie jest farba – przyznałam.

– Moja mama mówi... – Pokręcił głową i nie dokończył.

– Kiernan, co takiego mówi twoja mama? – Nie odpowiedział. – Nie pogniewam się, naprawdę. Więc co mówi?

– Mówi, że tylko kurwy się malują – oznajmił, wbijając wzrok w trawę. – Choć zwykle to malują twarze. Jeszcze nie słyszałem o malowanych palcach nóg.

– Cóż – odparłam – może w Irlandii jest tak, jak mówi twoja mama, a może nawet w Chicago. Tego nie wiem, bo pierwszy raz tutaj jestem. Ale w Nowym Jorku wszystkie najbardziej szykowne damy malują paznokcie u nóg i u rąk. Niektóre nawet przyklejają na paznokciach u rąk malutkie błyszczące kamyczki.

– Naprawdę? – spytał, zsuwając się odrobinę w dół brzegu, by bliżej przyjrzeć się moim paznokciom. – Wygląda tak, jakby ta farba była jeszcze mokra. Mogę dotknąć?

– Pewnie – stwierdziłam ze śmiechem, podsuwając mu jedną stopę. – Lakier jest całkiem suchy – i to od paru dni.

Ostrożnie wysunął palec, dotykając paznokcia, a we mnie nagle odżyło to, jak Trey błędził palcami po moich stopach, gdy po zniknięciu Katherine siedzieliśmy na sofie w moim pokoju. Miałam trochę poczucia winy: obiecałam Treyowi, że na Wystawie będę się trzymać z dala od wysokich, ciemnowłosych nieznajomych. Kiernana z całą pewnością nie można było zaliczyć do kategorii „wysokich”, a w jego zainteresowaniu moimi paznokciami nie było absolutnie nic romantycznego, ale i tak miałam pewność, że gdyby Trey o tym wiedział, nie kryłby zazdrości. Po chwili więc schowałam stopę z powrotem pod spódnicę.

Nie miałam zegarka, ale skoro Kiernan i tak już wiedział o kluczu CHRONOSA, rozejrzałam się dla pewności, że nikt nie patrzy, a potem przycisnęłam jego środek, wywołując wyświetlacz. Niedawno minęło południe. Grupa burmistrza opuści teren Wystawy około 12:45, by pojechać koleją do miasta, gdzie czekali na nich w Budynku Pomocniczym. Wyciągnęłam z torby plan Wystawy i rozłożyłam przed sobą na trawie.

– Nie potrzeba tej mapy – powiedział Kiernan. – Znajdę wszystkie atrakcje...

– A w samym Chicago też? – spytałam, na co odpowiedział chytrym uśmiechem.

– Pewnie tak. Byłem tam trzy razy, aż w głównym mieście. Nasz pokój jest bliżej Wystawy, ale chodziłem tam z tatką, gdy szukał roboty na wiosnę.

– Wiesz, jak znaleźć Budynek Pomocniczy?

– Łatwizna – stwierdził. – Raz już tam byłem. Te damy z Londynu były tu z powodu jakiegoś Światowego Kongresu Kobiet, tak się to chyba nazywało, i wybrały się tam posłuchać przemówień. Bo wiele więcej się tam nie robi: ludzie wstają i przemawiają, a po nich przemawiają następni. Nic zabawnego, ale przypuszczam, że tam pójdzie ta dama z piórem?

– Zgadłeś – potwierdziłam. – Mam nadzieję, że uda nam się uniknąć tej wycieczki do miasta. Plan jest taki, że spróbujemy ją złapać, zanim wsiądzie do kolejki, ale jeśli nie znajdę chwili, by porozmawiać z nią na osobności, pojedziemy jej śladem.

– Ale tu jest więcej stacji kolejowych, więc...

– Wsiądą na stacji przy Sześćdziesiątej, tam będzie im najbliżej z miejsca, gdzie zjedzą lunch.

Popatrzył na mnie tak, jakby chciał spytać, skąd to wiem, spróbowałam więc odrobinę przekierować jego myśli.

– Możesz poszukać śmietnika? – spytałam, wręczając mu opakowania, skórki od bananów i resztę pozostałości po naszym lunchu. – Ja sprawdzę, czy uda mi się z powrotem wcisnąć stopy w te prze-o-kro-pnia-ste-bu-cio-ry – dodałam, wzmacniając każdą sylabę klapssem w te trzewiki. – Nie chciałbyś się przypadkiem ze mną zamienić? Twoje mogą się wprawdzie okazać za małe, ale pewnie i tak będą wygodniejsze.

Zachichotał i pokręcił głową.

– Nie, panno Kate. I nie wydaje mi się nawet, żeby mama się z panienką zamieniła! Te buty są może i ładne, jeśli się w nich tylko siedzi, ale niepraktyczne ani do pracy, ani do chodzenia, ani do niczego takiego.

– Święte słowa, dzieciaku.

– To po co je panienka kupiła? – zapytał.

Lekko mnie zakłuło, bo przypominałam sobie, jak tamtego wieczoru przed obiadem z Katherine zadałam mojej mamie to samo pytanie. Miałam wrażenie, że było to wieki temu, a nie jedynie trochę ponad miesiąc.

– Dostałam je w prezencie. O wiele bardziej wolałabym swoje adidasy – odparłam, podnosząc dłoń, gdy zabierał się zadania nieuniknionego pytania. – Tak, tak, to też coś, co sprzedają w Nowym Jorku.

Odczekałam, aż zniknie mi z oczu, po czym wyjęłam z torby tubkę kremu antyseptycznego i plaster – których w 1893 prawie na pewno nie udałoby się kupić nawet w Nowym Jorku. Zatroszczywszy się o stopy, wciągnęłam pończochy i zapięłam buty. Bez Connorowego ustrojstwa z haczykiem ciągnęło się to w nieskończoność, a buty dalej były niewygodne. Mimo wszystko długie moczenie stóp w lagunie zmniejszyło trochę obrzęk, a szybki test pokazał, że mogę chodzić bez większego bólu.

Brzeg laguny, na którym jedliśmy lunch, znajdował się po stronie bliższej



Midway, zaledwie o kilka minut spaceru od stacji przy Sześćdziesiątej. Zjawiliśmy się tam trochę przed zapowiadzanym na 12:45 odjazdem, więc tu również mogliśmy znaleźć sobie miejsce, gdzie względnie niezauważeni moglibyśmy usiąść, czekając na przybycie grupy Katherine. Posłałam Kiernana po parę żetonów, na wypadek gdybyśmy jednak musieli wsiąść do kolejki. Potem miał wyszukać nam wolną ławkę.

Ja w tym czasie pospiesznie cofnęłam się o jedną przecznicę, by odwiedzić „wygódkę”, którą wypatrzyłam po drodze. „Toaleta publiczna” okazała się o wiele większa i nowocześniejsza, niż się obawiałam, ale prozaiczna czynność z taką ilością halek i tak zakrawała na torturę.

Właśnie poprawiałam sobie kapelusik przed lusterkiem nad umywalką, gdy poczułam lekkie klepnięcie w łokieć. To była Katherine. Chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła w kąt.

– Zdawało mi się, że widziałam, jak tu wchodzisz – szepnęła cicho. – Pani Salter, czy kim tam ona naprawdę jest, śledziła mnie. Siedzi tam. – Szybkim ruchem głowy wskazała jedną z kabin. – Jeśli chcesz porozmawiać, natychmiast wychodzimy, bo mamy tylko parę chwil. Nie udaje mi się zgubić tej kobiety.

Pognałyśmy przez ulicę ku budynkom sponsorowanym przez poszczególne stany, by prezentowały ich indywidualne osiągnięcia, historię, gospodarkę rolną i przemysł. Dokładnie naprzeciwko toalet był Budynek Kalifornijski. Weszłam za Katherine do środka, pod gigantyczną wieżę, wykonaną w całości z pomarańczy, trzeba przyznać, że bardziej okazała w naturze niż na czarno-białych fotografiach, na których ją wcześniej widziałam. Ekspozycja była już cokolwiek przejrzała, o czym świadczył przesycający powietrze wokół nas jedyny w swoim rodzaju zapasek podgniłych cytrusów.

Gdy już byłyśmy niewidoczne od strony wejścia, Katherine chwyciła mnie za przegub, by porównać moją bransoletkę ze swoją. Łańcuszki były inne, ale przywieszki identyczne – takie same klepsydry z jadeitu i pereł, obłupane dokładnie w tym samym miejscu.

– Powiedz mi, kim jesteś, skąd masz tę bransoletkę i czemu tu jesteś – powiedziała.

– Na pierwsze pytanie nie mogę odpowiedzieć – odparłam. – Ale odpowiedzią na drugie jest, że ty mi ją dałaś. A jestem tutaj, żeby ci powiedzieć, że musisz wrócić natychmiast do centrali CHRONOSA. Idź prosto do stabilnego punktu koło chaty. Ja wyślę posłańca, który skontaktuje się z Saulem...

– Ale dlaczego? To nie jest standardowa procedura! – oświadczyła. – Wróciłabym w tym samym czasie, czy skończylibyśmy naszą pracę tutaj, czy nie. CHRONOS nie ingeruje w skoki nawet z powodu pilnych spraw rodzinnych.

– A jaka jest standardowa procedura, jeśli historyk jest w niebezpieczeństwie? – spytałam. – Bo ty jesteś w niebezpieczeństwie, chociaż

centrala może o tym nie wie.

Nie odpowiedziała, mówiłam więc dalej, patrząc jej prosto w oczy.

– Słuchaj uważnie. Powiem ci tyle, ile mogę. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Powód chyba rozumiesz?

– Nie chcesz bardziej zakłócić tej linii czasu, póki możesz tego uniknąć.

– Właśnie. Powiedz w centrali, że jesteś chora i odwołujesz swój następny skok. – Znow chciała przerwać, ale uniosłam rękę. – Masz wyobraźnię, coś wymyślisz. Przekonująca mogłaby być grypa żołądkowa, zważywszy na okoliczności. Aha, nie zapomnij o tym spotkaniu z ginekologiem, dobrze?

Zrobiła wielkie oczy, a ja kontynuowałam.

– Twoje podejrzania co do Saula są uzasadnione – powiedziałam, a potem umilkłam, próbując zdecydować, ile mogę powiedzieć bez większego wpływu na jej dalsze postępowanie. – Przemyca lekarstwa z waszej epoki do tej. Nie wolno ci jednak wytknąć mu tego, zanim nie wróci z następnego skoku do Bostonu, tego, który ty sobie odpuścisz.

– Czemu mam sobie odpuścić ten skok? – spytała.

– Ponieważ nie chcę cofać się tam, znow cię tropić i namawiać! – powiedziałam z lekka już zrozpaczona. – Następne kilka dni musisz spędzić w swoich czasach.

Wzięłam głęboki, uspokajający oddech i kontynuowałam:

– Kiedy Saul wróci, spróbuj go przekonać, żeby porozmawiał z Angelem, ale nie spiesz się z informacją o dziecku, dobrze? Na następny tydzień masz zaplanowaną solową wyprawę, zgadza się?

Przytaknęła.

– Do Bostonu, w 1853.

– Tę wyprawę musisz odbyć. Jest... – Zawahałam się. – Jest bezpieczna. – Nie zabrzmiało to bardzo przekonująco, nawet w moich własnych uszach. Zamajaczyło mi w pamięci wspomnienie twarzy Katherine po pobiciu jej przez Saula, nie mogłam też uwolnić się od opisanej przez nią śmierci Angela i Shaili, mimo to nalegałam. – I jest ważna.

– Czy to wszystko? – spytała.

– Wystrzegaj się pani Salter.

– Która według ciebie wcale nie jest panią Salter. Kobiety, można by dodać, dosyć do ciebie podobnej, jeśli nie liczyć innego koloru włosów i okularów. Kto to taki? I czy to z jej powodu jestem w niebezpieczeństwie?

Potrząsnęłam głową.

– Muszę tu wziąć przykład z mojej mentorki i powiedzieć ci, że taka wiedza kierowana jest wyłącznie do tych, do których trzeba i wtedy, kiedy trzeba, a...

– A mnie jej teraz nie trzeba. Zabawne. Tej samej formuły używa mój mentor.

– Cóż... – Wzruszyłam ramionami. – Nie jest to myśl nazbyt oryginalna. Starczy, jeśli powiem, że jeśli uda ci się jej unikać podczas powrotu na stabilny punkt, najprawdopodobniej wyjdzie to na dobre.

– Możliwe, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. – Lekko zmrużyła oczy i widziałam, że wciąż jeszcze się waha, czy mi zaufać. – Powiedz mi jeszcze, jak doszło do obłupania zawieszki? Tej małej klepsydry.

– O ile wiem, w wyniku konfliktu pomiędzy drzwiami powozu a zapatrzoną w gwiazdy, młodą agentką CHRONOSA. Pan Douglass przebywa obecnie w Budyńku Haiti, może więc lepiej postaraj się go unikać, bo jeszcze przypomni sobie tamto zdarzenie i poprosi o zwrot chusteczki.

Katherine zmierzyła mnie wzrokiem.

– Ja jedna znam tę historię, musiałaś więc usłyszeć to ode mnie... Choć bardzo trudno mi uwierzyć, że wysłałabym ciebie w takim celu. Pozostawałoby to w całkowitej sprzeczności.....

– Tak. Wiem – stwierdziłam z wymuszonym uśmiechem. – Z regulaminem CHRONOSA.

Nastąpiło kolejne przeciągłe spojrzenie, a potem westchnęła głęboko.

– Zgoda – oznajmiła. – Powiem Saulowi, że się stąd zabieram. Wymyślę jakiś pretekst. Może zechcieć wrócić ze mną, choć nie zdziwiłoby mnie, gdyby nie chciał, zważywszy na jego ostatnie zachowania.

– Tylko nie daj mu odkryć powodu, dla którego...

– Nie dam – zapewniła Katherine. – Zamierzam wypełnić twoje zalecenia co do joty. Opuścić sobie następny skok, dopilnować wizyty u gina i unikać rozmowy o moich podejrzeniach co do działań Saula. bo do tego się wszystko sprowadza, to znaczy do podejrzeń. Aż do dwudziestego szóstego. Dwudziestego siódmego wykonam skok. Mam tylko nadzieję, że wiesz, a może powinnam powiedzieć *wiemy*, że postępujesz właściwie.

Wróciłam myślą do komentarzy Connora sprzed kilku tygodni.

– Ja również. Ale odwołując się do tego, co mi niedawno powiedział mój, a właściwie nasz dobry przyjaciel, jestem najzupełniej pewna, że to, co robimy, jest słuszne. Czasami *słuszne* i *właściwe* to nie to samo.

Nie sprawiała wrażenia całkowicie przekonanej, ale skinęła głową i wykonała już kilka kroków w stronę wyjścia, gdy nagle się odwróciła.

– Na wypadek gdybyśmy miały wpaść na nieprawdziwą panią Salter, może powinnyśmy wyjść osobno? Wydaje się darzyć ciebie i twojego młodego przyjaciela głęboką niechęcią.

Przyznałam jej rację i Katherine ruszyła do wyjścia. Nie wiem, czy to za sprawą przecucia, czy tylko poniosły mnie nerwy, ale dałam jej tylko około dwudziestu sekund forów i poszłam ku temu samemu wyjściu, co ona. Na moje nieszczęście przez te drzwi wpadła nagle cała masa ludzi i musiałam się przebijać

przez tę falę przyływu, złożoną głównie z osób po sześćdziesiątce. Mamrocząc słowa przeprosin i co i rusz wspinając się na palce, by nad ich barkami wypatrywać Katherine, przepchnęłam się przez końcówkę tej grupy i ruszyłam w dół schodów, wiodących do tego budynku. Jakaś starsza pani łupnęła mnie w nogę laską. Nie mogłam jej jednak winić, wcześniej bowiem o mało przeze mnie nie upadła.

– Przepraszam panią, ja nie... – zaczęłam, a potem stanęłam jak wryta, bo ktoś tę kobietę popchnął prosto na mnie. Potknęłam się o stopień i z trudem ją podtrzymałam przed upadkiem. Kiedy starałam się postawić ją na bardzo roztrzęsione nogi, ten, co na nią napadł, pchnął mnie mocno w pierś otwartą dłonią.

Zleciałam z dwóch ostatnich stopni i nieprzystojnie wylądowałam na tyłku. Ubiór tego gościa w pierwszej chwili zbił mnie z tropu, gdyż uprzednio widywałam go jedynie w obszarpanych T-shirtach i dżinsach. Zygzakowata blizna koło jego prawej skroni była nowym dodatkiem i wyglądała na coś, co mogło pozostać po mocnym rąbnięciu łyżką do opon. Wzbogacił się też o prawdziwie żaloszny wąsik, ale nie sposób było pomylić tej twarzy. Oglądałam ją niedawno i z nazbyt bliska, by mi się to podobało.

– Cześć, Katie – powiedział Simon z błyskiem w oku. – Co za spotkanie. Złapię cię później, okej?

I zaraz ruszył szybkim krokiem w kierunku stacji przy Sześćdziesiątej. Kilka osób z tłumu, przez który tak się przepychałam, podeszło, by mi pomóc, a jeden dość szarmancki dżentelmen, dobrze po osiemdziesiątce, przetruchtał nawet kilka kroków za Simonem, pokrzykując i wygrażając pięścią.

Gdy już stanęłam na nogi, Simon był w połowie drogi na stację. Niedaleko przed nim zobaczyłam Katherine, której nie udało się zgubić Prudence. Obie zbliżały się do peronu, gdzie zebrała się już grupa burmistrza, czekająca na kolejkę, która za chwilę miała się wtoczyć na stację.

Podniosłam spódnicę i puściłam się w słabą imitację biegu, ale było już jasne, że nie dogonię ich przed Simonem. Mogłam liczyć na to, że mój głos dotrze do nich szybciej niż ja. Nabrałam tchu i wrzasnęłam, wskazując dokładnie na Simona:

– Ma broń! Łapać go! On ma broń!

Nie byłam pewna, czy ktoś z grupy na stacji usłyszał mnie lub kogoś innego z tłumu, który się rozwrzeszczał, powtarzając w ogólnym chaosie „broń”. Ale całą grupą burmistrza, jak jeden mąż, patrzyła w naszym kierunku. Simon raz obejrzał się przez ramię, potem odwrócił się w stronę peronu nadal z ręką w kieszeni, a Prudence, w manewrze godnym futbolowego obrońcy, powaliła Katherine na ziemię.

Gdy leciały do przodu, Katherine zahaczyła rękawem o drewnianą poręcz, rozrywając suknię od ramienia po łokieć i spowalniając jej upadek, zanim głowa stuknęła o skraj peronu. We wrzaski tłumu wdarł się teraz ryk hamującego pociągu.

Saul klęknął przy Katherine, a Prudence skoczyła na równe nogi, rozglądając się po twarzach na peronie.

Ja przebijałam się przez tę ciżbę, pragnąc dopaść Simona, nie widziałam go jednak w tym tłoku.

Nie sądziłam, by okazał się na tyle zuchwały, by próbować skoku temporalnego w świetle dnia, na oczach setek ludzi, ale skoro nie miał nic przeciwko skokowi z zatłoczonej stacji metra tuż po zrabowaniu mi dziennika, to mógł i teraz.

W kierunku burmistrza szybkim krokiem zbliżało się dwóch ludzi w identycznych mundurach. Na ramieniu jednego z nich widać było odznakę służby ochrony Kolumbijskiej Wystawy Światowej.

– Fałszywy alarm, proszę państwa. Fałszywy alarm. Młoda dama się pomyliła. Mamy wszystko pod kontrolą.

Burmistrz Harrison podszedł do nich, by porozmawiać, ucisnął im ręce i coś mówił, serdecznie ich poklepując. Nie mogłam nic zrobić, ale zadawałam sobie w myślach pytanie, jaki wpływ będzie miało to zdarzenie na fakt, że za kilka godzin na jego progu stanie zabójca, prosząc o rozmowę. Może będzie mniej skłonny, by wpuścić obcego do domu, nim ktoś go przynajmniej pobieżnie nie przeszuka? A może takie zdarzenie było dość pospolite w Chicago, odrobinę tylko spokojniejszym od miast Dzikiego Zachodu?

Znów się obróciłam, wciąż wypatrując Simona, ale ślad po nim zagaął. Saul przyciskał do głowy Katherine chustkę. Widziałam na tym białym płótnie trochę krwi, ale nie wyglądała na poważnie raną.

Teraz wypatrzył mnie Kiernan i już biegł w stronę peronu. Podniosłam rękę i pokazałam mu, by czekał na ławce, bo ostatecznie, czego bym chciała, to żeby się pakował w środek tego wszystkiego. Kiwnął głową, ale zaraz spojrzął na coś za mną z wyraźnym niepokojem.

Odwróciwszy się w stronę peronu, stanęłam twarzą w twarz z powodem owego niepokojem. Tuż przede mną stała Prudence, tak intensywnie wbijając we mnie wzrok, że mogłaby niemal przewiercić nim soczewki swych okularów w drucianej oprawie.

– Miałam to pod kontrolą, Kate – wyszeptała cicho, łapiąc mnie za ramię i mocno ściskając. – Katherine nic by się nie stało i uniknęłybyśmy widowiska. Mieszasz się w sprawy, których nie rozumiesz.

Zdusiłam w sobie nagły śmiech: jakbym słyszała jakiegoś złoczyńcę z kreskówki o Scooby Doo.

– Co rozumiesz przez tę kontrolę? – spytałam. – To przed tobą próbuję ją ochronić, przed tobą i twoim cyrystowskim oprychem. Muszę go dorwać...

– Daj sobie spokój, durna krówko – odparła. – Simona już nie ma. – Szarpnięciem głowy wskazała tych dwóch dryblasów z ochrony, którzy rozmawiali

z burmistrzem. – Miałam tu ludzi, żeby złapali tego idiotę. Nawet by się do niej nie zbliżył. A gdybym ja choć na dwie minuty została sama na samą z Katherine, byłaby już z powrotem w swoich czasach, Saul nic by z tego nie rozumiał, a ja dostałabym szansę na przeciągnięcie Simona na moją stronę.

Całkiem się pogubiłam.

– Ty usiłowałaś uratować Katherine? Ależ to twoja grupa jest...

– Myślisz, że to ze względu na nią? – Prudence zaniósł się chrapliwym śmiechem. – O nie. To sprawa osobista. Czy Saul naprawdę myślał, że dam mu taką władzę? Nade mną? Jemu wystarczy, że szarpnie mocniej ten przeklęty medalion, a zniknę tak samo, jak zniknęła ona.

– Pomożesz więc nam z nimi walczyć? – spytałam. Mieć Prudence po swojej stronie oznaczałoby niesamowitą przewagę i już sobie wyobrażałam radość na twarzy Katherine, a i mojej mamy, gdy już...

Grymas wzgardy, w jaki ułożyły się wargi Prudence, gwałtownie położył kres tym mrzonkom.

– Ja nie walczę z cyrystami – oświadczyła. – Cyryści to ja. Międzynarodowej Świątyni Cyrystów beze mnie by nie było. Zgodziłam się dzielić władzę z moim ojcem, ale on, uznając, że może mnie bezkarnie zepchnąć na bok, żałośnie się pomylił. Z tym już koniec... A ty dobrze mnie posłuchaj, moja siostrzeniczko – dodała, znów wwiercając się we mnie wzrokiem. – Pozwalam ci odejść z jednego tylko powodu: przez wzgląd na twoją matkę. Deborah nie miała z tym nic wspólnego, a możliwe, że ceni twoje życie bardziej, niż moja matka ceniła moje, więc...

– To nieprawda, Prudence. Katherine próbowała cię odnaleźć, ale nie jest już w stanie używać medalionu, nie bardziej niż Saul.

Wyraz twarzy Prudence, nawet jeszcze zanim się odezwała, uzmysłowił mi, że tego nie kupiła.

– Daruj sobie te pozory, Kate. Wiem, jaki układ zawarła z Saulem. Zabawne jest to, że to ja na tym lepiej wyszłam. Nieszczęsnej Deborah przypadło zostać z nią.

Obejrzała się przez ramię. Kolejka oddalała się już od peronu, a kilku pasażerów w oknach wyciągało szyje, na wypadek gdyby coś jeszcze miało się dziać. Katherine już się podniosła i Saul wyprowadzał ją ze stacji, w kierunku głównych terenów Wystawy. Mimo usilnych starań nie zaplanowałybyśmy tego lepiej, gdyż ta niezbyt groźna rana dawała Katherine wiarygodny pretekst do przedwczesnego zakończenia wyprawy.

Prudence puściła moją rękę.

– A niech to – rzuciła. – Idę. Nie miałam szansy z nią porozmawiać...

– Zaczekaj – zawołałam, biegnąc kilka kroków za nią. – Nie musisz się martwić. Ona wie. Wróci do centrali.

Prudence zawróciła ku mnie, a ja ciągnęłam ten wątek.

– Katherine odpuści sobie następny skok – powiedziałam. – Rozumie, co przez najbliższe tygodnie musi robić, a czego nie może, żeby niczym nie naruszyć linii czasu.

Uniosła raptownie brwi.

– No, może nie jesteś całkiem bezużyteczna – stwierdziła. – Mam tylko nadzieję, że tego nie spieprzyłaś. Bo inaczej, po tym bałaganie, którego narobiłaś, bardzo trudno będzie tu wrócić, by dokonać naprawy. Ja tutaj szykowałam się do chirurgicznego cięcia, a ty wtargnęłaś jak czołg... Nie sposób powiedzieć, jak bardzo to zaburzy linię czasu.

To już był szczyt hipokryzji, żeby Prudence, usilnie pracująca nad radykalnym przeinaczeniem dziejów, pouczała mnie na temat świętości linii czasu, podejrzewałam jednak, że to celne stwierdzenie nijak by do niej nie dotarło. Zamiast kręcić się przy niej i toczyć spór, obróciłam się na pięcie i ruszyłam w kierunku Kiernana, wciąż obserwującego mnie z oddali.

Prudence znowu chwyciła mnie za rękę, szarpnięciem odwracając ku sobie. Miałam niezmierną ochotę przerzucić ją przez ramię i zobaczyć, jaka będzie zadziorna, leżąc na łopatkach, ale zacisnęłam zęby i zmierzyłam się z nią wzrokiem.

– Jeszcze nie skończyliśmy – oznajmiła. – Nie dopuszczę, by Simon czy ktokolwiek inny zagrażał Katherine podczas tych skoków. Twoje istnienie, podobnie jak Deborah i moje, będzie pod ochroną. Jedno ale: Kate, nie wchodź mi już w drogę. Nie chcesz skończyć po niewłaściwej stronie dziejów. Jeśli rozegrasz to mądrze, będziesz mogła wieść miłe, dostatnie życie. Cyryści są przyszłością, a zważywszy na twoje oczywiste talenty, gdy idzie o korzystanie z tych urządzeń...

– Nie – przerwałam jej. Ponownie otworzyłam usta, by poprzeć to dłuższym wywodem, ale właściwie nie było tu już nic do dodania. Powtórzyłam więc, kręcąc głową: – Nie.

– Dołącz – powiedziała, lekceważąc moje słowa. – Kate, sama przecież nie sprostasz cyrystom. Pozostaje ci albo stać się jedną z Wybranych, albo ustawić się wraz z resztą owiec, czekających na ostrzyżenie i zarżnięcie.

Byłam skłonna uwierzyć, że w pierwszej z tych kwestii miała rację, ale niedbały ton, jakim odniosła się do zgładzenia tych, których nie zaliczano do „Wybrańców”, zmroził mi krew. Jednocześnie wzmocnił moją determinację. W ręce kogoś zdolnego powiedzieć coś takiego z pełnym przekonaniem nie powinna trafić nawet odrobina władzy.

Coś jednak przyszło ze spierania się z nią.

– Skończyłaś? – spytałam, zaciskając szczęki.

– Jeszcze jeden drobiazg. – Zmrużyła oczy. – Trzymaj się z dala od Kiernana. Będzie jednym z Wybrańców, i będzie należeć do mnie.

Obejrzałam się na chłopca, nerwowo obserwującego nas z ławki.

– On ma osiem lat, na litość boską!

– Teraz tak. Ale niewątpliwie nie był ósmiolatkiem, kiedy go poznałam. Ani wtedy, kiedy ty go znałaś – dodała, wyraźnie z siebie zadowolona. – Choć chyba wypadło ci to z pamięci, gdy linia czasu uległa zmianie, zgadza się? Nie jesteś tą Kate, w której się zadurzył. I zamierzam zadbać o to, żeby już tak zostało.

Fakt, że Prudence mogła pamiętać taką mnie, jakiej ja nigdy nie poznam, dotknął mnie bardziej, niż chciałabym to przyznać. Katherine powiedziała kiedyś, że nie jestem tą samą Kate, na którą by trafiła, gdybyśmy mogły zacząć szkolenie pół roku wcześniej, i choć na jakimś poziomie to rozumiałam, owa niespójność wciąż mnie gdzieś w głębi ducha dręczyła. Jeśli bowiem dobrze zrozumiałam wyjaśnienia Connora, dotyczące zmian linii czasu, tamta druga Kate nie powinna była w ogóle zaistnieć. Bo przecież choroba nowotworowa Katherine była niezmiennym elementem wszystkich wersji linii czasu. A skoro tak, moje szkolenie zawsze zaczynałoby się wtedy, kiedy się zaczęło, i nie wysłuchiwałabym opowieści o tamtej niepokornej Kate, gdzieś, kiedyś przeżywającej przygody, których sobie nie przypominam.

Tyle że mnie samej mignął w medalionie skrawek życia tamtej innej Kate. Także Kiernan – ta zdecydowanie dorosła wersja Kiernana, którą napotkałam w metrze – ściągając mi z włosów frotkę i wsuwając ją sobie na rękę, wyraźnie miał w pamięci tamtą Kate.

Przypominając sobie wyraz jego twarzy, gdy wtedy na mnie spojrzał, poczułam nagły przypływ współczucia. Jak można się czuć, wpatrując się w oczy kogoś, kogo się kochało, i to z wzajemnością, i nie widzieć tam ani radości na twój widok, ani też miłości? Mogłam mieć jeszcze szansę przekonać się o tym na własnej skórze, zakładając, że uda mi się wrócić do moich czasów i odnaleźć Treya.

Znów obejrzałam się na Kiernana. Kolejki odjeżdżały co pół godziny i peron prawie całkiem już opustoszał, jeśli nie liczyć leciwego czarnoskórego zamiatacza, wielką miotłą-ulicówką zgarniającego śmieci na kupkę za budką biletera. Kiernan wciąż czekał, z napięciem na twarzy, kurczowo ściskając szczebelki ławki. Naprawdę wiele przeszedł jak na tak młody wiek.

Chociaż postanowiłam nie podsycać konfliktu, tej jednej sprawy nie mogłam zignorować.

– A jego tato? – walnęłam bez ogródek. – Kiernan powiedział, że to twoja...

– Kiernan to mały chłopiec o wielkiej wyobraźni – ucięła, wchodząc mi w słowo. – Tak naprawdę nie wierzy, że przyłożyłam rękę do śmierci jego ojca. Z całą pewnością nie wierzy w to też jego matka. A kiedy Kiernan już dojrzeje do... – na chwilę umilkła, posyłając mi znaczący uśmiezek – ...potrzeb wieku dorosłego, z ochotą podąży za mną w progi cyrystów. Czy gdziekolwiek indziej,



gdzie sobie zażyczę.

Prudence sięgnęła za gors swej sukni i wydobyła stamtąd klucz CHRONOSA, zawieszony na grubym złotym łańcuchu. Szybkim spojrzeniem przeskanowała okolicę, a potem go uaktywniła.

– Trzymaj się z dala od Kiernana i nie wchodź mi w drogę. Dopóki będziesz pamiętać o tych dwóch drobiazgach, raczej nic ci się nie przytrafi.

– I bądź miła dla swojej matki – dodała. Rzuciła okiem na klucz CHRONOSA i już jej nie było.

*Grzęzawisko (The Jungle)* Uptona Sinclaira, amerykańskiego pisarza znanego z sympatii socjalistycznych, to naturalistyczna powieść społeczno-obyczajowa, opisująca warunki życia robotników, zatrudnionych w fabryce konserw w Chicago. Wydana w 1906 r., pierwsze polskie wydanie w 1907 r., pt. *Bagno\**, ostatnie w 1947, nakładem wydawnictwa Książka i Wiedza. Przyczyniła się do uchwalenia federalnego ustawodawstwa dotyczącego inspekcji sanitarnej mięsa. [\[wróć\]](#)

Drewniana ławka była pusta. Kiernan wcześniej intensywnie nas obserwował, odwróciłam się więc natychmiast, by zobaczyć, jak zareagował na zniknięcie Prudence. Ale już go nie było. Dziwne mi się wydało, by mógł tak długo i cierpliwie czekać, a potem po prostu gdzieś sobie pobiec, bez słowa pożegnania.

Jedyną osobą obecną tam cały czas był zamiatacz, wkładający właśnie swoją ulicówkę do niedużego schowka po zewnętrznej stronie budki.

– Przepraszam – zagadnęłam go. – Był tu chłopiec, czekał na mnie tam na ławce. Widział pan może przypadkiem, dokąd poszedł?

– Tak, proszę pani – potwierdził, na ułamek chwili podnosząc wzrok, by zaraz go opuścić. – Chodzi o Małego Micka?

Przytaknęłam, zachodząc w głowę, jak wielu ludzi na Wystawie znał ten dzieciak.

– Zabrał się stąd w tamtą stronę może minutę temu, proszę pani – powiedział stary zamiatacz, przekrzywiając głowę w stronę bulwaru Midway. – Wyglądało na to, że leci za jegomościem, co to nadbiegł z drugiej strony ulicy, stamtąd, gdzie stoją budynki rządowe.

Dech mi zaparło.

– Pamięta pan, jak ten człowiek wyglądał? To ważne.

– Cóż, tak bardzo z bliska to nie widziałem, proszę pani, bo zamiatałem – wyjaśnił i marszcząc czoło, starał się sobie coś przypomnieć. – Ale na moje oko wyglądał młodo, może w wieku pani. Raczej chyba nie pracował na powietrzu, ziemisty jakiś taki. No i za wielu obiadów to sobie w życiu nie odmówił, wie pani, o czym mówię – dodał, śmiejąc się pod nosem. – Mick bez wątplenia go dogoni. Zmyślny z niego świerszczyk.

– Dziękuję. – Posłałam mu przez ramię niepewny uśmiech, już biegnąc do wyjścia na Midway.

Do tego opisu jak ułał pasował Simon i nie mógł to być przypadek. Czyżby Kiernan z nim współpracował? Jako starszy był w metrze wraz z Simonem. A biorąc pod uwagę to, co Simon wygadywał, gdy zaatakował mnie przed domem Katherine, na jakimś etapie się przyjaźnili lub przynajmniej współpracowali.

Ciężko mi było jednak uwierzyć, że i w to tutaj uwikłany był Kiernan. Prawdopodobniejsze wydawało się, że chłopiec zorientował się, że to Simona wskazywałam, wrzeszcząc: „On ma broń!”. Może więc, działając nadal jako mój pomocnik, starał się mieć dla mnie Simona na oku. Tak czy inaczej, jego nieobecność mnie martwiła. Najbardziej jednak zastanawiające było, czemu Simon miałby zmierzać na Midway. Jeśli wrócił, żeby po raz drugi targnąć się na życie Katherine, a tylko taki powód jego powrotu przychodził mi do głowy, czemu

kierował się nie ku stabilnemu punktowi na Wyspie Leśnej, a w przeciwną stronę?

I nagle sobie przypomniałam – po Wystawie krążyły tego dnia dwie Katherine. Ta pierwsza wyprawa też była opisana w dzienniku, który Simon zdobył, zabierając mi plecak. Skoro pokrzyżowano mu plany zabicia Katherine na stacji, natychmiast zajął się następnym logicznym celem.

Głos Connora w mojej głowie podpowiadał, żeby wrócić na stabilny punkt, a stamtąd do domu, a następnie podejście wykonać, gdy poświęcimy trochę czasu na jego zaplanowanie. Jednakże pomysł, by próbować wytropić Simona, starając się przy tym nie wpaść na samą siebie lub kogoś innego, kto już mnie tego dnia widział, wydawał się znacznie bardziej karkołomny niż próba wytropienia go tu i teraz na Midway. Zwłaszcza że nie mógł się zbytnio oddalić – dzieliła mnie od niego minuta lub dwie.

Modliłam się tylko, żeby nie było z nim Kiernana. Właściwie nie wierzyłam w to, że chłopak mógłby pomagać Simonowi – to mi do niego nie pasowało – musiałam jednak przyznać, że znałam Kiernana za krótko, by mieć całkowitą pewność. I jeśli po prostu śledził Simona, miałam nadzieję, że zachowa ostrożność, gdyż nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Simon nie zawahałby się wyrządzić mu krzywdy. Albo użyć jako przynęty.

∞

Na Midway panował o wiele większy tłok i gwar niż w godzinach przedpołudniowych. Musiałam zejść z chodnika na ulicę, by wyminąć tłumek, szykujący się na zapowiadziany na godzinę pierwszą pokaz Zwierzęcego Widowiska Hagenbecka. Wielobarwne malunki nad wejściem przedstawiały stada słoni, lwów i tygrysów, cierpliwie stojące na piramidzie platform pod nadzorem tresera trzaskającego z biczem. Ociepliło się bardzo i powietrze wokół budynku przenikała teraz stęchła, smrodliwa woń, jaką pamiętałam z pewnego smętnego i niedużego cyrku, który zdarzyło mi się odwiedzić za dzieciennych lat. Nie miała ona jednak najmniejszego wpływu na entuzjazm ludzi, tłoczących się w kolejce, bo zważywszy na epokę, większość z nich egzotyczne zwierzęta знаła jedynie z obrazów i czarno-białych fotografii.

Uważnie obserwowałam obie strony tej szerokiej ulicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku obecności Simona lub Kiernana, jednocześnie starając się przypomnieć sobie wszystko, co Katherine mi opowiedziała lub sama przeczytałam na temat tego jej wcześniejszego skoku. Podczas przygotowań skupialiśmy się bowiem głównie na drugiej wyprawie. Z pierwszą zapoznałam się bardziej powierzchownie, traktując ją raczej jako źródło informacji o samej wystawie. Katherine opowiadała, że tamten skok nie wiązał się z jej własnymi badaniami – że

chodziło o zebranie ogólnych wrażeń z końcowych dni Wystawy oraz reakcji ludzi na zabójstwo burmistrza Harrisona, a przy tym o jakieś prace pomocnicze dla innych agentów CHRONOSA.

Niejasno sobie przypominałam, że mówiła coś o aparacie fotograficznym, o wystawie afrykańskiej i o ogródku piwnym. Wspominając o wystawie afrykańskiej, musiała mieć na myśli Wioskę Dahomejską, na odległym końcu Midway. Ogródek piwny był tuż tuż, w Wiosce Niemieckiej, nie miałam jednak żadnego tropu co do tego, którego dnia go odwiedziła.

Nie chcąc tracić czasu na grzebanie w pamięci, przystanąłam w cieniu jednego z wiaduktów przecinających Midway i wyciągnęłam z torby kopię dziennika z 1893 roku. Po kilku minutach szukania znalazłam wpis z 28 października i szybko go przeskanowałam. Większość poranka Katherine poświęciła na rozmowy z młodymi kobietami w Międzynarodowym Domu Urody, swoistym salonie światowej mody, bardzo tu popularnym. Mijając go dwukrotnie, za każdym razem widziałam długie kolejki, w których, co ciekawe, mężczyzn było niemal tyle samo, co kobiet, choć podejrzewałam, że w większości bardziej zainteresowanych ślicznymi dziewczętami z różnych zakątków świata niż najnowszymi tendencjami w modzie. Około południa Katherine wróciła na główną część Wystawy, by porozmawiać z kilkoma osobami spośród tych, które za kilka dni, po jej zamknięciu, będą sobie szukać nowej pracy.

Następny wpis w dzienniku okazał się tym, którego szukałam. Plasował ją około trzeciej po południu w Wiosce Niemieckiej. Niedługo tam jednak zabawiła, gdyż przyszła jedynie po to, by porozmawiać z przyjaciółką barmanki, która kilka tygodni wcześniej zaginęła. Dziewczyna do szóstej miała wolne, Katherine więc postanowiła wrócić tam wieczorem.

Oparłam się o ceglany mur wiaduktu i zastanowiłam się nad swoimi dalszymi działaniami. Simon także polegał wyłącznie na informacjach z tego dziennika, tak samo więc jak ja nie mógł wiedzieć, gdzie Katherine będzie pomiędzy południem a trzecią. Najlepszą szansę na znalezienie jej dałaby więc, zarówno jemu, jak i mnie, obserwacja poszczególnych wejść do Wioski Niemieckiej.

Jedno z nich było widoczne z miejsca, gdzie stałam, nie miałam jednak pewności, czy prowadziło akurat do ogródka piwnego. Ponownie chowając dziennik, zdecydowałam, że pójdę tam na mały rekonesans.

Od strony ekspozycji jawajskiej szły w moim kierunku trzy dziewczynki w tamtejszych strojach tubylczych, trzymając się za ręce, gdy przechodziły przez Midway. Już się do nich zbliżałam, zamierzając zapytać, czy widziały Małego Micka – wydawał się wszak znać wszystkich na tej Wystawie – gdy zobaczyłam nagłą zmianę wyrazu ich twarzy. Mała brązowa dłoń wystrzeliła w górę, jakby jej właścicielka usiłowała mnie ostrzec.

Ku swemu zaskoczeniu zorientowałam się, że to nie są dziewczynki, ale trzy malutkie staruszki. Malujący się na ich twarzach przestrah był ostatnią rzeczą, jaką wyraźnie widziałam, gdy poczułam ukłucie igły, wbijającej mi się w ramię. Midway zmienił się w kalejdoskop przypadkowych twarzy i innych części rozmaitych ciał. Na krótko mignął mi jakiś wąsaty mężczyzna w czarnym meloniku, barwny brokat jawajskich ubiorów, a gdy kolana się pode mną ugięły, mały porysowany bucik. Potem jedynie kształty i kolory. Aż w końcu wszystko to zakryła smolista czerń.

∞

Przez dłuższą chwilę po ocknięciu myślałam, że jestem w przytulnym pokoiku, w którym sypiałam, odwiedzając w Delaware dziadków ze strony taty. Powietrze było tu lekko stęchłe, a gdy oczy już się nieco przystosowały, dostrzegłam misterny wzór szydełkowanej serwetki na stolyczku nocnym przy moim łóżku. Wyciągnęłam rękę w poszukiwaniu lampki, ale zamiast na nią trafić, potrafiłam jakiś lichtarzyk, strącając na podłogę ogarek świecy. Potoczył się może z metr, a potem zatrzymał na czymś, co niewątpliwie należało uznać za nocnik.

To nie był pokój gościnny u babci Keller.

Zrzuciłam cienki koc, którym ktoś skrętnie mnie opatulił. Moja zielona suknia zniknęła. Miałam na sobie jedynie białą jedwabną koszulę i halki, które tak zachwyciły Treya. Prawa ręka niemiłosiernie mi zeszywniała, a tam gdzie zastrzyk przebił skórę, jakieś dwadzieścia centymetrów poniżej pachy, mogłam wyczuć mały obrzęk. Wnętrze przegubu znaczyła czerwona pręga zadrapania, zaś bransoletka, którą dostałam od Katherine, przepadła.

W półmroku wszystko wyglądało dziwnie i podejrzewałam, że wciąż jeszcze odczuwam skutki działania środka, którym mnie odurzono. Przez zasmarowane brudem, nie większe od mojej stopy okienko tuż pod sufitem z trudem przeciskał się wąty promyk słońca. Parę metrów dalej, na prawo od niego, było większe okno, zakryte zasłonami. Przesunęłam się na drugą stronę wąskiego łóżka i wyciągnęłam rękę, by je odsunąć, w nadziei że rzucę dzięki temu więcej światła na sytuację, w jakiej się znalazłam.

Tyle że za zasłonami nie było okna. Pomalowany ceglany mur ciągnął się aż do sąsiedniej ściany, z którą łączył się pod dość dziwnym kątem. Nie było tu żadnych obrazów czy innych elementów wystroju wnętrza, jedynie te najzupełniej zbędne zasłony i serwetka na stolyczku nocnym. W ścianie nad drzwiami wywiercono trzy dziury: dwie o średnicy około pięciu centymetrów, trzecia, środkowa, była dwa razy większa.

Usiadłam na łóżku, podciągając kolana do piersi. Ten ruch uruchomił

wspomnienie chwili, gdy siedząc w tej samej pozycji, w moim pokoju u Katherine, oglądałam z Treyem pewien film na DVD. Raz jeszcze spojrzałam na nieistniejące okno, a potem na trzy dziury nad drzwiami i serce zaczęło mi łomotać. Jeszcze próbowałam sobie powiedzieć, że pochopnie wyciągam wnioski w oparciu o niekompletne dane, ale już wszystko było jasne.

Znajdowałam się w Hotelu Wystawy Światowej, co oznaczało, że złamałam już obie dane Treyowi obietnice – choć nie tym akurat teraz powinnam się martwić.

Ile kobiet Holmes zamordował w tym właśnie pokoju? Ile umierało na tym właśnie łóżku, gdy obserwował je przez te judasze?

Na samą myśl o tym skóra mi ścierpła i szybko wstałam. Zastanawiałam się, czy nie podejść do drzwi, by sprawdzić, czy da się je otworzyć, gdy zaczęły one... no nie, osuwać się na podłogę. O mało nie wrzasnęłam, a potem zdławiłam w sobie nerwowy śmiech, bo uświadomiłam sobie, że drzwi nadal tkwią na zawiasach. Zsunęła się zaś moja suknia, która zjechała z umocowanego tam wieszaka.

Ostrożnie podeszłam i podniosłam ją, nieledwie się potykając o znajdujące się teraz pod nią trzewiki. Widok sukni ogromnie mnie ucieszył, co do obuwia jednak miałam mieszane uczucia.

Kątem oka znów zauważyłam jakiś ruch i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że w przeciwnym rogu błysnęło światło. Przemknęło mi przez myśl, że ktoś mnie obserwuje, ale gdy tam podeszłam, znów było ciemno i ani śladu żywej duszy. Jedyne, co było widać, to niewyraźny zarys krzesła.

Wróciwszy na skraj łóżka, przetarłam oczy, licząc na to, że skutki zastrzyku wkrótce ustąpią. Rozpostarłam suknię obok siebie, obmacując sekretną kieszonkę w staniku. Właściwie się nie spodziewałam, że znajdę tam klucz CHRONOSA, no i rzeczywiście go nie było. To potwierdziło moje podejrzenie, że nie znalazłam się tu przypadkiem i tylko dlatego, że Holmes akurat zdecydował się uprowadzić podróżującą samotnie dziewczynę. Nie byłoby to w jego stylu, zresztą z powodzeniem zwabiał tutaj młode kobiety, nie uciekając się do publicznych porwań w biały dzień.

Ktoś więc przekonał Holmesa do podjęcia takiego zbędnego ryzyka i nie ulegało dla mnie wątpliwości, że tym kimś był Simon. Po co miałby sobie zaprzętać głowę własnoręcznym pozbywaniem się mojej osoby, skoro miał do dyspozycji miejscowego seryjnego zabójcę, gotowego z ogromną radością i zapewne za śmiesznie małą opłatą uwolnić go od kłopotu?

Gdy ta przemiała myśl buzowała sobie w mojej głowie, drzwi nagle się otworzyły. Do pokoju wlało się miękkie żółte światło lamp gazowych, zamocowanych wzdłuż korytarza. Steżałam, szykując się do walki, ale to nie Holmes pojawił się w drzwiach. To była młoda kobieta, wysoka, o falowanych włosach barwy lnu. Gdy mnie zobaczyła, na jej ładnej twarzy w kształcie serca

odmalowało się zatroskanie.

– Och, nie! – zawołała, szybko stawiając tacę na stoliku nocnym. – Nie może panna jeszcze wstawać. Jest jeszcze zbyt osłabiona. Proszę, pomogę wrócić do łóżka...

– Nie – oznajmiłam. – Gdzie są moje rzeczy? Która jest godzina? Muszę iść...

– Nigdzie panna nie pójdzie. Mam na imię Minnie. Jest pora obiadowa i przyniosłam pannie trochę smacznego rosółu.

Minnie chwyciła mnie za ramiona i w bardzo konkretny sposób odprowadziła do łóżka. Niewątpliwie była to któraś z żon lub kochanek, które zauroczone przez Holmesa zmierzały prosto ku śmierci.

– Zemdlała panna na Midway – powiedziała, układając piramidę z poduszek wypchanych pierzem i pchnięciem mnie o nie opierając. – To wielkie szczęście, że kiedy to się stało, był tam mój mąż. Przyniósł pannę tutaj... On jest doktorem – dodała z dumą w głosie. – I zalecił odpoczynek. A co do panny rzeczy – ruchem głowy wskazała kąt pokoju – kapelusz leży na krześle. To wszystko, co panna miała, kiedy mąż ją przyniósł. Mam nadzieję, że na targach nic nie ukradli, bo występki dzisiaj szerzą się okrutnie.

Nie sposób było się z tym spierać, chociaż wątpiłam, czy miała świadomość, jak znaczny wpływ na tę falę występków i zbrodni przypisać należało jej małżonkowi.

W pierwszym odruchu miałam chęć powiedzieć jej, by wiała jak najdalej od Chicago, nim skończy w piwnicy, wraz z innymi. W niczym jednak nie zwiększyłoby to moich własnych szans na ucieczkę. W pokoju nadal panował półmrok, ale światła było wystarczająco wiele, bym widziała wyraz jej twarzy, gdy wspominała o swoim mężu, doktorze. Wyraźnie była nim oczarowana, ja zaś upewniłam się, że gdybym zaczęła opowiadać jej o dołach z wapnem, zapadniach i szkieletach, pognałaby prosto do Holmesa, zamiast wcześniej to sprawdzić.

– Gdzie jest doktor Holmes? – spytałam, gdy brała z łóżka moją suknię i z powrotem wieszła na tym marnym haczyku na drzwiach.

Stężała.

– Mój mąż jest na dole i rozmawia z jednym ze swych wspólników w interesach, dlatego więc uznałam, że do panny zajrzę. Nie wiedziałam, że go panna zna. – Dało się zauważyć zmianę tonu, a gdy wychodziła, bacznie mi się przyjrzała. W oczach nie miała już tyle życzliwości, co przedtem.

– Nie znam – powiedziałam.

– To skąd panna wiedziała, jak się nazywa?

– Nie wiedziałam – odparłam. – Pani powiedziała, że z Midway przyniósł mnie doktor Holmes, więc założyłam...

– Czyżby? – Zmrużyła oczy. – Dość pewna jestem, że nie wymieniłam

nazwiska. Proszę zostać w łóżku i dokończyć rosół. Oboje wkrótce przyjdziemy sprawdzić, co u panny.

Hmmm... może jednak nie do końca ufała Holmesowi. Wyglądało przynajmniej na to, że wie, iż jej mąż ogląda się za kobietami, i raczej jej się to nie podobało.

Drzwi zamknęły się na głucho i usłyszałam szcęk zasuwki. Nie mogłam się nie zdziwić, czemu ktoś chciałby korzystać z hotelu, gdzie zasuwki znajdują się po zewnętrznej stronie drzwi, ale sądząc z trzech otworów nad wejściem, ten pokój był jednym z tych „specjalnych”, w których Holmes uśmiercał ofiary gazem. Prawdopodobnie więc nie znajdował się w typowej ofercie dla gości.

I znów znalazłam się w niemal całkowitej ciemności. Jak według tej kobiety miałabym jeść rosół bez lampy czy świecy? Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, i tak nie zamierzałam nic jeść.

Kiedy kroki Minnie ucichły w głębi korytarza, zasunęłam zasłonę i przejechałam palcami po wewnętrznej stronie halki. Gdy nic nie wyczułam, przeżyłam krótką chwilę przestachu – potem jednak moje palce otarły się o cienki metal w sekretnej kieszonce.

Rezerwowy klucz CHRONOSA, na srebrnym łańcuszku, był na miejscu wraz z zapasem gotówki, którą tam wetknęłam. Minnie nie myliła się więc, mówiąc, że dopisało mi szczęście. Nie dlatego, że Holmes znalazł się na Midway – z tym akurat, według mnie, szczęście nie miało nic wspólnego – ale z racji tego, że pełniła tu rolę przyzwoitki. Mając na karku zazdrosną żonę, nawet tak totalny zboczeniec jak Holmes nie mógł sobie pozwolić na wnikliwsze zbadanie bielizny nieprzytomnej dziewczyny.

Przerzuciłam przez ramię zdjętą z haczyka suknię, po krótkim wahaniu chwyciłam też buty.

Nie zamierzałam zawracać sobie głowy ubieraniem się – Connor widywał mnie bardziej skąpo ubraną – kostium jeszcze się przyda, gdy wrócę posprzątać ten bałagan. Na razie wybierałam się do domu. Miło byłoby dotrzeć najpierw do stabilnego punktu, ale zważywszy, że Prudence i Simon to pojawiali się, to znikali, najwyraźniej dbałość Katherine nie była zbyt uzasadniona. Poza tym bycie więzioną w hotelu z tuzinami trupów w piwnicy raczej kwalifikowało się jako dobry powód do skorzystania z przepisów o wyjściu awaryjnym.

Trzymając w jednym ręku klucz CHRONOSA, nacisnęłam palcami jego środek. Wywołałam interfejs, zogniskowałam się na stabilnym punkcie w bibliotece i już miałam dokonać skoku, gdy dobiegający z korytarza odgłos szybkich kroków uniemożliwił mi skupienie. Interfejs zafalował, a potem zniknął.

Kroki ucichły i usłyszałam szcęk odciąganej zasuwki. Nie było czasu na ponowne wywoływanie wyświetlacza, rzuciłam więc suknię na łóżko, wsunęłam medalion za koszulę i zajęłam za drzwiami pozycję obronną. Według fotografii,



które oglądałam, Holmes nie był mężczyzną szczególnie rosnącym i byłam pewna, że dam sobie z nim radę, jeśli nie jest uzbrojony. A gdyby nawet był, nie zamierzałam poddać się bez walki.

O mały włos kopnęłabym w brzuch moją babkę. Cofnęłam nogę w ostatniej chwili, gdy widok spódnicy podpowiedział mi, że nie mam do czynienia z Holmesem. Uniosła rękę w górę, by odeprzeć kopniak torbą – tą samą, którą wcześniej ja nosiłam.

Chwilę jednak zajęło, nim upewniłam się, że to rzeczywiście jest Katherine. Nie żartowała, mówiąc, że kostiumierka w CHRONOSIE wykonała niewiarygodną robotę. Gdyby mijala mnie na Midway, wątpię, czybym ją poznała. Została postarzona o jakieś dwadzieścia pięć lat i w pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że to moja mama – co było dość dziwne, bo nigdy przedtem nie doszukałam się jakiegokolwiek podobieństwa między nimi.

Obie naraz zaczęłyśmy mówić, umilkłam więc, ustępując jej pola.

– Ktoś ty? – spytała, zniżając głos. Wzrok jej padł na moją pierś, gdzie przez materiał koszuli przebijał blask medalionu. – Przysłała cię centrala?

Uznałam, że najszybszą opcją będzie prawda.

– Nie całkiem tak – powiedziałam. – Jestem Kate, twoja wnuczka. Musimy się stąd zabierać. Ale jak mnie znalazłaś? Jak ominęłaś Holmesa?

Zdezorientowana przypatrywała się mojej twarzy. Nie wiem, czego się dopatrzyła, to coś jednak przekonało ją, że może mówię prawdę.

– Dwukrotnie już prowadziłam tu badania. Są tylko dwa pokoje, w którym Holmes mógłby kogoś trzymać – wyjaśniła. – Zorganizowałam małą dywersję: podpowiedziałam jednemu z jego niezliczonych wierzycieli jego aktualne pseudo, a potem, korzystając z chaosu, wśliznęłam się do środka. – Nerwowo obejrzała się przez ramię, a potem wyciągnęła prawą dłoń. – Skąd to masz? – spytała.

W otwartej dłoni trzymała bransoletkę. Łańcuszek był zerwany, ale zawieszka była bliźniaczką tej, która dyndała u jej lewego przegubu.

– Sama mi ją dałaś – wyjaśniłam. – Na moje urodziny. I owszem, wiem, jak to się obłupało. Frederick Douglass, Susan B. Anthony, Sojourner Truth. Zagapiłaś się na nich, zamiast uważać na drzwi powozu w tysiąc osiemset sześćdziesiątym którymś.

Tu nastąpiła chwila milczenia, a potem Katherine obdarzyła mnie cokolwiek zbolalym uśmiechem.

– W porządku, wierzę. Nie opowiadałam tego nawet Saulowi.

Znowu uważnie mi się przyglądała. Zapewne zastanawiała się, czy jestem też wnuczką Saula, ale nie zapytała.

– Kiedy zobaczyłam, że ta kobieta wychodzi... Czy to Minnie, czy Georgiana? Jak sądzę, Minnie. Tak szybko zmienia towarzyszek – zauważyła. – W każdym razie, założyłam, że to mnie tutaj zamknął, że doszło do wypadku

przy jakimś przyszłym skoku lub że Holmes wywęszył, że rozpytuję o kilka kobiet, które zabił.

– Ale skąd wiedziałaś, że Holmes... – zaczęłam pytać.

– Jakiś dzieciak znalazł mnie na Midway i powiedział, że pani, która nosiła tę bransoletkę, została zabrana do Hotelu Wystawy Światowej. Powiedział, że szedł tu za tobą i że muszę ci pomóc.

Kiernan. Nagle przypomniał mi się mały porysowany bucik, który widziałam tuż przed upadkiem. Musiał zerwać bransoletkę, gdy wokół mnie zaczęli gromadzić się ludzie. Obiecałam sobie, że jeśli uda mi się wydostać, oddam mu każdego centa, jakiego posiadam, i obsypię jego buźkę pocałunkami.

– Wróciłabym do centrali po pomoc, a potem znów tutaj, łatwiejszą drogą – stwierdziła. – Na drugim piętrze jest stabilny punkt. Ale nie mogłam zgubić tego dzieciaka. Bałam się, że będę musiała go związać, ogłuszyć albo coś w tym stylu, a potem przypomniałam sobie o sporze finansowym pomiędzy Mudgettem, znaczy Holmesem, i pewnym dżentelmenem z zarządu Wystawy.

Skrzywiła się.

– Musiałam jedynie przekonać tego chłopca, żeby dał mi czas na zorganizowanie dywersji, a potem zmarnowałam dobre pięć minut, próbując odesłać go do domu. Ostatecznie zgodził się zaczekać w zaułku. Chciał, żebyśmy natychmiast tu wtargnęli i przekonali się, czy nic ci nie jest, a ja za nic nie mogłam mu wytłumaczyć, czemu to jest niebezpieczne. Dał mi to – dodała, wyciągając torbę – oraz dość brudną parasolkę, którą wyrzuciłam. Torba jest moja, ale jeśli nie liczyć klucza i dziennika, które w niej były, ten sprzęt chyba nie bardzo pasuje do standardów CHRONOSA. Szczoteczka do zębów z różowego plastiku?

– Nie, to nie jest sprzęt CHRONOSA – westchnęłam. – Spieszyłam się, Katherine.

– Dlaczego? Jeśli nie jesteś z CHRONOSA, jak to możliwe, że używasz tego klucza? I dlaczego masz dwa klucze? Nie dostaje się dwóch kluczy.

– To trochę skomplikowane – powiedziałam.

Tak było od początku, ale teraz jeszcze trudniej było określić, jak wiele powinnam powiedzieć Katherine. Nie miałam pojęcia, czy to, że Simon wrócił ją zabić, dowodziło, iż Prudence nie udało się dotrzymać obietnicy powstrzymania jego ataków. Mógł przecież po prostu cofnąć się, zanim zdążyła spełnić tę obietnicę. Wszystko wyglądałoby o wiele prościej, gdybym wierzyła, że Prudence była gotowa (czy też zdolna) dotrzymać słowa, ale uwierzyć nie mogłam: zbyt wiele istniało tu innych możliwości.

Zakładając, że swój skok Katherine wykonała z centrali CHRONOSA, mogła opuścić ten czas jedynie w tym stabilnym punkcie, na który przybyła, a ja też nie mogłam się stąd zabrać, póki nie zyskam pewności, że bezpiecznie wraca w swoje czasy. To wykluczało moją bezpieczną i szybką ucieczkę w takim negliżu.

Zrezygnowana, rzuciłam suknię na podłogę i weszłam w nią, naciągając na ramiona, po czym odwróciłam się do Katherine plecami.

– Mogłabyś? – spytałam, wskazując na sznurowanie.

Zaciągnęła sznurki, jak tylko wstrzymałam oddech.

– Musimy cię stąd zabrać – oświadczyłam. – Holmes na ciebie nie poluje, ale ktoś inny tak, ktoś z kluczem CHRONOSA. Musisz wrócić prosto do centrali. Ale, Katherine, nie możesz im wspomnieć o moim istnieniu. Uwierz mi. To szczególnie ważne. Nie odnotowuj tego w swoim dzienniku i nie rozmawiaj o tym z nikim, nawet z Saulem. Przekonaj Angela, by na kilka miesięcy odwołał twoje skoki. Weź urlop wypoczynkowy albo naukowy, cokolwiek tam macie.

– Nie jestem pewna, czy to możliwe – stwierdziła Katherine, zapinając mi suknię. – Nie ja kieruję CHRONOSEM, nawet Angelo też nie. I nie mogę kierować działaniami innych, jedynie moimi własnymi. Uwierz mi, kilkakroć próbowałam.

Wyraźnie miała na myśli Saula. Pogrzebałam w pamięci, próbując poukładać daty. Kiedy nabrała podejrzeń co do Saula?

– Ja to wiem, Katherine, ale wiem też, że bardzo przedsiębiorcza z ciebie dama. Coś wymyślisz.

Uporała się z guzikami, odwróciłam się więc twarzą do niej.

– A te... twoje obawy? Że może Saul nie trzyma się regulaminu tak ściśle, jak powinien? O jego przyjaciół z Klubu Obiektywistów? Sprawdź jego torbę, gdy wróci z Bostonu. Ale uwaga – żadnej z tych spraw nie wolno ci mu wytknąć do 26 kwietnia. Wtedy dojdzie do kłótni. Będziesz musiała potem wysłać wiadomość, powiadamiając Angela i Richarda o swoich obawach. I musisz być zapisana do skoku na następny dzień, na dwudziestego siódmego.

W miarę jak komplikowałam plan, widać było w jej twarzy coraz więcej sceptycyzmu. Katherine była zręczną aktorką – w takiej profesji musiała nią być – ale czy rzeczywiście zdoła temu wszystkiemu sprostać? A jeżeli nie – jeżeli nigdy nie skoczy w rok 1969? Co napotkam, gdy wrócę? I czy w ogóle wrócę w swoje czasy?

– Aha, hmm... jesteś w ciąży – dodałam z przepraszającym uśmiechem, siadając na skraju łóżka i wciągając buty. – Prawdopodobnie jeszcze o tym nie wiesz, bo to się stało po balu noworocznym.

Katherine poczuła się chyba trochę niezręcznie, gdy wspomniałam o tamtej nocy, skupiłam się więc więc znowu na trzewikach, mając pretekst, by nie podnosić wzroku.

– Nie wolno ci wyjawiać Saulowi, że jesteś w ciąży – oznajmiłam. – W żadnym wypadku, dopóki nie dowiesz się, jak zareaguje na to, że znajdziesz... na to, co znajdziesz w jego bagażu.

Palce ześliznęły mi się po guziczkach buta i zakłęłam pod nosem.

– Ale ty już wiesz, jak on zareaguje – stwierdziła, wyjmując z włosów

spinę. Szybkim ruchem dłoni zgięła ją w dwóch miejscach i wręczyła mi rezultat tej akcji: prowizoryczny zapinacz. – Potrafię dodać dwa do dwóch. Nie zareaguje racjonalnie. Ale ty oczekujesz ode mnie, że wrócę, wiedząc to wszystko, a potem będę się zachowywać jak gdyby nigdy nic przez prawie dwa miesiące. I przy tym przechodzić nieplanowaną ciążę, którą na tym etapie mogłabym bez problemu przerwać?

– Przepraszam – powiedziałam, schylając się, by sfinalizować sprawę butów.  
– Wiem, że proszę o wiele. Jeśli jednak nie uda ci się poprowadzić tego wszystkiego dokładnie tak, jak powiedziałam, nie ulega dla mnie wątpliwości, że historia w olbrzymim zakresie zostanie napisana na nowo. I nie ujawniając zbyt wiele, mogę cię zapewnić, że nie pochwalisz tego jej przeinaczenia.

– Nie pochwalam żadnego wprowadzania zmian w linię czasu – powiedziała, prawie nie otwierając ust, gdy zabierała mój kapelusik z krzesła o trzcinowym oparciu, stojącego nieopodal fałszywego okna. – I to bardzo utrudnia mi danie wiary temu, co mówisz.

– Cóż, tym razem zrobiłaś od tej reguły wyjątek. A przynajmniej zrobiła go znana mi Katherine – odparłam, mierząc się z nią wzrokiem. – Praktycznie rzecz biorąc, dokonaniu tego wyjątku poświęciła ostatnie bez mała dwadzieścia lat, posuwając się nawet do zaaranżowania spotkania moich przyszłych rodziców, by stworzyć im szansę wydania mnie na świat. I jeśli nie pójdziesz jej tropem, miliony, a nawet, bądźmy szczerzy, prawdopodobnie miliardy ludzi spotka nadzwyczaj przedwczesny kres.

Jedno przeciągłe spojrzenie później, z wysiłkiem nabrała powietrza.

– No, jeśli tak się sprawy mają, wnuczko, sądzę, że lepiej, byśmy się stąd zabierały.

Przypuszczam, że wydostałybyśmy się z tego hotelu niezauważone, gdyby Kiernan warował na chodniku, jak przykazała mu Katherine. Albo gdybyśmy nie skręciły niepotrzebnie w drugi korytarz, który okazał się jednym ze ślepych zaułków, jakimi Holmes dla zabawy urozmaicił plany tego piętra. Gdyby cokolwiek z tego poszło jak trzeba, Holmes nadal siedziałby w swym kantorku po przeciwnej stronie od wyjścia.

Nic jednak nie poszło jak trzeba. Wierzyciel, którego Katherine zwabiła, by odwrócić uwagę Holmesa, klócił się głośno z Minnie, domagającą się, by zaczekał na doktora w pokoju przyjęć. Holmes stał na podeście między pierwszym piętrzem a parterem, w jednym ręku trzymając pistolet, a w drugim Kiernana za wierzch jego koszuli.

– Dobry wieczór, moje panie. – Sądząc po miłym uśmiechu Holmesa i wesołych iskierkach, tłących się w jego niebieskich oczach, równie dobrze mógł mieć w planach wciągnięcie nas w niezobowiązującą pogaduszkę o pogodzie. – Czy ten młody człowiek do kogoś tu należy?

Katherine odpowiedziała „Nie”, ja zaś, dokładnie w tej samej chwili, oznajmiłam „Tak”.

– To mój pomocnik – wyjaśniłam, posyłając Katherine gniewne spojrzenie. – Jestem reporterką, opisuję wystawę dla *Rochester Worker's Gazette*. Pańska małżonka powiedziała, że był pan tak miły, iż przyniósł mnie tutaj, gdy zasłałam na Midway. Dziękuję.

– Dobrze – powiedział Holmes. – Dokładnie to mi powiedział.

Chociaż nie należę do fanek obwisłych wąsów, mogłam zrozumieć, czemu Holmesowi tak łatwo było uwodzić kobiety. Spojrzenie miał niemal hipnotyczne, a w kącikach oczu sympatyczne zmarszczki – śmiechowce, jak nazywał je mój tato.

Oderwałam wzrok od Holmesa, by spojrzeć na Kiernana. Twarz miał bladą, a ciemne oczy rozszerzone i pełne niepokoju. Bezgłośnie wyartykułował „Przepraszam”, pokręciłam więc głową patrząc na niego ze współczuciem. Nic tu nie zawinił.

Gdy podniosłam wzrok, Holmes nadal się uśmiechał. Skinieniem głowy wskazał Katherine.

– A jakąż to zącą damę tu jeszcze mamy?

– To moja matka – oświadczyłam. – Towarzyszy mi w podróży.

Katherine weszła w rolę i lekko wysunęła się do przodu, najwyraźniej uznając, podobnie jak ja, że najlepiej będzie tak grać, jakby ten skądinąd miły człowiek nie trzymał pistoletu.

– Owszem, drogi panie – potwierdziła. – Jesteśmy panu nad wyraz

wdzięczne. Wolę sobie nie wyobrażać, co mogłoby spotkać moją córkę, gdyby nie pańskie...

– Żaden kłopot, szanowna pani. Po prawdzie było to dla mnie samą przyjemnością. A teraz, czy pani i pani córka nie miałybyście nic przeciwko temu, by się kilka kroków cofnąć? – Machnął bronią i wycofałyśmy się w milczeniu. Potem wziął Kiernana pod pachę i wniósł po schodach na piętro, gdzie czekałyśmy.

– Rad byłbym, mogąc stać tutaj i gawędzić z tak uroczymi damami – rzekł Holmes, jak tylko osiągnął szczyt schodów – ale zmuszony byłem powierzyć mojej... żonie obsłużenie dość irytującego współnika w interesach, a ona niezbyt dobrze sobie radzi z tego typu sytuacjami. Proszę więc panie, by powróciły do swojego pokoju, a rozmowę kontynuować będziemy wieczorem, gdy czasu będzie więcej.

Znów machnął spluwą i obie z Katherine zaczęłyśmy się cofać w stronę korytarza.

– Sądzę, że znacznie szybciej nam pójdzie, jeśli się panie odwrócą – powiedział.

Po krótkim wahaniu powtórzyłyśmy, choć w odwrotną stronę, nasze wcześniejsze przejście przez korytarz. Kilka zakrętów później znów stanęłyśmy przed drzwiami z zasuwką po zewnętrznej stronie.

Holmes cisnął mi Kiernana pod nogi, jak worek kartofli, a potem przytrzymał drzwi, byśmy weszli do środka.

– Proszę się rozgościć. Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Wciąż z tym samym uśmiechem zamknął drzwi i zatrzasnął zasuwkę. Odrobina dziennego światła, która wcześniej przedzierała się przez małe okienko, już znikła. Czułam przy sobie rozdygotane ciało Kiernana, po ciemku jednak nie byłam w stanie poznać, czy płacze. Uklękłam na podłodze i przyciągnęłam go do siebie, dodając otuchy tyleż jemu, co i sobie.

– Przepraszam, panno Kate. Trzeba mi było zostać w zaułku.

Katherine, siadając na łóżku, cichym prychnięciem wyraźnie dała znać, że z jej strony sporu w tej kwestii nie będzie.

– Nie, Kiernan – oświadczyłam stanowczo, posyłając Katherine wredne spojrzenie, choć wiedziałam, że go nie zobaczy. – Byłeś niesamowity. Wierzyć mi się nie chce, że udało ci się sprzątnąć moje rzeczy Holmesowi sprzed nosa i sprowadzić pomoc. Ale jak znalazłeś Katherine? Chyba nawet ja bym jej nie rozpoznała.

Wzruszył ramionami.

– To tylko przebranie. Na Midway łatwo do nich przywyknąć. Chodzi tak samo i mówi tak samo. W tym roku widziałem ją mnóstwo razy. I zawsze miała taką bransoletkę, jak ta, co panienka nosi. Ta, o której panienka powiedziała, że to wasz specjalny znak.

– Jesteś niewiarygodnie spostrzegawczy jak na ośmiolatka – zauważyłam. – Na pewno nie jesteś przebranym dorosłym?

Marnie sobie zażartowałam, ale nagroził mnie odrobiną śmiechu. Uściskałam go mocno i pocałowałam w czoło.

– Wiesz, uratowałeś mi życie.

– Nie spieszyłabym się z taką konkluzją – odezwała się Katherine – zważywszy na nasze obecne położenie.

Wyjęła coś z kieszeni spódnicy. Chwilę później rozjarzył się interfejs dziennika CHRONOSA, który właśnie otwarła.

– Co robisz? – spytałam.

– Zwracam się do centrali o nagłą ewakuację. Dostaną się tu przez stabilny punkt na drugim piętrze i...

– Nie – oświadczyłam, wrywając jej dziennik.

– Masz lepszy pomysł? – skontrolowała, usiłując go odzyskać. – Holmes w końcu wróci, a nie sądzę, żeby na główną atrakcję wieczoru planował przyjęcie z lodami.

– Już powiedziałam, że nikt w CHRONOSIE nie może o tym wiedzieć, Katherine. Pomyślałaś, co mnie czeka, jeśli wezwiesz centralę? Co czeka Kiernana? Sądzisz, że po tym, co widział i słyszał, CHRONOS chętnie go wypuści, nie zadając pytań?

– Kate, on widział tylko, jak otwieram dziennik, i słyszał rozmowę, której ani w ząb nie rozumie. Jeśli więc się przymkniesz i oddasz mi książkę, będziemy mogli skończyć rozmawiać, żeby on...

– Nie pierwszy raz oglądałam coś z tych rzeczy, panno Kate – wtrącił Kiernan. – Jest taka jak ta mojego taty, ta, której używałam, żeby wysyłać wiadomości...

Musiałam szarpnąć go za rękę, żeby zrozumiał, ale już było za późno. Katherine sięgnęła do torby i wyjęła klucz CHRONOSA, który ja wcześniej nosiłam. Światło klucza wypełniło pokój bladym błękitem, a ja w duchu dałam sobie kopa za to, że nie pomyślałam wcześniej, by posłużyć się nim jak latarką.

– Jaki to jest kolor? – spytała Katherine, podsuwając medalion pod nos Kiernanowi.

– Nie widzę po ciemku, proszę pani – odpowiedział, zerkając na mnie nerwowo.

Brew Katherine podjechała w górę.

– Kłamiesz jak z nut, dzieciaku, ale mnie nie nabierzesz.

Chwyła jego rękę i przycisnęła nią środek medalionu. Wyświetlacz wyglądał niewyraźnie – głównie zakłócenia, miejscami tylko jakieś czytelne słowo lub widoczny przycisk, ale i tak dowiedziała się tego, o co jej chodziło.

– Jakim cudem? – zapytała mnie. – Skąd to potrafi? Tak małych dzieciaków się jeszcze nie szkoli.

– Tego nie mogę ci wyjaśnić – powiedziałam. – Ale to część tego, co próbujemy naprawić.

Bezczelnie skłamałam i miałam nadzieję, że u mnie pokerowe oblicze przynajmniej w tym półmroku sprawdzi się lepiej niż w przypadku Kiernana. Odpowiedzią zgodną z prawdą byłoby, że proszę ją, by wróciła rozpocząć ciąg wydarzeń, w wyniku których Kiernan, ja i nie wiadomo ile jeszcze osób zyska zdolność aktywowania takich urządzeń. Rzecz w tym, że ten ciąg wydarzeń był jedynym, jaki znałam, i tylko on dawał mi nadzieję, choćby i niewielką, na powstrzymanie cyrystów.

– Co więc sugerujesz, Kate? – spytała, chowając medalion pod suknię. – Nie wydaje się, by z tego pokoju można było jakoś wyjść, więc jedyna dostępna opcja to siedzieć i czekać na powrót Holmesa. Będzie nas wprawdzie troje na jednego, ale jeden z tej trójki jest raczej nieduży, a pistolet, jak sądzę, z lekka wzmacnia szanse strony przeciwnej.

– Jedno z nas może się stąd wydostać – odparłam. – I ta jedna osoba wystarczy do otwarcia zasuwki i uwolnienia pozostałych. Twoja podróż powrotna może być ściśle związana ze stabilnym punktem na Wyspie Leśnej, mnie jednak to nie dotyczy. Ja mogę stąd przeskoczyć na dowolny stabilny punkt. Nie wspominałaś przypadkiem o jakimś na drugim piętrze?

– Tak, ale jakim cudem ty...

– Więcej nie mogę wyjaśnić, Katherine.

Kręciło mnie, trzeba przyznać, to wejście w rolę osoby decydującej o dostępie do wiedzy, ale naprawdę nie miałyśmy czasu na szczegółowe roztrząsanie tej kwestii. A każdy skrawek informacji, który ode mnie uzyskiwała, był niczym sznurek, który aż się prosił o to, by go pociągnęła, w efekcie odsłaniając wydarzenia, które powinny pozostać w ukryciu przed nią przez następne parę miesięcy.

– Zapoznałam się jedynie ze stabilnymi punktami w obrębie Wystawy i w pobliżu wejść – powiedziałam, wyjmując z wewnętrznej kieszeni swój klucz CHRONOSA i podając jej. – Wiem, że były też inne, ale cóż, niewiele miałam czasu na przygotowania. Jeśli zdołasz wywołać na tym kluczu tę lokację, tak żebym ją widziała i mogła się do niej dostroić, powinnam wykonać ten skok i wrócić tu za parę minut. Nie jestem tylko pewna, jak wyjdziemy przez drzwi frontowe, skoro i Holmes, i Minnie czają się u dołu schodów.

– Panno Kate! – Kiernan szarpnął mnie za ramię. – Może nie musimy iść po schodach. Może wybierzemy drabinę?

– Jaką drabinę? Są tu schody przeciwpożarowe? – Tej możliwości nawet nie brałam pod uwagę, bo jaki maniackalny morderca, projektując zamek tortur, uwzględniłby w nim schody przeciwpożarowe?

– Nie wiem, czy to panienka nazywa schodami pożarowymi, ale jest tam



drabina z okna na najwyższym piętrze, co schodzi na dach budynku obok. Widziałem ją, kiedy cały czas czekałem w zaułku. Zamiast iść do domu.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, słysząc nutę sarkazmu w jego głosie. Jeśli Katherine ją zauważyła, nie dała tego po sobie poznać. Sięgnęła po moją rękę, by włożyć w nią aktywowany medalion.

– Kiedy ciebie nie będzie, my z dzieciakiem wytyżymy głowy – powiedziała – i przekonamy się, czy uda nam się wydumać, z którego okna będzie najbliżej do drabiny.

Ustawwszy się tak, żebyśmy obie wyraźnie widziały interfejs, przejrzała na podglądzie różne kategorie i zatrzymała się, gdy doszła do jakiejś ciemnej przestrzeni.

– Pewna jesteś, że to to? – spytałam. – Całkiem tam czarno.

– Zgadza się – odpowiedziała, lekko rozdrażniona. – To szafa na bieliznę. I jest noc. Czego się spodziewałaś?

– Nie jestem pewna, na ile potrafisz odróżnić tę szafę od innych ciemnych szaf, które kiedyś odwiedzałaś. Bo mogę skończyć gdzieś w Des Moines.

– Nigdy nie byłam w Des Moines. Za to tutaj tak. Żeby dojść od szafy do schodów, wybierzesz pierwszy korytarz w lewo, a potem drugi w lewo. Stamtąd już wystarczy, że odtworzysz naszą drogę do tego pokoju.

Kiwnęłam głową i ułożyłam palce na kontrolkach tam, gdzie wcześniej ona. Wyświetlacz przez chwilę falował, potem zgasł.

Katherine prychnęła z irytacją i znów go wywołała.

– Skup się tym razem, dobrze?

– Świetnie – odpowiedziałam. – Wolę ciebie jako staruszkę. Trzeba ci czasu, żeby złagodnieć.

Powiedziałam prawdę, ale w duchu upomniałam siebie, że dla niej przecież to też był stresujący dzień. Właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży i że ojciec dziecka prawdopodobnie nie jest taki, za jakiego chce uchodzić; co więcej, była też na tyle bystra, by się zorientować, że jej świat się w znacznym stopniu zmieni. Wiele miałaby do przetrwania, nawet i bez zagrożenia ze strony seryjnego mordercy.

Wyświetlacz znów lekko zamigotał, gdy Katherine cofnęła palce, ustępując miejsca moim, ale udało mi się znów przywołać obraz.

– W porządku. Mam go. Dzięki, Katherine.

– Kiernan – powiedziała, nie odrywając oczu od wyświetlacza – zaraz wrócę. Za parę minut. Katherine naprawdę nie jest taka straszna, jak się wydaje.

– Dam sobie radę – powiedział. – Panienska na siebie uważa, panno Kate.

– Katherine? – dodałam ciszej. – Jeśli coś się stanie, ufam, że go stąd wyprowadzisz. Wiem na pewno, że nie jest mu pisany koniec w tym hotelu. Powiesz CHRONOSOWI, że nic nie widział i nic nie wie.

– Na Boga, Kate. Za kogo mnie uważasz? – syknęła. – Ten dzieciak porządnie zalazł mi dziś za skórę, ale nie zostawię go temu potworowi.

– Dajesz słowo? Jeśli nie zdołam wrócić, zrobisz wszystko co w twojej mocy, by zabrać go w bezpieczne miejsce?

– Lepiej wróć, bo jak się zdaje, jesteś przekonana, że zależy od tego los świata. Ale tak – masz moje słowo. Pójdiesz wreszcie?

Skupiłam się na samym środku czarnego prostokąta, który według Katherine oznaczał bielizniarkę na drugim piętrze, zamrugałam.

∞

Nie gustuję w ciasnych ciemnych wnętrzach, toteż z ulgą przyjął fakt, że łuk błękitnego światła z medalionu rozjaśnił większość szafy. CHRONOS najwyraźniej zatrudniał wyłącznie bardzo chudych historyków, gdyż ten stabilny punkt był wąski nawet dla kogoś tak szczupłego jak ja. Gdy się odwracałam, uderzyłam ramieniem w półkę, zrzucając na dół wielki stos pościeli. Do nosa wdarł mi się zapach jakiejś chemii, a pod nim inny, bardziej swojski i ostrawy.

Z przyzwyczajenia schyliłam się, żeby poukładać prześcieradła, które strąciłam, ale bliżej podłogi ten smród przybierał na sile. Broniąc się przed falą mdłości uznałam, że wolę nie wiedzieć, co kryje się pod tym stosem pościeli i pchnęłam drzwi po prawej. Nie ustąpiły, a od wewnątrz nie było żadnej klamki.

Cofnęłam się dwa kroki, by sprawdzić, czy znajdę dość miejsca, by w nie kopnąć. I wtedy poczułam, że w kręgosłup wbija mi się coś okrągłego i twardego.

O mało nie wrzasnęłam, ale gdy przez dłuższą chwilę nic się nie działo, spojrzałam za siebie i przekonałam się, że zaatakowała mnie klamka innych, większych drzwi. Otworzyłam je z ulgą i uciekłam na korytarz. Pojęcia nie miałam, dokąd prowadziły te pierwsze drzwi.

Tu znów ogromnie przydał się blask medalionu, gdyż na drugim piętrze nie paliły się lampy gazowe. A z korytarzami tutaj i tak trudno było dojść do ładu, choć nie musiałam szukać drogi po omacku, trzymając się ścian. Całe piętro wydawało się opustoszałe, ale trudno było nie pamiętać o tym, co działo się za niektórymi z tych drzwi.

Instrukcje Katherine oczywiście okazały się mylące. Pierwszy skręt w lewo rzeczywiście doprowadził mnie do głównego korytarza, natomiast drugi w lewo zakończył się jednym z tak uwielbianych przez Holmesa ślepych zaułków.

Wracając ku głównemu korytarzowi, minęłam drzwi, które podobnie jak w przypadku pokoju na pierwszym piętrze, gdzie czekała na mnie Katherine z Kiernanem, też były zaopatrzone w zasuwkę po zewnętrznej stronie.

Wiedziałam, że Katherine marudziłaby, że zaburzam linię czasu

– i niewątpliwie miałyby rację, jako że komuś uwięzionemu tutaj zapewne nie było pisane uciec – ale na tym polu naprawdę nie przejmowałam się etycznymi zaleceniami CHRONOSA. Odciągnęłam zasuwkę i otworzyłam drzwi.

Z wnętrza dobiegł jakieś szuranie, co równie dobrze mogło oznaczać mysz, ale nie miałam czasu sprawdzać.

– Jeśli ktoś tu jest, drzwi są otwarte. Holmes ma pistolet, więc proszę uważać.

Nie czekając na odpowiedź, po prostu poszłam głównym korytarzem w prawo, po czym wypróbowałam następną po lewej. Na szczęście doprowadził mnie do schodów.

U szczytu klatki schodowej przystanęłam, nasłuchując. Z dołu dochodziły stłumione odgłosy kłótni, ale chyba nie brał w niej udziału ów człowiek z banku.

– ... nie zostawię cię tu z... – Ten głos zdecydowanie należał do Minnie. Nie udało mi się wyłapać całej odpowiedzi, ale drugi głos był cichy i spokojny i według mnie na pewno należał do Holmesa. Schodząc powoli, wyłapałam frazy „potem w mieszkaniu” i „interesy”, ale nic więcej.

Jak tylko osiągnęłam pierwsze piętro, nie zwlekając, przebiegłam przez główny korytarz. Tym razem z pominięciem fałszywych przecznic i w świetle lamp gazowych, przy którym poruszało się jednak o wiele łatwiej, niż w przyćmionym blasku klucza CHRONOSA. I choć nadal miałam do czynienia z wariackim labiryntem zakrętów i zakosów, dotarłam do pokoju w kilka minut. Odblokowałam drzwi, zza których z ogromną ulgą wypadli Katherine i Kiernan.

Gdy spieszyliśmy ku schodom, zebrałam całą gotówkę, jaką znalazłam na dnie torby, i wepchnęłam Kiernanowi za koszulę. Co najmniej dziesięciokrotnie przewyższało to kwotę zapłaty, na jaką się umówiliśmy, więc zaczął protestować.

– Zapracowałeś na to, koleżko. Poza tym – dodałam cicho – jeśli się rozdzielimy, czekać cię będzie jeszcze jedno zadanie. Doprowadź Katherine z powrotem na Wyspę Leśną, na punkt w pobliżu chaty.

– Kate, ja wiem, jak wrócić na Wystawę – oznajmiła Katherine. – Dużo czasu tam spędziłam.

– Na pewno, głowę dam jednak, że nie znasz wszystkich skrótów tak jak on. I jeśli wierzyć temu, co widziałam, jest zaprzyjaźniony z połową ludzi zatrudnionych przy Wystawie. Gotowa jestem się założyć, że pospieszą mu z pomocą, nie zadając pytań... Kiernan – dodałam – korzystaj z wszelkich znanych ci skrótów i miej oko na jegomościa, którego już śledziłeś. Tego pękatego. On nadal szuka Katherine, zapewne na Midway.

– A co z panienką? – spytał.

– Dam sobie radę. Mogę stąd skoczyć prosto do domu, ale żadnego z was przez dłuższy czas nie zobaczę.

Katherine właśnie skręciła za róg. Chwyciłam Kiernana za rękę, żeby go

zatrzymać tak, by nie usłyszała dalszej części naszej rozmowy.

– Jeśli się wydostaniecie, nie wracaj, dobrze? Mnie nic nie będzie. – Poklepałam medalion, zwisający mi z szyi i zaraz spytałam: – Twój jest w chacie?

Przytaknął, a ja po chwili wahania założyłam mu ten zapasowy medalion na szyję i wetknęłam pod koszulę.

– Nigdy go nie zdejmuj, zgoda? Nigdy. Prudence może w jakimś momencie zażądać klucza twojego taty i sądzę, że jeśli to zrobi, może się zdarzyć, że wszystko zapomnisz. Może nawet nie będziesz pamiętał, czemu jej nie ufasz, a to chyba nie byłoby uczciwe.

Widać było, że przyjął to z powagą.

– Nie, panienko Kate. Myślę, że nie byłoby to ani trochę uczciwe. – Łańcuszek był dla niego za długi, sięgał poniżej pasa, ale gdy skręcaliśmy za róg, chłopak uporał się z tym, wtykając go za pasek spodni.

Znowu miałam to niesamowite wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, i czym prędzej się obróciłam, by spojrzeć w głąb korytarza, z którego przyszliśmy. Ale nikogo tam nie było – jedynie cienie pełgające po ścianach w świetle lamp gazowych.

Katherine, zbliżająca się już do schodów, niecierpliwie obejrzała się na nas. Spojrzałam znów na Kiernana, przykładając palec do ust i wzrokiem wskazując Katherine w nadziei, że zrozumie, iż ma być cicho, a ona nie powinna się dowiedzieć o naszej małej wymianie. Kiwnął głową i lekko się uśmiechnął.

W klatce schodowej nie było już słycać głosów. W aptece paliło się jeszcze parę świateł, za to w biurze Holmesa panował mrok. Wołałam uwierzyć, że wyszedł pomóc żonie znaleźć dorożkę, która odwiezie ją do domu, ale miałam złe przeczucia.

Poprowadziłam Kiernana ku wewnętrznej krawędzi schodów i zaczęliśmy się zakradać na drugie piętro hotelu, tonące w ciemności. Gdy dotarliśmy do półpiętra, lekko ścisnęłam ramię Kiernana i wysunęłam nas oboje przed Katherine.

– Co wy wyprawiacie? – spytała ledwie słyszalnym szeptem. – To ja wiem, którędy mamy iść.

– A jesteś szkolona w zakresie sztuk walki? – warknęłam. – Jeśli nie, większe szanse będziemy mieć, jeśli to ja pójdę przodem. Na wszelki wypadek. Ty zabezpieczysz tyły, Kiernan pójdzie w środku. Jeśli będziemy się trzymać blisko, szturchniesz mnie, kiedy trzeba będzie skręcić.

Skrzywiła się, ale kiwnęła głową i cofnęła się pod ścianę, żebym mogła nieznacznie wysunąć się przed nią.

– To powinien być drugi korytarz po lewej.

Po moich niedawnych doświadczeniach z jej przekonaniem, że chodzi o drugi po lewej aż mnie korciło, żeby spytać, czy przypadkiem nie chodzi o trzeci, uznałam jednak, że pogawędki należy skrócić do minimum.

Przeszliśmy na drugą stronę korytarza i już mieliśmy skręcić, gdy gdzieś za nami rozległy się dwa wystrzały. Całą naszą trójkę podskoczyła i czym prędzej rzuciła się za róg, choć te strzały wyraźnie dobiegały z niższego piętra. Dobra wiadomość? W pobliżu nas Holmesa nie było. Zła wiadomość? Niewątpliwie był jeszcze w budynku. I sądząc z tych odgłosów, owa zła wiadomość mogła dla kogoś na pierwszym piętrze lub parterze okazać się najgorszą w życiu.

– Idziemy – powiedziałam. – Wiemy już, że przebywa w budynku, ale przynajmniej nie blisko. Pozostaje nam znaleźć to okno.

– Ale on nikogo dzisiaj nie miał zastrzelić – powiedziała Katherine.

– Wiesz to na pewno? – spytałam z napięciem w głosie. – Zabił tu całe mnóstwo ludzi.

– Mam tylko nadzieję, że nie zabił nikogo przez naszą obecność – odparła.  
– Kogoś, kto nie powinien był umrzeć.

– Ja też – powiedziałam. – Ale nie bardzo chyba można coś z tym zrobić? Musimy iść dalej.

Gdzieś za nami rozległo się stukanie i odwróciłam się z kluczem CHRONOSA, by rzucić trochę światła na korytarz, jednocześnie jednak wpadłam na Kiernana. Przez ułamek chwili widziałam na samym środku korytarza wysoki cień, który chwile potem zniknął.

– Widziałas to? – zapytałam Katherine.

– Nie – odpowiedziała. – O czym ty mówisz?

– Myślałam... – Potrząsnęłam głową. To z całą pewnością nie był Holmes, a ja w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin bardzo mało spałam. – To nic takiego. Za dużo nerwów, jak sądzę.

Przebiegliśmy jeszcze dwa korytarze, łącznie z tym, w którym się zatrzymałam, by odblokować drzwi. Były one otwarte teraz znacznie szerzej, niż wtedy, gdy je zostawiłam. I zadałam sobie pytanie, czy mieszkaniec tej celi nie został przeze mnie sprowokowany, by igrać z ogniem.

I wtedy właśnie poczułam dym.

Nie mam pojęcia, ile czasu spędziliśmy w tych korytarzach. Zapewne mniej niż dziesięć minut, ale było to najdłuższe dziesięć minut w moim życiu. W założeniu i docelowo miejsce to było labiryntem, zaprojektowanym tak, by dezorientować nieszczęśników, którzy się w nim zabłąkają. Właśnie po raz drugi minęliśmy drzwi, które wcześniej otworzyłam, a także stabilny punkt w bieliźniarce. Za każdym razem do powrotu zmuszało nas to, że trafiliśmy na ślepy zaułek. Przerazało mnie, że w końcu staniemy twarzą w twarz z Holmesem. Na domiar złego dym wciąż gęstniał.

– Wiem, że tam było okno, panno Kate. Było po tej stronie budynku. – Po raz drugi szliśmy na sam koniec tego korytarza i Kiernan twarz miał już zalaną łzami.

– Cóż, na tym końcu korytarza nie ma żadnego okna, a na tej ścianie żadnych pokoiów – zauważyła Katherine.

Na chwilę zamarłam.

– Chyba że są tu... sekretne drzwi. Zapadni przecież używał, tak? Pamiętam coś o tym, że otoczył murem przywiezione meble i wybudował wokół nich pokój. Utrzymywał, że nigdy nie dotarły, by uniknąć zapłaty. Może...

– Co powinniśmy więc robić? – spytała Katherine. – Zacząć kopać w ściany na chybił trafił?

Nie odpowiedziałam, za to zdarłam tapety z połowy korytarza aż po bieliźniarkę. Ignorując fakt, że coś tam ohydnie cuchnęło, zafundowałam tym zamkniętym drzwiom wewnątrz szafy mocnego kopniaka bokiem stopy. Uchyliły się na kilka centymetrów, a ja musiałam zatkać ręką usta i nos, by nie wymiotować.

Kopnęłam ponownie, starając się nie myśleć, co tam w środku przemieszczam. Przy trzecim kopnięciu dało się słyszeć głuchy stuk i drzwiczki otwarły się do środka.

Schyliłam się tam zajrzeć, i ledwie wypatrzyłam okno na końcu długiego, wąskiego pokoju, ciągnącego się przez całą długość korytarza. Jeśli wzeszedł księżyc, to krył się za chmurą, gdyż przez szybę przebijały się tylko wątłe resztki blasku. Drabiny nie widziałam, ale Kiernan powiedział, że nie przypuszcza, by udało się ją zobaczyć od wewnątrz, bo szczeble zaczynają się poniżej parapetu.

Odwróciłam się do Katherine i Kiernana stojących przy drzwiach szafy z bielizną.

– Miałaś rację, Kiernan. To musi być to.

– Co to za niemilosierny smród? – spytała Katherine.

– Myślę, że obie dobrze wiemy, co o tym sądzić – odparłam. –

Przypuszczam, że Holmesowi nie udało się utknąć wszystkich ofiar w dołach w piwnicy. Tylko wstrzymuj oddech, jak długo potrafisz, i pamiętaj, by się schylić, wchodząc. Framuga jest tu bardzo niska.

Weszłam do tego pokoju, podnosząc klucz CHRONOSA w nadziei na dość światła, by odnaleźć względnie swobodne, wolne od trupów dojście do okna. Gdy oddalałam się od drzwi, otarłam się spódnicą o coś sztywnego. Lepiej było jednak nie wiedzieć, co to jest, więc krok za krokiem posuwałam się do przodu.

– W porządku, Kiernan? – zapytałam, sięgając po jego rękę.

– Nic mi nie jest, panno Kate – zapewnił, ale wsunął dłoń w moją. – Musimy się pospieszyć. Bo jeśli to on podłożył ogień, to chyba też będzie tędy uciekał.

Poruszałam się tak szybko, jak było to możliwe, gdy za źródło światła wskazujące drogę miało się tylko klucze CHRONOSA. Pokój był względnie pusty, jeśli nie liczyć jakichś zabłąkanych mebli, ale też zaledwie o niespełna półtora metra szerszy od szafy na bieliznę.

Minęliśmy kilka tonących w cieniu pod lewą ścianą zarysów, wyglądających mi na prycze, i byłam niemal pewna, że coś długiego i cienkiego, zwisającego z drugiej z nich, było niegdyś ludzką ręką. Chwilę później usłyszałam, że Katherine gwałtownie nabiera tchu, a gdy spojrzałam na Kiernana, mocno zaciskał powieki, kurczowo trzymając się mojej ręki, i szedł na oślep tam, gdzie go prowadziłam.

Przeszliśmy może kolejne pięć metrów, gdy zza naszych pleców doleciał jakiś szelest. Szybkie spojrzenie w tył nic nie ujawniło. Powiedziałam sobie, że to pewnie ciało, które odepchnęłam drzwiami, osunęło się na podłogę. Albo szczur. Przez tego typu skojarzenia wariowałabym ze strachu, teraz jednak zdawały się nieść pociechę.

Ale ten dźwięk się powtórzył. A potem znowu. Albo to ciało szło naszym tropem, albo to był wyjątkowo duży szczur. Najprawdopodobniej jednak był to Holmes.

Oczywiście wiedział, że tu jesteśmy. Jeżeli ja mogłam usłyszeć jedną osobą skradającą się za mną, nie mógł nie słyszeć naszej trójki. Holmes musiał też wiedzieć, gdzie nas znajdzie, jeszcze zanim tu wszedł – inaczej czemu szedłby bez kaganka? Lekką przewagę dawało nam to, że nie widział blasku kluczy CHRONOSA, z których korzystaliśmy, wyszukując drogę. On natomiast o wiele lepiej znał te zakamarki, sam wszak zaprojektował ten koszmar.

– Idźcie – szepnęłam, cały czas posuwając się do przodu. – Głowy nisko i trzymajcie się z boku, żeby was nie było widać na tle okna. Jeśli się nie otworzy, rozwalcie. Nie zatrzymujcie się. Oboje wiecie, co zrobić, jak tylko się stąd wydostaniecie. Do zobaczenia. Kiedyś.

Kiernan przysunął się do mnie na chwilę i chwycił mnie za rękę. Bałam się, że chce się sprzeciwić, ale nie o to chodziło.

– Do widzenia, panno Kate. Proszę uważać.

Gdy przesuwali się obok mnie, ucałowałam go szybko w czubek głowy. Przesuwając się jak najbliżej ściany, nasłuchiwałam, starając się oddzielić dźwięki związane z ruchem Katherine i Kiernana po mojej prawej od tych mniej oczywistych odgłosów po lewej.

Przesunąwszy się jeszcze o metr z hakiem, zajęłam pozycję między dwiema widzianymi wcześniej pryzmami. Ten pokój miał w najlepszym razie niespełna dwa metry szerokości, a zważywszy jeszcze na przeszkodę w postaci pryzk pod jedną ze ścian, Holmes, żeby dojść do okna, będzie musiał przejść bezpośrednio przede mną. Kusilo mnie, by schować medalion do kieszeni. Wprawdzie nie mógł widzieć jego blasku, ale i tak czułam się jak na widelcu – jakby jasnoniebieski blask latarni zdradzał moje położenie.

Wzięłam kilka oddechów, powolnych i głębokich, usiłując uspokoić tętno, a potem zerknęłam na Katherine i Kiernana. Zobaczyłam nie tyle ich, co raczej poświatę klucza CHRONOSA Katherine, parę metrów od okna. *Dobry Boże, proszę, niech to będzie to okno z drabiną*, pomyślałam.

Holmes po mojej lewej stronie wciąż się zbliżał, ale trudno było jeszcze ocenić, jak jest daleko. Oddech miał urywany – jakby niedawno biegł lub nałykał się dymu.

Jeszcze jedno szybkie spojrzenie w okno. Już nie było widać błękitnej poświaty; Katherine musiała schować klucz w sukni.

Już miałam się odwrócić, gdy niewyraźny zarys okna lekko zadygotał. Głośny trzask świadczył o tym, że framuga stawiała opór, ale strzały, które teraz nastąpiły, były jeszcze głośniejsze.

Holmes wystrzelił dwukrotnie, raz za razem. Nie wiem, gdzie trafił pierwszy strzał, ale drugi rozbił szybkę w oknie. Szybko odwróciłam się ku niemu, akurat gdy padał trzeci, pozwalający mi go zlokalizować – prawie tuż przy mnie. Byłam prawie pewna, że gdyby strzelając nie patrzył w okno, mignęłabym mu w blasku tego wystrzału.

Podniosłam się, plecami oparta o ścianę. W błękitnym świetle twarz Holmesa rozjarzyła się niesamowitym blaskiem, jakby już sama w sobie nie była upiorna, bardziej może nawet niż rewolwer o długiej lufie, kurczowo teraz przez niego trzymany. Gdy się zatrzymał, by staranniej wycelować, wymierzyłam wysokie kopnięcie. Celowałam w ręce, trzymające rewolwer na wysokości piersi, niestety spódnica ograniczyła mi ruchy i uderzyłam tuż poniżej pasa.

Holmes zgiał się w pół, naciskając przy tym na spust rewolweru. Kula, sądząc po wibracjach, jakie przeszły mi przez stopy, wbiła się w podłogę. Odzyskawszy równowagę, z impetem rąbnęłam go kolanem w twarz. Usłyszałam chrupnięcie, ale nawet to go nie powstrzymało; wyrzuciwszy rękę, podciął mi nogę.

Padając, widziałam w oknie zarys sylwetki Kiernana, od piersi w górę. Nie



zauważyłam Katherine: albo nie wystawiając się na cel, stała z boku okna, gdzie nie docierało światło, albo była już na drabinie.

Walnęłam głową o podłogę. Najszybciej, jak mogłam, podciągnęłam się do pozycji siedzącej, opierając się o ścianę, ale jeszcze nie mogłam się pozbierać. Gdy otwierałam oczy, zatańczyły przed nimi dziesiątki błękitnych światełek i chyba pomyślałam, że to właśnie rozumie się pod pojęciem „widzieć gwiazdy”.

Coś zahłasowało teraz na lewo ode mnie, przyciągnęłam więc nogi do siebie i obiema kopnęłam. Jedna trafiła, chyba w kolano, bardziej jednak się o nie otarła, niż sięgnęła celu.

– Zadziwiające kopnięcia, jak na tak niedużą kobietkę – stwierdził Holmes. – Ale rewolwerowi nie sprostają. – Lekko przesunął lufę z boku na bok, lewą ręką szukając czegoś w kieszeni surduta.

Gdy lufa rewolweru przejeżdżała nad miejscem, gdzie się kuliłam, serce tak mi łomotało, że słyszałam to w uszach. *On cię nie widzi, Kate; nie widzi ciebie*, upominałam siebie w myśli. I oddał już sześć strzałów – dwa na dole i cztery tutaj. Niewiele wiedziałam o broni palnej, ale kilka westernów się w życiu widziało i to, co trzymał w ręku, nazywano tam „sześciostrzałowcem”. A zatem magazynek powinien być pusty. O ile, oczywiście, nie załadował go ponownie przed wejściem do bielizniarki.

Nie zrobił tego, ale nie miało to już znaczenia. W ręku, wyciągniętym właśnie z kieszeni, trzymał kulę do rewolweru.

Kiedy wkładał ją do komory magazynka, odwróciłam się w bok i ułożyłam medalion na środku dłoni, ramieniem zapierając się o ścianę, tak by ręka nie drgnęła, gdy będę wywoływać obraz kuchni w domu Katherine.

Holmes cofał się teraz trochę, zapewne po to, by zwiększyć sobie pole widzenia i szansę na dostrzeżenie jakiegoś ruchu, z lewą ręką wyciągniętą w tył, by kontrolować, to co za nim. Wpadł na którąś pryczę i nogi mu się ugięły. Szczęknięto szkło i Holmes cicho zaklął, ale urwał w pół słowa, by wybuchnąć śmiechem.

Pojęcia nie mam, co podszeptało mi, by odwrócić głowę jak najdalej od tego śmiechu. Oznaczało to przecież zerwanie kontaktu wzrokowego z medalionem, a już byłam blisko: właśnie ustawiałam datę i potrzebowałam tylko sekundy, góra dwóch. Ale gdybym się nie odwróciła, bryznąłoby mi prosto w twarz.

Kwas, palący niczym ogień, poparzył mi kark i potylicę. Wrzasnęłam – nie dało się tego uniknąć, choć zdradziłam, gdzie się kryję. Wstrzymałam oddech, czekając na strzał, ale zamiast niego usłyszałam zupełnie innego rodzaju łoskot. Wyglądało na to, że się potknął o pryczę, po chwili jednak znów był na nogach i zmierzał w moją stronę.

Uznałam, że chce to rozegrać ostrożnie: mając tylko jedną kulę, chciał być pewien trafienia. Popełzałam po podłodze ku bielizniarce najszybciej, jak się dało

i jak najdalej od niego, starając się powstrzymać jęki, choć przy najmniejszym nawet ruchu palący ból z boku głowy narastał.

Woń dymu przybierała na sile, walcząc o lepsze ze smrodem rozkładających się zwłok, które miałam przed sobą. Holmesowi pozostała jedna droga ucieczki przed pożarem – okno. Przy odrobinie szczęścia uzna, że to również jedyna droga dla mnie, i może, ale tylko może, pomyśli, że wystarczy zdać się na los, porzucając mnie w płonącym budynku. Mnie zaś, jeśli tylko nie przestanę się poruszać i nie stracę panowania nad sobą, pozostanie wydostać się z tego pokoju i znaleźć miejsce, gdzie będę mogła się skupić i użyć klucza CHRONOSA.

Drzwi musiały być już blisko. Postarałam się wstać, żeby poruszać się szybciej. Wciąż jeszcze widziałam te niebieskie gwiazdki, oparłam się o ścianę, by dojść do siebie, więc Holmesa nie widziałam, ale słyszałam ruch gdzieś za mną.

Moja dłoń w końcu znalazła w ścianie przejście i, pochyliwszy głowę, weszłam do tamtej ciasnej szafy na bieliznę. Pchnięciem otwierałam drzwi, prowadzące na korytarz i zaczerpnęłam powietrza – przesiąkniętego wprawdzie dymem, ale jednak nie wonią rozkładu. Biegając ze wszystkich sił w kierunku, w którym powinnam znaleźć klatkę schodową, odrobinę za szybko pokonałam jeden z narożników i zaczęłam obcasem durnego trzewika o rąbek spódnicy. Stukot obcasów i dźwięk rozdieranej spódnicy odbiły się echem po całym korytarzu – jako dźwiękowy odpowiednik wielkiej czerwonej strzałki, wskazującej Holmesowi kierunek pogoni.

Zanurkowałam w trzeci korytarz po prawej, a potem popędziłam przez korytarz główny, by na następnej krzyżówce skręcić w lewo. Liczyłam na to, że doktor uzna, iż wybrałam szybszy, wygodniejszy skręt w prawo. Musiał się zatrzymać i zapalić kaganek – widziałam cienie, jakie rzucał na ściany, biegnąc.

Troje drzwi dalej szarpnęłam za klamkę, łudząc się, że będzie otwarte. Nie miałam szczęścia. Tupot przybrał na sile, wcisnęłam się więc te drzwi, najbardziej jak było to możliwe. Nabrawszy głęboko powietrza, przycisnęłam palcami środek medalionu.

Wątpliwe, czy miałabym czas na wywołanie i lokacji, i daty – zamierzałam się więc ograniczyć do wskazania miejsca i mrugnięcia. Pamiętałam ostrzeżenia Connora, że tak można trafić na środek autostrady, ale jeśli drugą opcją był seryjny morderca, uzbrojony w kwas i rewolwer, ryzyko zderzenia z półciężarówką wydawało się korzystną zamianą. Staralam się opanować drżenie rąk, żeby móc wyświetlić interfejs, trudno mi jednak było się skoncentrować. Wyświetlacz zafalował, a potem zniknął.

Przygotowując się do kolejnej próby, kątem oka zobaczyłam poblask kaganka. Doktor na krótko zniknął w prawym korytarzu – potem, zatoczywszy kagankiem koło, ruszył prosto ku mnie.

A potem drzwi za mną się otwały i wpadłam do pokoju. Pokażna dłoń

zatkala mi usta, dławiąc krzyk, nim się z nich wyrwał. Druga ręka przysuwała do mej twarzy ciasno złożoną białą szmatkę.

Mężczyzna szarpnięciem przeciągnął mnie na prawo od drzwi. Białą szmatkę, ociekającą wodą, przycisnął do boku głowy, jednocześnie przygarniając mnie do siebie.

– Kate!

Chwilę potrwało, nim ten znajomy głos, cichy, a zarazem nagły, przebił się przez mój paniczny lęk. Podniosłam wzrok ku twarzy tego mężczyzny. Dziwnie wyglądała w błękitnym świetle naszych medalionów, ale ciemne, zatroskane oczy były mi znane, patrzyłam w nie przecież ledwie kilka minut wcześniej.

– Kiernan? Ale jakim cudem...

– Kate, proszę. Musisz się skupić. Już wywołałem stabilny punkt, ukochana moja. – Wyświetlacz ukazał małą, słabo oświetloną izdebkę, z kocami w rogu. – Tylko przesunąć palce, i ruszysz. Będę tuż za tobą, obiecuję.

Nie wiem, czy sprawił to jego głos, czy świadomość, że już nie jestem sama, ale ku memu zdziwieniu, gdy sięgnęłam po klucz CHRONOSA, ręce już mi nie drżały. Zamigotało tylko odrobinę, a potem już było wyraźnie. Mrugnęłam i zanim osunęłam się na zakurzoną podłogę, zdążyłam się jeszcze zachłysnąć świeżym, wolnym od dymu powietrzem.

Przez jakiś czas to traciłam przytomność, to ją odzyskiwałam. Głos Kiernana wyciągał mnie na kilka chwil na powierzchnię, a potem znów się zapadałam. Najwyraźniejszym wspomnieniem, jakie mi po tym zostało, było wrażenie, że na szyję równomiernym strumieniem leje mi się woda. Bolało, ale jeszcze gorzej było, gdy woda przestała lecieć. Raz delikatnym dotykiem dłoni zmusił mnie, bym usiadła, i sprawił, że połknęłam kilka jakichś kapsulek. Oczy znów mi się zamknęły i odpłynęłam w mgłę.

Gdy się na dobre ocknęłam, był już dzień. Pierwsze, co zobaczyłam, to twarz śpiącego Kiernana i jego długie ciemne włosy, które wilgoć przylepiła do skóry. Siedział w kącie chaty. Ja, zawinięta w koce, głowę miałam opartą o jego udo. Nasze palce były splecione. Ubranie miał przesiąknięte silnym i ostrym zapachem dymu. Podniosłam wolną rękę do szyi i z prawej strony wyczułam duży, przyklejony plastrem płat gazy. Na podłodze wokół nas leżało kilka buteleczek i słoiczków z maściami. W kominku przygasał ogień. Moja zielona suknia leżała całkiem zmięta, a przez liczne dziury, wypalone w niej przez kwas, prześwitywała wilgotna, brudna podłoga.

Cała zeszywniała i musiałam zmienić pozycję. Poruszałam się powoli, nie chcąc budzić Kiernana, ale od razu otworzył oczy.

– Kate? Dobrze się czujesz?

Spróbowałam kiwnąć głową, ale ponieważ nie było szansy zrobić tego

bezboleśnie, poprzestałam na wątłym uśmiechu.

– Tak. Boli, ale nic mi nie jest. To ta chata na Wyspie Leśnej, prawda? Ale kiedy?

– Około piątej rano, jak sądzę, Następnego dnia – odpowiedział. – Nikogo tu nie ma – niewielu w ogóle tu dziś przyjdzie ludzi. Uroczystość zamknięcia odwołano po zamachu na burmistrza. I łatwiej mi było wszystko tutaj przygotować. Ja... wiele mnie kosztują skoki na dużą odległość. Małe są łatwiejsze, ale robiłem ich ostatnio dużo. Nie chciałem, żebyś była zbyt daleko, na wypadek gdybym musiał podejść tu, by do ciebie dotrzeć.

– A Holmes? I Katherine? Czy ona...?

– Holmes uciekł, tak jak miało być. Prawdopodobnie jedzie dziś pociągiem do Colorado. Pożar miał wprawdzie wybuchnąć za kilka tygodni, ale nie sądzę, by to coś zmieniało w kwestii jego przyszłego zatrzymania i procesu. I tak, Katherine i ja dotarliśmy do stabilnego punktu, poprowadziłem ją na skrót i nie mieliśmy żadnych problemów.

Westchnęłam, czując ulgę, że przynajmniej ta część planu się powiodła.

– Powiedz mi, Kiernan, skąd wiedziałeś? Czemu wróciłeś? Skąd wiedziałeś, że będę pod tamtym pokojem?

Zanim się odezwał, przez dłuższą chwilę patrzył mi w oczy.

– Dużo czasu mi zajęło poskładanie wszystkich kawałków, Kate. Stale byłaś obecna gdzieś w moich myślach przez te wszystkie lata, ale nie miałem pewności, czy udało ci się wtedy wydostać z hotelu. Tamtej nocy, po odstawieniu Katherine na Wyspę Leśną, wróciłem, ale budynek stał w ogniu i strażacy mówili, że nikt by nie przeżył. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wrócić do domu... Zrobiłem tak, jak mi kazałaś. Nigdy nie zdejmowałem medalionu. Nawet w kąpielni trzymałem na nim rękę. Wróciliśmy na tę farmę cyrystów, zresztą niewielki mieliśmy wybór, bo matka się rozchorowała. Pozwoliłem, by nauczyli mnie, jak używać klucza CHRONOSA. Nie jestem w tym tak dobry, jak wielu innych, dla Prudence jednak to nigdy nie miało większego znaczenia – dodał, śmiejąc się z goryczą – a to generalnie ona ustala, komu przysługują przywileje.

– Czy ona nie... Urwałam, wahając się, czy powiedzieć to, o czym myślę. – Byłeś taki młody.

– O nie. Nic z tych rzeczy. Zresztą, gdy pojawiała się na farmie, przeważnie sama była niewiele starsza ode mnie. Gdy pierwszy raz zobaczyłem ją jako młodą kobietę, byłem może mniej więcej w twoim wieku. Miałem zaledwie szesnaście lat. Kate, szesnastolatce bardzo trudno odmówić chętnej dziewczynie.

– Czyż nie wiedziałeś, że ona była... No, że znałeś ją, kiedy była starsza i kiedy ty byłeś młodszy... – Potrząsnęłam głową i zaraz się skrzywiłam, bo opatrunek przejechał po oparzeniu. – Byłeś przecież przekonany, że miała coś wspólnego z losem twojego taty.

– No tak, ale przecież wtedy Pru była już starsza, rozumiesz? Nie wiem, co robiła później – na nic tu nie mam żadnego dowodu, ale gdy miała osiemnaście lat, to wszystko było jeszcze przed nią.

– Chryste, w głowie mi się od tego mąci – powiedziałam. – Ciebie to nie doprowadza do szaleństwa? Pomyśleć, że starsza Prudence pamiętała ciebie i z czasów, gdy byłeś mały, i z późniejszych, gdy byliście razem jako nastolatki.

– Ciągle zapominam, że jesteś... jak ty byś to powiedziała? „Świeżynką”? – Uśmiechnął się nieco kpiarsko. – Dość szybko przywykniesz do tych zakrętów historii. Osiemnastoletnia Pru była po prostu zagubionym dzieciakiem, nie do końca pewnym ani tego, czego oczekuje od niej Saul, ani swojego miejsca w tym wszystkim. Na ile mogę stwierdzić, wtedy nie była złym człowiekiem. Z czasem uznałem, że nie byłoby uczciwe osądzanie jej na podstawie tego, kim nie była, a przynajmniej, kim jeszcze nie była. Czy to ma sens?

– Nie – odpowiedziałam. – To znaczy, rozumiem, o co chodzi, ale nie powiedziałabym, że to ma sens. Nic z tego nie ma sensu.

– Nie jestem dumny z tego związku – przyznał. – Nie mam pewności, czy mógłbym powiedzieć, że wykorzystałem Pru, a przynajmniej nie bardziej niż ona mnie, ale moje uczucia komplikowała moja przeszłość. Bo jeśli nigdy nie patrzyłem jej w oczy, kiedy my... cóż, to dlatego, że przypominała mi ciebie. Gdy się poznaliśmy, byłem jeszcze dzieciakiem, Kate, ale nigdy cię nie zapomniałem.

Umilkł na moment, wodząc palcem po mojej dolnej wardze tak delikatnie, że całą mnie przeszedł dreszcz. *Nie, Kate*, pomyślałam, *nie, nie i nie*. Jesteś wyczerpana i wdzięczna mu, i... tak, do cholery, niesamowicie nim zafascynowana. Ale *nic z tego*.

– Potem, rok później, gdy miałem siedemnaście lat, pojawiłaś się ty, Kate. To znaczy nie ty, nie ta tutaj ty, ta inna Kate. Moja Kate. Trochę starsza niż ty teraz. Tak piękna, tak zdecydowana, by mnie przekonać do walki z cyrystami. Bardzo byliśmy w sobie zakochani, Kate, ale nie pamiętałaś pewnego ośmiolatka, nie pamiętałaś Wystawy. Tego nigdy nie mogłem zrozumieć. A teraz, choć już rozumiem, dlaczego tak było, trudno mi wyobrazić sobie tę Kate, która nie pamięta roku, jaki spędziliśmy razem. Mam wrażenie, że w Bostonie roku 1905 spędziłaś więcej czasu niż u siebie w swoich czasach. To cud, że nie padałaś z wyczerpania – mówiłaś Katherine, że schodzisz na dół po kawę, a potem skakałaś w przeszłość, by spędzić cały dzień ze mną, i pojawiałaś się tam w dziesięć sekund po starcie. Tobie zawsze łatwiej przychodziły te skoki. Mnie one... wyczerpują, a wtedy jeszcze musieliśmy ukrywać wszystko przed Prudence.

– Byłeś wtedy jeszcze z Prudence? – spytałam, krzywiąc się trochę, bo podnosiłam się, by usiąść. Usiłowałam wytłumić w swym głosie całkiem irracjonalny ton zazdrości, ale uśmiezek zadowolenia na twarzy Kiernana pokazał,

że mi się nie udało.

– Nie, Katie. Potem już nigdy, nie po dawnemu. Nie, odkąd cię odnalazłem. Usiadł przede mną, biorąc mnie za rękę.

– Pru, kiedy się o tym dowiedziała, była wściekła jak diabli. I to wtedy sprzątnęła mi klucz taty. No, nie ona bezpośrednio, trzeba było trzech jej cyrystowskich bandziorów, żeby mi go zabrać, ale nie mieli pojęcia o zapasowym, który mi dałaś. Pru oddała mi ten klucz kilka miesięcy później, po tym jak dokonali zmian, a ja zacząłem grać na ich nutę. Nigdy się nie dowiedziała, że dla mnie nic się nie zmieniło. Ale potem... przestałaś się zjawiać. I w końcu zrozumiałem, że gdzieś tam, gdzie byłaś, nie chronił cię już klucz. Coś tam uległo zmianie. Cały ten ruch oporu, który razem próbowaliśmy zmontować, nigdy nie zaistniał. Ja wtedy, cóż – trochę się przyczaiłem, czekałem. Dali mnie do pary z Simonem, żebyśmy cię pilnowali – to chyba był taki żarcik Pru, to ustawienie mnie tak blisko ciebie, gdy według niej ja kompletnie ciebie nie pamiętałem, a ty nigdy nie miałaś okazji mnie poznać.

Zadygotałam, ciasniej otulając się kocem i próbując uporządkować wszystko, co się stało.

– Nie jestem taka znów pewna, że to był jej pomysł, Kiernan. Albo jeśli początkowo była za tym, to czy nie zmieniła zdania. – Przedstawiłam mu pokrótce moją rozmowę z Prudence i jej przeświadczenie, że zabójstwo Katherine było elementem gry o władzę, mającym zepchnąć ją na boczny tor.

– Chyba w końcu dodała dwa do dwóch – zaśmiał się Kiernan. – Nie wiem, czy temu właśnie miały służyć jego plany, ale Saul raczej nie uważa, że można go ograniczać normalnymi kategoriami moralności. Ona zaś od jakiegoś czasu naciska, by prowadzić wszystko na jej modłę. Mógł więc uznać, że sprawa więcej kłopotu, niż jest warta.

– Zetknąłeś się z nim?

– No pewnie. Kilka razy. – Kiernan pomógł mi się obrócić, bym mogła się oprzeć o ścianę chaty, a potem nalał do szklanki odrobinę wody z wielkiego dzbana. Wysypał na dłoń dwie bardzo nowocześnie wyglądające pigułki i podał mi je. – Pru zawsze trzymała w sekrecie położenie tego punktu docelowego. Sama wywoływała koordynaty na moim kluczu, nie pozostawiając miejsca na domysł, gdzie i kiedy trafimy, ale Saul często wzywa do siebie ludzi, których on i Pru określają mianem członków „wewnętrznego kręgu”. Nie sądzę jednak, by kiedyś jeszcze i mnie znów tam zaprosił. Nie wie o... tym, że pomogłem ci uciec przed Holmesem, ale wystarczy, że wie, iż ostrzegłem cię tamtego dnia w metrze.

Przypomniałam sobie, jak Simon skomentował tę ingerencję Kiernana.

– Wkurzyli się, prawda? Będą cię szukać.

Wzruszył ramionami.

– Zapewne. Ale mnie dobrze wychodzi wtapienie się w tło. Będą mieli do

pewnego stopnia pojęcie, *kiedy* mnie szukać, ale już nie *gdzie*.

– Przepraszam, Kiernan. To wszystko dlatego, że wybrałeś przyjście mi z pomocą.

Chwilę jeszcze milczał, a zanim na mnie znów spojrział, wziął głęboki oddech.

– To nie miało nic wspólnego z wyborem, Kate. Nie miałem wyboru. Odkąd tamtego pierwszego dnia zobaczyłem ciebie w kolejce, gdy próbowałaś zniszczyć dziennik.

– Nie próbowałam zniszczyć – sprostowałam. – Jedyne poddawałam testom, by sprawdzić, z czym mam do czynienia.

Uśmiechnął się, ale w oczach miał ten sam smutek, co wtedy w metrze.

– Jeszcze zanim się zjawiliśmy w tej kolejce, wiedziałem – głos mu się nieznacznie łamał – że będziesz inna. O mojej Kate wiedziałem wszystko. Do czarta, znałem ją na wskroś. A ona mnie. Żadnych tajemnic. A potem ty spojrziałaś na mnie i w twoich oczach nic nie było... bo mnie nie znałaś. Tamto życie nigdy nie miało miejsca, a ty nie byłaś moją Kate, ale mimo to nadal byłaś Kate. I nadal cię kochałem. Musiałem znaleźć sposób, by cię chronić. Rozumiesz?

– Tak – powiedziałam, myśląc znów o Treyu. Kiedy znów go zobaczę, nadal będzie Treyem, ale już nie moim Treyem. Niezależnie od tego, jak ułoży się nasza przyszłość, tamtego Treya już nigdy nie zobaczę. – Rozumiem. I tak mi przykro, Kiernan.

Westchnął i przesiadł się do mnie pod ścianę, otaczając mnie ramieniem, ale bardzo ostrożnie, tak by nie sprawić bólu.

– Pora na gwóźdź programu – powiedział. – Nie pojmowałem pełnej ironii tego faktu, póki nie dowiedziałam się o intrydze przeciwko Katherine. Ty także jesteś moją Kate, moją pierwszą Kate, tą dziewczyną z zabawnie pomalowanymi palcami u nóg, która dała mi medalion i która gotowa była zaryzykować własne życie w imię pewności, że pewien ośmiolatek wydobędzie się z tamtego hotelu. I uświadomiłem sobie wtedy, że właściwie nie wiem, co się wydarzyło tamtej nocy, i że muszę to odkryć.

– To... dlatego tam byłeś tej nocy? Czuwałeś?

Kiernan zacisnął szczęki. Wyglądał na wyczerpanego – oczy miał podkrążone i przynajmniej od kilku dni się nie golił. Zarost niesamowicie dobrze mu pasował, musiałam stłumić w sobie chęć przejechania palcami po jego policzku.

– Byłem w tamtym hotelu dziesiątki razy, Kate. W ciągu ostatniego miesiąca spędzałem w tej norze każdą możliwą minutę. Obserwowałem go z każdej pozycji, pod każdym kątem, ze wszystkich stron. – Obejmował mnie teraz mocniej. – Byłem już bliski zwyczajnego zabicia Holmesa, uduszenia go tam po ciemku i ciśniecia w jeden z tych szybów, prowadzących prosto do dołów z wapnem



w jego piwnicy, tak jak on to robił z tyloma kobietami. Ale ty, to znaczy moja druga ty, obstawałaś przy tym, że możemy zmieniać tylko te części historii, które zakłócił Saul i jego cyryści. Proces Holmesa był głośny na cały świat. Jakie zakłócenia by spowodowało, gdybym go przedtem zabił? A poza tym na działanie miałem tylko kilka sekund, gdybym wykonał niewłaściwy ruch, nie mógłbym go cofnąć. Mógłbym tylko dodać kolejne. To znaczy, gdybym w owej pierwszej sekundzie go przewrócił, a strzał by padł i ciebie trafił, nie mógłbym tego naprawić inaczej, jak tylko powracając wcześniej i powstrzymując siebie od przewrócenia go. Nie mogłem też zaryzykować ingerencji, dopóki Katherine nie znajdzie się całkiem za oknem.

Wziął długi, powolny oddech i zamknął oczy.

– Raz po raz patrzyłem, jak umierasz, Kate. Czternaście razy oglądałem, jak do ciebie strzelał, zanim znalazłem sposób, by to zmienić.

– Te światła! – powiedziałam, siadając prosto. – Boże mój, to byłeś ty? Myślałam... ta moja głowa... Padając, walnęłam się w nią naprawdę mocno. Myślałam, że to dlatego widzę małe niebieskie błyski. A to byłeś ty!

Przytaknął.

– W końcu go przewróciłem, żeby spowolnić, ale miał kwas. Początkowo myślałem, że wziął go spomiędzy butelek stojących pod ścianą, przy pryczach. Byłem bardzo blisko jednej z tych prycz i sądzę, że kobietę, która tam umarła, potraktował kwasem. Ale tę buteleczkę miał w kieszeni. Myślałem, że to zgrzyt jego stopy na szkłe przypomni mi, że ją ma przy sobie – raz nawet usunąłem tamte butelki, by się przekonać. Przypuszczam jednak, że skojarzył to po prostu dlatego, że znajdował się w miejscu, gdzie wcześniej go używał. Musiałem tylko dobrze wyliczyć czas. Czterokrotnie, gdy go przewracałem, nadal patrzyłaś przed siebie. Kwas trafiał cię prosto w twarz, dwa razy oczy miałaś otwarte.

Wzdrygnęłam się, przypominając sobie palący ból, gdy kwas chlapnął mi na kark, i uświadomiłam sobie, o ileż mogło być gorzej.

– Przepraszam – powiedział. – Coś we mnie mówiło, że trzeba próbować, dopóki nie znajdę idealnego rozwiązania, tak żebyś wyszła bez szwanku, ale... nie mogłem tego ciągnąć. Pewien jestem, że na szyi zostanie ci blizna. Nie sądzę jednak, by była paskudna. Nałożyłem na te oparzenia zaawansowany hydrożel. Zresztą wsadziłem do twojej torby jeszcze trzy tubki.

– Do mojej torby! – zawołałam, rozglądając się. – Ja nie...

– Nie – przyznał, sięgając gdzieś w prawo. – Ale ja tak. Upuściłaś ją, padając. Hydrożel w niej pochodzi z roku 2038, w swoich czasach nie dostałabyś więc nic podobnie dobrego. Szkoda, że nie mogłaś mieć rozpuszczonych włosów, trochę by cię osłoniły.

Uśmiechnęłam się czule, wspominając, jak w metrze ściągnął mi z włosów gumkę.

– O ile sobie przypominam, zawsze wolałaś mnie z rozpuszczonymi włosami.

– Przyznaję się do winy – powiedział. – Przypomina mi to czasy, kiedy my byliśmy...

Kiernan zawiesił głos, a potem zamknął oczy, powoli kręcąc głową. Po chwili znów je otworzył i obdarzył mnie czymś, co według niego miało zapewne być wesołym uśmiechem.

– To kto to jest ten Trey?

– Trey? – spuściłam wzrok, nie mogąc patrzeć mu w oczy. – To przyjaciel. A raczej był przyjacielem zanim...

– Kate. – Głos Kiernana był cichy i tak pełen zrozumienia, że do oczu napłynęły mi łzy. – Powtarzałaś jego imię przez sen, ukochana. To nie tylko przyjaciel, jak sądzę.

To nie było w porządku, że czułam się, jakbym zdradziła Kiernana. Ale tak się właśnie wtedy poczułam. Podniósł leciutko mój podbródek i spojrzałam mu w oczy równie mokre od łez, jak moje.

– Nie oszukasz swego serca, Kate. Nie da się nabrać. I ja, niestety, swojego nie oszukam.

Wziął mnie w ramiona i pocałował – początkowo delikatnie, a potem z pasją, która wstrząsnęła mną do głębi. Zobaczyłam znów tamto pole pszenicy tak wyraźnie, jak wówczas, gdy pierwszy raz widziałam je przez medalion. Dzieliły nas teraz przynajmniej dwa koce, nie mówiąc o ubraniach, ale tamto wspomnienie było tak silne, że prawie czułam na sobie dotyk jego gołej skóry. Gdy oddawałam pocałunek, wplatając palce w jego długie, czarne włosy, powoli wzbierał we mnie rozkoszny żar.

Nie jestem pewna, kto przerwał tamten pocałunek, wydaje mi się jednak, że nie ja. Odwróciłam się i przez kilka minut po prostu siedziałam, z zamkniętymi oczami, z rumieńcem na twarzy. Byłam ogłuszona, ogłupiała, wściekła na siebie, wściekła na Treya, wściekła na Kiernana i na wszystko to, co stało na drodze bardzo silnej pokusie, by znów przyciągnąć do swych ust usta Kiernana i zapomnieć o wszystkim innym, chociażby na chwilę.

Czułam na sobie jego wzrok, sama siebie jednak nie mogłam skłonić, by na niego spojrzeć. W końcu przycisnął wargi do czubka mojej głowy i nie odrywał.

– Och, Katie – szepnął, a jego oddech w chłodnym porannym powietrzu dotknął mej skóry miłym ciepłem. – Samolub ze mnie. Ciebie czeka powrót. Musisz wypocząć. Tak się bałam, że tej nocy pogrążysz się w szoku. Podsycałem ogień tak wysoko, że cudem nie podpaliłem chaty. Też nie mogę pozostawać tu zbyt długo, osiągnęłam już swoje granice. Nawet te krótkie susy zaczynają ciążyć.

Wiedziałałam, że mówi z sensem. Połową siebie wrzeszczałam, że muszę wracać, zobaczyć, co się zmieniło, przekonać się, czy Katherine wróciła do domu,

odnaleźć moich rodziców, odnaleźć Treya. Druga połowa była totalnie przerażona tą perspektywą, bo przecież wszystko mogło pójść źle na tak wiele różnych sposobów. Tu i teraz było bezpiecznie: panowała cisza po burzy. Tam i wtedy było wielką niewiadomą.

– Pewien jesteś, że dasz radę wrócić? – spytałam. – Obawiałeś się wykonania kolejnego skoku...

– Nic mi nie będzie, ukochana – zapewnił. – Jeśli nie uda się od razu, trochę sobie odpocznę. Wrócić do domu zawsze jest łatwiej, niż go opuszczać. Czuję, jakby istniała jakaś fizyczna kotwica, która mnie tam ciągnie.

– To i ja powinnam wracać. – Spotkałam się z nim wzrokiem, pierwszy raz po tym naszym pocałunku, próbując zdobyć się na uśmiech. – Aha... Wspominałeś o ruchu oporu. Nadal w nim działasz? Bo chodzi o to, że nawet jeśli Prudence zmusi Saula, żeby sobie to odpuścił, i nie będą już dybać na Katherine, sprawa się nie kończy. Wciąż jeszcze nie wiem, co konkretnie planują...

– Coś na ten temat wiem – oznajmił Kiernan, odchylając się tak, by oprzeć plecy o gołe belki chaty. – Nazywają to Odstrzałem, niezbędnym dla ocalenia ludzkości i planety. Przyjmie on postać jakiejś katastrofy środowiskowej. Rozważali zarówno atak z powietrza, jak i z wody, nic pewnego więc nie powiem. Na ile mi wiadomo, nie wyznaczono żadnej konkretnej daty. Ogólny plan zakłada, że zaczekają, aż będą mieć w garści około jednej czwartej ludzkości i tak ukształtują linię czasu, by było to możliwe. Cyrystom... no, przynajmniej znacznej ich części zostanie podane antidotum, podobnie jak nielicznym wybrańcom spoza ich kręgu. Ludziom, których uzdolnienia ich eksperci uznali za istotne dla procesu odbudowy.

– To... całkiem jak w Deklaracji Wiary, którą recytowali w świątyni – powiedziałam. – „Gdy ludzie bronić Planety niezdolni, Planecie przyjdzie się samej obronić”. Tyle że cyryści rezerwują dla siebie rolę „Planety”, by wybić wszystkich tych, których uznają za niegodnych?

– Tak – potwierdził. – Ale nie lekceważ przedwcześnie sugestywności ich przesłania. Gdy się trafi do ich trzódki, używają naprawdę przekonujących argumentów. Był czas, że to, co głosił Saul, uważałem za bardzo sensowne. Weź kogoś z moich czasów, szczeniaka, który dopiero co nauczył się używać klucza CHRONOSA, i pokaż mu wybrane sceny z lat, powiedzmy, pięćdziesiątych dwudziestego drugiego wieku. Poskacz z nim tu i ówdzie i daj zobaczyć na własne oczy jedną czy dwie katastrofy nuklearne. Opowiedz o społeczeństwie, w którym twoją przyszłość planuje się przed twoim urodzeniem, wpisując ją w twoje DNA. Przedstaw mu kilka migawek ze współczesnych wojen i ludzkie bestialstwo w całej jego okazałości, a rozwiązanie, podsunięte przez cyrystów wyda się nie takie znów złe.

– Myślisz więc, że coś w nim jest? – spytałam.

– A ty nie?

Nie spieszyłam się z odpowiedzią.

– No... owszem – przyznałam w końcu. – Gdzieś pod tymi warstwami obłędu kryje się racjonalne jądro. Ale większość rzeczy, które tu przedstawiłeś, to takie... piętrzenie się zła, o ile to określenie ma sens. Błędy kolejnych pokoleń nakładają się na siebie i w efekcie otrzymujemy społeczeństwo, jakie nikomu się nie marzyło. Saul jednak mówi o planowym złu na gigantyczną skalę i zakłada, że w rezultacie otrzyma społeczeństwo lepsze. Abstrahując od kwestii moralności, gdzie tu logika? Na moje oko, zrzeszają tych najbardziej chciwych i żądnych władzy i nie wydaje mi się, by tacy mieli grać czysto, gdy już kurz opadnie. Jedną z projektantek tego nowego, wspaniałego świata jest Prudence, a to właśnie ona powiedziała mi niedawno, że mogę albo do nich dołączyć, albo czekać wraz z innymi owcami na ostrzyżenie i zarżnięcie.

Kiernan parsknął.

– Mogłaby przynajmniej pokusić się o oryginalność. Tę formułkę ukradła swemu tatusiowi. Ale racja, to dokładnie ten rodzaj skrajnego lekceważenia tych, którzy nie zdecydowali się podążać Drogą Cyrystów, skłonił mojego tatę, by ich porzucić.

Jakbym usłyszała jego ośmioletnią wersję – *mój tato* zabrzmiał prawie jak *mój tatko* – a w głosie tliło się to samo wzburzenie.

– Pytasz mnie więc, czy działałam? – powiedział. – Oczywiście, że działałam. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by doprowadzić do ich przegranej. Ale, Kate, poważnie mówiłem, że moje zdolności mają swoje granice. Są o wiele słabsze, niż były jeszcze kilka lat temu, zwłaszcza wtedy, gdy tak regularnie używałem klucza. Wątpię, czy będzie mnie stać na wiele więcej niż na krótki sus z moich czasów o miesiąc w przód. Może trochę więcej.

– Ale ty posiadasz wiedzę, której nam brakuje, Kiernan. Możesz udzielić informacji, których potrzebujemy, by zacząć. Daj mi znać, jak się z tobą skontaktować – powiedziałam, ściskając go za rękę. – Nie musisz nigdzie wędrować. Ja przyjdę do ciebie.

Poczułam, że lekko zeszywniał. Nie byłam pewna, co takiego powiedziałam, ale wiele wskazywało na to, że obudziłam Ducha Tamtej Kate.

– A więc działałam – powtórzył po dłuższej chwili. – Kiedy będziesz potrzebowała do mnie dotrzeć, mamy w Bostonie stabilny punkt. To ką na tyłach trafiki koło placu Faneuil. Jest stabilny od 1901 do 1910, ale ja cofam się tylko do 17 lipca 1905 roku. Poczawszy od tej daty, Jess będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć. To przyjaciel. Tylko on staje tam za kontuarem i nie będzie zdziwiony, gdy wyjdiesz tam z zaplecza – w przeszłości robiłaś tak mnóstwo razy. Będiesz mogła zostawić u niego wiadomość, a ja, jak tylko się urządzę w nowym miejscu, przekażę mu, gdzie mnie znajdziesz.

– A czy... mieliśmy plan rozgrywki? Znaczący, przedtem.

– Tak – potwierdził. – I nawet zrobiliśmy pewne postępy zanim... zniknęłaś. Koncepcja jest bardzo prosta: po prostu trzeba się cofnąć i przekonywać historyków CHRONOSA, by wystrzegali się Saula i Prudence, i oddali swoje klucze.

– A jeśli nie oddadzą?

– I tak je zabieramy – powiedział z chytrym uśmieszkiem. – Dotychczas dwa razy przekonałaś i dwa razy okradłaś.

Zaśmiałam się niepewnie.

– A więc robisz za windykatorkę? Świetnie.

– Kiedyś powiedziałaś, że zamówisz sobie koszulkę z nadrukiem *Windykator CHRONOSA*.

– Biedny Kiernan. Słuchanie mnie musi przypominać zadawanie się z wujem mojego taty: on nigdy nie pamięta, że opowiadał ci ten sam kawał już z tuzin razy.

– Nie przeszkadza mi to – stwierdził. – Ciekawe jest widzieć ciebie pod tak innym... kątem. A wiele z tego, co robiliśmy, było bardziej pracą detektywistyczną niż egzekwowaniem. Z kilkoma pierwszymi poszło łatwo, bo Katherine wiedziała dokładnie, gdzie i kiedy wylądowali ci historycy.

– Czemu ty to wszystko pamiętasz, a Katherine nie? – spytałam.

– Ją musisz zapytać – odparł Kiernan. – Ale według mnie jedynym logicznym wytłumaczeniem jest, że coś się wydarzyło, gdy nie była pod osłoną medalionu.

– Czy na tej drugiej mojej linii czasu ona jeszcze żyła? Gdy już miałam osiemnaście lat?

– Owszem – odpowiedział. – I poza tym, że zimą odrobinę dokuczał jej artretyzm, była całkiem zdrowa.

– To... – zaczęłam mówić.

– ... zaskakujące – dokończył Kiernan. – Wiem, na tej linii czasu Katherine nie ma raka, choć tobie wydawało się, że powinna. Jeszcze jedna rzecz, nad którą warto będzie się zastanowić, kiedy oboje trochę odpoczniemy.

Kiwnęłam głową i zaczęłam się podnosić, ale Kiernan mnie przytrzymał.

– To chyba niezbyt dobry pomysł, ukochana. Ja pozbieram twoje rzeczy. Lekarstwo, które ci dałem, to dość mocny towar, a nie wydaje mi się, byś dużo przedtem zjadła.

Miał rację. Nawet drobny ruch przyprawiał mnie o lekki zawrót głowy, więc na powrót oparłam się o ścianę chaty. Kiernan poszedł po kupę szmat, która przedtem była moją suknią i rozwinął, bym się jej przyjrzała. Skrzywiłam się. Ta sprawa była już przegrana.

– Potrzebne mi są tylko małe wzmacniacze, które Connor umieścił w kieszeniach i jej rąbku. Myślę, że może uda mu się je ponownie wykorzystać. – I Kiernan powymyślał tych kilka srebrnych prostokątów, po czym wsadził je

do mojej torby.

– Coś jeszcze? – zapytał.

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Jeśli suknia nie zniknie, gdy się stąd zabiorę, wrzuc ją w ogień.

Buty, na nieszczęście, chyba wyszły z tego wszystkiego bez szwanku.

Położył mi je, wraz z torbą, na kolanach, a potem uklęknął przede mną.

– Przepraszam – wiem, że miałaś kapelusz, ale nie mogłem go znaleźć.

– Brak tego głupiego kapelusika jakoś mnie nie martwi – roześmiałam się.

– Robiłeś wszystko, żeby wydostać mnie z tego Piekielnego Hotelu w jednym kawałku. A ja chyba nawet ci nie podziękowałam.

Uśmiechnął się z przekąsem i chwycił mnie za rękę.

– Jeśli o to chodzi, ukochana, uważam, że ledwie kilka minut temu bardzo mocno mi za to podziękowałaś. Choć nie miałbym nic przeciwko drugiej rundzie.

Policzki mi się zarumieniły i spuściłam wzrok na torbę, starając się uniknąć jego spojrzenia. Wyciągnęłam na wierzch klucz CHRONOSA i właśnie wywoływałam interfejs, gdy Kiernan dotknął mojej ręki, burząc skupienie.

– Ten Trey – spytał tak jakoś chrapliwie. – Czy on cię kocha?

– Kocha... a przynajmniej kochał – sprostowałam, układając usta w sardoniczny półuśmiech. – Wydaje się też mieć przeświadczenie, że znów tak będzie. Że wystarczy, jak się do niego uśmiechnę czy coś w tym stylu, i wszystko będzie, jak było.

– A ty nie masz takiego przeświadczenia? – zapytał.

Potrząsnęłam głową i spojrzałam mu w oczy.

– Czy można po raz drugi przywołać tę samą magię? Nie wiem.

Kiernan długo się we mnie wpatrywał, a potem się nachylił, by delikatnie pocałować w kącik ust.

– Ale musisz spróbować, prawda? *Slan go foill, a stór mo chroi.*

Nie miałam najmniejszego pojęcia, co znaczą te słowa, ale najwyraźniej było to pożegnanie. Ostatni raz uściskał mi rękę, a potem spojrzałam na klucz i zamknęłam oczy.

Na chwilę przedtem, nim do Connora dotarło, że się zjawiłam, mignęło mi w ekranie komputera moje odbicie, w pełni więc rozumiałam widoczny w jego oczach szok. Całą prawą stronę szyi przesłaniał mi opatrunek. Tuż nad linią włosów widać było dwie czerwone plamy. Kilka mniejszych, podobnie czerwonych śladów poznały moje ramiona i nawet halce trafiło się parę dziur.

Connor przyglądał mi się przez chwilę, a potem dolna warga zaczęła mu drżeć. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy zbiera mu się na śmiech, czy na płacz, i miałam wątpliwości, czy on sam to wiedział.

– Po prostu nie można cię wypuścić na zabawę, porządnie ubranej, co, Kate?  
– zapytał wreszcie. – Co, u licha, ci się przytrafiło? Czy ty...

Cokolwiek jeszcze chciał powiedzieć, zagłuszyła to dochodząca z dołu szaleńcza szczekania, po której dał się słyszeć dzwonek u drzwi.

– Ty tutaj – powiedział, wskazując na mnie. – Ani drgnij.

Wiedziałam, że to Katherine, jeszcze zanim Connor dotarł do drzwi. To nie było szczekanie Daphne na kogoś obcego. Słyszałam wersję powitalną, adresowaną do domownika, tę urozmaiconą w samym środku skomleniem „Tęskniłam za tobą”.

Od strony schodów przywędrował głos Katherine.

– Jak to się stało, Connor, że wylądowałam na podwórku bez klucza CHRONOSA? I nawiasem mówiąc, również bez klucza do domu?

Położyłam się na podłodze i zamknęłam oczy.

Ocknęłam się w moim łóżku. Kompozycja kwiatowa, którą ojciec Treya przysłał Katherine, stała na toaletce. Wydawało się, że minęły wieki, mimo to kwiaty wyglądały równie świeżo jak wtedy, gdy je dostarczono. Na dywaniku przy łóżku leżała zwinięta w kłębek Daphne, a na sofie pod oknem siedziała Katherine, czytając coś, co mi wyglądało na romans historyczny – tego typu, jaki moja mama czasem nazywała babskimi czytałkami lub książkami typu „rządzą żądze”. Pierwszy raz widziałam Katherine czytającą coś nie widniejącego na ekranie monitora lub w dzienniku CHRONOSA.

Kilka chwil później podniosła wzrok.

– Och, Kate. Tak się cieszę, że już się obudziłaś, skarbie. Zaczynałam się niepokoić.

– To te niebieskie piguleczki – powiedziałam, wciąż jeszcze dość otumaniona. – W mojej torbie. Całkiem... miłe.

– Rozumiem – odparła Katherine z cieniem uśmiechu w kącikach ust, siadając na skraju mego łóżka. – A gdzie dostałaś te miłe niebieskie piguleczki? Connor wprowadził mnie w to, co się działo tego dnia przed twoją wyprawą. Ja opowiedziałam mu, co obecnie pamiętam z naszej przygody na Wystawie. Żadne

z nas jednak nie wie, co spotkało ciebie po tym, jak wydostałam się przez tamto okno.

Zaschło mi w ustach i najpierw poprosiłam o szklankę wody. Po kilku łykach odstawiłam ją na stolik nocny.

– To Kiernan – powiedziałam. – On dał mi to lekarstwo. Wydostał mnie z hotelu.

– Ale jak? – spytała. – Bardzo bystry był z niego malec, ale jak to możliwe, że gdy tam wrócił, hotel jeszcze stał? Wszystkie źródła historyczne, jakie czytałam...

– Bardzo bystry był z niego malec – weszłam jej w słowo. – I godny uwagi młodzieniec.

Pokrótkie uzupełniłam układankę o brakujące elementy, co jakiś czas zmuszona przerywać, by utrzymać myśli na właściwym torze. Miałam wrażenie, że frazy, które należy powiązać, wyszukuję w jakiejś mgłę, i że nie zawsze wychodzi to tak, jak powinno. Na jakimś etapie chyba się nawet zdrzemnęłam, bo gdy otworzyłam oczy, Katherine znów siedziała na sofie i czytała książkę.

– Na czym skończyłam? – spytałam.

– Odplynęłaś w pół słowa, kiedy objaśniałaś plan Kiernana. Może zresztą był to twój plan, ten dotyczący odzyskiwania kluczy CHRONOSA – odpowiedziała, odkładając książkę na sofę. – Po tym, co ostatnio przeszłaś, trochę się obawiałam, że możesz postanowić, że dajesz sobie z nami spokój. Odzyskałaś w większości swoje dawne życie, wygląda też na to, że Prudence gwarantuje ci przynajmniej w jakiejś mierze nietykalność. W każdej chwili mogłabyś się stąd zabrać.

Taka myśl nawet nie przyszła mi do głowy, ale teraz, gdy o tym wspomniała, sama się sobie dziwiłam. Mogłabym wrócić do życia, jakie wiodłam, zanim Katherine pokazała się w nim ze swym medalionem. Odzyskałam mamę, tato znów był tatą....

– A Charlayne? – zapytałam.

Katherine w pierwszej chwili wydała mi się zakłopotana, potem potrząsnęła głową.

– Nie sprawdzałam, ale raczej wątpię, by coś się u niej zmieniło.

Poprosiłam, by podała mi mój komputer i po krótkim poszukiwaniu znalazłam to samo zdjęcie ze ślubu, z symbolem cyrystów wyraźnie widocznym na tle ciemnej skóry Charlayne. Uratowanie Katherine naprawiło moje życie, ale najwidoczniej powód tego, co stało się z rodziną Charlayne, leżał zupełnie gdzie indziej.

Odsunęłam komputer na bok i spojrzałam na Katherine.

– A dzieci Connora? Wciąż jeszcze ich nie ma?

Potwierdziła.

– Źle więc to oceniłaś. Ja tak naprawdę nie mam wyboru.



Prawda bowiem była taka, że chociaż na nikogo z tych, na których mi zależało, zmiany tej linii czasu nie miały już bezpośredniego wpływu, nie mogłabym siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak cyryści werbują coraz to nowych wiernych i przybliżają świat ku jakiejś formie masowej zagłady. Wycofanie się nie wchodziło w grę.

– A... co z tobą? – zapytałam, wierząc się lekko w łóżku. Lekarstwo przestawało działać, co miało dobre i złe strony, bo słowa już mi się tak nie plątały, ale powracał ból. – Zapamiętałaś coś z tamtego dnia po zmianie... po Simonie?

– Pamiętam, jak wyciągałam medalion w stronę tamtego wrednego kretyna. I Treya... – przerwała i zanim znów zaczęła mówić, smutno się do mnie uśmiechnęła. – Samochód Treya właśnie podjechał. Nie pozostało mi nic innego, jak mieć wiarę. Wiarę, że Trey przeniósłby góry, aby uwolnić ciebie od Simona. Wiarę, że Connor tą swoją magią przesunie granicę bezpieczeństwa. Wiarę, że zdołasz naprawić tę linię czasu. Nigdy nie byłam w tym dobra – w zdawaniu się na innych – ale wydaje się, że tym razem to zadziałało.

– Ale pamiętasz, jak byłaś w hotelu i uciekałaś przed Holmesem... i wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy. Czy to nie... niepokojące? To, że masz podwójne wspomnienia.

– To jest dość dziwne uczucie – przyznała. – Ale to wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Pamiętam, jak się zastanawiałam, czyją jesteś córką, Deborah czy Prudence, kiedy obie były jeszcze małe. Do czasu zniknięcia Prudence właśnie na nią stawiałam, ze względu na podobieństwo.

Katherine milczała przez chwilę, a potem spytała:

– A więc to nie była sprawka Prudence? Ona starała się mnie ocalić?

Zastanowiłam się, czy nie skłamać, by chronić jej uczucia, uznałam jednak, że pożytku by z tego nie było.

– Chciała cię ocalić, żeby ochronić siebie, Katherine. I może jeszcze mamę. Zdecydowanie nie wynikało to z jakichś jej sentymentów do ciebie czy też do mnie, skoro o tym mowa. Odniosłam wrażenie, że uważa, iż prehandlowałaś ją w jakiejś walce o prawo do dzieci. Myślę jednak, że powstrzyma ich przed kolejnymi atakami na ciebie, przynajmniej dopóki się nie dowie, że nadal dążę do zatrzymania cyrystów.

Katherine zagryzła wargi, ale skinęła głową.

– To zaś oznacza, że tym razem będziemy musiały zachować większą ostrożność.

– Owszem – potwierdziłam.

Przez chwilę byłam cicho, niepewna, jak poruszyć temat, który chodził mi po głowie, ale ostatecznie zdecydowałam się postawić sprawę jasno.

– Tobie się to udało, prawda? Poradzić sobie z podwójnymi wspomnieniami? To skąd możesz mieć taką pewność, że Trey sobie nie poradzi?

Słyszałam rozdrażnienie w swoim głosie i nie podobało mi się to, ale trudno byłoby nie poczuć się nieco oszukaną.

– Pewności mieć nie mogę – przyznała. – Ale Trey nie posiada genu CHRONOSA. I w moim przypadku nie rozmawiamy o niedawnych wspomnieniach. Nawet coś tak mocnego jak bycie usidloną w płonącym hotelu, gdy po piętach depte seryjny morderca, z czasem blaknie tak, że nie do końca można tu mówić o podwójnych wspomnieniach. To raczej coś takiego, jak czytanie starego dziennika i przypominanie sobie rzeczy zapomnianych. Lub przypominanie sobie prawdziwego obrazu jakiegoś zdarzenia i kłamstw na ten temat, które tak wiele razy się powtarzało, że obie wersje wydają się równie prawdziwe. Ma to sens?

– Nie – stwierdziłam. – Nie do końca. Ale zaczynam się oswajać z rzeczami, które nie mają sensu. Uznałam, że jedyny sposób na to, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach, to nie przejmować się niepowodzeniami.

– Obawiam się, że pogodzenie zdarzeń z ostatniego miesiąca będzie zadaniem znacznie trudniejszym od godzenia faktów z odległej przeszłości. Rozmawialiśmy z Connorem na temat najlepszego sposobu na dostrojenie naszego małego wycinka linii czasu. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydaje się twój powrót do dnia tej zmiany temporalnej. Inaczej twoją mamę i tatę czeka ogromne zmartwienie.

*Mamę. Tatę.* Niewiarygodnie dobrze było słyszeć te słowa i uświadamiać sobie, że znów mam rodziców.

– W tej linii czasu zniknęłaś na przeszło miesiąc, przynajmniej z ich perspektywy. W ten sposób więc będziemy mogli oszczędzić im tej udręki.  
– Katherine przesunęła palcami po skraju mojego bandaża. – Zajrzałam tam, kiedy spałaś i na te dwa ślady na skórze nałożyłam odrobinę więcej hydrożelu. Oparzenie na szyi jest dość głębokie, ale nie sądzę, by po kilku tygodniach była z tego znaczniejsza blizna. Zdecydowanie inaczej by to wyglądało, gdyby Kiernan nie był na to przygotowany. Jakieś pomysły na bajeczkę, którą twoi rodzice kupią?

Zastanowiłam się.

– Może zwalimy to na idiotę, który w metrze miał gorącą kawę? Mogłabym powiedzieć mamie, że wolałam tutaj przyjechać taksówką, niż poszukiwać taty na kampusie. A ty zabrałaś mnie na pogotowie...?

– Jeśli przeznaczymy jeszcze dzień lub dwa na gojenie, sądzę, że to przejdzie – powiedziała. – A potem, jak już do nich wrócisz, myślę, że najlepiej będzie, jeśli ja i Connor przez najbliższe tygodnie raczej nie będziemy was widywać. W ten sposób mniej będzie dla ciebie i dla nas tych punktów nakładania się. Powiemy Deborah i Harry'emu, że nadarzyła się okazja, bym skorzystała z eksperymentalnej terapii farmakologicznej w Europie.

– Ja chcę tacie opowiedzieć wszystko, Katherine. On będzie tu przecież

pomieszkiwał, musielibyśmy go więc nieustannie okłamywać. Nie jestem w tym aż tak dobra, sprzedajmy więc bajeczkę mamie, ale...

Urwałam w pół słowa. Wzmianka o terapii farmakologicznej dopiero teraz do mnie dotarła i przypomniła moją rozmowę z Kiernanem.

– Katherine, na tej drugiej linii czasu nie masz raka. Kiernan był tego pewien. Masz pomysł, czemu miałybyś na jednej linii chorować, a na drugiej nie? Wiem, że chorobę nowotworową mogą powodować pewne czynniki środowiskowe, ale chyba nie rozwija się tak nagle? Myślałam, że coś takiego rozrasta się latami.

– Powinno – przyznała, z lekka chyba oszołomiona. – Jedyne raz, kiedy po zniknięciu Prudence byłam poza domem bez osłony w postaci medalionu, miał miejsce podczas mojego pobytu w szpitalu, gdzie robiono mi biopsję. Upierałam się, że nie mogę się z nim rozstawać – tłumaczyłam, że to medalik związany z moją religią. Ale kiedy przyszło co do czego, medalion trafił do plastikowego worka, razem z resztą moich rzeczy.

Przez chwilę milczała, a potem pokręciła głową, jakby chciała ją oczyścić.

– Jeszcze jedna sprawa związana z tymi małymi wakacjami Connora i moimi. Zaopiekowałybyś się Daphne?

Daphne na dźwięk swojego imienia łupnęła raz ogonem i zaraz potem kontynuowała drzemkę. Roześmiałam się.

– No nie wiem, Katherine. Istne z nią utrapienie... No pewnie, że się nią zaopiekujemy. Tato nie będzie miał nic przeciwko przebywaniu tutaj, gdy ja będę z mamą. I dzięki temu też ta kuchnia będzie dla odmiany wykorzystywana zgodnie z przeznaczeniem.

Wzmianka o kuchni wystarczyła, by zaburzało mi w żołądku.

– A skoro mowa o jedzeniu... padam z głodu. Da się coś zjeść?

– Widziałam pół wielkiej kanapki z delikatesów, pasuje ci?

– Tak – powiedziałam, myśląc, że Connor musiał co najmniej raz dokonać szturm na lodówkę, skoro z zakupów u O'Malleya zostało tylko pół kanapki. – Zapowiada się niesamowicie. I... frytki do tego. I banan albo co tam jeszcze da się znaleźć. Od mojego ostatniego posiłku upłynęła przynajmniej doba.

Katherine ruszyła ku drzwiom, a potem zawróciła, kierując się w stronę sofy. Odchyliła obwolotę książki, którą wcześniej czytała i wyjęła stamtąd płytę DVD. W zaklejonej białej kopercie, na której skrzydełku wielkimi literami wypisano moje imię.

– Znalazłam to na ganku, tuż przy drzwiach. To chyba od Treya? – Podeszła do mnie i położyła płytkę na pokrywie komputera. – Kate, naprawdę mi przykro z powodu Treya. Nadal jednak myślę, że to było najlepsze rozwiązanie.

Zamknęłam oczy, by otworzyć je, dopiero jak usłyszałam trzask zamykających się za nią drzwi, a potem wzięłam do ręki tę płytkę. Byłam niemal

pewna, że zawiera informacje o finansach cyrystów, które tata Treya obiecał mi udostępnić, mimo to, jeszcze przed otwarciem przycisnęłam ją na chwilę do ust. Nie powiedziałabym, że ręce mi nie drżały, gdy otwierałam kopertę i wkładałam płytę do napędu. Spodziewałam się zobaczyć katalog plików, ale zamiast niego po paru sekundach na ekranie pojawiła się twarz Treya, a mnie zamurowało. Miał na sobie tę samą koszulę co ostatniej nocy. Wokół szarych oczu można było dostrzec czerwone obwódki i wyglądał na zmordowanego, a mimo to uśmiechał się do kamery.

– Hej, piękna. Jeżeli to oglądasz, prawdopodobnie uratowałaś świat, tak jak się spodziewałem. I skoro to oglądasz, to prawdopodobnie przebywam zaledwie kilka kilometrów od ciebie, tyle że totalnie nieświadomy, że nagrałem to wideo i że ogląda je najpiękniejsza dziewczyna świata. Ale tęsknię za tobą, Kate. Jeśli nawet sobie tego nie uświadamiam, i tak za tobą tęsknię.

Wziął głęboki, choć trochę nerwowy, oddech i mówił dalej, wpatrując się w klawiaturę i coś tam wpisując kilkoma uderzeniami w klawisze.

– Otóż... to co teraz nastąpi, będzie krótką kompilacją największych hitów Treya i Kate. Pamiętasz te wieczory, kiedy wracałem do domu, a potem kończyliśmy dzień na wideoczacie przez pół godziny albo i dłużej? Cóż, zachowałem je sobie, wszystkie z wyjątkiem pierwszego, bo wtedy jeszcze nie miałem odpowiedniego oprogramowania. Właściwie to nawet nie wiem, dlaczego je zapisywałem. Nie miałbym przecież okazji do nich wrócić, bo ciągle byłem z tobą. Ale są tu wszystkie, na moim twardym dysku. Zamierzam wypalić je na płytce, razem z kilkoma nagraniami z mojego telefonu i tymi, które nakręciliśmy na twoich urodzinach. Wszystko, co tylko znajdę. Aha, sprawdź katalog plików, materiał obiecany ci przez tatę też tam jest... Na pomysł tego DVD wpadł Connor, więc jeśli ma to jakieś znaczenie, to mnóstwo mu zawdzięczamy. Mnie to nawet nie przyszło do głowy, ale powiedział mi, że wszystko, co tam u ciebie zostawię, będzie chronione, tak jak te książki. Musisz tylko zrobić kopię, skoro już wróciłaś. A może w przeszłości? Zapytaj Connora. Wyjaśni ci to lepiej ode mnie. Myślę, że to zadziała, Kate. Bardzo trudno coś takiego podrobić. Chodzi mi o to... Musiałby chyba być ze mnie nieprzeciętny tępak, żebym nie poznał wiadomości od siebie samego, prawda? A oto ona, panie Lawrence Alma Coleman Trzeci, znany jako Trey. Jeśli masz jakieś wątpliwości, że to ty gadasz do komputera, to wiem, co robiłeś w tamto sobotnie popołudnie, kiedy miałeś trzynaście lat, a mama, tata i Estella poszli na otwarcie galerii sztuki przy ulicy R. Nigdy nikomu tego nie mówiłeś, zgadza się?

Uśmiechnęłam się i zapisałam w pamięci, by któregoś dnia go zapytać, co konkretnie robił w tamtą sobotę.

– Dziewczyna, która dała ci tę płytkę, to Prudence Katherine Pierce-Keller, vel Kate – Czasoskoczek Ninja. Dysponuje ona kilkoma wspomnieniami, których

ty nie pamiętasz. Może te nagrania pomogą załatać tę dziurę. Choć tak naprawdę musisz wiedzieć tylko jedno: ona ma najpiękniejsze na świecie zielone oczy i stopy bardzo podatne na łaskotki. Ma też szajbę na punkcie cytatów z *Narzeczonej dla księcia*, krążków cebulowych od O'Malleya i kawy, choć nie tej zaparzonej przez Connora, a ty tak bardzo jesteś w niej zakochany, że nie wyobrażasz sobie życia bez niej... A teraz wracamy do ciebie, Kate – dodał Trey. – Odnajdź mnie, pocałuj i zadbaj o to, bym otrzymał tę wiadomość. W tej kolejności. I się pośpiesz, okej? Kocham cię i już za tobą tęsknię.

Patrzył w kamerę, gdy nagranie się skończyło, ustępując miejsca jednemu z ujęć z kamerki komputerowej z moją twarzą na cały ekran i z Treyem w małym okienku w prawym górnym rogu. Właściwie o niczym takim nie rozmawialiśmy – to by tylko pretekst, by pobyć razem jeszcze parę minut przed snem. Przewinęłam to szybko, wiedząc, że później do tych nagrań wrócę i nie przepuszczę żadnej minuty. Na ile mogłam się zorientować, było tam wszystko, w porządku chronologicznym, każda rozmowa, każdy głupi żart, moje malowanie paznokci u nóg, gdy rozmawialiśmy, Trey oferujący mi przez kamerę łyżkę lodów, ociekających sosem czekoladowym.

Śmiałam się i płakałam jednocześnie, gdy nagle usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

Potem te drzwi sforsował Connor i wszedł, z wielką tacą.

– Lepiej, żebym wrócił później? – zapytał.

– Nie. Masz jedzenie – odparłam. – Nie waż się wychodzić. – Zsunęłam komputer na drugą stronę łóżka i przesiadłam się, by zrobić miejsce. – Już za minutę zacznę się opychać tak szybko, jak to możliwe, nieelegancko więc będzie wtedy rozmawiać, pozwól więc, że zacznę od podziękowań. Za wszystko, ale zwłaszcza za podsuniecie Treyowi tego pomysłu. To dlatego sobie odpuścił, prawda? Dlatego przestał wojować ze mną o to, by być tu, jak będę skakała.

– Podejrzewam, że musiałbym wówczas fizycznie go wyeksmitować, a on i tak pewnie koczowałby na ganku – uśmiechnął się Connor, kręcąc głową. – Myślałem, że sam ci powie, ale może nie chciał zapeszyć. Musisz wykonać kopię tej płytki, jak tylko wrócisz przed ostatnią zmianą temporalną. Wykonaj ją tutaj, w tym domu, a powinno być okej. Nagranie będzie z tych czasów, ale płytka będzie z tej samej linii czasu, co Trey, więc... nie powinnaś mieć problemu z tym, żeby mu ją dać.

Odwinęłam sobie kanapkę i już ją jadłam.

– Nie zniknie? Albo się nie wykasuje? – spytałam z pełną buzią.

– Nie, o ile wykonasz kopię – powiedział. – Głowy nie dam, ale nie widzę powodu, żeby nie działało. Dzienniki nadal działają, racja?

Zerknęłam na kanapkę w mojej dłoni.

– Ciesz się, że jestem zbyt szczęśliwa, by się na ciebie wściec –

powiedziałam między jednym kęsem a drugim. – To jest rostbef Treya. Zjadłeś moje pastrami?

– Nie wiedziałem, czy wrócisz – odparł. – Szkoda, żeby się dobra kanapka zmarnowała.

∞

Następne kilka dni spędziłam na spaniu, jedzeniu i nagrywaniu wszystkiego, co pamiętałam z minionego miesiąca. Potem zapisałam te pliki w dzienniku CHRONOSA, by przekazać Katherine i Connorowi, i skopiowałam na DVD, dla taty i ewentualnie, bo wciąż na to liczyłam, dla mamy.

Na trzeci dzień oparzenie na szyi na tyle już się zagoiło, że mogło uchodzić za spowodowane oblaniem gorącą kawą. Wydobyłam z szafy mój mundurek z Briar Hill i bardzo ostrożnie szesałam włosy w tył, dbając o to, by ukryć parę łysych plam tuż nad karkiem.

Wydobyłam oprawkę na legitymację – uboższą teraz o dwie fotografie – z szuflady toaletki. Z czasem dodam tam nowe zdjęcia mamy i taty, na razie włożyłam fotkę, którą Connor zrobił mnie i Treyowi na podwórku za domem, razem z Daphne, oraz zdjęcie przedstawiające mnie i Charlayne, obejmujące się ramionami i wyszczerzone w uśmiechu z powodu naszych nowych pasów: mojego brązowego, a u Charlayne niebieskiego, zawiązanych teraz na naszych białych bluzach.

Oba te zdjęcia by znikły, gdybym tylko wyłożyła je poza polem CHRONOSA. Jeśli teoria Connora była słuszna, zawsze będę mogła wykonać ich kolejne kopie – a znikająca fotka może się przydać. Tak czy inaczej, klucz CHRONOSA miał stać się odtąd moim nieodłącznym atrybutem. Było to w jakiejś mierze irytujące, gdyż jednym z powodów, dla których zgodziłam się na ten obłąd, było to, że chciałam skończyć z nieustającym zamartwianiem się, co będzie, jeśli coś odseparuje mnie od medalionu. Ale zważywszy na wszystko, co przeszłam w ciągu paru ostatnich tygodni, związanie się z tą nietypową biżuterią wydawało się niską ceną za takie ubezpieczenie na życie i stały dostęp do wyjścia awaryjnego.

Jeszcze kilku innych rzeczy nie zamierzałam zostawić – w tym naszyjnika i T-shirtów, które dostałam od Treya, chociaż wiedziałam, że mogłabym wynieść je z domu Katherine jedynie, mając je na sobie. Wepchnęłam je do torby Katherine razem z *Księgą Proroctwa* i nagrany przez Treya DVD.

Trochę głupio było odczuwać smutek z powodu pożegnania z Katherine i Connorem, skoro miałam ich ponownie zobaczyć za kilka minut, mimo to go odczuwałam. To już nie będą ci sami Katherine i Connor. Relacje między nami

trzeba będzie budować na nowo, o czym i oni, jak widziałam, również myśleli. Ucałowałam ich oboje, a Daphne poklepałam po łbie. Mogłam mieć pewność, że z nią przynajmniej będzie po staremu, jeśli dorzucę parę psich przysmaków i kilka minut miziania po brzuchu.

A potem wywołałam stabilny punkt w przedpokoju Katherine, ustawiłam czas na 7 kwietnia i godzinę dziewiątą rano i wróciłam do dawnego życia.

∞

Gdy pojawiłam się niespodziewanie w przedpokoju, Connor był tym, delikatnie mówiąc, zaskoczony. Właśnie wychodził z kuchni, w tych samych dzinsach i koszuli w kratę, które miał na sobie, gdy wybiegł zapłacić taksówkarzowi, po tym jak skradziono mi plecak. Krzyknął na Katherine i ona zaraz zbiegła ze schodów, w czerwonym szlafroku. A potem wszyscy razem usiedliśmy na kanapie i Connor zaparzył kiepską kawę. Tym razem jednak to nie Katherine snuła opowieść, ale ja – przynajmniej na tyle, by wiedzieli jak odgrywać swe role przez najbliższe dni. I Connor tym razem zamiast trzech marnych herbatników podsunął mi całe pudło ciasteczek korzennych.

Pożyczyłam od Katherine telefon, żeby zadzwonić do mamy i opowiedzieć jej o wypadku – nic poważnego, zaznaczyłam, tylko oparzenie. Gorzej, że w tym zamieszaniu zgubiłam plecak. Oczywiście, jak tylko usłyszałam jej głos po tamtej stronie, natychmiast się rozryczałam, ale wzięła ten płacz za zamartwianie się po stracie plecaka.

– Kate, kochanie, nic się nie stało. Zastrzegę kartę kredytową, kupimy ci nowy telefon i iPoda. Zapłacimy za książki. Nie jestem na ciebie zła, nie musisz więc się martwić.

– Wiem, mamó. Kocham cię.

– Kate, chcesz może, żebym przyjechała? Jesteś roztrzęsiona.

– Nie, nie. Już jest okej, mamó. Do zobaczenia jutro.

Potem zadzwoniłam do sekretariatu w Briar Hill i poprosiłam, żeby przekazali mojemu tacie wiadomość: miałam mały wypadek i nie będzie mnie na trygonometrii, ale zobaczymy się w domu.

Kilka minut potem Connor odwiózł mnie do domu. Gdy wkładałam klucz do zamka, ręce mi się trzęsły, jak wtedy, gdy na schodach czekał Trey. Tym razem nie było kubka Babuni. Na szafce, jak zwykle, stał wok taty. Dopadłam do lodówki i zobaczyłam na drugiej półce jambalayę.

Kiedy tato wróci ze szkoły, będzie mnóstwo czasu, by mu wszystko opowiedzieć. Na razie osunęłam się na kanapę i zamknęłam oczy. Wreszcie w domu.

Opowiedzenie tacie wszystkiego okazało się procesem wielofazowym, a fakt, że na jego widok zalałam się łzami, sprawy nie przyspieszył. Ale po długiej rozmowie z Katherine i Connorem, wspartej kilkoma prezentacjami z użyciem klucza CHRONOSA, przynajmniej zrozumiał, o co chodzi. Zgodziliśmy się, że zapewne najlepiej będzie na razie zachować to dla siebie. Mama nie miała więc pojęcia, czemu – gdy zajrzała do nas w środę wieczorem, po wykładach – czekały ją fontanny łez i wyjątkowo długie trzymanie w ramionach. Zdecydowanie nie przypominało to w niczym naszych typowych interakcji i chyba nawet zastanawiała się poważnie nad zaaranżowaniem kolejnej sesji na kozetce. Zamiast tego namówiłam ją na kolację u O'Malleya. Krążki cebulowe, mniam!

W ciągu następnych dni w znacznej mierze poukładałam sobie życie po dawnemu. Powróciłam do rutynowego dzielenia go między dom mamy, dom taty i szkołę. Jedyne większe zmiany wiązały się ze spakowaniem części moich rzeczy przed zbliżającą się przeprowadzką do Katherine i koniecznością pamiętania, że na tej linii czasu nie będzie koło mnie Charlayne.

I wciąż odkładałam na później coś, co obiecałam zrobić w pierwszej kolejności.

Świeżo wypalone DVD czekało w moim plecaku. Zeskanowałam naszą wspólną fotkę, żeby ją zachować, gdyż byłam najzupełniej pewna, że oryginał, który wsadziłam do oprawki na legitymację, zniknie, jak tylko mu go wręcę. Obejrzałam to DVD co najmniej z tuzin razy i nawet zostawiłam jego kopię w kuchni taty, by dowieść sobie, że nie zniknie i że jego zawartość nie ulegnie zmianie. Kiedy wróciłam, płytka nadal tam była i to ta sama twarz Treya powitała mnie, gdy załadowałam ją do komputera. Nie było żadnego logicznego powodu, by nadal to odkładać, wciąż jednak przerażała mnie świadomość, że Trey zobaczy we mnie całkiem obcą mu osobę.

W końcu, w niedzielne popołudnie, gdy zmywaliśmy naczynia po wspaniałej łazani z szpinakiem, tato zaproponował na deser lody. Od Ricciego, nieopodal Dupont Circle. Ledwie kilka krótkich przecznic od Kalorama Heights. Parę kroków od Treya. Zrobiło mi się niewyraźnie.

Tato przyglądał mi się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Kate, nie możesz tego odkładać w nieskończoność. Mówiłaś, że obiecałaś to temu chłopcu. I jeśli nawet relacje między wami nie ułożą się tak, jak zapamiętałaś, to nie byłoby fair ani wobec Treya, ani wobec ciebie, by nie dać im szansy. Poza tym – uśmiechnął się – zmęczyło mnie już słuchanie, jak puszczasz to DVD. Czy zdarzyło się wam kiedykolwiek rozmawiać o czymś choć trochę



konkretnym?

Pogroziłam mu ścierką do naczyń, ale nie podjęłam sporu. Miał rację. Tęskniłam za Treyem. I nigdy nie będzie szansy, bym go odzyskała, póki nie zdobędę się na odwagę i nie wykonam pierwszego ruchu.

∞

Siedziałam na schodach frontowych, przyglądając się schludnie przyciętej trawie, wyznaczającej przejście między domem a chodnikiem. Że obgryzam palce, uświadomiłam sobie niemal w tej samej chwili, gdy usłyszałam otwierające się za mną drzwi. Czym prędzej więc wepchnęłam dłoń pod udo, by ukryć ślady tego obgryzania. Wieczorny wietrzyk przyniósł nikły, ale znajomy zapach szamponu, wiedziałam więc, że to on, jeszcze zanim spojrzałam w te piękne szare oczy z maleńkimi cętkami błękitu. Uśmiechał się tak szczerze i przyjaźnie, jak tamtego pierwszego dnia, gdy szedł za mną przez boisko. I nagle zdenerwowanie prysło. To był Trey, mój Trey. Po prostu jeszcze o tym nie wiedział.

– Jesteś Kate, prawda? – spytał, siadając obok mnie na schodach. – Estella powiedziała, że jesteś z komitetu powitalnego Briar Hill. Ja jestem Trey, ale chyba już to wiesz.

– Cześć, Trey – powiedziałam.

A potem dotrzymałam obietnicy. Wychyliłam się i go pocałowałam, długo i powoli. W pierwszej chwili się zdziwił, ale nie wycofał – i najwyraźniej zrewanżował się tym samym. W niczym nie przypominało to naszego pierwszego pocałunku, nieśmiałego i niepewnego i z jego, i z mojej strony. Tym razem wiedziałam, co lubi i włożyłam w ten pocałunek całą siebie.

– Uff, a co tu było? – zapytał, gdy już się odsunęłam.

– Dotrzymanie obietnicy – odparłam.

– Okej. – Wyglądał na nieco ogłupiałego, ale znów się do mnie uśmiechnął.

– Chyba podoba mi się powitanie w stylu Briar Hill.

– Owszem, chodzę do Briar Hill, ale to raczej nieoficjalne powitanie – oznajmiłam, wyjmując zdjęcie i wkładając mu w dłoń. Wyraźnie widoczny był na nim Trey, otaczający ramieniem dziewczynę, którą niewątpliwie byłam ja. Przytrzymałam to zdjęcie palcami na tyle długo, by zdążył mu się dobrze przyjrzeć i by w jego oczach pojawiło się nieuniknione pytanie, a potem podniosłam dłoń i patrzyłam, jak fotografia znika.

Chwyciłam go za rękę i przycisnęłam ją do klucza CHRONOSA, przytrzymując obiema dłońmi. Na jego pobladłej teraz twarzy malował się jakiś ból.

– Przepraszam – powiedziałam. – Wiem, że chwilowo zrobiło się

niezręcznie, ale...

Znów go pocałowałam. Delikatnie, w kącik ust.

– Kim ty jesteś? – zapytał.

– Jestem Kate. I kocham ciebie, panie Lawrence Alma Coleman Trzeci. Nie jestem jakąś namolną maniaczką. W tej kopercie jest DVD, nagrania, które sam zrobiłeś i które wyjaśnią wszystko. Zniknięcie fotografii, powód, dla którego przyciskam twoją dłoń do tej dziwacznej biżuterii... Dobrze się już czujesz?

Przytaknął, nic jednak nie powiedział. Patrzyłam mu w oczy przez dłuższą chwilę. Widziałam tam zdezorientowanie, zwątpienie i całą masę innych rzeczy, które spodziewałam się zobaczyć, ale za nimi wszystkimi kryło się też światło, które już znałam. Nie to, że mnie rozpoznał, nie to, że zapalał miłością, ale nie było to też obojętne spojrzenie obcego człowieka. Istniała między nami więź i poczułam przypływ nadziei, że Trey słusznie mówił, iż trzeba mieć wiarę, wierzyć, że uda nam się to odbudować.

– Te nagrania wyjaśnią wszystko. – Położyłam mu na kolanach kopertę i nachyliłam się, jeszcze raz go całując. – Do widzenia, Trey.

Byłam już w połowie drogi na chodnik, gdy zawołał:

– Kate, zaczekaj. Jak mogę się z tobą skontaktować?

Posłałam mu przez ramię uśmiech.

– Otwórz tę kopertę.

## PODZIĘKOWANIA

Wszyscy historycy, których znalazłam, marzyli o wehikule czasu. Nie po to, by móc zmienić historię, ale by poznać rzeczywisty bieg rzeczy, bez upiększeń czy stronniczości dopełniającej zapisy zdarzeń. Ale czy zdołalibyśmy się oprzeć drobnemu ich podrasowaniu, żeby świat uczynić lepszym? Nie jestem taka pewna.

Z tej wątpliwości zrodziły się *Podróże w czasie* i oto teraz, gdy koniec zwieńczył dzieło, chciałabym poświęcić chwilę na wyrażenie wdzięczności osobom, które pomogły mi w tej podróży. Pomijając odrobinę swobody, z jaką podeszłam do kilku dat i wydarzeń, opis Wystawy jest w ogromnej mierze zgodny ze stanem faktycznym. Na przekopywanie archiwów Internetu, istnego skarbcza, obfitującego w fotografie, nagrania i bezpośrednie relacje z niej, poświęciłam wiele godzin. Dzięki naprawdę niesamowitej wirtualnej symulacji Światowej Wystawy Kolumbijskiej z 1893 roku, wykonanej przez Pracownię Symulacji Miejskich Uniwersytetu Kalifornijskiego, mogłam się poczuć tak, jakbym rzeczywiście spacerowała po Wyspie Leśnej, zwiedzała Pałac Sztuk Pięknych i oglądała uroki bulwaru Midway. Wspomnieć też trzeba tu o szeregu prac na temat seryjnego mordercy H.H. Holmesa, czy raczej Hermana Mudgetta, w tym o wspaniałej książce Erika Larsona *Diabeł w Białym Mieście*<sup>1</sup> i kilku obfitujących w szczegóły filmach dokumentalnych, które dostarczyły informacji źródłowych, umożliwiających przybliżenie ponurych faktów związanych z Hotelem Wystawy Światowej.

Podziękowania należą się zarówno moim siostronom – za wysłuchiwanie mnie, ilekroć musiałam się wygadać, jak i moim rodzicom i bratu, którzy podobnie jak wielu innych przyjaciół i dalsza rodzina zaangażowali się w głosowanie, gdy *Podróże w czasie* znalazły się w finale konkursu Amazon Breakthrough Novel Award. Pragnę też podziękować moim siostrzenicom i siostrzeńcom za umożliwienie mi wejścia w życie, także to na Facebooku, młodych czytelników. (Amando, dobrze, że jesteś już na tyle duża, by to czytać.) Rozmowy z Garethem i Arianą pomogły mi w uplastycznieniu wizji cyrystów, a Mary wielokrotnie przypominała mi o tej ulotnej zdobyczy każdego piszącego, jaką jest „zawieszenie niewiary”.

Dług wdzięczności mam również u licznych przyjaciół, współpracowników i studentów, którzy wspierali mnie (na różnych poziomach łaskawości) przez cały ten projekt. Gigantyczne uściski dla moich beta-czytelników – Ryana, Donny, Pete’a, Iana, Teri, Joy Joo, Savannah i Mary Frances – a supermocne dla tych wszystkich, którzy mieli cierpliwość komentować wersje robocze tej książki. Moje dwie ulubione grupy z forum Goodreads – YA Heroines i Time Travel – zapewniły mi mnóstwo tak potrzebnego moralnego wsparcia i wnikliwych komentarzy na

temat jej wcześniejszej wersji, podobnie jak uczyniło to szerokie grono blogerów piszących o książkach oraz kolegów po piórze.

Podziękować pragnę też wszystkim w Skyscape i Amazon Publishing, a zwłaszcza Courtney Miller, Terry'emu Goodmanowi i Timowi Ditlow. To była szalona jazda, mimo to wszyscy mieliście dla początkującej autorki mnóstwo cierpliwości. Ekstrawielkie podziękowania należą się mojej redaktorce, Mariannie Baer, za jej wnikliwość i komentarze. Do Was wszystkich: jeśli nie uwzględniłam niektórych Waszych sugestii, to przez mój upór, gdyż to Wy prawdopodobnie mieliście rację. Wasze rady i opinie były bezcenne i zawdzięczam wam co niemiara.

I chociaż kilkoro spośród Was już wymieniłam, na koniec zachowałam tę grupę, której nigdy nie zdołam się wywdzięczyc – moją wspaniałą rodzinę. Ludzie, jesteście czadowi.

Wydana w Polsce w roku 2008, nakładem Wydawnictwa Sonia Draga.

[\[wróć\]](#)

## **O AUTORCE**

Rysa Walker wychowała się na południu USA, na ranczo specjalizującym się w hodowli bydła. Pośród rozrywek dostępnych w tamtym okresie wymienia rozmowy z krowami i czytanie książek. Gdy zdarzało się jej, nieczęsto, przejmować kontrolę nad pilotem do telewizora, oglądała *Star Trek* i wyobrażała sobie swoje życie w przyszłości, na odległych planetach, a przynajmniej w miasteczku na tyle dużym, by dorobiło się sygnalizacji świetlnej.

Obecnie, gdy nie zajmuje się pisaniem, w Północnej Karolinie, gdzie dzieli gabinet z mężem i suczką rasy golden retriever imieniem Lucy, uczy historii i wiedzy o rządzie. Do przyjemności zalicza jogę, bardzo gorzką czekoladę oraz gry *Galaga* i scrabble. Nadal nieczęsto sprawuje kontrolę nad pilotem, tym razem za sprawą jej dzieci, mających obsesję na punkcie sportu. *Podróże w czasie* to jej debiut, zdobywca nagrody Amazon Breakthrough Novel Award za rok 2013, w kategorii: powieść młodzieżowa.

